

RAINER WEKWERTH

PRZEBUDZENIE

LABIRYNTU

VAI

Rainer Wekwerth
PRZEBUDZENIE LABIRYNTU
przełożyła Aldona Zaniewska



Księga pierwsza

Jenna obudziła się i spojrzała w błękitne niebo. Lekki wiatr gnał poszarpane chmury, a wysoko samotny drapieżny ptak zataczał kręgi. Jenna obserwowała przez chwilę, jak ptak wykorzystuje siłę wstępującego wiatru, żeby wznieść się jeszcze wyżej.

„Co to za ptak, dlaczego tego nie wiem” – zadawała sobie pytanie.

Nagle kontury ptaka się zatarły, rozmyły w błękicie nieba i ptak znikł. Ogarnął ją niepokój.

„Gdzie jestem?”.

Leżała na plecach. Na miękkiej trawie. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że obok kołyszą się na wietrze długie, żółte źdźbła. Łagodny podmuch gładził jej twarz. Potem poczuła ciepło słońca.

„Tu jest pięknie, ale gdzie jestem?”.

Z twarzą zwróconą do słońca i zamkniętymi oczami leżała jeszcze chwilę na łące. Nagle padł cień.

Otworzyła oczy.

Pochylał się nad nią młody mężczyzna. Miał młodzieńczy wygląd, regularne rysy, wydatne kości policzkowe, prosty, jak wyrzeźbiony w kamieniu nos, a pod nim wyraziste usta z małą blizną w kąciu. Wiatr uniósł jego długie czarne włosy i odsłonił twarz tylko na chwilę, a potem znów ją zakrył.

Brązowe oczy uważnie patrzyły na Jennę z góry. Młodzieniec nie uśmiechał się, mimo to poczuła się dobrze w jego towarzystwie.

– Jestem Jeb – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

Chciała odpowiedzieć, też się przedstawić, lecz zwlekała, bo brakowało jej słów.

Poczuła pojedynczą łzę spływającą po policzku.

„Kim jestem?”.

Jeb łagodnie przytrzymał rękę nad jej twarzą, żeby osłonić Jennę od słońca.

– Zamknij oczy – powiedział spokojnie.

Posłuchała go, chociaż nie wiedziała dlaczego. W głosie Jeba było coś, czemu ufała, czemu nie mogła się oprzeć. Brzmienie tych słów ją uspokajało.

– Weź głęboki wdech, a potem zrób wydech.

Głęboko nabrała powietrza, a następnie je wypuściła. Dłonie mężczyzny

pachniały trawą i ziemią.

– Teraz spróbuj jeszcze raz.

I już wiedziała. Tak się ucieszyła, że omal nie rzuciła mu się na szyję.

– Jestem Jenna! – zawołała.

Wszystko będzie dobrze. Nie była chora ani nie zwariowała. Miała imię i je znała. Jenna.

Patrzyła w ciemną twarz Jeba, która wydawała się otwarta jak niebo nad nią. Chłopak nagle zmarszczył czoło.

– Jenno, musisz wstać – powiedział z naciskiem.

Jego głos nie był już łagodny. Teraz brzmiał, jakby zmuszał się do wypowiedzania słów.

Jenna czuła, że rośnie w niej strach. Skąd ta zmiana? Co zrobiła?

– Co się stało? – zapytała ostrożnie.

– Musimy iść, nie mamy czasu.

Nie rozumiała. Dlaczego nie mieli czasu? Wciąż była oszołomiona, gdy Jeb podał jej rękę i pomógł wstać. Zdezorientowana obróciła się wokół własnej osi. Na jej ramiona opadały długie jasne włosy. Nadal nie wiedziała, gdzie jest.

„Jeszcze nigdy tu nie byłam” – pomyślała.

Wszystko wydawało się obce. Trawa jak okiem sięgnąć. W oddali las, który sprawiał wrażenie mrocznego, a na horyzoncie wysokie góry, których wierzchołki pokryte były śniegiem. Jedna chmura właśnie zakryła słońce.

Jenna poczuła chłód, objęła się ramionami. Wtedy zorientowała się, że jest naga.

„Dlaczego dopiero teraz to zauważyłam?”

Próbowała zakryć się rękami. Nie powinna przecież być naga w towarzystwie obcego mężczyzny. Wzmógł się jej niepokój. Dlaczego nie powiedział, że jest naga?

Jeb znów jakby czytał swobodnie w jej myślach, bo wręczył Jennie brązowy plecak z gładkiego materiału z czarnymi zapięciami.

– Znajdziesz w nim ubranie – powiedział. – Będzie na ciebie pasowało. Myślę, że pasuje na każdego.

„Skąd to wie?”

Patrzyła na swego rozmówcę. Bez uprzedzeń, jakby to było najnormalniejsze na świecie, stał przed nią, nie odwracał wzroku, ale też się nie gapił. W sposobie, w jaki czekał, gdy się ubierała, było coś dobrze znanego Jennie, swojskiego. Jeb miał na sobie dżinsy, mocne turystyczne buty, ciepłą flanelową koszulę w kratę i nieprzemakalną kurtkę.

Słowa, które opisywały te ubrania, bez namysłu przysły Jennie do głowy. Chwyła plecak i odwróciła się.

„Właściwie niepotrzebnie – pomyślała. – Cały czas patrzył na mnie naga, więc wie, jak wyglądam”.

Drżącymi palcami rozsznurowała plecak i wyjęła ubranie, niemal takie jak Jeba, bo on miał koszulę w niebieską kratę, a u niej dominowała czerwień.

– Pospiesz się, proszę.

Jenna zapięła guzik dzinsów i wskoczyła w kurtkę. Wszystko pasowało jak ulał.

„Dziwne...”.

– Dopiero cię znalazłam. Dlaczego musimy się spieszyć? – zapytała.

– To ja cię znalazłem, prawda?

„Mam wrażenie, że ja ciebie szukałam” – pomyślała.

Twarz Jeba przypominała teraz ponurą maskę. Wyciągnął prawą rękę i wskazał na horyzont, w kierunku lasu. Na tle wyrazistego tła gór las był jak ciemny cień. Nieprzenikniony i mroczny obramowywał wznoszące się nad nim wyniosłe, stalowoszare szczyty. Ponad białymi czubkami masywu gór wisiały chmury. Suche krzaki i zarośla na równinie były jedynymi akcentami w tym monotonnym, stepowym krajobrazie.

– Musimy tam dojść, zanim się ściemni. Nie możemy tu zostać.

– Nie rozumiem. Dlaczego musimy iść do lasu? I skąd o tym wiesz? Gdzie jesteście?

– Wyjaśnię ci później. Uwierz mi, że trzeba ruszyć natychmiast.

Jenna zwlekała. Nie podobało jej się, że Jeb komenderuje, nie podając powodu swojego dziwnego zachowania.

– Nie. Wyjaśnisz mi to teraz. Nie zrobię bez tego ani kroku. Muszę wiedzieć, gdzie jesteście – zażądała pewnym głosem.

Jeb wydawał się opanowany i spokojny, ale jego odpowiedź zupełnie zaskoczyło Jennę.

– Grozi nam niebezpieczeństwo.

Rozejrzała się, lecz niczego nie dostrzegła. Ani ludzi, ani zwierząt.

W okolicy, która jeszcze przed chwilą wydawała się przyjazna, panowała niesamowita cisza.

– Jeśli natychmiast nie wyruszymy, może nam grozić śmiertelne niebezpieczeństwo – powtórzył ze spokojem, który jej uświadomił, że Jeb mówi o konkretnym zagrożeniu.

Najwyraźniej był o tym przekonany, ale Jenna nie chciała dać sobie napędzić strachu.

– Śmiertelne? Nie ma w tym aby przesady? Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Powiedz mi, o co chodzi.

Pokręcił głową.

– Nie ma na to czasu.

Odwrócił się i odszedł. Jenna nie wiedziała, co zrobić. Iść za nim, czy zostać? A może poczekać tutaj? Może powrócą wspomnienia i będzie wiedziała, jak się tu znalazła i co im grozi?

„Kim był Jeb?”.

– Jeb? – zawołała. – Jeb! Nie możesz mnie przecież tak po prostu...

Jeb jednak się do nie odwrócił, tylko szedł dalej. Jenna poczuła ucisk w gardle. Był jedynym człowiekiem, jak okiem sięgnąć, i coraz bardziej się oddalał. Myśl, że została sama na tej połaci ziemi, przeraziła ją.

Głęboko odetchnęła, wzięła plecak, który po wyjęciu ubrań był o wiele lżejszy, i poszła za Jebem.

Dogoniła go i przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Maszerowali w stronę gór, nad które nadciągały coraz ciemniejsze chmury. Pojedyncze błyskawice uderzały w ziemię, ale burza była jeszcze zbyt daleko, by było słyhać grzmoty. W powietrzu wisiał zapach ziemi i robiło się chłodniej. Jenna zmarzła, więc zapięła kurtkę na zamek błyskawiczny. Była głodna i spragniona, ale nie miała odwagi zapytać Jeba o to, kiedy zrobią postój. Obserwowała go kątem oka. Był o głowę wyższy, wysportowany. Zauważyła, że poruszał się pewnie, miał harmonijne ruchy. Zmrużył oczy w wąskie szparki i wpatrywał się w las w oddali.

– Jeb? Gdzie jesteśmy?

Spojrzał na nią, ale nie zwolnił tempa. Zawahał się.

– Nie wiem dokładnie.

– Nie wiesz? – Dla Jenny było oczywiste, że Jeb orientował się w sytuacji.

Wiedział przecież o niebezpieczeństwie grożącym w tym miejscu i o tym, gdzie będą bezpieczni. Jeżeli nie orientował się, gdzie są, to dlaczego tak nieprzerwanie maszerowali w stronę horyzontu?

– Nie jestem pewny. – Teraz wyglądał o wiele młodziej niż przed chwilą. I Jenna pomyślała, że łatwo go zranić. – Wczoraj obudziłem się w tej okolicy. Tak samo jak ty. Byłem nagi, nie pamiętałem, jak się tu znalazłem. Znałem swoje imię, ale poza tym nie wiedziałem nic.

Jenna wiedziała o czym Jeb mówi: jej głowa była jak puste pomieszczenie, którego ściany pomalowano na biało i w którym nie ma mebli, obrazów ani dywanów.

Niczego. Tylko pytania, na które nie zna odpowiedzi.

„Nie znam tego otoczenia, jestem tu obca, jak to możliwe, że budzę się w jakimś nieznanym miejscu, nie wiedząc, jak się tam znalazłam?

Dlaczego byłam naga? Skąd to ubranie? Dlaczego pasuje, jakby było moje?”

Z każdą minutą ogarniało ją coraz większe zakłopotanie.

– Znalazłem plecak z ubraniami, jedzeniem i butelką wody do picia – mówił dalej Jeb.

W tym momencie zaburczało Jennie w brzuchu, ale przynajmniej dowiedziała się, że w plecaku ma coś do jedzenia.

– Najpierw nie działało się nic – kontynuował Jeb. Złapał się za brodę i potarł ręką gładkie policzki. – Nie pamiętam wielu rzeczy ze swego życia, a tego, co sobie przypominam, tu nie ma.

– Czyli?

– Motocykla. Czarnego, marki Harley-Davidson Indian. Masywnego, z wyblakłym brązowym siedzeniem ze skóry. Myślę, że był mój. – Odwrócił się do Jenny, ale cały czas szedł dalej. – Wiesz, co to motocykl?

Tak. – Jenna nagle zobaczyła przed oczami obraz. Przypomniała sobie, jak wyglądał motocykl.

Nabrała trochę nadziei. Już dawno odrzuciła myśl, że to tylko sen. We śnie nikt nie czuje, że buty obcierają mu pięty. Tu było inaczej. To nie był sen. Nieważne, jak się tu znaleźli, musiała odnaleźć drogę do domu. Gdziekolwiek był. Na tę myśl aż zakręciło jej się w głowie.

Jeb wskazał ręką okolicę.

– Widzisz gdzieś drogę, jakiś dom albo w ogóle cokolwiek?

– Nie – odpowiedziała.

Ulica. Dom. To były nowe obrazy.

– Jeśli tu nie ma dróg, to do czego, u diabła, byłby potrzebny motocykl? – zapytał ze złością.

Jenna cieszyła się, że Jeb pierwszy raz nie do końca kontroluje swoje uczucia i najwyraźniej czuje się tak samo niepewnie jak ona.

– Pamiętasz, gdzie widziałeś ten motocykl?

– Nie, wiem tylko, że to gdzieś indziej. Ale jest jeszcze coś, co każe mi przypuszczać, że znajdujemy się w obcym świecie.

„Obcy świat? Co to znaczy?”

Jenna skupiła na Jebie całą uwagę.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała.

– Przesłanie.

– Jakie przesłanie? Nie każ mi wszystkiego z ciebie wyciągać.

– Gdy się tu obudziłem, znalazłem w plecaku poza ubraniem i jedzeniem także kartkę.

– A na niej? – Jenna miała ochotę głośno się roześmiać. Coraz lepiej!

– Informacja. Dla nas. Było napisane, co się z nami stanie.

Już chciała zrobić kąśliwą uwagę, ale powstrzymała się, widząc poważną minę Jeba.

O czym on mówi? Najpierw sugeruje, że są w niebezpieczeństwie, a teraz, że jest dla nich jakieś przesłanie. To wszystko jest bez sensu. Uciekają przed czymś, co nie istnieje, a Jeb prawdopodobnie ma nie po kolei w głowie. Musi skończyć z tym obłędem i zwyczajnie pójść do domu.

Jenna nie potrafiła ukryć rozbawienia.

– Co było napisane na kartce?

Patrzył na nią ze spokojem.

– Było dla mnie oczywiste, że tak zareagujesz.

– A jak powinnam reagować?

– Mogłabyś mi zadać pytanie. Właściwie dziwi mnie, że jeszcze o to nie spytałaś.

– O co?

Czyżby to wszystko było jakąś kretyńską zabawą w pytania i odpowiedzi?

Ciemna chmura zasłoniła słońce i teraz, w półmroku, otoczenie wydawało się złowrogie.

Jeb popatrzył prosto w oczy Jenny.

– Powinnaś mnie zapytać, jak cię znalazłem.

Słowa Jeba zawirowały w głowie Jenny. Zatrzymała się i rozejrzała. Step, jak okiem sięgnąć. Próbowwała odnaleźć miejsce, gdzie leżała w wysokiej trawie. To niemożliwe. Przed nią rozciągał się wielki zielonożółty ocean, w którym można się było zagubić.

„To niemożliwe, żeby znalazł mnie przez przypadek” – pomyślała.

– Wiedziałaś, gdzie mnie znajdziesz?! – krzyknęła, bo Jeb niestrudzenie szedł dalej.

– Tak. To była część przesłania. A teraz chodź, musimy się pospieszyć. Odnalezienie cię jest dla mnie dowodem, że prawdą musi być też wszystko inne, co zapowiada przesłanie.

Dogoniła go i popatrzyła z powagą. Wprawdzie bardzo się bała poznać odpowiedź, ale czuła, że musi zadać to pytanie.

– Czy było tam również coś o tym, przed czym uciekamy?

Zwlekał z odpowiedzią, ale rzucił okiem w kierunku lasu, który wciąż jeszcze był daleko na horyzoncie. Jenna widziała, że Jeb chce jej to wyjaśnić,

ale nie zdążył.

Nagle rozległ się długi krzyk. Wydawało się, że dochodzi z daleka. Z początku docierał słabo, ale potem wyraźnie słyhać go było przez szum traw. Jenna się skuliła. To było przerażające, budziło grozę, ale przede wszystkim brzmiało nieludzko.

– Słyszałaś to? – Jeb zastygł, jakby uszło z niego życie.

– Tak, dość osobliwe. Co to było? – Patrzyła w kierunku, z którego dochodził krzyk, ale nic nie widziała. Jeb wciąż stał w bezruchu, więc ostrożnie dotknęła jego ramienia. – Jeb?

– Chodźmy szybciej, słońce zaraz całkiem zajdzie. W przesłaniu było napisane, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, gdy nie świeci słońce. – Patrzył na nią poważnie. – Na kartce jest też więcej informacji, ale teraz nie ma na to czasu. Prawdopodobnie coś jest w pobliżu i na nas poluje. To ma coś wspólnego z naszym lękiem. Powinniśmy być ostrożni, przynajmniej dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Teraz musimy iść dalej.

„Ktoś ich ściga? Kto i dlaczego?”

Jenna zrozumiała, że nie otrzyma teraz odpowiedzi. Wskazała na niebo, gdzie za szczytami gór piętrzyły się duże burzowe chmury. Szli w tamtym kierunku.

– Czy to rozsądnie, aby kierować się wprost do lasu?

Jeb skinął głową.

– Tam jest drewno i możemy rozpalić ogień. Tu na stepie pali się albo wszystko, albo nic.

To było logiczne wyjaśnienie, ale nie uspokoiło Jenny. Przeciwnie. Las wydawał się jej wciąż zbyt daleko, by dotrzeć do niego przed burzą. Jeb chyba myślał podobnie, bo spojrzał na nią pytająco:

– Myślisz, że możemy kawałek podbiec? – I jakby wyczuł, że wiele pytań ciśnie się jej na usta, więc pospiesznie dodał: – Porozmawiamy później, gdy znajdziemy pozostałych.

– Pozostałych? – wysapała w biegu Jenna. – O kim mówisz?

Była przekonana, że są tu sami.

– Wiem, gdzie ich znajdziemy. Musimy do nich dołączyć. Może wiedzą, o co tu chodzi. Jeśli chcemy przeżyć, musimy poznać odpowiedzi na te pytania.

„Pozostali...”

Nie byli sami”.

Bogu dzięki! Ludzie to ochrona i bezpieczeństwo.

Znów rozległ się krzyk. Tym razem bardziej podobny do skrzeczenia, od

którego po plecach Jenny przeszedł dreszcz. I rozległ się już znacznie bliżej.
A to oznaczało większe możliwości obrony, jeśli w istocie ktoś ich ścigał.

Polowały na niego od chwili, kiedy się obudził. Był oszołomiony, w obcym świecie, bez wspomnień. Nagi. Obok leżał plecak z ubraniem i wyposażeniem. Właśnie włożył solidne turystyczne buty, gdy usłyszał te krzyki. Były blisko. I było ich wiele.

Natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo. Uniosły mu się włosy na karku, a przez ciało przebiegł dreszcz.

Cokolwiek nadchodziło, było groźne. Instynktownie czuł, że musi uciekać.

Gdy wstał, coś z niesamowitą siłą rzuciło go na ziemię. Czuł się tak, jakby z impetem wpadł na masywną ścianę zimnego lodu. Kątem oka zauważył, że to coś ma ludzki kształt. Poczul chłód w lewej ręce, tam, gdzie postać go dotknęła. Wycofał się, czołgając po ziemi. Lewą rękę, której dotknęła ta istota, bezwładnie ciągnął za sobą. Nie zdążył stworzyć sobie wyobrażenia o przeciwniku. Wiedział tylko, że musi jak najszybciej stąd zniknąć. Odbił się zdrową ręką od ziemi i stanął na nogi. Potem pobiegł. Tak szybko, jak mógł. Za plecami rozlegało się nerwowe nawoływanie, długie ochryple wycie, na które odpowiadały inne krzyki. Cokolwiek go zaatakowało, nie było samo. Teraz te istoty na niego polowały. Dlaczego go atakowały? Nieludzkie dźwięki rozsadały mu głowę, świdrowały w uszy. Przyspieszył. Zaczął dyszeć i próbował zignorować paralizujący ból w lewym ramieniu. Nie oglądał się, nie sprawdzał, ilu na niego poluje, ze strachu, że na ten widok nogi odmówią mu posłuszeństwa. Plecak boleśnie obijał się o plecy, butelka z wodą uciskała, ale cieszył się, że je ma. W biegu mocno napiął szelki.

„Lepiej – pomyślał. – Tak jest lepiej. Tylko się nie potknij, jeśli się potkniesz, mają cię”.

Wydawało mu się, że czuje na karku oddech swoich prześladowców. Chłód w ramieniu sięgał aż do opuszków palców. Prawie już go nie czuł, a kiedy próbował poruszyć ręką, okazało się, że palce ma sztywne. Miał wrażenie, że krew zamarła mu w żyłach. Jęknął, ale zacisnął zęby i zmusił ciało do ostatecznego wysiłku.

Tuż za nim zatrzęsa się ziemia i poczuł falę uderzeniową. Co to było? Wybuch? W ostatniej sekundzie Misza rzucił się do przodu, a ostry ból przeszył mu kark, gdy spadł na barki. Na chwilę wszystko wokół otoczyła mgła. Znow słyszał za sobą nawoływania i krzyki. Wydawało się jednak, że są w większej odległości niż przedtem. Nie zgubił ich, ale zwiększył przewagę.

Z trudem się podniósł i przez ramię obejrzał do tyłu.

W półmroku dostrzegł zarysy kilku ciemnych sylwetek, które powoli przesuwały się w jego kierunku. Były mniej więcej jego wielkości. Z ciemnej masy wyłaniały się kolejne twarze, co jakiś czas pobłyskiwały jasne włosy. Nie poruszał się po łące dostatecznie szybko, ale chciał wiedzieć, co go ściga. Za każdym razem jednak, gdy zauważał jedną z postaci, wszystko rozmazywało mu się przed oczami. Obraz był nieostry, migotał.

Poddał się. Jak daleko byli? Kilkaset metrów, co najmniej.

Pochylił się, próbując odpocząć. Klatka piersiowa pospiesznie się unosiła, przy każdym oddechu czuł klucie w boku. Zesztywniałe ramię złapał skurcz. Coś boleśnie pulsowało w biodrze, ale to zignorował. Wyjął z plecaka butelkę z wodą i wypił pospiesznie do dna. O świeżą wodę postara się później.

Teraz musiał posuwać się dalej. Wiedział, że nie jest bezpieczny. Jego prześladowcy nieubłaganie podchodzili bliżej. Lepiej było po prostu biec naprzód, dopóki nie przewróci się z wyczerpania. Powinien zatrzeć swoje ślady, oszukać ich zmysły. Ale jak?

Rozejrzał się dookoła. Błyskawica na ułamek sekundy rozświetliła niebo.

Wcale nie tak daleko, na ciemnym horyzoncie, widać było las. Tam nie będzie łatwą zdobyczą. Nie tak szybko go znajdą, a być może nawet zgubią ślad. Uśmiechnął się.

„Zgubię te przekłete bestie” – postanowił.

León wyprostował się i rozejrzał dookoła. Trawa, jak okiem sięgnąć, a tylko z jednej strony ciemno odcinał się las.

„*Qué pasa?* Jak się tu znalazłem?”.

Spojrzał na swoje nagie ciało. Na niebiesko-czarne figury ze skrzydłami, trupie czaszki, mnóstwo nieznanymi liter, zdobienia, geometryczne wzory. Jego ręce, nogi, cały tułów – wszystko było pokryte znakami. Splunął na rękę i spróbował zetrzeć jeden rysunek. Na próżno. Miał je pod skórą.

„Czy na mojej twarzy też jest tego pełno?” – zastanawiał się.

Nie miał jak tego sprawdzić. *Mierda!* Czy to teraz dobrze dla niego, czy źle?

Ponieważ obrazki częściowo zblakły, nie mogły oznaczać niczego złego. Poza tym nie bolały i nie swędziały, prawdopodobnie więc miał je od dawna. Przesunął dłonią po nosie i policzkach, potem po głowie. Jego skóra była zupełnie gładka. Nienaruszona.

Spojrzał w dół i się uśmiechnął. No, przynajmniej jedno miejsce nie było pokryte tymi... tatuażami!!!

Poczuł zimny powiew wiatru. W oddali zbierało się na potężną burzę, a on stał golusienki w jakimś nieznanym miejscu.

Nagle promień światła przebił się przez zasłone chmur i sprawił, że coś zabłysło w trawie. Podszedł z zaciekawiony.

Znalazł plecak. Było w nim ubranie, które od razu włożył. Znalazł też śpiwór i duży scyzoryk, który okazał się niewiarygodnie ostry.

„Dobrze – pomyślał. – Przynajmniej nie jestem bezbronny”.

Wsunął nóż do kieszeni spodni i wyjął z plecaka butelkę z wodą, gdy jakiś dźwięk zmusił go do odwrócenia się.

Niedaleko stali chłopak i dziewczyna i patrzyli na niego wyczekująco. Byli ubrani tak samo jak on. Chłopak był prawie o głowę wyższy. León obrzucił go badawczym spojrzeniem. Obcy emanował siłą i spokojem, nawet jeśli teraz sprawiał wrażenie, że się spieszy. León czuł, że ma do czynienia z kimś, kogo lepiej nie lekceważyć.

Dziewczyna miała ładną twarz i usta stworzone do promiennego uśmiechu, ale się nie uśmiechała. Jej szczupłe ciało było tak samo spięte jak twarz, i León nagle zrozumiał, dlaczego ci dwoje gapią się na niego podejrzliwie i nie podchodzą bliżej.

„To znaczy, że na twarzy też mam tatuaże – pomyślał. – Prawdopodobnie wyglądam jak potwór”.

Zaklął w duchu, potem wyciągnął obie ręce, odwrócił dłonie do góry i pokazał, że jest nieuzbrojony i nie ma złych zamiarów. Podszedł do nich kilka kroków.

Dziewczyna zawahała się, ale chłopak też zrobił kilka kroków w stronę Leóna. Nie uśmiechał się, lecz mimo to wydawał się przyjazny. Podniósł rękę w geście powitania.

– Jestem Jeb. A to Jenna.

– Mam na imię León.

Nie wiedział wprawdzie, gdzie jest, ale nie musiał się zastanawiać nad tym, kim jest. Imię pojawiło się od razu, gdy Jeb się przedstawił, teraz jednak miał mnóstwo pytań i nie wiedział, od czego zacząć. Tym większym zaskoczeniem były dla niego następne słowa Jeba.

– Szukaliśmy cię.

Jeb usiadł w trawie obok Leóna. Jenna, zanim odłożyła plecak na ziemię, nieśmiało podała Leónowi rękę. Od ostatniego odpoczynku minęły dwie godziny. I od dłuższego już czasu nie słyszeli tego czegoś, co ich ścigało. To była dobra okazja, żeby trochę nabrać sił.

Jeb usiadł, krzyżując nogi po turecku. Patrzył z zainteresowaniem na Leóna. Na nagich kostkach tego drugiego – nie miał na sobie skarpetek – widać było obrazki, wyrastały również z rękawów jego koszuli i ciągnęły się aż do czaszki. Obrazki były przerażające, odstraszały, ale też fascynowały. Co mogły oznaczać?

Jeb odchrząknął.

– Nie masz włosów i, szczerze mówiąc, wyglądasz trochę dziwnie z tymi wszystkimi obrazkami na twarzy i głowie.

León uśmiechnął się.

– To tatuaże, mam ich pełno na całym ciele.

Jeb zastanowił się nad kolejnym słowem.

– Co oznaczają?

– Nie mogę zobaczyć swojej twarzy. Jak ona wygląda?

– Nie wiesz, jak wygląda twoja twarz? – zapytał speszony Jeb.

Dopiero teraz do niego dotarło, że ma wyobrażenie o tym, jak sam wygląda.

– Nie, nie mam pojęcia. – León wydawał się rozzłoszczony i spięty.

Ściągnął kąciki warg, mocno zacisnął zęby.

– Hej – wtrącił uspokajająco Jeb. – Spokojnie. Nie ma powodu do nerwów.

Byłem tylko trochę zaskoczony. Każda informacja może być ważna, jeśli chcemy tu przetrwać.

León znów się rozluźnił, ale ton jego głosu pozostał ostry.

– Co ty pleciesz, *compadre*?

Jeb nie dał się zbić z tropu i spokojnie odpowiedział:

– Wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, jak wrócić do domu? – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej. – Pamiętasz swoje wcześniejsze życie? Niebezpieczeństwa, które tu na ciebie czyhają? Chcesz...

– Już dobrze – przerwał mu León. – Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. I odpowiedź brzmi: nie. Nie, nie mam pojęcia, gdzie jestem i jak się tu znalazłem. Nie mam też zasranego wyobrażenia o tym, kim właściwie jestem, ale wyglądasz na kogoś, kto mógłby mnie oświecić, co to wszystko znaczy. Powiedz zatem, dlaczego mnie szukaliście?

Jeb rzucił okiem na coraz ciemniejszy horyzont, potem spojrzął na trawiastą równinę za nimi. W tej chwili nic nie było słyhać, ale to nie oznaczało, że nic się na nich nie czaiło. Musieli iść dalej. Wstał.

– Wyjaśnię ci to po drodze.

Wytatuowany chłopak patrzył na niego podejrzliwie.

– Po drodze? – powtórzył.

– Tak, musimy iść dalej. Tu nie jesteśmy bezpieczni, coś nas ściga – ostrożnie ponaglił go Jeb.

Jenna też wstała. León siedział i spokojnie się rozglądał.

– Kto i dlaczego?

Jeb czuł, jak ogarnia go niepokój. Jak napina mu się skóra na skroniach. Marnowali cenny czas, tak samo jak wcześniej. Nagle ogarnęła go wściekłość i poczuł, że coś takiego już mu się zdarzało. Musiał natychmiast coś zrobić, żeby nie stracić panowania nad sobą.

– Jest, jak jest. Możesz nam wierzyć albo nie, jest mi to zupełnie obojętne – burknął i odwrócił się. W napięciu obserwował horyzont. – My idziemy dalej, a ty rób, co chcesz.

– Jak to ładnie powiedziałaś? Spokojnie? Więc też się uspokój. Opowiadacie mi dziwne rzeczy, a potem jesteście zaskoczeni, że nie łykam wszystkiego od razu i nie biegnę grzecznie za wami? – León zręcznie się podniósł, odłożył butelkę z wodą i splunął w trawę. – Człowieku, właśnie się obudziłem. Goluteńki. W miejscu, w którym nigdy nie byłem, i nie mogę sobie przypomnieć, kim jestem. Nie wiem nawet, jak wyglądam, a potem przychodzicie wy. Was też nie znam, ale gadacie o jakimś pościgu. Jeśli chodzi o mnie, to wam wierzę. Ale mam też mnóstwo pytań.

– Na które odpowiemy po drodze. Teraz musimy ruszać i znaleźć pozostałych.

– Pozostałych? Czy to wariactwo się jeszcze nie kończy? Jest więcej zagubionych, których przywiało w tę niegościnną okolicę?

– Tak.

– O ilu osobach mowa?

– Czterech.

– Wiesz, gdzie ich znaleźć?

– Tak.

– Ale nie powiesz mi, skąd wiesz?

Teraz również Jenna patrzyła na Jeba z wyczekiwaniem. W dali błyskawice przecinały czarne jak noc niebo.

– Nie mamy wiele czasu – ponaglał Jeb.

– Dobra. Wygląda na to, że masz jakiś plan. Łapię plecak, a po drodze wszystko mi spokojnie opowiesz.

León podszedł do miejsca, gdzie znalazł plecak, i nagle głośno zaklął:

– *Hijo de puta!*

Jeb się odwrócił. Wytatuowany chłopak zamaszystymi ruchami przeszukiwał trawę, a jego spojrzenie pospiesznie wędrowało po ziemi.

– Co się stało? – Jenna, która z troską obserwowała niebo, odwróciła się, gdy Jeb przyłączył się do wytatuowanego chłopaka.

Plecak Leóna zniknął.

Gdy się obudził, usłyszał odległe wołanie, ale zaraz umilkło. Teraz nie wiedział, z której strony dobiegał ten głos. I czy to w ogóle był głos?

Równina, która rozciągała się przed jego oczami, budziła strach. Coś było nie tak. Pot wystąpił mu na czoło. Coś było zupełnie nie tak, jak powinno. Nie był stąd.

Miał pustkę w głowie, jakby ktoś wszystko z niej wymazał. Od tej pustki zabrakło mu tchu. Pospiesznie rozejrzał się. Bezkres, niekończący się bezkres. Nie mógł wziąć wdechu, bo klatka piersiowa boleśnie mu się skurczyła. Panicznie walczył o oddech. Skulił się, pochylony głową naprzód. Chociaż próbował sobie wmówić, że jest wręcz przeciwnie, nic, ale to zupełnie nic nie było w porządku. Był nagi, nie wiedział, gdzie jest. Przy próbie przypomnienia sobie czegokolwiek, z trudem łapał oddech. Wsunął obie dłonie we włosy, które z jednej strony były krótko ostrzyżone, a z drugiej sięgały do ramion.

Przestraszony cofnął ręce. Kątem oka dostrzegł jakiś błysk, instynktownie sięgnął po to coś i chwycił pasemko włosów. Było niebieskie.

I wtedy sobie przypomniał.

„Mam na imię Tian”.

Znajomość imienia od razu go pocieszyła, była jak kotwica w tym obcym świecie. Wyczerpany upadł na bok.

Wiatr rozwiewał mu włosy, czarne jak noc, ale pasemko szerokości mniej więcej dwóch centymetrów błyszczało fantastycznym błękitem. Tian patrzył na nie i wiedział, że jest farbowane. Zaczął się właśnie zastanawiać nad tym, skąd to wie, gdy wiatr znów przyniósł nawoływania. Tym razem mógł ustalić kierunek, z którego dochodziły.

– Halo! – zawołał głośno, a potem jeszcze raz. Nikt nie odpowiadał. – Jest tam kto?

Nic. Ubrał się, założył plecak i pomaszerował tam, gdzie miał nadzieję spotkać nawołujących. W wysokiej trawie nikogo nie widział. Nagle zatrzymał się i znów przez chwilę nasłuchiwał. Ale teraz panowała cisza. Poczł się nieswojo, niepewny, czy te krzyki oznaczają pomoc, czy niebezpieczeństwo. Rozejrzał się wkoło i wzruszył ramionami. Dowie się, kto tam jest i czy potrzebuje pomocy.

Gdy przeszedł z kilometr, potknął się o coś w trawie. Na próżno próbował

zachować równowagę, upadł i ciężko wylądował na czymś miękkim.

Znów ogarnęła go panika, jego ręce bez ładu dotykały wszystkiego dookoła, rozum go niemal opuścił, gdy nagle usłyszał pod sobą jakiś głos. Ktoś zaklął. Nawet jeśli nie wszystko rozumiał, rozsądek powrócił i natychmiast stały się dla niego jasne dwie rzeczy: ktoś go zwymyślał w najgorszy możliwy sposób i była to dziewczyna.

Przestraszony, ale jednocześnie uspokojony, próbował wstać. Oparł się przy tym na nogach dziewczyny, która syknęła z bólu.

Tian zdołał się w końcu wyprostować. Chciał przeprosić, ale widok odebrał mu mowę. Przed nim w trawie leżała dziewczyna w jego wieku. Była naga. Rude włosy okalały jej głowę jak gorejący ogień. Miała twarz w kształcie serca, i żywe zielone oczy, które rzucały iskry z wściekłością, zadarty nos i usta czerwone jak krew. Ciało dziewczyny było bez skazy, opalone, z małym biustem i szczupłymi nogami. Pośrodku zaś...

Wąska dłoń zakryła właśnie to miejsce, a wściekły głos wysyczał:

– Co się tak na mnie gapisz, idioto?

– Ach... ja nie...

– Przecież widziałam, jak się wpatrujesz.

– Tak, nie, przecież nie chciałem cię... tylko byłem zaskoczony. – Tian potrzebował chwili, by odzyskać głos. – Przepraszam, nie chciałem sprawić ci bólu.

Dziewczyna usiadła i otoczyła nogi ramionami, więc nie była już przed nim całkiem obnażona. Ale to chyba nie zmniejszyło jej wściekłości.

– No, wspaniale. Mimo to wszystko mnie boli. Co tu robisz?

– Usłyszałem twoje wołanie i myślałem, że potrzebujesz pomocy.

– Ja nikogo nie wołałam.

– Ale słyszałem wołanie i poszedłem w jego kierunku. Wtedy cię znalazłem.

– A dlaczego nie mam nic na sobie? To wszystko jakiś głupi żart, prawda?

– Ja też byłem nagi, kiedy się obudziłem.

– Obudziłeś się? Nie jesteś stąd?

– Nie. Nie mam pojęcia skąd. Moja głowa jest jak wymieciona do czysta. Nie pamiętam niczego oprócz swojego imienia. – Zwlekał chwilę. – Tian, mam na imię Tian – dodał.

Dziewczyna zamknęła oczy.

– Czy ja cię o to pytałam?

– Nie, ale myślałem...

– Za dużo myślisz. Powiedz mi lepiej, skąd masz ubranie.

– Były w plecaku, który znalazłem.

– I?

– Co i?

– Było w nim jeszcze kilka rzeczy dla mnie?

– Ach, nie. Ale zobacz, z tyłu stoi jakiś plecak, prawdopodobnie jest dla ciebie.

– Co? Gdzie? – Obróciła się, ale zaraz znieruchomiła i natarczywie wpatrywała się w Tiana. – Jeśli znów będziesz się tak na mnie gapił, to...

– Co..., ach, nie.

– Odwróć się.

– Jak?

– Masz się odwrócić, do jasnej cholery! Tępy jesteś? Chcę wstać i podejść do plecaka tak, żebyś się nie gapił na moją gołą dupę.

– Ach tak, dobrze.

Tian odwrócił się speszony. Nie mógł przecież podejrzewać, że potknie się o nagą...

– Znów się gapisz, co?

– Nie gapię się!

Ta dziewczyna zaczynała działać mu na nerwy. Co sobie właściwie wyobrażała?

– A poza tym to jestem Kathy.

Jej głos nagle zabrzmiał słodko jak miód. Tian, zmieszany, pokręcił głową. Za jego plecami coś zaszeleściło.

– Wciąż nie patrzysz, czy jednak tak?

Nie, do cholery! Wpatrywał się w horyzont. Nadciągały ciemne chmury i wydawało się, że chcą połknąć tę ziemię i góry w oddali. Zastanawiał się, czy zna skądś ten krajobraz.

– Zaraz będzie padać – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Tamte chmury zapowiadają burzę. Jeśli się rozpęta, będzie naprawdę gwałtowna. Powinniśmy szybko poszukać schronienia.

Usłyszał jej szyderczy śmiech.

– Doprawdy orzeł z ciebie. Tu jest tylko ta kretyńska trawa, jak okiem sięgnąć.

– Z tyłu jest las.

Przez chwilę był spokój, Kathy prawdopodobnie się obejrzała, ale po chwili Tian poczuł ciepły oddech przy swoim uchu. Przestraszony, dał susa do przodu.

– Możesz się odwrócić, byłeś grzecznym chłopcem.

Jego serce dziko galopowało. Czuł, że się zaczerwienił, a to go rozwścieczyło.

– Co to ma znaczyć?

Kathy roześmiała się perliście i uspokajająco podniosła rękę.

– Och. Czyżbym cię przestraszyła? Bardzo mi przykro!

Tian powoli miał dość. Stał przed nią i przysunął twarz do jej twarzy.

– Masz jakiś problem?! – burknął przez zaciśnięte zęby. – Odkąd cię znalazłem, wciąż mnie obrażasz.

– Ty przecież...

– Gapiłem się, tak, do cholery. Ty też byś się gapiła, gdyby było odwrotnie. – Ostrzegawczo podniósł palec wskazujący. – I nie mów teraz, że to nieprawda. Przyszedłem tutaj, bo myślałem, że potrzebujesz pomocy, a ty co robisz? Nic tylko mnie obrażasz.

– Boże, ależ ty jesteś...

– Nic teraz nie mów. Jeśli jeszcze raz mnie zwymyślasz...

– Czy mogę pójść z tobą?

Tian wpatrywał się w nią intensywnie.

– Naprawdę tego chcesz?

Skinęła głową i ruszyli przed siebie.

Jeb oddał Leónowi prowadzenie i szedł teraz za nim i Jenną. Maszerowali w milczeniu. Wciąż jeszcze zastanawiał się nad zniknięciem plecaka Leóna. We trójkę przeszukali trawę i stwierdzili, że plecak jakby zapadł się pod ziemię. W końcu León, zgrzytając zębami, wziął swoją butelkę z wodą i odwołał poszukiwania. Jeb wiedział, że muszą teraz jeszcze skromniej dzielić swoje racje żywnościowe, nawet jeśli starał się nie myśleć o nadchodzących godzinach. Najpierw jednak musieli znaleźć pozostałych i dotrzeć do lasu.

Jenna od czasu do czasu odwracała się i do niego mrugała. Sprawiało mu to przyjemność. Obserwował, jak maszeruje mocnym krokiem, i podziwiał, jak jest wysportowana. Wydawała się wytrzymała. Oddychała spokojnie. Byli w drodze już długo i czuł, jak bolą go uda, ale po Jennie nie było widać wysiłku. Niezbyt się nawet pociła, a jemu pot zalewał czoło.

Jeb popatrzył w dal. Ciemna ściana chmur groźnie się zbliżała, ale do lasu był jeszcze spory kawałek. Miał wrażenie, że raczej oddalają się, niż przybliżają do celu. Niebo rozświetlały błyskawice.

Gdy spadły na nich pierwsze krople, Jenna odwróciła, z westchnieniem spojrziała w górę i zwolniła, żeby się z nim zrównać.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś.

Uśmiechnął się, speszony.

– To tutaj to jeszcze nic, prawda?

Skinął głową.

– Ale nic o tym nie mówisz. Nie teraz. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Później, kiedy znajdziemy pozostałych, powiem wam wszystko, co wiem.

– To jest aż tak złe?

Jeb nie odpowiedział. Popatrzył na Leóna, który niezmordowanie szedł w strugach deszczu kilka metrów przed nimi, pod wciąż rozbłyskującym niebem.

– Co o nim myślisz? – zapytał Jennę.

– Ma w sobie coś dzikiego. Nieposkromionego. – Wydawała się poważna, gdy mówiła te słowa.

„Tak, ona ma rację. Nieposkromiony to właściwe słowo” – pomyślał.

– Szczerze mówiąc – westchnęła – te rysunki na ciele i twarzy budzą we mnie strach. Przyjrzałeś się im dokładniej?

Jeb skinął głową.

– Cały image Leóna niesie jakieś przesłanie, którego nie rozumiem.

Teraz nad stepem co i raz rozbrzmiewały głośnie grzmoty. León zupełnie na to nie reagował. Jeb i Jenna kontynuowali rozmowę, próbując ignorować burzę.

– Mnie to wszystko kojarzy się z ostrzeżeniem.

– Przed kim? – zapytał Jeb.

– Nie wiem, ale te obrazy mają napędzić nam strachu.

– Zauważyłaś coś? Użyłaś mnóstwa słów, które od razu zrozumiałem.

Jenna uśmiechnęła się powściągliwie.

– Nieposkromiony, ostrzeżenie, obrazki, strach. Nie potrafiłbym tego nazwać, ale kiedy to powiedziałaś, od razu wiedziałem, co to znaczy.

Patrzyła na niego z namysłem.

– Zgadza się, zupełnie się nad tym nie zastanawiałam. One po prostu były.

– Tak samo było z tym motocyklem.

Jeb dostrzegł, że Jenna zacisnęła usta. Wydawało się, że powietrze przez chwilę wibruje, a potem znów głośny grzmot rozdarł ciszę. Jenna zmieniła temat.

– Kim jest ta czwórka ludzi, których szukamy?

– Myślę, że są młodzi, tak jak my.

– To wszystko jest bardzo dziwne, prawda?

– Tak... Zadaję sobie pytanie, dlaczego, mimo że sam wylądowałem w tym obcym otoczeniu, jestem taki spokojny.

Jenna spojrzała na niego.

– Nie jesteś sam.

– Wiesz, co mam na myśli. Dlaczego nie biegam z krzykiem po okolicy albo nie rzucam się na ziemię i nie wrywam sobie włosów z rozpacz?

– Bo nie masz wyboru, a także dlatego, że chcesz żyć. Masz nadzieję, że będzie lepiej.

– A jeśli nie będzie?

– Będzie lepiej, uwierz mi. Musi być lepiej. – Westchnęła.

„A jeśli nie będzie lepiej, umrzemy” – pomyślał.

Nie powiedział tego głośno, ale był pewny, że Jenna mogła to wyczytać z jego twarzy.

– To wszystko trudno pojąć – powiedziała.

– Wiem – przyznał.

Nagle ciszę przerwał piskliwy skrzek. Jeb chwycił Jennę za rękę i podbiegł z nią do Leóna. Na twarzy Jenny malował się strach, a twarz Leóna zastygła

jak maska.

Dopiero teraz Jeb zauważył, że León ma w ręku groźnie wyglądający nóż. Trzymał go swobodnie, jakby był przyzwyczajony do posługiwania się nożem.

– Czy o tym mówiliście? – zapytał wytatuowany chłopak.

Jeb skinął głową.

– Skąd masz nóż?

– Był w moim plecaku, w bocznej kieszeni. Przynajmniej tyle zdążyłem zabrać.

Znów zabrzmiał groźny krzyk i jakieś ochryple wycie, od którego bolały uszy, ale trudno było ocenić, czy wydawał je człowiek, czy zwierzę. Tym razem odgłos dobiegał z oddali. Burza i deszcz ustały. León rozejrzał się.

– Cokolwiek jest tam w oddali, nie brzmi tak, jakby się zbliżało. Wydaje się, że porusza się równoległe do nas.

Jeb popatrzył na niego.

– Wiesz, co to oznacza?

– Te zwierzęta polują na kogoś innego, a ci inni to prawdopodobnie tych czworo, których szukamy.

– To nie zwierzęta, na pewno nie zwierzęta – szepnął Jeb. – Musimy coś zrobić!

León zamknął oczy.

– Nie mamy żadnej szansy. Nie wiemy, gdzie jest to polowanie, nie znamy ani liczby myśliwych, ani ofiar. Mamy tylko jeden nóż. Poza tym, lepiej oni niż my.

Jeb wpatrywał się w niego bez słowa.

– Mówisz poważnie?

León patrzył na niego niewzruszony.

– A co? Czemu się tak denerwujesz? Nie lepiej, żeby to coś schwytało innych, a nie nas? Czy koniecznie chcesz zostać ofiarą?

Jeb z trudem przełknął ślinę. Nie potrafił pojąć aż takiej znieczulicy. Wściekłość zaczęła się w nim znów budzić i znów ją stłumił.

– Musimy przynajmniej spróbować – powiedział z naciskiem.

Na Leónie nie zrobiło to wrażenia.

– Są za daleko. Nieważne, czy pościg ich dogoni, czy uciekną. Zanim tam dotrzemy, dawno będzie po wszystkim.

– Ale...

Jenna stanęła przed Jebem. Położyła mu ręce na ramionach i spojrzała w oczy.

– León ma rację, nie możemy nic zrobić. Nie możemy im pomóc. Musimy

iść dalej. Ktokolwiek jest tam przez kogoś ścigany, miejmy nadzieję, że będzie miał szczęście.

Jeb spojrział na Leóna. Wytatuowany chłopak wyglądał na spokojnego. Jego twarz bez wyrazu zdradzała obojętność w stosunku do ludzi, którzy w tej chwili prawdopodobnie walczyli o życie. León niewzruszony odwzajemnił jego spojrzenie. Jeb poczuł na plecach zimny dreszcz.

W tym momencie Jeb uświadomił sobie, że León już nie raz miał do czynienia ze śmiercią. A wszystkie te straszne obrazki i wzory na jego twarzy i ciele opowiadają właśnie o tym.

Kiedy León taksował go spojrzeniem, Jeb starał się nie pokazać po sobie niepokoju. Czuł, jak jego lewe oko zaczyna drgać i po pogardliwym uśmiechu Leóna widział, że on również to zauważył.

León dostrzegł ich pierwszy. Ręką dał Jebowi i Jennie znak, by przypadli do ziemi.

– Co jest? – zapytał Jeb.

– Ciiiiii... – León położył palec na ustach. – Ktoś idzie w naszym kierunku – wyszeptał.

– Ktoś? Nie słyszę żadnego odgłosu. To ludzie?

– Nie mogę dokładnie rozpoznać. Jest ich kilkoro, rozmawiają ze sobą. Nie rozumiem ani słowa, ale brzmią jak ludzie.

Gdy Jeb chciał podnieść głowę, León nerwowo syknął.

– Nie wiemy, czy to ci, których szukamy. Niech podejną bliżej, żebyśmy zobaczyli, czy nie są dla nas zagrożeniem.

Jeb miał ochotę podskoczyć do góry i przywitać tych ludzi, ale wiedział, że León ma rację: to mogli być wrogowie. W końcu do tej pory nie widzieli tych, którzy ich ścigali i na nich polowali. Nie wiadomo, jak wyglądają. Odwrócił głowę do Jenny. Sprawiała wrażenie czujnej, ale niewystraszonej. Ku jego zaskoczeniu wyciągnęła rękę i ścisnęła mu dłoń. Łagodnie odwzajemnił uścisk. Ten uśmiech wydawał mu się taki... a potem poczuł w sobie ciepło, stał się ufny, jakby nic nie mogło mu się stać, dopóki ona się uśmiechała.

Zwrócił się do Leóna.

– A teraz? Widzisz ich?

– Tak – szepnął wytatuowany chłopak. – Jest ich troje. Mówiłeś, że ma być czwórka? Dwie dziewczyny i jeden chłopak. Szczerze mówiąc, wyglądają na tak samo zagubionych jak my, a poza tym mają podobne ubrania i plecaki.

– Wstajemy.

Jakieś dziesięć metrów przed przybyłymi cała trójka wynurzyła się z trawy. Tamci cofnęli się przestraszeni.

Jeb podniósł rękę.

– Nie bójcie się, nic wam nie zrobimy.

Ale jego słowa nie pomogły, obcy zrobili jeszcze kilka kroków do tyłu.

– Ludzie, wszystko w porządku – powiedziała Jenna łagodnym tonem.

– Kim jesteście? – odważył się zapytać wyglądający na Azjatę chłopak. – I dlaczego jeden z was jest tak strasznie pomalowany? – Wskazał ręką Leóna.

Jeb popatrzył na swojego towarzysza. Szeroki uśmiech Leóna sprawił, że

wyglądał jeszcze groźniej.

– To jest León. Ma tatuaże. Ja mam na imię Jeb. A obok mnie jest Jenna. Prawdopodobnie wicie równie mało jak my, co to wszystko ma znaczyć. Ja wiem troszkę więcej i opowiem wam o tym, a także, skąd to wiem. Teraz jednak musimy iść dalej, bo jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ścigają nas.

– Kto? – zapytała rudowłosa dziewczyna.

Jeb przyjrzał się jej dokładnie. Była bez wątpienia ładna. Stała z zaciśniętymi ustami. Wyglądała jak ktoś, kto jest nieustannie rozgniewany.

– Obiecuję, że wyjaśnię wszystko, gdy tylko znajdziemy względnie bezpieczne miejsce. Tu jest dla nas niebezpiecznie, uwierzcie mi.

– A co z czwartym? – rzucił León. – Mówiłeś, że oprócz nas jest jeszcze czwórka.

– Nie mam pojęcia, co się stało. – Jeb zwrócił się do chłopaka z drugiej grupy. – Widzieliście kogoś po drodze?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie. Mam na imię Tian. To jest Mary, a...

– Dziękuję, umiem mówić. – Dziewczyna zrobiła krok w stronę Jeba i jego towarzyszy i odrzuciła włosy na plecy. – Jestem Kathy. Dlaczego myślicie, że jest ktoś jeszcze oprócz nas? – zapytała podejrzliwie.

– Powiem wam później.

– Skąd się tu wzięliście? Kto nas ściga, mów! Skąd są te plecaki?

Nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Chcę to wiedzieć teraz! – Kathy zmusiła wszystkich do posłuchu.

Jeb spojrzał na nią. Dziewczyna niewzruszenie odpowiedziała mu spojrzeniem zielonych oczu, z których leciały iskry. Jeb czuł, że może przysporzyć im kłopotów.

– Musimy iść dalej. Natychmiast – powiedział spokojnie. – Idziecie z nami?

– A dokąd? – zapytał Tian, któremu wyraźnie by ulżyło, gdyby mógł oddać komuś przywództwo w swojej grupie.

– Do lasu. Tam możemy rozpaść ogień dla ochrony.

Spojrzał na Leóna, żeby zobaczyć, czy ma coś przeciwko, ale wytatuowany chłopak gapił się w milczeniu na równinę.

– Dobrze, jeśli pozostali się zgadzają. – Tian patrzył na Kathy i Mary, które zgodnie kiwały głowami.

Wiatr się wzmógł. Silne powiewy targały włosami dziewcząt. Jeb maszerował pierwszy, ale wkrótce przeniósł się na koniec grupy. Potrzebował trochę czasu, żeby przyrzeć się wszystkim po kolei.

Mary sprawiała wrażenie kogoś, kto właśnie obudził się z długiego snu

i miał kłopot z odnalezieniem się w nowym miejscu. Jenna, z jej jasnymi włosami i łagodnym uśmiechem, przypominała anioła. A Kathy? Wyglądała, jakby siłą woli chciała ujarzmić burzę. Wydawało się, że nawykła do podporządkowywania wszystkiego i wszystkich swoim zachciankom.

Jeb pokręcił głową i odgarnął z twarzy pasmo włosów. A ten nowy chłopak, Tian? Wydawał się przyjazny i dobronurzy, ale miał w sobie coś, co niepokoiło Jeba. Coś wyprowadzającego z równowagi, choć nie potrafił dokładnie tego określić. To tylko przecucie, że za jego twarzą kryły się rzeczy niewidoczne na pierwszy rzut oka.

No i był jeszcze León.

„Potworny chłopak”, jak go w duchu nazywał. Jego wygląd budził strach, a on sprawiał wrażenie zdecydowanego i wytrwałego. León szybko dał wszystkim jasno do zrozumienia, że własne interesy stawia ponad interesami grupy. Żeby przetrwać, gotów był być bezwzględny, dosłownie iść po trupach.

„Co ja mam z tobą zrobić? – pytał w myślach Leona. – Mamy szansę tylko wtedy, gdy będziemy trzymać się razem. Ale ty, jeśli przyjdzie co do czego, pójdiesz własną drogą, bez nas”.

Na kartce było napisane więcej, niż Jeb zdradził Jennie. Wkrótce będzie się musiał podzielić tymi informacjami z resztą. Wtedy wyklaruje się wiele spraw.

„Jak zareagują, gdy dowiedzą się, że jedno z nas jest skazane na śmierć? Czy mi w ogóle uwierzą? A w co wierzę ja sam?”.

Jeszcze raz spojrzął na grupę. Zatrzymał wzrok na Leónie, który podejrzliwie patrzył na niego przez ramię.

„A co zrobisz ty?” – zadał pytanie sam sobie.

Gdy zapadał zmierzch, zupełnie przemoczeni i osłabieni dotarli do lasu. Nawałnica znów się rozpętała, na otwartej przestrzeni byli bez ochrony, wydani na pastwę burzy i deszczu. Ich ubrania nasiąkły wilgocią, byli przemoczeni. Dopiero drzewa trochę ochroniły ich od deszczu. Wyczerpana i drżąca z powodu nadciągającego zimna szóstka młodych ludzi przebijała się przez gęste poszycie lasu. Potężne pnie drzew wznosiły się po lewej i prawej stronie, niektóre krzaki sięgały im do ramion. Wysokie paprocie zagradzały drogę, którą Jeb i León odślaniali kijami. Jeb niestrudzenie poganiał grupę.

– Głębiej w las – mówił. – Musimy wejść głębiej w las. Szukajcie drzew o rozłożystych gałęziach, pod nimi tak nie zmokniemy i może znajdziemy trochę suchego drewna. Wtedy będziemy mogli rozpalić ogień i się rozgrzać.

W milczeniu maszerowali za nim. Nawet León i Kathy nie sprzeciwiali się, tylko oddali prowadzenie Jebowi. Tu i teraz to on był przywódcą, ale wiedział, że to się zmieni.

Głęboko w lesie deszcz nie był tak rześisty, za to tym cięższe były krople wody, gdy spadały z wielkich drzew. Włosy i kołnierze mieli przemoczone. Dobrze, że przynajmniej ich buty nie przemakały. Szybko marzli.

Było coraz ciemniej. Musieli mrużyć oczy, żeby widzieć wąską ścieżkę, którą przebijali się przez las. Powietrze było ciężkie i duszne, słodkawo pachniało gnijącymi liśćmi. To nie był nieprzyjemny zapach, ale kładł się na ich twarzach jak wilgotna chusta. Nie było słychać innych dźwięków oprócz kroków po poszyciu, szelestu liści pod stopami i trzaskania zbutwiałych gałązek, na które następowali. Wydawało się niemal, że w tym lesie pełnym dzikiej roślinności nie istnieje poza nimi jakieś życie. A jednak, inaczej niż na rozległej równinie dookoła, było tu mnóstwo życia, ale milczącego.

W końcu Jeb zatrzymał się. Wskazał olbrzymie drzewo, przez koronę którego przebijały się strzępy mgły. Mocne, sękaty konary tworzyły dach, pod którym było naprawdę sucho. Wystarczyło miejsca dla wszystkich. Wyczerpani opadli na miękkie igły pod drzewem. Nikt nie odłożył plecaka, najpierw musieli złapać oddech.

Pierwszy przemówił Jeb.

– Musimy rozpalić ognisko, wysuszyć rzeczy, bo inaczej będziemy marznąć całą noc.

– Pada – szyderczo stwierdziła Kathy. – Gdzie chcesz tu znaleźć suche

drewno na ognisko?

Jeb rozzłościł się na Kathy, ale opanował się i spokojnie odpowiedział:

– Rozejrzyjcie się. Tak stare drzewo traci wiele drewna. Gałęzie, które łamie wiatr, szyszki, suche igły. Na pewno jest tu coś, co możemy spalić. Wdrapię się na górę i spróbuję nałamać suchych gałęzi.

– A jak chcesz potem, łaskawco, rozpalić ogień? Nie mamy nic, żeby rozpalić to drewno. – Kathy oparła ręce na biodrach.

– Owszem, mamy. – Jeb zdjął z ramion plecak. Otworzył jedną z bocznych kieszeni i wyciągnął coś metalowego, co w słabym świetle dziwnie błyszczało. – Spójrzcie, mam zapalniczkę.

Wszyscy gapili się na metalowy przedmiot i go rozpoznawali. Zapalniczka. Wiedzieli, co to jest i jak działa.

Tian wstał pierwszy. Jego włosy pod kapturem w dużej mierze pozostały suche, tylko niebieskie pasemko połyskiwało wilgocią w świetle zmierzchu. Starannie odłożył plecak na ziemię, po czym zaczął podnosić gałązki i suche szyszki i składać na małą kupkę. León obserwował go przez chwilę, a potem mu pomógł.

Jenna też wstała, rozejrzała się i w końcu ułamała z sąsiedniego drzewa nisko wiszącą gałąź z gęstymi liśćmi. Jeb patrzył na nią zdziwiony, gdy zamiatała nią ziemię pod drzewem i w ten sposób oczyściła ją z kawałków drewna i kamieni. Z uznaniem skinął do niej głową i ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Nie było jeszcze całkiem dobrze, ale już coraz lepiej. Jeb chwycił grubą gałąź i podciągnął się do góry. Chociaż i on był zmęczony, wspinanie się nie sprawiało mu trudności. Musiał to robić już wcześniej, ponieważ zręczność, z jaką wdrapywał się na to wielkie drzewo, wydawała się wynikać z doświadczenia. Po drodze obłamywał gałęzie i zrzucał je na dół, ostrzegając innych wołaniem. Tak jak przypuszczał, na starym drzewie było sporo suchego drewna. Będą mogli rozpalić porządne ognisko, a muszą to zrobić, jeśli chcą przetrwać noc. Już od wielu godzin nie słyhać było żadnych krzyków ani nawoływań, ale Jeb był pewny, że ono albo oni nadal się czają. Słońce już zaszło i nie wiedział, co się potem stanie.

Wtedy też przyszło mu do głowy, że wciąż są tylko w szóstkę, nie w siódmkę, jak było napisane w przesłaniu. Czyżby jedno z nich już padło ofiarą tych, którzy ich ścigali? Ale to by oznaczało, że te istoty, myśliwi, czy jak ich zwać, nie oszczędzą ich tej nocy. Na tę myśl zrobiło mu się prawie niedobrze, więc spróbował jak najszybciej ją przegnać. Teraz musieli rozpalić ogień.

– Jeb, mamy dość drewna. Możesz zejść – dotarł do niego z dołu głos Tiana i uwolnił go od przygnębiających myśli.

– Dobra! – zawołał i zaczął schodzić.

Na ziemi zobaczył, że Tian i León część drewna ułożyli w kręgu z dużych kamieni, a resztę gałęzi w stos trochę z boku. Miękkie poszycie lasu, dzięki pracy Jenny, sprawiało wrażenie suchego i czystego. Kathy i Mary rozpakowały swoje plecaki. Znalezione w nich śpiwory leżały rozłożone przed nimi, a na nich posortowane przedmioty, które znalazły w bocznych kieszeniach. Kathy w skupieniu żuła kawałek suszonego mięsa, Mary zaś pustym wzrokiem gapiała się przed siebie.

Jeb ze zdziwieniem pokręcił głową, westchnął w duchu i podszedł do chłopaków. Wyciągnął w ich stronę zapalniczkę.

– Zechce któryś z was podpalić?

Tian pokręcił głową.

– Ty to zrób – powiedział León. – Wygląda na to, że masz pojęcie o rozpalaniu ognia.

Udało się od razu. Płomień objął najpierw suche igły i uschnięte gałązki. Wkrótce języki ognia sięgnęły po jodłowe szyszki i większe gałęzie i zapłonęło jasne, trzaskające ognisko.

Kathy i Jenna podeszły bliżej. Wyciągając dłonie do ciepła, stały przed ogniskiem. Mary została na swoim miejscu.

„Co z nią jest?” – zadawał sobie pytanie Jeb.

Trącił Tiana i skinął głową w kierunku Mary. Azjata wzruszył ramionami, potem poszedł do ciemnowłosej dziewczyny i po cichu ją zagadnął.

W końcu Mary wstała i przyszła z Tianem do reszty.

Zrobiło się naprawdę ciepło. Jeb zdjął kurtkę i powiesił na giętkiej gałęzi. León i Tian zrobili to samo, dziewczyny się nie rozbierały.

Sześcioro wyczerpanych i zmęczonych młodych ludzi patrzyło w ogień, gdy nagle nocną ciszę rozdarł trzask gałązki za ich plecami.

Wszyscy drgnęli przestraszeni i wsłuchiwali się w noc. Cisza.

Co – albo kto – spowodował ten dźwięk?

– Czy to było zwierzę? – szepnęła Kathy ledwie dosłyszalnie, ale nikt nie odpowiedział.

Wszyscy patrzyli w ciemność, z której dobiegł trzask.

Dźwięk się powtórzył.

Szeleściły liście. Złamało się jeszcze więcej gałązek. Teraz wyraźnie słyszeć było ciężkie kroki.

Dziewczyny popatrzyły po sobie złęknięte, przytuliły się. W pięści Leóna,

jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, błysnął nóż. Chłopak lekko się pochylił z głową wciśniętą w ramiona i wysunął brodę do przodu; sprawiał wrażenie zdecydowanego i gotowego do walki. Natomiast Tian podszedł bliżej ognia, jakby światło i ciepło mogły go ochronić.

Znów coś trzasnęło w ściółce. Słysząc było ciche sapanie.

Jeb obrócił się, wyjął z ognia płonącą gałąź i wyciągnął jak miecz w kierunku, z którego dobiegały odgłosy.

Coś do nich podchodziło.

Szybko.

Ciężkimi krokami.

Za chwilę się pojawi.

Cień wbiegł na małą polanę pod wielkim drzewem i padł na ziemię jak wór. Mary krzyknęła. Tak jak inni siedziała skulona przy ogniu, gotowa do ucieczki. Tylko León jednym susem wyskoczył do przodu. Jego ruchy były tak szybkie, że prawie niezauważalne. Błysnęło ostrze, ruszyło w dół... i nagle León się zatrzymał.

– To jeden z nas – powiedział spokojnie i odsunął się na bok, by wszyscy mogli zobaczyć.

Rzeczywiście, przed nimi, chwytając powietrze, leżał zgięty wpół nieznajomy. Krótkie jasne włosy przykleiły mu się do głowy. Pod sportową kurtką pospiesznie unosiła się i opadała klatka piersiowa. Ciężki oddech wypełniał ciszę.

Jeb wrzucił płonąca gałąź z powrotem do ognia i podszedł bliżej. Wyglądało na to, że nieznajomy nie może się ruszyć. Jeb widział, że powieki mu drżą i dygocze na całym ciele. Nagle ledwie słyszalnie wychrypiał:

– Wody.

Jeb natychmiast poszedł do swojego plecaka i wyciągnął butelkę. Ukląkł obok chłopaka, podparł ręką jego kark, kiedy ten chciwie pił wodę. Choć płyn spływał mu po brodzie, pił, dopóki nie opróżnił butelki. Jeb westchnął w milczeniu. Sam wyznaczał sobie żelazne racje wody i dotąd prawie nic nie wypił.

Chłopak obrócił się na plecy, odchylił głowę i spojrzał na niego. W słabym świetle migotliwego ognia jego niewiarygodnie niebieskie oczy błyszcząły jasno i przejrzysto jak górskie jeziora.

León schował nóż i z zainteresowaniem patrzył na chłopaka.

– Dziękuję – szepnął przybysz. – Biegnę już całą wieczność. Na imię mam Misza.

„Dziwne imię – pomyślał Jeb. – Brzmi obco”.

– Ja jestem Jeb, to jest León. Skąd jesteś? Dlaczego tak biegłeś?

– Zaatakowali mnie. – Chłopak wskazał swoje lewe ramię, które wisiało nieruchomo. Było oczywiste, że każdy ruch kosztował go nieskończenie wiele siły. – Nie wiem, kto czy co, po prostu stamtąd uciekałem. Byli cały czas za mną. Właściwie nie miałem żadnej szansy. Myślałem, że tutaj w lesie mogą ich przynajmniej zmylić. Potem zobaczyłem ognisko. – Zamilkł wyczerpany.

– Czy ci, którzy cię gonili, wciąż jeszcze biegają za tobą?

– Nie wiem, może zgubili mój ślad. Przez cały czas wydawali straszne krzyki i skrzeki. – Misza westchnął. Odwrócił głowę i spojrzał na innych, którzy siedzieli wokół ognia. – Pomóż mi wstać.

Jeb wsunął mu rękę pod plecy, potem podciągnął go i postawił na nogi. Lewe ramię Miszy bezwładnie zwisało.

– Co z twoim ramieniem? – odważyła się zapytać Jenna.

– Gdy ta bestia mnie dotknęła, od razu straciłem w nim czucie. Ale poczekaj... – Podszedł do ognia i przez chwilę trzymał rękę nad płomieniami.

– Zobaczcie, znów mogę poruszać palcami.

Pospiesznie zdierał z siebie trochę postrzępioną kurtkę i koszulę. Teraz trzymał nagie ramię nad ogniem i podtrzymywał je drugą ręką.

– Czuję się tak, jakby tajało. Cholera, a już myślałem, że muszę się z nim pożegnać!

Mary i Jenna patrzyły wstrząśnięte. Kathy znów położyła się na swoim śpiworze. Tian pierwszy odzyskał mowę.

– Ale kto ci to zrobił? I dlaczego? Dlaczego w ogóle cię ścigali? A nie nas? Jeb, kto nas ściga?

Misza wzruszył ramionami. Stał i ostrożnie poruszał palcami w świetle ognia.

– Uważaj, jeszcze się poparzysz. – Jeb podszedł do chłopaka i ostrożnie odciągnął go od ognia. – Jak wszyscy tutaj, też masz z pewnością wiele pytań. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Tylko najpierw jeszcze rozdzielmy prowiant. Plecak Leóna, niestety, zniknął, a to znaczy, że musimy się podzielić naszymi racjami żywnościowymi.

– Podzielić?! – fuknęła Kathy. – Powinien był bardziej uważać. Teraz mam go żywić? Chyba umrę ze śmiechu. Jesteśmy tu na miłej wycieczce czy co?

León spojrzał na nią zimno.

– Nie martw się, księżniczko, chętnie zrezygnuję ze wspaniałomyślności waszej wysokości.

Jeb patrzył na ogień i spokojnie mówił dalej:

– Podzielimy nasze racje żywnościowe, i tyle! Tylko razem możemy tu przeżyć. Każdy wnosi inne zdolności, które prawdopodobnie pomogą nam to przetrwać. Na szczęście Leónowi udało się uratować nóż, który był w jego rzeczach. Ja mam zapalniczkę. Musimy wiedzieć, co mamy do dyspozycji i czego możemy użyć, żeby przeżyć.

León rzucił mu dziwne spojrzenie. Jeb nie wiedział, czy rozzłościł się z tego powodu, że wspomniał o nożu, czy po prostu nie lubił, gdy ktoś wydawał mu dyspozycje. Ale to było obojętne. Jeb usiadł na ziemi w pobliżu

ognia i przyciągnął swój plecak. Miał chleb i suszone mięso. I dziwne tabletki.

Obok niego usiadła Jenna, reszta znów usadowiła się wokół ogniska. Tian dał Leónowi kawałek chleba, co ten niechętnie zaakceptował. Wszyscy zaczęli jeść. Jeb oderwał kawałek chleba. Był kwaskowy, ale dobry. Potem wgrzyzł się w suszone mięso i zaczął je żuć.

Jenna bez słowa podała mu swoją butelkę z wodą.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i upił duży łyk. Woda podziałała dobroczynnie na jego wysuszone gardło.

– Dziękuję. Chleba wystarczy nam ledwie na jeden dzień, a jeśli będziemy go racjonować, może na dwa.

– Wiesz, do czego to służy? – Jenna wskazała tabletki.

Jeb chciał zaprzeczyć, ale Misza, który usiadł po drugiej stronie Jenny, uprzedził go. Ostrożnie poruszał ramieniem.

– Podejrzewam, że to środki przeciwbólowe albo coś przeciwko gorączce i zapaleniom. Wziąłem jedną z mojego plecaka. Już pomogła. – Uśmiechnął się z ulgą. – Dzięki niej i ciepłu ogniska moje ramię jest prawie zdrowe, tylko jeszcze trochę sztywne, ale to przejdzie.

Gdy zjedli, dokładniej przyjrzeni się różnym elementom wyposażenia. Jenna znalazła długą linę. Tian także. W bocznej kieszeni Miszy tkwiła kolejna zapalniczka. W plecaku Mary znaleźli materiały opatrunkowe. Nóż Leóna okazał się jedyny. I to wszystko.

Większość zapasów już zjedli, wszyscy mieli takie same racje.

– Dość mikre zdobycze – przerwał ciszę Tian. – Jeśli to wszystko, co mamy, nie wygląda to dla nas za dobrze.

– Jestem innego zdania – szybko powiedział Jeb, zanim zapanował kiepski nastrój. – Mamy wszystko, czego potrzebujemy, by przeżyć. Ogień, jedzenie i nóż, którym możemy zrobić broń i narzędzia. Musimy tylko mądrze używać tych rzeczy.

– To wszystko pięknie i dobrze. Ale brakuje nam przede wszystkim jakiegokolwiek pojęcia, co tu robimy i co to wszystko ma znaczyć – wtrącił się León. – Opowiadaj już, bo na razie wiemy, że nasze szanse są niewielkie. Nie ma ani jednego powodu, żeby jeszcze dłużej przemilczać przed nami, dlaczego tu wylądowaliśmy. Dostatecznie długo utrzymywałeś nas w nieświadomości.

Wszyscy oprócz Jenny popatrzyli na Jeba, wyraźnie zaskoczeni.

– Ty wiesz, dlaczego tu jesteśmy? – Misza parsknął.

Jeb skinął głową.

– Dlaczego? Dlaczego ty?

– Nie mam pojęcia. Proszę, pozwólcie mi mówić, nawet jeśli to, co zaraz usłyszycie, jest niewiarygodne. Zadacie pytania później, odpowiem na nie najlepiej, jak potrafię.

Rozłożył kartkę z przesłaniem. Teraz uwaga wszystkich skupiła się na nim.

Jeb popatrzył na zebranych, odetchnął głęboko i zaczął cicho opowiadać. Chłopcy i dziewczyny nie odrywali od niego wzroku. Jego historia nie różniła się specjalnie od przeżyć pozostałych, z wyjątkiem przesłania, które znalazł w swoim plecaku.

– Tu jest napisane, że musimy wrócić. I że jest tylko jedna droga powrotu do własnego życia. – Dalej czytał: – „Jeśli chcesz wrócić do domu, musisz przejść przez ten i wszystkie inne światy. Czeka na ciebie wiele sprawdzianów, ale nie będziesz sam. Idź w stronę słońca, wiele godzin stąd. Na rozległej równinie znajdziesz innych. Ludzi, którzy tak samo jak ty są uwięzieni w labiryncie”.

Wypowiadając słowo „labirynt”, Jeb podniósł wzrok. Na twarzach wszystkich obecnych malowało się przerażenie. Cała grupa była niespokojna, każdy na swój sposób próbował oswoić się z tymi niewiarygodnymi słowami. Nim zaczęli zadawać pytania, podjął dalszą opowieść.

– Poczekajcie, jest dalszy ciąg. Ten labirynt składa się z sześciu światów. Ten tutaj jest pierwszy i jest pierwszym z sześciu sprawdzianów. Tu jest napisane: „W każdym świecie są bramy, portale, które przeniosą was do następnych światów, na końcu drogi jest wolność. Ten, kto przejedzie przez wszystkie światy, wygra nagrodę życia”.

Jeb zwlekał, spoglądając na pozostałych. Tym razem nikt mu nie przerywał. Starał się opanować. Następną informację musiał ogłosić z całkowitym spokojem.

– „Gdy znajdziecie wszystkich ludzi, o północy na niebie pojawi się gwiazda, która wskaże wam drogę do bram. Macie trzy dni, siedemdziesiąt dwie godziny, żeby do nich dotrzeć. Jeśli nie uda wam się przekroczyć bram, znikną, i pozostaniecie na wieczność uwięzieni w tym świecie”.

W ognisku trzasnęła gałąź. Jeb na moment zamknął oczy, potem mówił dalej.

– Ale jest jeszcze gorzej.

Kathy odchrząknęła.

– No, mów wreszcie.

– „Strzeżcie się waszych lęków. Przegania je ciepłe światło, więc tylko moc słońca i ciepło ognia mogą was ochronić przed myśliwymi. Ten, kogo pokonają jego lęki, pozostanie tutaj. Jesteście siedmioma poszukiwaczami, ale

do następnego świata jest tylko sześć bram. Tak będzie w każdym ze światów, zawsze będziecie znajdować o jedną bramę mniej niż liczba poszukujących. Jedno z was będzie zawsze zostawać, jedno z was będzie samotną ofiarą swoich lęków. Jeśli ktoś chce żyć, musi walczyć. Z innymi, z samym sobą. Na końcu pozostanie tylko jedno z was. Ponieważ jesteście w labiryncie. Ponieważ jesteście straceni”. – Jeb podniósł wzrok. Wpatrywało się w niego sześć par oczu. – Nie mogłem w to uwierzyć, ale wiedziałem jedno: jeśli naprawdę znajdę sześcioro ludzi, to podane tu informacje są prawdziwe.

– I znalazłeś nas – powiedziała cicho Jenna.

Reszta milczała. W końcu León zabrał głos.

– Nie wierzę w całe to gównno. Przesłanie. Od kogo jest ta zasrana informacja? Bramy. Światy. Nagroda życia... To wszystko brzmi jak w jakiejś dość durnej historyjce przygodowej, gdyby ktoś pytał. Takiej, którą się dzieciom napędza stracha. – Skrzywił się, udając strach. – Uuuuuch, jak się boję! – Pokręcił głową. – To wszystko bzdura.

– A co powiesz na to, że Jeb nas znalazł, że jest nas sześcioro, dokładnie tak, jak napisano? – uszczypliwie zapytała Jenna. Wyrwała Jebowi kartkę z ręki, rzuciła na nią okiem i podstawiła Leónowi pod nos. – Masz! Sam przeczytaj! Tak jest napisane. Czarno na białym.

León odsunął się i odepchnął rękę Jenny.

– To nic nie znaczy. Każdy mógł napisać tę kartkę. Nawet sam Jeb.

Jenna znieruchomiała. Mierzyła Leona wzrokiem.

– Dlaczego nie czytasz?

– Nie mów mi, co mam robić. Albo w co mam wierzyć. Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

– Ach tak? A obrażenia Miszy? Te... potwory, które go ścigały?

– Może po obudzeniu był jeszcze tak oszołomiony, że robił w majtki ze strachu przed własnym cieniem, a potem się potknął. Abstrahując od tego: nie widzieliśmy swoich prześladowców, słyszeliśmy tylko krzyki, które mogły być głosami jakichś zwierząt.

– Ja ich widziałem – wtrącił się Misza.

León odwrócił się do niego. Uśmiechał się pogardliwie.

– Przedtem mówiłeś co innego. Poza tym, od razu uciekłeś, więc skąd możesz wiedzieć, co cię zaatakowało? Równie dobrze mógł to być wilk albo niedźwiedź.

– Miałem stać i patrzeć, co mnie atakuje? Omal nie straciłem ręki tylko dlatego, że to coś mnie dotknęło!

– Tak czy inaczej, ja nie narobiłbym od razu w spodnie tylko dlatego, że

ujada kilka dzikich psów, a ty potykasz się o króliczą norę.

Misza zerwał się na równe nogi. León również błyskawicznie wstał, ale jasnowłosy chłopak zdrową ręką już trzymał go za kołnierz.

– I co? Gdzie jest teraz twoja wielka jadaczka? – syknął Misza.

León zimno się uśmiechał. Zrobił lekki ruch głową w kierunku swojej prawej ręki. Ostrze noża wisiało przed szyją Miszy.

– Jedynym, który ma wielką jadaczkę, jesteś ty sam. Ja bym próbował to coś zabić. Przecież to może krwawić. A jeśli krwawi, to można je zabić.

– Nie miałem noża.

– Puść mnie, mały.

– Najpierw zabierz swój zasrany nóż!

León jednym ruchem zamknął ostrze. Potem odwrócił się i usiadł na swojej kurtce.

– Czy już wszyscy się uspokoili? – zapytał Jeb.

Zapadła cisza. Nikt nie odpowiedział.

– Jaki masz problem? – zwrócił się Jeb do Leóna.

– Wszystko, ta cała bajeczka, którą nam opowiadasz, ta śmieszna kartka to nic innego, jak jedna wielka ściema.

– Masz jakieś wytłumaczenie tego, co się stało?

– Nie.

– Wszyscy przecież czujemy, że coś tu jest nie tak. Że nie jesteśmy stąd, że jesteśmy zdani na pastwę tego... miejsca. Ja miałem chyba do niedawna życie, w którym prawdopodobnie jeździłem motocyklem. I to na pewno nie było tutaj.

– To nie znaczy, że uwierzę w pierwszą lepszą mrozącą krew w żyłach bujdy – odparł León.

– Zobaczymy, czy o północy wzejdzie gwiazda, o której jest mowa na kartce – wtrąciła się Kathy. Kołysała w rękę wyświechtaną kartkę papieru, która tymczasem obiegała zebranych. – To wszystko brzmi oczywiście wyjątkowo głupkowato, ale gwiazda byłaby dowodem, że wszystko, co powiedział Jeb, się zgadza, prawda?

– Ja na tym zasranym kawałku papieru ledwie mogę coś odcyfrować – burknął Tian.

– Ja tak samo – przyznał Misza. – Blade litery, w których jest niewiele sensu.

Kathy pokręciła głową.

– Musicie tylko odpowiednio patrzeć, osły. Wszystko jest napisane jasno i wyraźnie. O północy pojawi się gwiazda...

– Przecież jesteśmy w środku lasu. Jak chcesz zobaczyć tu niebo? – przerwał jej Tian. – A poza tym, co z tego wynika, że zobaczysz gwiazdę na niebie? Zupełnie nic!

Kathy odwróciła się do niego:

– Masz lepszy pomysł?

– Spokój – cicho, ale stanowczo, powiedział Jeb. – Przestańcie się kłócić. Naprawdę mamy inne problemy. – Spojrzał na Leóna. – Uważam, że pomysł Kathy jest dobry. Czy ktoś ma jakiś inny? Gdzie mamy iść? Co mamy robić?

– Możemy spróbować odnaleźć innych ludzi, może ktoś nam pomoże – powiedział Misza.

– Nie wydaje mi się, żeby tu żyli ludzie, a nawet jeśli tak, znajdziemy ich wcześniej czy później. Ale kto wie, czy będą do nas przyjaźnie nastawieni. Zatem jeszcze raz, czy ktoś ma inną propozycję?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Więc możemy równie dobrze pójść za gwiazdą i sprawdzić, czy te bramy istnieją. Jeśli tam będą, będziemy wiedzieli, że znamy prawdę. Jeśli ich nie będzie, to siedzimy głęboko w szambie.

Tian się roześmiał.

– Głęboko w szambie? O, ludzie, tak czy owak siedzimy po szyję w szambie, jeśli to prawda, co mówi Jeb. Uświadomiliście sobie, co to znaczy, jeśli wszystko się zgadza?

– Przed chwilą jeszcze mówiłeś, że mu nie wierzysz – przypomniała Kathy.

– Bo tak jest, ale gdyby to wszystko było prawdą, to chodzi o nasze życie. – Zwrócił się do Jeba. – Jak to było z tymi bramami? Mamy o nie walczyć? Sześć światów, i za każdym razem o jedną bramę mniej? Tylko jeden przeżyje? Człowieku, jeśli to jest prawda, to mamy ponure perspektywy. – Milczał przez chwilę. – To po prostu nie może być prawda. Nie wiem, jak wy się z tym czujecie, ale to znacznie przekracza moją wyobraźnię.

Panowała pełna konsternacji cisza, kilka osób kiwało głowami.

León założył ręce na piersi.

– Czy to wszystko, co masz nam do powiedzenia? – zwrócił się do Jeba. – Skąd mamy wiedzieć, że nie wyczarujesz nagle jeszcze jakiejś wiadomości?

„Patrzcie no – pomyślał Jeb. – Chociaż mi nie wierz, chce mieć pewność, że ma wszystkie informacje, których potrzebuje, żeby przeżyć”.

– To wszystko, co wiem.

W grupie zapadła cisza. Wszyscy byli oszołomieni, przestraszeni i wyczerpani. Musieli odpocząć. Za parę godzin powinna wzejść gwiazda, potem będą mieli siedemdziesiąt dwie godziny, żeby dotrzeć do bram. Nikt

nie wiedział, jak są daleko i jak męcząca jest droga do celu. Poza tym coś na nich polowało – przesłanie, obecność pozostałej szóstki i stan Miszy, gdy wpadł na polankę, były dla Jeba dostatecznym dowodem. Wiedział, że muszą zebrać wszystkie siły, które jeszcze mają.

– Myślę, że powinniśmy spróbować się przespać. W nocy wdrapię się na drzewo i poszukam tej gwiazdy.

– Spać? Naprawdę myślisz, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, ktoś mógłby spać?! – zawołała Kathy.

– Musimy odpocząć, jutro czeka nas męczący dzień. Na szczęście mamy ogień. Jeśli wierzyć przesłaniu, oni nas tu nie dopadną. Powinniśmy być zatem bezpieczni, jeśli nie będziemy się zbytnio oddalać od ognia. Poza tym już od paru godzin nie słyszeliśmy żadnych krzyków ani wycia. To, co na nas poluje, prawdopodobnie w deszczu zgubiło ślad.

– „Prawdopodobnie” to trochę za mało – wtrącił Misza, który już wśliznął się do swego śpiwora.

– Będę trzymał straż, dopóki nie zobaczę gwiazdy – powiedział Jeb. – Potem zbudzę jedno z was, żeby mnie zmieniło. Dobrze, że przynajmniej deszcz ustaje. Mam nadzieję, że niebo się przetrze i w ogóle cokolwiek zobaczę.

– Bardzo optymistycznie. – León przykrył się swoją kurtką, jako prowizoryczną ochroną przed chłodnym nocnym powietrzem.

„Mam inny wybór?” – pomyślał Jeb.

Jenna wstała. Poszła do swojego śpiwora i przygotowała sobie legowisko. Plecak wsunęła pod kark jak poduszkę.

Tian, Mary i Kathy z wahaniem zrobili to co ona. Każde było pogrążone w swoich myślach. Wydawało się, że zastanawiają się nad tym, co usłyszeli, i próbują znaleźć jakieś przekonujące wytłumaczenie.

Tian położył się w pobliżu Miszy. Mary trochę przysunęła się do Jenny. León leżał nieco z dala od wszystkich. Kathy pozostała niedaleko Jeba, który przysunął swój śpiwór bliżej ogniska i w milczeniu wpatrywał się w płomienie. Chwilę to trwało, ale potem szelesty się skończyły, a oddechy młodych ludzi stały się spokojniejsze.

Jeb siedział w kucki na swoim śpiworze i pogrążony w myślach zadawał sobie pytanie, co przyniesie im jutrzejszy dzień. Czuł przy tym, że Kathy go obserwuje – jej zielone oczy lśniły w świetle ogniska. Jeb poczuł dreszcz na plecach.

Wiedział, że musi objąć przywództwo, żeby stworzyć z nich grupę, która będzie wzajemnie się wspierała. Potrzebowali siebie nawzajem, to było dla

niego oczywiste. Pozostali jeszcze nie zrozumieli, że tu, w tym lesie, są dopiero na początku czegoś niepojętego i niebezpiecznego. Mieli przed sobą jeszcze długą drogę. Rozpad grupy oznaczałby śmierć ich wszystkich.

Jeb spojrział na pozostałych. Nie chciał być ich przywódcą. Ale to on był tym, który w tej chwili najlepiej panował nad sytuacją. Prawdopodobnie mógłby oddać dowodzenie Leónowi, który najlepiej się do tego nadawał, nawet jeśli istniało niebezpieczeństwo, że będzie chodził własnymi ścieżkami. We wszystkim, co mówił i robił, czuło się jego egoizm.

Ale również on potrzebował pozostałych, jeśli chciał przeżyć.

„Miejmy nadzieję, że to rozumie” – pomyślał Jeb.

Potem zastanawiał się nad Jenną. Byłaby idealna. Sprawiała wrażenie rozsądnej, nie denerwowała się w niebezpiecznych sytuacjach i troszczyła się o innych.

Przez chwilę przyglądał się reszcie grupy.

„Nie zaakceptują dziewczyny jako przywódczyni – uznał. – Zwłaszcza Kathy, chyba że sama obejmie przywództwo”.

O Miszy i Mary nic nie mógł powiedzieć, natomiast Tian robił na nim wrażenie osoby, która podporządkuje się najsilniejszemu członkowi grupy.

Kathy leżała owinięta śpiworem i obserwowała Jeba. Przesunęła rękę w dół i wymacała nóż w kieszeni spodni – to było kojące uczucie. Znalazła go w jednej z bocznych kieszeni swojego plecaka i oczywiście nawet nie pomyślała o tym, żeby zdradzić się ze swoim znaleziskiem. Prawdopodobnie by go jej zabrano i oddano jakiemuś chłopakowi. Nie, nie będzie bezbronna. Bez względu na to, co się jej przytrafi, będzie umiała się bronić.

„Jeb dobrze wygląda – pomyślała. – Duży i silny, o wyrazistych rysach twarzy. Być może nie zdradził nam wszystkiego, co wie”.

Powinna pozostać w pobliżu niego. Pokazać mu, że jest po jego stronie.

Kathy wierzyła w każde słowo, które powiedział. Nie, wierzyła to nie było właściwe słowo, ona czuła, że Jeb mówi prawdę. Musiała zyskać w nim sprzymierzeńca. A być może nawet kogoś więcej.

Zrobiło jej się gorąco. Powoli udało jej się uzyskać spokojny oddech. Przeżyje, bez względu na to, co się wydarzy.

„Jeśli te bramy istnieją, przejdę przez nie pierwsza, postanowiła. Potrzebuję tylko Jeba.

Zresztą, kto wie, może w tym zasranym świecie moglibyśmy jeszcze nieźle się zabawić?”.

Wpatrywała się w niego.

„Jesteś mój...”.

Jeb stracił poczucie czasu, ale miał już dość warty. Bezszelestnie wstał, by nie obudzić innych. W obozie panowała cisza, z lasu także nie dobiegał żaden szmer. Nie słychać było nawet leśnych ptaków. Panował niemal nienaturalny spokój.

Nagle poczuł, że ktoś stoi obok niego. Odwrócił się. To była Kathy, która pojawiła się tuż obok jak cień. Jej rude włosy były rozwichrzone, ale poza tym wyglądała tak, jakby w ogóle nie spała.

– Psiakrew! – syknął. – Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

– Przepraszam – szepnęła. Zrobiła nadąsaną minę. – Chciałam ci tylko pomóc, kiedy będziesz się wspinał na drzewo.

– W tym nie możesz mi pomóc.

– Owszem, mogę trzymać pochodnię i kawałek wejść razem z tobą, żeby oświetlić ci resztę wspinaczki.

To był faktycznie dobry pomysł.

Kathy podeszła bliżej. Łagodnie położyła wąską dłoń na jego ramieniu. Tam, gdzie go dotknęła, zaczęło rozchodzić się ciepło. Podeszła jeszcze o krok bliżej, tak że poczuł jej gibkie ciało u swego boku. Nieomal dotykała go biodrem. Zrobiło mu się gorąco. To było przyjemne, ale nie był to ani właściwy moment, ani odpowiednie miejsce na takie zachowanie. Jeb cofnął się o krok.

– Dobrze. Dziękuję za to, że chcesz mi pomóc.

Uśmiechała się uwodzicielsko.

– Lubię pomagać, jeśli mogę. W każdej sprawie.

„Co to ma znaczyć? Próbuje mnie podrywać?” – zdumiał się.

Nie, musiał się pomylić. Kathy prawdopodobnie naprawdę chciała tylko pomóc. Ale przecież to dziwne spojrzenie to nie pomyłka. Próbowwała mu spojrzeć głęboko w oczy, wciąż jeszcze trzymała dłoń na jego ramieniu i przesuwiała ją w górę po karku. Wargi Kathy, lekko rozchylone, uwodzicielsko połyskiwały w świetle ogniska. Dziewczyna pochyliła głowę i nie przestała mu się przyglądać spod przymkniętych powiek.

Te oczy... Jeb pokręcił głową. Uwolnił się od Kathy, podszedł do ognia i wyjął płonąca gałąź.

– Trzymaj ją na samym dole – powiedział cicho. – Wtedy się nie poparzysz.

– Ja się nigdy nie parzę – wyszeptała ledwie dosłyszalnie.

Stanęli obok siebie przy potężnym pniu drzewa. Jeb chwycił najniższą gałąź i podciągnął się do góry. Gdy znalazł oparcie, dał Kathy znak, żeby podała mu pochodnię i poszła za nim. Kathy zręcznie się wspięła.

– Dobrze – powiedział. – Teraz będę się wspinał wyżej. Ty ruszysz za mną i będziesz mi oświetlać drogę.

Szybko skinęła głową. Poszło lepiej, niż się spodziewał. Gdy tylko znajdował wyżej bezpieczne miejsce, dawał Kathy znak, by wchodziła za nim. Tak, prawie bez wysiłku, wspięli się do połowy olbrzymiego drzewa, potem dla Kathy było zbyt niebezpiecznie wspinać się z tylko jedną wolną ręką.

– Zostań tutaj i trzymaj pochodnię jak najwyżej – wyszeptał Jeb.

– Jasne.

Tu, na górze, gałęzie nie były tak gęste jak tuż nad ziemią. Rzeczywiście, na niebie było już niewiele chmur. Pojawił się księżyc. Jego blade światło migotało przez gałęzie. W jego świetle i w przenikającym z dołu świetle pochodni Jeb widział tylko ciemne kontury gałęzi. Ostrożnie wspinał się wyżej. Po kilku minutach mógł odchylić gałąź nad sobą i spojrzeć w niebo.

Tam! Wyraźnie ją widział. Gwiazda błyszczała na granatowoczarnym firmamencie, a ponieważ po niebie przeciągały wciąż pojedyncze strzępy chmur, była jak migocące światełko. Dokładnie rozejrzał się dookoła, ale trudno mu było ocenić kierunek świata.

Z dołu doleciał zachrypnięty głos Kathy.

– Widzisz coś?

– Tak – odparł schylony w dół. W plątaninie gałęzi ledwie było widać sylwetkę Kathy, ale jej pozycję zdradzało światło pochodni. – Jest gwiazda. Tak, jak było napisane na kartce.

– Skąd wiesz, że to ta właściwa?

– Na niebie jest tylko jedna gwiazda. – Nagle ogarnął go nieskończony smutek.

Byli straceni. Czyż nie to było napisane w przesłaniu? A więc to prawda. Wszystko się zgadzało. Zdecydowanie odsunął złe myśli i ruszył w dół. Gdy dotarł do Kathy, dziewczyna od razu zauważyła jego nastrój.

– Miałaś rację z tą gwiazdą. Zatem prawdopodobnie wszystko inne to też prawda. Już przedtem ci wierzyłam, ale mimo to wolałabym, żebyś nie zobaczył gwiazdy. Teraz przynajmniej wiemy, co jest grane, i możemy uciec. Nienawidzę tej dżungli.

– Jesteś dość odważna – powiedział cicho.

Kathy przesunęła rękę z pochodnią do tyłu. Jednocześnie zrobiła krok

w kierunku Jeba. Wyciągnęła do przodu lewą dłoń, ujęła nią jego brodę. Zanim zdążył zareagować, pochyliła się i pocałowała go w usta. Najpierw łagodnie, potem coraz bardziej namiętnie. Pachniało włosami Kathy. Pachniało miodem. Poczul jej wargi i język. Potem nagle uświadomił sobie, co Kathy z nim robi, i przestraszył się tak bardzo, że omal nie stracił równowagi.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał speszony.

– Potraktuj to jako nagrodę za swoją odwagę, za to, że wszedłeś na drzewo. I za wszystko inne, co dla nas zrobiłeś.

Kathy ani na moment nie spuszczała z niego wzroku. Patrzyła jak na rzadkiego motyla, którego właśnie schwyciła i przypięła szpilką do pnia drzewa. A w nim gniew mieszał się z oburzeniem. Miał ochotę otwarcie powiedzieć, jak niestosowne są te próby uwodzenia go, a jednocześnie pragnął dalej ją całować. Jej wargi były takie miękkie i ciepłe.

Wtedy usłyszał szelest. Spojrzał w dół.

U stóp wielkiego drzewa z głową zadartą do góry stała Jenna.

Wszystko widziała.

Jeb zszedł pierwszy. Chwilę później Kathy zeskoczyła na ziemię obok niego. Nie powiedziała do Jenny ani słowa, uśmiechnęła się tylko z wyższością, wrzuciła pochodnię z powrotem do ogniska i wśliznęła do swojego śpiwora. Jenna patrzyła za nią z kamienną twarzą.

– Nie możesz spać? – zapytał Jeb.

Wargi piekły go jeszcze od pocałunku Kathy i czuł, że policzki mu płoną. W duchu przeklinał Kathy.

– Widziałeś ją? – zapytała Jenna.

Nie dała po sobie nic poznać.

– Tak.

– I jesteś pewny, że to ta gwiazda?

– Na niebie jest tylko jedna.

– Jedna? Jak to możliwe? Dlaczego nie ma na niebie innych gwiazd, jak zwykle? Wszystkie gwiazdy... Czy to znaczy, że być może to wszystko, co jest napisane na tej kartce, to prawda?

– Może wszystko będzie dobrze – słabo próbował ją pocieszyć.

– Jeb, nic nie będzie dobrze, coś tu jest bardzo nie w porządku. Osiedliśmy tu na mieliźnie, nie mamy bladego pojęcia, kim jesteśmy. Mamy walczyć ze sobą o życie! I jeszcze do tego ktoś ma na nas polować! To niemożliwe! – powiedziała Jenna i wszystko to zabrzmiało dziwnie.

Ze szlochom przysiadła na ziemi, a Jeb usiadł obok niej i w milczeniu ją objął.

– Nie rozumiesz, Jeb? – szepnęła Jenna. – Tu się coś nie zgadza, coś takiego po prostu nie może być prawdą.

Jeb był zdziwiony jej wybuchem. Nie tak ją oceniał. Mary – tak, ale nie Jenne, która do tej pory sprawiała wrażenie opanowanej.

– Spójrz na mnie, Jenno. Będziemy się trzymać razem. Tak, to nie wygląda zbyt dobrze, ale lepiej będzie, jeśli przygotujemy się na najgorsze, niż gdy już teraz zaczniemy rozpaczać.

Jenna przełknęła ślinę. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Wierzę ci, Jeb. Dobrze, będziemy trzymać się razem.

– Wyruszymy o brzasku.

– Ty też powinieneś jeszcze trochę odpocząć.

Skinął głową.

– Podobnie jak ty. Myślę, że nie potrzebujemy zmiany warty, jest tak spokojnie. Lepiej, żeby reszta spała.

Jenna poszła do swojego śpiwora, owinęła się nim i odwróciła do ognia. Ale Jeb nie mógł zasnąć. Ciągle jeszcze czuł na wargach pocałunek Kathy, wydawało mu się, że czuje miodowy zapach jej włosów. Wciąż myślał też o Jennie, o jej wybuchu. Zatem ona również zrozumiała, że jedna jedyna gwiazda na niebie coś oznacza. Że coś tu nie gra. Ale po chwili w jego myśli znów wdarła się Kathy. Z każdą minutą, w której nie mógł zasnąć, jego gniew na rudowłosą dziewczynę rósł. Cholera, nie powinna była go całować. A jemu nie wolno było rozkoszować się tym pocałunkiem.

Z tą myślą zasnął. Nie zauważył, że León bezszelestnie wstaje.

León nie mógł śledzić, co działo się na drzewie. Udawał, że śpi, ale wystarczyły mu reakcje Kathy i Jenny. Jeb stał jak osioł pomiędzy obiema dziewczynami, a to znaczy, że coś się wydarzyło.

Potem z wysiłkiem wsłuchiwał się w rozmowę Jenny z Jebem. Zatem ta zasrana gwiazda naprawdę istniała. Nie chciał w to wierzyć, ale co to zmieniało? Życie było walką. Przecież zawsze tak było, zmieniali się tylko przeciwnicy i miejsce walki.

Uśmiechnął się, pewny zwycięstwa.

Cholera, on przeżyje. Tylko on ma w tej grupie nóż i go nie odda. Niech ci idioci się przekonają, jak sobie poradzą. Spojrzał na pogrążoną we śnie resztę grupy.

„Mógłbym dać sobie radę sam, ale jeszcze was potrzebuję. Kto wie, co się nam przydarzy, i być może trzeba będzie kogoś poświęcić w ofierze tym myśliwym, żeby dotrzeć do bram. Po to tu jesteście” – pomyślał.

Poruszał się w ciemności jak kot. Miał nóż, ale do przetrwania

potrzebował też ognia. Nie miał odwagi okraść Jeba, ale Mary nie powinna stanowić problemu. Podeszedł do niej jak cień. Zupełnie bezszelestnie przyciągnął do siebie jej plecak. Nagle poczuł na plecach czyjąś rękę.

Powoli odwrócił głowę.

Misza.

Leżał z otwartymi oczami w swoim śpiworze i otwarcie na niego patrzył. León ledwie mógł rozpoznać jego twarz, ale był pewny, że Misza przejrzał jego zamiary. Powoli opuścił plecak Mary i przesunął go z powrotem do śpiącej dziewczyny. Potem bezszelestnie wstał i po cichu wrócił do swojego legowiska. Misza śledził go jeszcze spojrzeniem, gdy położył się i zamknął oczy.

Tian obudził się pierwszy. Szare światło świtu przebijało się przez liściasty dach drzew. Nocą nadciągnęła chłodna mgła i wisiała nad wilgotną ziemią. Tian spojrzął w kierunku ognia. Wypalił się i zgasł. W ognisku nie było już żaru, więc zanim wyruszą, nawet nie będą mogli się przy nim ogrzać.

Rozciągnął zeszywniałe kończyny i obserwował, jak inni zmęczeni wstają, przeciągają rękami po włosach i ścierali sobie sen z oczu. Jeb wydawał się niewyspany. Nic dziwnego, przez pół nocy trzymał wartę. Kathy natomiast wyglądała świeżo i była pełna energii. Jej rude włosy opadały na szczupłe ramiona. Zmysłowym ruchem przeczesła włosy dłonią i pozwoliła im znów opaść. Wydawało się, że Kathy po prostu nie jest stąd. Wyglądała jakby szykowała się na imprezę i w każdej chwili mógł po nią przyjść jego chłopak.

Mary natomiast była tylko bladym cieniem. Tian miał wrażenie, że można przez nią patrzeć, tak bardzo była nieobecna. Miała twarz bez skazy, czarne włosy i pełne czerwone usta – była piękna, ale przez swoją bladość prawie rozmywała się jak we mgle.

Jenna stała trochę z boku przy Miszy i po cichu z nim rozmawiała. Leóna nigdzie nie było widać.

Tianowi przyszło nagle do głowy, że właściwie to nie wie, czy Jeb w nocy zobaczył tę gwiazdę. Podszedł do niego.

– I co? Widziałeś ją?

Brązowe oczy Jeba były nieprzeniknione. Zawołał wszystkich. Natychmiast przyszli. Nie wiadomo skąd pojawił się też León.

„Cholera – pomyślał Tian. – Ten typ jest jak wąż. Jeszcze przed chwilą nie było go widać, a teraz zjawia się tak szybko, że człowiek zadaje sobie pytanie, czy on ma czapkę niewidkę”.

Wytatuowany chłopak z uśmiechem zajął miejsce pośród innych.

– Wdrapałem się dziś w nocy na to drzewo. Pomogła mi Kathy. Gwiazda tam była – powiedział Jeb wyraźnie i bez niedomówień. – Wiecie, co to oznacza? – zapytał.

Wszyscy z wyjątkiem Leóna kiwnęli głowami. Na jego wargach igrał tajemniczy uśmiech, jakby wiedział o czymś, czego nie wiedzieli inni.

– Co teraz robimy? – zapytał Misza.

Teraz dla wszystkich stało się jasne, że Jeb poprzedniego wieczoru powiedział im prawdę.

„Nawet jeśli ta zmiana nastąpiła bardzo szybko – uważał Tian. – Nie powinni mieć złudzeń. Coś tu się jednak bardzo poważnie nie zgadzało. Wydawało się, że słowa Jeba były dla nich jedyną nadzieją, jaka im pozostała. Nie mieli prawie nic, znali tu niewiele więcej niż swoje imiona i musieli się teraz przedrzeć przez obcą krainę. Prześladowani i ścigani. I za każdym razem jedno z nich miało tu zostać.

Czy to będę ja?”.

Inni chłopcy wyglądali na silniejszych od niego, lepiej wytrenowanych, mieli więcej mięśni. Na próżno próbował sobie przypomnieć czas przed tą niemożliwą sytuacją. Jednak był przekonany, że jeszcze nigdy nie przeżył takiej przygody w dziczy. Nawet dziewczyny, z wyjątkiem Mary, robiły wrażenie bardziej krzepkich niż Tian.

Tak, Mary to najbardziej prawdopodobna ofiara. Była ledwie obecna duchem i w żadnym razie nie tryskała energią. Prawdopodobnie już wkrótce padnie, zaraz gdy tylko wyruszą.

„Czy jej pomogę...?”.

Tok jego myśli przerwał Jeb.

– Gwiazda świeciła z kierunku, w którym wczoraj słońce stało w zenicie. W tamtą stronę musimy się udać. Być może będzie ją widać również w dzień, była dosyć jasna. To jednak oznacza, że musimy wyjść z lasu. Tutaj bardzo powoli posuwalibyśmy się do przodu i nie widzielibyśmy nieba.

– Chcesz wyjść z powrotem na równinę? – zapytała Jenna. – Wiesz, co się tam na nas czai. Te... bydlaki, które napadły Miszę. – Zwróciła się do innych i Tian dziwił się, widząc jej pewność. – Jeb myśli, że to nasze lęki przyjęły realne kształty i na nas polują. Zawsze, gdy podchodzą do nas bardzo blisko, słyszymy skrzeczenie.

– Nasze lęki? Nie chcę nic mówić, ale to brzmi dość odłotowo. Wiecie, co myślę? Że macie nierówno pod sufitem. – León uśmiechnął się szyderczo.

Jenna nie dała się zbić z tropu.

– Czymkolwiek jest to, czego boi się Misza, wczoraj na równinie znalazło go bez trudu.

– Wszyscy jesteście beznadziejnie upośledzeni – wtrąciła się Kathy. – Zupełnie niczego nie zauważyliście? Na kartce było napisane: „Strzeżcie się swoich lęków”. Tak, jasne, przecież chyba każdy jakieś ma, ale to kwestia kontroli. A może wierzycie, że wasze lęki jako potwory wyskoczą nocą ze śpiwora i was napadną? Ludzie, bądźcie dorośli.

– Ja się bardzo dokładnie przysłuchiwałam – zabrała głos Mary i od razu dostrzegła złe spojrzenie Kathy. – Dalej było napisane: „Ten, kogo pokonają

jego lęki, zostanie”.

– Tak, dokładnie. – Teraz Tian chciał dodać coś od siebie. – Może jakiś rodzaj magii voodoo, coś ezoterycznego, wiecie, jak w tych zwariowanych...

– Tian, opanuj się. – Tego było już dla Miszy zbyt wiele. – Mamy tylko dwie możliwości: las albo step.

– Duszopijcy – szepnęła Mary. – Nie wiem, dlaczego wpadła mi do głowy ta nazwa, ale pasuje do nich. Chcą nie tylko naszego lęku, chcą wszystkiego.

Tian stwierdził, że na razie słyhać tylko szum lasu.

Jeb skinął głową i nie podjął tematu.

– Nie mamy wyboru. W lesie tylko byśmy zabłądzili.

– Ma rację – wtrącił się Misza. – Poza tym może będziemy mieli szczęście i zaświeci słońce, wtedy zostawią nas w spokoju.

– Zatem? – zapytał Jeb zebranych. – Kto uważa, że tak powinniśmy zrobić?

Wszyscy z wyjątkiem Leóna podnieśli ręce. Stał spokojnie i patrzył na Jeba.

– A ty?

León wzruszył ramionami.

– Na początek pójdę z wami. Chcę zobaczyć tę gwiazdę. Jeśli naprawdę jest, zdecyduję, czy zostaję z wami, czy dalej idę sam.

– W grupie jest bezpieczniej – próbował przekonać go Jeb, ale Tian czuł, że to nic nie da. Na Leóna nie można było wpłynąć.

– Możesz tak to widzieć. Ja myślę inaczej.

– A jak?

– Każdy w grupie jest tylko tak szybki, jak jej najbardziej powolny członek. – Rzucił znaczące spojrzenie na Mary, ale ona tego nie zauważyła. – Sam jestem bardziej elastyczny. Nie muszę brać nikogo pod uwagę i mogę błyskawicznie decydować, nie omawiając niczego z nikim. Gdybyście wszyscy byli ze sobą szczerzy, wiedzielibyście, że jest dokładnie tak, a nie inaczej.

„Dupek – pomyślał Tian. – A co z przyjaźnią, koleżeństwem, poczuciem, że się nie jest samemu, co ze wzajemnym wsparciem?”.

– Dobrze – powiedział Jeb. – Akceptuję to. Powiedz nam, gdy podejmiesz decyzję.

– Jasne.

Słowa Leóna wprawiły grupę w zamyślenie. Prawie wszyscy speszeni wpatrywali się w ziemię. Czyżby też zastanawiali się nad tym, czy nie powalczyć w pojedynkę? Nadszedł czas, by ktoś przerwał tę pełną konsternacji ciszę.

– Słuchajcie, ludzie – powiedział głośno Tian. – Kto chce ponieść mój plecak? Tylko proszę się nie pchać. Jeśli znajdzie się więcej niż jeden kandydat, zdecyduje los.

Reszta niepewnie się roześmiała, nawet León. Czuć było, że napięcie znów opada. Tian chciał wreszcie stąd ruszyć w drogę. Zadowolony zarzucił sobie plecak na ramiona. Potem podszedł do Jeba i poklepał go po plecach. Szepnął cicho, tak, żeby inni go nie słyszeli:

– Ruszajmy. W tej chwili nastrój jest dobry, ale kto wie, co będzie za pięć minut. – Przeszedł obok Jeba i ruszył ścieżką, którą wczoraj weszli do lasu.

Odwrócił się do pozostałych.

Jeb uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

– Panie i panowie, tędy, proszę.

Gdy dotarli na równinę, słońce już niemiłosiernie paliło z bezchmurnego nieba. Dzięki jasnemu światłu nie musieli się martwić tym, co na nich polowało.

Jenna podniosła głowę, spojrzała w słońce i zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby jednak maszerować przez las. Upał na równinie był już rankiem prawie nie do zniesienia. Gorący wiatr gładził bezkresne trawy i wysuszał ostatnie wilgotne miejsca, które pozostawił deszcz. Na szczęście odkryli w lesie kilka głębszych kałuż i z konieczności napełnili swoje butelki brązową wodą. Trochę wody zatrzymały dla nich również duże liście paproci. Jenna wiedziała jednak, że tej wody raczej nie wystarczy na cały dzień.

León pozostał z grupą. Gdy wyszli z lasu, pierwszy raz ją zobaczyli: wyraźnie widoczna gwiazda migotała na jaskrawym błękitnie nieba na prawo od słońca. Maszerowali godzina po godzinie w tę stronę, a jej pozycja się nie zmieniała, była jak przypięta szpilką do firmamentu.

Przed Jenną szedł Jeb, za nią reszta grupy, tylko Mary została trochę z tyłu i człapała za nimi sama.

Już dwa razy odpoczywali, zjedli część swoich zapasów i zużyli prawie całą wodę. Teraz po twarzach ciekł im pot. Dający cień i wodę las został daleko za nimi i był już niedostrzegalny. Wokół nich nie było niczego oprócz stepu.

Kiedy maszerowali w milczeniu, Jenna zastanawiała się nad tym, co widziała poprzedniej nocy. Albo jej się wydawało, że widzi, bo tak całkiem pewna nie była.

Jeb pocałował Kathy. Długo i namiętnie. Widać ich było w górze, pomiędzy gałęzmi. A może to było złudzenie? Może tylko stali blisko siebie i po cichu ze sobą rozmawiali, żeby nie obudzić innych?

Jenna chciała wyprzeć ten obraz, ale jej się nie udawało. Raz była przekonana, że Jeb całował Kathy, potem znów cała ta scena wydawała jej się zupełnie niewinna. Obserwowanie tych dwojga sprawiało jej przykrość. Wydawało się jej, że Jeb ją lubi, że są jakoś ze sobą związani. Ale dlaczego mieliby być w związku, przecież ledwie się znali. Natomiast w ogóle nie ufała Kathy. Była zarozumiała, władcza i arogancka. Kathy chciała tylko wykorzystać Jeba, tak przynajmniej przypuszczała Jenna. Ta ruda piękność chciała go omotać, bo liczyła na płynące z tego korzyści, ale gdyby chodziło

o przetrwanie, bez wahania złożyłaby go w ofierze.

Mimo to całowali się. Mogła sobie jeszcze tysiąc razy wmawiać, że to dla niej nic nie znaczy, ale ta myśl wywoływała ukłucie, którego nie potrafiła ignorować.

Misza dołączył do Tiana. Wyglądało na to, że w odróżnieniu od niego Azjata jest odporny na upał. Twarz miał suchą i wyglądał niemal na rozluźnionego.

– Wydaje się, że się nie martwisz – zagadnął Misza i dopasował do niego tempo marszu.

– Szczerze mówiąc, wciąż jeszcze nie wiem, co mam myśleć o całej tej sprawie.

– To znaczy, że nie wierzysz w historię z sześcioma światami i bramami? I w to, że w każdym świecie jedno z nas musi pozostać?

– No tak, niby wierzę, ale w tej chwili wszystko jest jeszcze daleko przed nami. Tak daleko, że wydaje się nierealne. Miną jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny, zanim zrobi się naprawdę niebezpiecznie.

Misza patrzył na niego zaskoczony.

– Mniej, minęło już parę godzin. Ale nie sądzisz, że trzeba być gotowym na wszystko?

Tian mrugnął do niego.

– A kto mówi, że nie jestem?

– Jak możesz być przygotowany na coś takiego jak tutaj? Naprawdę, nie potrafię cię rozgryźć: z jednej strony sprawiasz wrażenie marzyciela, z drugiej mam wrażenie, że już mnóstwo przeżyłeś.

– I nie mogę sobie tego przypomnieć.

Misza się roześmiał.

– Racja.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu, potem Tian powiedział:

– A ty możesz sobie cokolwiek przypomnieć?

Misza zwlekał.

– Tak i nie. W mojej głowie kołaczą się jakieś obrazy.

– Jakie?

– Samochody, czarne limuzyny, jaskrawy błysk, kurz i mgła, chaos. A potem już nic. – Znów zwlekał. – Czasem myślę, że rozpoznaję twarz, która się nade mną pochyla i szepcze mi coś niezrozumiałego. To mężczyzna, przynajmniej tak myślę, że jest mężczyzną, ale nie mogę rozpoznać jego twarzy. Powtarza wciąż te same słowa, ale go nie słyszę, bo coś się stało z moimi uszami.

– Ale teraz słyszysz – powiedział Tian. – Zatem prawdopodobnie to tylko sen.

Misza przez chwilę milczał.

– Miejmy nadzieję. A przy tym to wszystko jest realne, a jednocześnie rozmyte. – Westchnął głośno. – A ty co sobie przypominasz?

– Właściwie to nic, tylko jakąś mgłę. A potem pojedyncze obrazy.

Misza dał mu znak, żeby mówił dalej.

– To pewnie brzmi głupio, ale widzę jakieś miasto. Chociaż jest mi obce, to jednak doskonale znane.

– Czy to miasto ma jakąś nazwę?

– Nie mam pojęcia. Zawsze widzę tylko ruiny. Potężną bramę z jeźdźcami na dachu. Wysoką kolumnę, na której stoi złoty anioł. Stare budynki obok nowoczesnych wieżowców ze szkła. Opuszczone szyby pod ziemią i coraz to nowe tablice, na których są nazwiska i miejsca. Ale nie mogę ich przeczytać. Wciąż pada śnieg, panuje wieczna zima. Szare mury, zburzone, wszystko spalone albo w ruinie. Niebo jest ołowianoszare. Równie szare są płatki, które spadają na ziemię i wszystko pokrywają. Jest zimno. Marznę, ale wiem, że nie mogę przystanąć. Wszędzie czai się wróg. Poluje na mnie. Nieustannie. Mam tylko jedną szansę, muszę dotrzeć do złotego anioła, który wznosi się ku niebu. Tam znajdę spokój, tam jest wybawienie.

– To dość konkretne wrażenia. – Misza spojrzał na niego. – Myślisz, że to twoja ojczyzna?

Tian energicznie pokręcił głową.

– Nie, ale chyba tam byłem, wiele razy, a jednak wszystko sprawia wrażenie nierealnego.

– Może to tylko powracający sen.

– Nie, to chyba coś więcej niż sen. Myślę, że w tych obrazach ukryte jest rozwiązanie zagadki.

– Jakiej zagadki?

– Dlaczego tu jesteśmy i co to wszystko ma znaczyć.

León poczekał na Mary. Obserwował ją kątem oka. Była bez wątpienia ładna. Wprawdzie jej rysy wydawały się delikatne i kruche, ale pełne czerwone usta mówiły coś zupełnie innego. Mówiły o namiętności, którą Mary skutecznie dotychczas ukrywała. León zadawał sobie pytanie, dlaczego jest tak mało wytrzymała. Dlaczego człapie bez sił za innymi. Bez skarg i bez pytań.

„Co jest z tobą?”

León zadawał sobie to pytanie nie ze współczucia czy ciekawości. Mary po

prostu wstrzymywała grupę. Czuł się wręcz sprowokowany jej marazmem. Każdy, naprawdę każdy ma jakieś rezerwy. Natomiast Mary wlokła się przez jałowy krajobraz, zataczając się.

Wydawało się przy tym, że nie czuje strachu. I właśnie to doprowadzało go do wściekłości. Tu chodziło o przetrwanie, a Mary szła obok niego krok za krokiem, nie podnosząc głowy. Brakowało jeszcze tylko tylko, żeby podśpiewywała pod nosem.

León nie wytrzymał.

– Dlaczego się nie wysiliz? – wyrwało mu się.

Przystanąła i spojrzała na niego poważnie.

– Co masz na myśli? – spytała nie głośniejsze niż szum wiatru w wysokiej trawie.

León w tym momencie przeklinał siebie za to, że ją zagadnął.

– Na wypadek, gdybyś jeszcze nie pojęła: musimy dotrzeć do tych bram jak najszybciej albo umrzemy. A nawet gdy dotrzemy do bram, to jeszcze wcale nie znaczy, że przeżyją wszyscy z nas. Uda się to tylko najszybszym. Ten, kto przyjdzie ostatni, będzie miał pecha, wyciągnie pusty los. A ty spacerujesz po okolicy, jakbyś miała na to czas całego świata.

Popatrzyła na niego potulnymi brązowymi oczami. Przypominały ciemne stawy, w których można utonąć. León klął w duchu.

– Myślę, że to nie gra roli, czy idziemy szybko, czy wolno, pytanie przecież brzmi, czy dotrzemy do bram. A nawet jeśli tak, mimo to wszyscy umrzemy.

León patrzył na nią speszony.

– Jeśli ktoś zbyt szybko zaczyna bieg, wkrótce straci dech. To nie jest sprint, tylko maraton.

Ta dziewczyna była niepojęta.

– I ty myślisz, że masz dość sił, żeby temu sprostać?

Mary wzruszyła ramionami.

– Być może nie, ale ktoś mi pomoże.

To zupełnie wytrąciło Leóna z równowagi.

– Naprawdę tak myślisz?

Popatrzyła na niego poważnie.

– Tak, właśnie myślę. Zawsze tak było. Pamiętam wprowadzić tylko swoje imię, ale po prostu wiem, że tak jest. Tak musi być.

– Pleciesz bzdury.

– Być może, że właśnie ty mi pomożesz.

León starał się nie stracić panowania nad sobą. Patrzył zimno na Mary.

– Zapomnij o tym.

Kathy uparcie podążała za Jenną, przed nimi szedł Jeb, który co jakiś czas patrzył na gwiazdę. Maszerowali gęsiego przez równinę. Kathy wpatrywała się w plecy Jenny i jej niechęć do tej dziewczyny rosła z każdym krokiem. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego, ale gdy patrzyła na Jennę, po prostu ogarniał ją gniew. Na to, jak równym krokiem, pozornie bez wysiłku, szła za Jebem.

Kathy miała wrażenie, że zna takie dziewczyny jak Jenna. Dziewczyny, które mają się za kogoś lepszego. Które dostają miłych chłopców, podczas gdy dla niej zostają tylko durnie albo dupki.

„Pamiętam jeszcze takie bagno”, pomyślała.

W tajemnicy trochę podziwiała Jennę za jej siłę. I jednocześnie zrodziła się w niej zazdrość. Jenna była atrakcyjna, bez wątpienia, ale Kathy też przecież niczego nie brakowało. A jednak Jenna emanowała opanowaniem, którego ona w sobie nie czuła. W regularnych odstępach czasu Jeb odwracał się do grupy. Kathy widziała, że za każdym razem uśmiechał się do Jenny. A ona na pewno, jak głupia, odwzajemniała ten uśmiech.

Jeb... Na myśl o nim po jej ciele przeleciał gorący płomień. To nie był płomień namiętności, a już na pewno nie miłości czy czegoś w tym rodzaju. Bardziej pożądania, chęci zdobycia go, ale żeby to zrobić, musiała jego uwagę odwrócić od Jenny.

„Ta jasnowłosa krowa z wielkimi oczami jeszcze go całkiem omami, jeśli nie będę uważać”, pomyślała.

Kathy zagryzła wargę i zwiększyła tempo, żeby wsunąć się pomiędzy Jennę a Jeba. Kiedy maszerowała w upale i z nadmiaru drżącego światła lekko przymykała oczy, pojawiały się przed nią znane obrazy. Z początku nie potrafiła ich do niczego przyporządkować, ale potem przed jej oczami rozegrała się całkiem oczywista scena.

Zobaczyła siebie nagą stojącą przed lustrem. Uniosła włosy i podziwiała swoje ciało bez skazy. Nagle od tyłu dwie dłonie podniosły się i ułożyły na jej piersiach. Młody człowiek, niewiele wyraźniejszy niż cień w lustrze, pochylił się i całował jej kark.

– Jesteś taka piękna. – Jego głos drżał z podniecenia.

Ściągnęła wargi jak do pocałunku i uśmiechała się z pozoru niewinnie.

– Tak uważasz?

– Jesteś boginią.

– Wiesz, że moja siostra nie może się o tym dowiedzieć.

– Tak, wówczas mógłbym zapomnieć o ślubie. Nigdy by mi nie wybaczyła.

– Chyba nie. Wszystko to ma oczywiście swoją cenę, zdajesz sobie sprawę?

– Dostaniesz ode mnie, co tylko zechcesz. – Głos mu się łamał. – A teraz chodź z powrotem do łóżka.

Kathy uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Wygrała. Znowu.

To wspomnienie było tak namacalne, że mimo upału przeleciał po jej ciele lekki dreszcz. Czuła się dobrze.

„Byłaś złą dziewczynką – pomyślała. – A teraz musisz stać się o wiele gorsza”.

Tymczasem musiało minąć przynajmniej południe. Bez przerwy byli w drodze, słońce nieubłaganie paliło ich głowy. Woda już dawno się skończyła i w gardłach wyschło, gdy Jeb w końcu się zatrzymał. Poczekał, aż reszta grupy do niego dołączy, potem wskazał w lewo na kilka drzew w oddali.

– Myślę, że tam może być woda – powiedział.

– To nie po drodze – stwierdził Misza.

– Musimy napełnić butelki. Przy tym upale wkrótce pierwsi zaczną mdleć.

– Dlaczego sądzisz, że znajdziemy tam wodę?

– Rozejrzyj się. Trawa, nic, tylko sucha trawa, ale tam rosną drzewa. Tam musi być woda. – Odwrócił się do pozostałych. – Zgadzaście się, żebyśmy nadłożyli kawałek i spróbowali poszukać wody przy tych drzewach? Marsz będzie nas kosztował trochę czasu, ale nie stracimy z oczu gwiazdy. Przerwa w cieniu wszystkim nam dobrze zrobi.

Kilka osób burknęło na zgodę, inni tylko skinęli głowami. Maszerowali od brzasku i wydawało się, że nie zbliżyli się do gwiazdy nawet o kawałek.

Drzewa okazały się wysokimi wiązami. Skąd Jeb znał to słowo, nie wiedział, i wyglądało na to, że nikogo to nie interesuje. W każdym razie był tu cień, było chłodniej i znaleźli mały strumyk, który rześko płynął meandrami pomiędzy drzewami i niskimi krzakami. Wszyscy z wyjątkiem Mary, która została daleko z tyłu, pobiegli do strumyka, rzucili się na ziemię i chciwie pili orzeźwiająca wodę.

Kathy, Misza i Tian nawzajem na siebie pryskali, kiedy Jenna i Jeb siedzieli na brzegu i obserwowali ich zabawę. León się odłączył. Odłamał gałąź długości prawie dwóch metrów, a teraz obrabiał ją nożem.

– Co to będzie? – zapytał Jeb.

León nawet na niego nie spojrział.

– Kij pielgrzyma i włócznia w jednym.

Jeb wpatrywał się w niego. Gdy część grupy swawolnie się bawiła, a reszta próbowała odpocząć, León znów był o krok dalej i przygotowywał sobie broń. Ten chłopak po prostu budził respekt.

Rozejrzał się dookoła. Mary w końcu też dotarła. Ze zwieszoną głową i wyczerpana, stała obok Leóna, który siedział przykucnięty przed nią. Zdjęła swój plecak, otworzyła go i wyjęła pustą butelkę. Podała mu ją bezradnym gestem. Nie patrząc w górę, zapytał:

– O co chodzi?

– Przyniesiesz mi wody? – zapytała cicho.

Dopiero teraz podniósł głowę. Szybko spojrzął jej w oczy, potem wziął butelkę i wysokim łukiem rzucił w kierunku strumienia.

– Sama sobie przynieś – burknął i odwrócił się z powrotem do swojej włóczni.

Jeb widział, jak Mary, zupełnie bez sił, zaczęła płakać. Chciał się zerwać, podejść do niej, przynieść jej wodę albo przynajmniej pocieszyć, ale poczuł dłoń na swoim ramieniu.

Jenna.

– Zostaw ją – powiedziała spokojnie. – Musi zrozumieć, że da sobie radę sama. Najwyraźniej jest przyzwyczajona, że ludzie odczytują z jej oczu każde życzenie. Ale jest bardziej wytrwała, niż się wydaje.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Jenna skinęła głową w kierunku Mary.

– Po prostu wiem. Patrz!

I rzeczywiście, bezradna Mary wydawała się teraz bardziej zdecydowana. Stłumiła łzy. Powiedziała coś do Leóna, który się uśmiechnął. Potem przeszła obok niego, nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem. Chwilę później widzieli, jak Mary podnosi swoją butelkę i idzie do strumienia.

Jeśli chodzi o Mary, Jenna miała rację. Zaraz później Mary siedziała z innymi i gawędziła z Tianem i Miszą. Jej twarz znów nabrała kolorów i wydawała się wypoczęta. León wciąż wycinał swoją włócznię, a Kathy drzemała w cieniu drzewa.

Jeb spojrzął w niebo. Z pozycji słońca wywnioskował, że jest wczesne popołudnie. Mogli maszerować jeszcze wiele godzin w dziennym świetle, ale martwił się o kolejny nocny obóz. Spania na rozległej trawiastej równinie nie uważał za dobry pomysł. Tutaj, nad strumieniem, nie uda im się zebrać i zanieść tak dużo drewna, by ogień mógł płonąć całą noc.

Jeb podniósł wyprostowaną dłoń nad oczy i popatrzył w kierunku, w którym mieli iść dalej. Na horyzoncie odcinała się ciemna plama. Tam musiał być kolejny las. Jeb próbował rzucić okiem na gwiazdę. Poszedł na skraj małej grupy drzew. Tak, była tam. Jasno i wyraźnie świeciła nad górskim łańcuchem, który w oddali wypiętrzał się z równiny. Ciemny pas

drzew, który przed chwilą odkrył, przebiegał przez równinę w pewnej odległości, niemal równoległe do ich drogi. Jeśli się pospieszą, prawdopodobnie dotrą do lasu o zmierzchu i następnego dnia będą mogli kontynuować marsz przez równinę.

Cóż za dziwny krajobraz: nic, tylko trawa, las i góry. Jak daleko może być ten las?

Wprawdzie dotarcie do niego nie byłoby problemem, ale stracą dużo czasu, bo będą musieli wracać tą samą drogą. Albo ruszyć męczącą drogą przez las. To w sumie ogromny nakład czasu, nie mówiąc o związanej z tym stracie sił. Pierwsi będą już wyczerpani, zanim następnego dnia dotrą z powrotem do strumienia. I nawet wtedy gwiazda wciąż jeszcze będzie oddalona o dobry dzień marszu. Jeśli przesłanie i jego ultimatum o siedemdziesięciu dwóch godzinach jest prawdziwe.

Jeb spojrział na gwiazdę. Mrugała do niego z daleka, jakby z niego szydziła: nie dotrzesz do mnie.

„Owszem, dotrę” – postanowił.

Obok niego pojawił się Misza. Dotychczas Jeb praktycznie nie miał okazji z nim porozmawiać, dlatego patrzył z zainteresowaniem. Misza był prawie tak wysoki jak on, może z pół głowy niższy. Jego krótkie włosy przypominały złocistożółte pole pszenicy. Twarz była charakterystyczna, z wyrazistymi rysami, prostym nosem i wąskimi wargami. Najbardziej jednak zwracały uwagę intensywnie niebieskie oczy. Patrzyły na niego natarczywie i otwarcie.

Przy Miszy my wszyscy wyglądamy jak grubo ciosane kłocce, pomyślał Jeb. To była tylko kwestia czasu, by któraś z dziewczyn się nim zainteresowała. Misza emanował urokiem i nawet tu, w upale równiny, trudno było mu się oprzeć.

Czy Jenna...

Natychmiast zabronił sobie o tym myśleć. Przypomniawszy sobie, że wszyscy walczą o przeżycie. Jeśli wierzyć przesłaniu, większość z nich na pewno umrze. „Bo jesteście straceni...”.

– O czym myślisz? – zapytał go Misza.

Jeb zobaczył, że prawą brew Miszy dzieli maleńka biała blizna. Więc Misza nie był tak idealny, jak wyglądał na pierwszy rzut oka.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy tu rozbić obozu na noc. Długo maszerowaliśmy i większość z nas jest wyczerpana. Poza tym mamy niewiele do wyboru: albo spędzić noc na równinie, albo maszerować dalej, aż do lasu tam z tyłu.

– Do tego lasu z tyłu? Za daleko. Nie sądzę, by Tian i Mary dali radę dojść

aż tam.

Jeb czuł, że cały czas z wysiłkiem marszczy czoło. Może to był nawyk z wcześniejszego życia?

„Jakie ono było, to moje wcześniejsze życie?” – zastanawiał się.

– A co z Tianem?

– Zrobił mu się pęcherz. Całkiem duży i mocno podszedł krwią, na pięcie. Trzeba go nakłuć, w przeciwnym razie pęknie i Tian może się nabawić infekcji, z którą nie będzie mógł w ogóle chodzić.

Infekcja? Znów słowo, którego znaczenie od razu znał, a którego przedtem nie było w jego pamięci.

– Skąd to wszystko wiesz?

Misza uśmiechnął się.

– Szczerze? Nie mam zielonego pojęcia.

– Dobrze, to zostanmy tutaj i zatroszczmy się o stopę Tiana, poza tym prawdopodobnie nikt nie ma ochoty iść dzisiaj dalej. To jest dobre miejsce i możemy rozpalić ogień.

– Poszukam jakiegoś ciernia i przekłuję mu ten pęcherz. Jeśli Mary da mi trochę swoich opatrunków, mogę opatrzyć mu stopę, tak żeby nie dostał zakażenia.

Jeb pojął, że również Misza rozumie, iż w tej dziczy każdy jest skazany na innych. Szybko rzucił spojrzenie w kierunku Leóna. To on miał jedyną broń i najbardziej efektywne narzędzie obrony w grupie. Nie może być tak, żeby rościł sobie wyłączne prawa do tego noża. Nóż należał do wszystkich. Ale jak miał mu to wytłumaczyć? Sądził, że León nigdy nie odda noża dobrowolnie.

Kiedy Jeb zastanawiał się nad Leónem, Misza poinformował grupę, że będą tu nocować. Wyglądało na to, że nikt nie ma nic przeciwko temu, wszyscy cieszyli się przede wszystkim z tego, że unikną upału.

Naprawdę wszyscy?

Jeb po cichu westchnął, gdy zobaczył, że León wstał i do niego podszedł. Luźno trzymał w ręku włócznię, która była od niego wyższa o głowę, i Jeb widział, że jeden koniec był groźnie zaostroszony. León od razu przeszedł do rzeczy.

– Dlaczego nie idziemy dalej? Zostało jeszcze sporo dnia.

Jeb skinął w kierunku grupy.

– Są wyczerpani. Poza tym nadejście nocy na równinie jest zbyt niebezpieczne. Tutaj możemy przynajmniej rozpalić ogień.

– Tak długo, jak świeci księżyc, moglibyśmy iść dalej również nocą.

Jeb spojrzał na niego speszony.

– Wędrowałbyś nocą przez tę równinę?

– Dlaczego nie?

– A co z Miszą i tym, co mu się przydarzyło?

– Po pierwsze, wciąż jeszcze nie wierzę w te bajeczki z dreszczykiem. Po drugie, możemy zrobić sobie pochodnie. W razie potrzeby rozpalimy ogień.

Jeb dał sobie spokój z uświadamianiem go, że w trawie nie ma drewna na duże ognisko.

– Po pierwsze, choćby najmniejszą iskrą podpalilibyśmy suchą trawę. W kilka sekund wybuchłby pożar, który rozniósłby się po równinie jak orkan. Po drugie, zostajemy na noc tutaj. – Jeb naśladował ton jego głosu, a potem postanowił: – A jutro idziemy dalej.

Oczy Leóna zwięzły się w wąskie szparki.

– Właściwie kto cię wybrał na naszego przywódcę?

– Nikt – powiedział Jeb. – Ale wygląda na to, że nikt się do tego nie pali. A ktoś musi to w końcu robić.

To miał być dowcip, którym Jeb miał nadzieję zmniejszyć napięcie pomiędzy sobą a Leónem. Mylił się.

– A co, jeśli postanowię wyruszyć sam? Będiesz próbował mnie zatrzymać? – zapytał burkliwie León.

Jeb popatrzył mu w oczy i spokojnie odrzekł:

– Możesz iść, dokąd i kiedy zechcesz. Nikt cię nie zatrzyma. Ale...

– No to dobrze.

– ...nóż zostaje tutaj. – Jeb głęboko wciągnął powietrze. – Należy do wspólnoty, jak wszystko, co znaleźliśmy. Potrzebujemy tych rzeczy, żeby przeżyć. Dokładnie tak, jak potrzebujemy siebie nawzajem, żeby iść dalej. Kto rezygnuje ze wspólnoty, dobrowolnie rezygnuje z ochrony, którą ta mu zapewnia. A także z wyposażenia, które należy do grupy. Wszystko zależy od ciebie.

Wszystkie mięśnie w ciele Leóna się napięły. Niewiele brakowało, by rzucił się na Jeba. Jeb przypuszczał, że z walki z Leónem niekoniecznie musiałyby wyjść zwycięsko. Chociaż fizycznie nad nim górował, León robił wrażenie zręcznego wojownika.

– Jeśli chcesz go dostać, musisz mi go odebrać siłą – wysyczał León.

Ostrze włóczni skierował w Jeba, który jednak mocnym chwytem odsunął broń na bok.

– Oszczędź sobie gróźb, Leónie.

Pozostali zauważyli kłótnię. Misza wyprostował się i wszedł pomiędzy zwaśnionych.

– Co tu się dzieje?

León uśmiechnął się i wypalił:

– Nic. Troszkę sobie gawędzimy.

Jeb nie spuszczał z niego oczu.

– Tak, to tylko męskie pogaduchy. – Potem odwrócił się i poszedł nad strumień.

Od tej chwili nie spuszczał z Leóna oka.

León usiadł z dala od wszystkich i dalej ostrzył swoją włócznię. Kłótnia z Jebem pokazała mu, że czai się w nim groźny potencjał. Niepohamowana wściekłość, która tylko czekała na to, by ktoś ją obudził. Gniew, który mógł pochłonąć jego i wszystko dookoła. Krew mu się zagotowała. Ogarnęła go gorączka. Był gotów zaatakować. Zranić. Zabić.

Dlaczego taki jestem? Dlaczego każde wyzwanie traktuję jak walkę? Dlaczego instynktownie reaguję przemocą? Czy zabijanie jest dla mnie takie łatwe?

Przestraszył się odpowiedzi, która nadeszła z jego wnętrza.

Tak, już zabijałem. Kogo albo dlaczego? Nie wiem, ale wciąż widzę przed sobą tego człowieka. Jest w moim wieku. I chudy. Jego ciemne oczy wpatrują się we mnie ze strachem. W jednej ręce trzyma pistolet, lufa jest skierowana w dół. Na razie. Wiem, że zaraz poderwie rękę w górę, żeby do mnie strzelić.

To wróg. Uczyłem się go nienawidzić, jeszcze zanim dostrzegłem światło świata. Mimo to nie chcę go zastrzelić jak jakiegoś psa. Powoli kręcę głową. Chcę mu w ten sposób powiedzieć: „Nie próbuj”, ale widzę w jego oczach, że to robi. Również on uczył się nienawidzić. Nienawidzić mnie, chociaż do tej chwili mnie nie znał.

Potem wszystko dzieje się w ułamku sekundy. On się porusza. Bardzo szybko. Ale ja jestem szybszy. Broń w mojej dłoni jest ciężka, odrzut odbija mi rękę do tyłu. Na jego chudej piersi zakwita czerwony kwiat. Patrzy na mnie. Potem uginają się pod nim nogi. Zapada się w sobie jak marionetka, której ktoś przeciął nitki. W jego śmierci nie ma nic chwalebego i ja czuję się podle, wręcz nędznie, w brudzie mojego żywota.

Stracony.

Zabiłem człowieka.

Bóg odwrócił się ode mnie.

Już nie jestem Jego dzieckiem, tylko dzieckiem ulicy.

Dopóki również mnie nie trafi jakaś kula.

Nagle stanął obok niego Misza. Gdy lekko dotknął jego ramienia, León drgnął przestraszony.

– Aż taki zamyślony?

León tylko skinął głową. Nie wiedział, skąd nagle przypląnęły do jego głowy te obrazy, ale wyczuwał w nich prawdę. Kimkolwiek był, zanim tu przybył, nie był dobrym człowiekiem. Można było się od tego rozsypać albo po prostu to zaakceptować. On to zaakceptował.

Spojrzał na Miszę.

„Czy mógłbym cię zabić, gdyby doszło co do czego?”.

„Tak, bez wahania” – odpowiedział głos głęboko w jego wnętrzu.

León wstał i ruszył w zapadający zmrok.

Musiał być teraz sam.

Mary z zamkniętymi oczami siedziała na ziemi, oparta plecami o drzewo. Małymi łykami piła wodę z butelki. Czuła się słaba, jej serce tłukło się w piersi. Próbowwała spokojnie oddychać, ale jakoś jej się nie udawało.

„Nie mam już sił. A to dopiero początek”.

„Dlaczego tu jestem?”.

To pytanie cały dzień kołatało jej się po głowie. Przychodziło przy każdym kroku.

„Dlaczego tu jestem?”.

„Dlaczego tu jestem?”.

„Dlaczego tu jestem?”.

Otworzyła oczy i popatrzyła na innych. Jennę, Jeba, Miszę, Kathy, Tiana i Leóna.

León...

Ten wytatuowany chłopak ją fascynował. A jednocześnie się go bała. Wszystkie te dziwne wzory na jego ciele i twarzy wprawiały ją w drzenie, ale było coś jeszcze. Ten protekcyjny sposób, w jaki ją traktował, sprawiał, że twarz płonęła jej z gniewu. Najpierw ta dziwna rozmowa z nim na równinie, a dopiero co odmówił jej pomocy, chociaż musiał widzieć, jak jest wyczerpana.

Powiedział, że sama ma sobie przynieść wodę. A przecież ona ledwie trzymała się na nogach.

León był podły. Człowiek, który nie liczy się z innymi.

„Niech będzie przeklęty”, pomyślała.

A jednak jej spojrzenie znów powędrowało do Leóna. Musiała go obserwować. Czuła się tak, jakby obserwowała jadowitą zmiję. Bo tym był w jej oczach. Dzikim, groźnym zwierzęciem.

Zauważył jej spojrzenie i cały się wyprostował. Na ustach miał pogardliwy uśmieszek, gdy na nią patrzył. W jego oczach widziała brak szacunku do niej.

Mary znów poczuła, że jej twarz zalewa fala gorąca. Chciała się odwrócić, zmusiła się jednak, by stawić czoło jego spojrzeniu. Minęły sekundy, potem León uśmiechnął się szeroko i posłał jej całusa. Mary z trudem łapała powietrze.

Co za dupek!

Noc zapadała szybko, ale na czas zdążyli rozpalić ognisko. Teraz wszyscy siedzieli w świetle płomieni i cicho rozmawiali. Większość zjadła resztę swoich zapasów i nie zostało im nic oprócz wody. Nawet León, który na pewien czas zniknął z pola widzenia, przyszedł do ognia i po cichu rozmawiał z Jenną, która przysłuchiwała mu się z poważną miną. Jeb na nią patrzył. Coś się w nim obudziło. Lubił ją, chociaż Mary i Kathy były chyba ładniejsze. Jednak Jenna miała coś, czego tamte nie miały. Emanowała z niej naturalna pewność siebie, której nie zdobywała kosztem innych. Właśnie to go fascynowało i jednocześnie wydawało się takie swojskie. Jenna była osobą, z którą już po pierwszym spotkaniu człowiek czuł się tak, jakby ją znał całe życie.

Pierwszy raz Jeb był dobrej myśli, gdy patrzył na grupę. Mary, Tian i Misza siedzieli razem. Jeb się cieszył, że Mary i Tian mają się lepiej, ale zmarszczył czoło, gdy jego spojrzenie spoczęło na Kathy. Spokojnie siedziała w kucki, kolana objęła ramionami i nie spuszczała z niego wzroku. Patrzyła tymi niezgłębionymi zielonymi oczami. To było głodne spojrzenie.

Tak czai się kot na mysz, zanim zaatakuje zdobycz.

Kathy przeciągnęła się. Gdy wyginała plecy w łuk, wyraźnie widać było jej piersi. Jeb przez chwilę się przyglądał, ale Kathy natychmiast go na tym przyłapała i mrugnęła do niego uwodzicielsko.

Wzdrygnął się, co wywołało śmiech Kathy. Zrobiła nadąsaną minę, jakby chciała powiedzieć: dlaczego nie jesteś tu przy mnie?

Jeb rozejrzał się pospiesznie, ale wydawało się, że nikt nie obserwował tej sceny. Czuł, jak pali go twarz i powoli rośnie w nim gniew. Kathy z nim pogrywała. Powoli, bardzo powoli pokręcił głową, lecz ona zignorowała ten gest i znacząco do niego mrugnęła. Przekłęta małpa.

Co sobie po nim obiecywała? Oczywiście, chodziło jej wyłącznie o jego pozycję w grupie. W oczach Kathy był tu samcem alfa, a tym samym kimś, do kogo musiała się zbliżyć, z kim chciała się związać.

Przejrzał ją i czuł do niej odrazę. To prawda, podnieciła go, ale nie tak łatwo będzie jej owinąć go sobie wokół palca. Nie byli tu na jakiejś letniej imprezie i to nie była żadna gra. Cholera, nie wystarczy, że walczył o przetrwanie? Musieli tu być też jeszcze tacy ludzie jak Kathy i León, którzy dodatkowo utrudniali mu życie?

Nagle wstał i usiadł obok Mary. Ten dzień musiał być dla niej piekłem. Zasłużyła na wielkie uznanie. Być może mylił się co do Mary. Sprawiała wrażenie rozpuszczonej księżniczki, ale wydawała się przyjazna i otwarta.

Idąc za swoimi myślami, spojrzął na Jennę. Poczuł, jak serce zaczęło mu dziko bić.

„Proszę, spójrz na mnie” – pomyślał.

W tym samym momencie podniosła głowę i przez całą wieczność patrzyła mu w oczy.

Jeb, zakłopotany, wbił wzrok w ziemię. Czyżby wiedziała, czego pragnął? Uważał, że Jenna po prostu zapiera dech w piersiach. Gnany swoimi myślami, wstał i poszedł nad strumyk. Chciał pobyć sam ze sobą.

W obozie zapanował spokój. Przez cały dzień, a także wieczór, nie słyszeli ani razu tego nieludzkiego wycia i osobliwych okrzyków, dlatego zrezygnowali z wystawienia warty. Ogień palił się dostatecznie wysoko i nie powinien był zgasnąć przez całą noc. Wszyscy byli bardzo zmęczeni i natychmiast zasnęli.

Jeba zbudził jakiś dźwięk. To był tylko cichy szelest, ale Jeb od razu był całkiem rześki. Gdy się obejrzał, nie mógł niczego dostrzec. Pozostali leżeli w swoich śpiworach, ale Jeb zauważył, że jedno miejsce było puste. Kogoś brakowało.

Prawdopodobnie ktoś poszedł się wysikać.

Mimo to był zaniepokojony i czekał, żeby mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

Mijały minuty. Nikt nie wracał.

Cholera. Kto tam leżał? Misza? Nie, on musiał leżeć dalej na prawo, przy ognisku, w pobliżu Tiana i Mary. Jenna? Nie mam pojęcia. Nie, to był León.

Teraz był pewny, że to León. Czy chciał się stąd wykraść w ciemnościach, nie oddając noża? Jeb odrzucił swój śpiwór. Jednym susem zerwał się na nogi. Chłodne nocne powietrze natychmiast rozpełzło mu się po ciele. Marzył. Gdzie był León?

Nad strumieniem. Będzie chciał napełnić swoją butelkę, zanim odejdzie.

Jeb po cichu ruszył nad strumień. Gdy prawie opuścił krąg światła ogniska, z ciemności wyłoniła się jasna postać.

Jeb nagle się zatrzymał.

Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przed nim stała Kathy.

I była naga.

Migotliwe światło ogniska sprawiało, że kontury jej ciała były jak wyrzeźbione. Idealne piersi, idealne nogi i jedyna w swoim rodzaju

zmysłowość.

Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź – powiedziała cicho. – Czekałam na ciebie. Uczynię cię tak szczęśliwym, jak nigdy jeszcze nie byłeś.

Jeb ledwie mógł oddychać.

Kathy podchodziła do niego, z gracją kołysząc biodrami. Otwarcie patrzyła mu w oczy, więziła jego spojrzenie. Zapomniał o jej nagości, patrzył teraz tylko w te niewiarygodne oczy, które wydawały się go pożerać.

Potem stanęła przy nim. W jej uśmiechu była obietnica. Przyciągała go do siebie, aż poczuł na twarzy ciepło jej oddechu. Unosiła się w nim nutka wanilii. Kathy zbliżyła się jeszcze bardziej. Nagle poczuł jej dłoń, wędrującą po swoim ciele. W dół, po brzuchu. Nagim ciałem naparła na niego i poczuł, że owija nogę wokół jego uda.

Zakręciło mu się w głowie.

A potem... czar prysł. Powrócił rozum i Jeb pojął, co się tu dzieje. Kathy chciała go sobie podporządkować. Zrobił krok do tyłu. Mocnym chwytem objął jej nadgarstki i uwolnił się z uścisku. Broda drżała mu z gniewu. Prawie dał się jej uwieść. Znowu.

– Nie dotykaj mnie! – wysyczał.

Szeroko otworzyła oczy. Jej mina wyrażała czystą pogardę.

– Ty mnie odrzucasz? – wyszeptała. – Masz czelność?

„Ona jest jak modliszka” – pomyślał Jeb i w tej samej chwili zadał sobie pytanie, skąd wie, co to jest modliszka. Kto wpadnie w jej sidła, jest stracony.

Kathy napędziła mu stracha, czuł się niepewnie. Odpowiedział na jej przepełnione nienawiścią spojrzenie.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Ale Jeb... Twoje ciało mówi co innego: chcesz mnie.

Znów zrobiła krok w jego stronę.

– Nie, bo przejrzałem twoje gierki.

Jej oczy rzucały iskry w słabym świetle ogniska.

– Gierki? Tu chodzi o coś więcej – powiedziała cicho. – Chodzi o to, kto jest po czyjej stronie. Na kim można polegać, a kto jest zbyt słaby. Chodzi o to, by stworzyć więzi, które zagwarantują przeżycie. I o to, by nie okazywać łaski. Silni przetrwają, słabi zginą. Sam nam to powiedziałeś: jest nas siedmioro, ale tylko sześć bram. Jedno musi umrzeć.

– Jesteś odrażająca, wiesz?

– Jeszcze przed chwilą mnie pożądałeś. A teraz jedno ci powiem, Jeb. Mogłeś mnie mieć, ze wszystkim, co mam do zaoferowania, ale teraz jest już

za późno. Nigdy, słyszysz, nigdy mnie więcej nie dotkniesz. Spróbuj, to cię zabiję.

Jeb cofnął się, przerażony. Kathy była nie tylko bestią. Była też nieobliczalna.

Nieobliczalna i... niebezpieczna.

Jeb odwrócił się i poszedł z powrotem do ogniska. Byli w drodze niewiele dłużej niż jeden dzień i już zrobił sobie dwoje wrogów.

Gdy Kathy wróciła do obozu zaraz za Jebem, przeszła obok Leóna, który leżał z otwartymi oczami i uśmiechał się do niej. Cały czas nie spał? Miał na sobie tylko koszulę z długim rękawem, pod nią był nagi. Czy coś podejrzewał?

Potem spojrzenie Leóna poszybowało pomiędzy Jeba a Kathy, po czym sprośnie do niej mrugnął. Pokazała mu środkowy palec. Roześmiał się bezgłośnie. Jego usta ułożyły się w słowo „puta”, cokolwiek to miało znaczyć.

Z wysoko podniesioną głową odwróciła się na pięcie i poszła wściekła z powrotem nad strumień. Musiała odreagować. Zastanowić się, kto jeszcze oprócz Jeba wchodził w rachubę jako sprzymierzeniec. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby współpracować. Tylko w ten sposób mogła na dłuższą metę zapewnić sobie przetrwanie. W tym, a także w następnych światach, które jeszcze na nich czekały.

Poza zasięgiem światła ogniska opadła na rozgałęzione korzenie w pobliżu pluszczącego cicho strumienia. Zatopiona w myślach, zanurzyła w wodzie palce stopy. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Zsunęła też do wody drugą stopę – ochłoda dobrze jej robiła, ułatwiała myślenie.

Jedno była dla niej oczywiste: wszyscy chłopcy fizycznie ją przewyższali, nawet ten mięczak Tian. Jeśli inne dziewczyny umrą najpierw – a Kathy ani przez moment nie wątpiła, że one zginą jako pierwsze – będzie potrzebowała kogoś, kto by za nią walczył, kto zabije innych, żeby ona mogła żyć.

Ale kto?

Tian?

Zbyt wrażliwy. Bez wrodzonego przywódczego talentu. Gdy przyjdzie co do czego, prawdopodobnie się rozpłacze.

Misza?

Być może. Wyglądał dobrze, sprawiał wrażenie pewnego siebie i wydawało się, że jest silny, ale Kathy podejrzewała, że niełatwo będzie się do niego zbliżyć.

Pozostawał jeszcze León.

Kot. Idealny partner, gdyby nie był takim przeklętym samotnikiem. Nie ulegał nikomu, był sprytny, gotowy do walki i bezkompromisowy.

Podporządkowanie go sobie wydawało się niemożliwe, ale może mimo to powinna spróbować.

Jednak gdyby naprawdę udało im się zostać tylko we dwoje, León by ją zostawił albo zabił, tego była pewna. Nie znał litości.

Został tylko Misza.

Westchnęła. Nagle coś usłyszała. Czy to nie był szelest? A po chwili następny. Teraz coś trzasnęło w poszyciu. Kathy błyskawicznie wyciągnęła stopy z wody i jednym susem przysiadł, gotowa do skoku. Przykucnęła obok wysokiej paproci, jednej z tych, które rosły wzdłuż strumienia. Z wysiłkiem wpatrywała się w czarną noc.

Podczas popołudniowego odpoczynku widziała, że po drugiej stronie rzeczki, najwyżej dwadzieścia metrów dalej, rozciągał się lasek. Za nim czaiła się bezkresna trawiasta równina. Czy to, co napadło Miszę, czekało teraz na nią po drugiej stronie strumienia? Ognisko było zbyt daleko, żeby zdążyła do niego dotrzeć, a księżyc w tym nieprzeniknionym gąszczu rzucał więcej cienia niż światła. Teraz coś usłyszała. Bez żadnych wątpliwości. Niepewne kroki. Ktoś – albo coś? – szło wprost na nią. Słyszała dyszenie, a może to był jej własny oddech? Wstrzymała dech. Cisza. Kathy była gotowa rzucić się na intruza, gdy pojawi się po drugiej stronie strumienia. A może już tam stał? Ciemności były nieprzeniknione.

– Kathy, Kathy, proszę, pomóż mi! – To było niewiele głośniejsze niż szept, a jednak wydawało się ogłuszające.

Ten głos, znała go. Dobrze go znała. Czy to była...

– Liz? – Kathy próbowała się wyprostować, ale jej ciało nagle było jak sparaliżowane. Skamieniałe.

Znała ten głos lepiej niż własny. Temu głosowi wszyscy się przysłuchiwali, podczas gdy Kathy była tylko uciążliwym dodatkiem. Kathy znała ten głos, nie – ona nienawidziła tego głosu. Nienawidziła Liz.

Wszyscy interesowali się tylko nią, Liz. Jej piękną siostrą. Bo Liz była jak słońce. Godna uwielbienia jak jakaś bogini. I Liz gdzieś tu była. Wołała ją. Wołała o pomoc. Przy czym to właśnie ona, Kathy, była tą, która zabrała Liz wszystko. Wszystko. Kathy teraz w pełni przebudziła się do życia. Uśmiechnęła się. Nie było tu nikogo, kto ochroniłby jej siostrę. Drżącymi palcami Kathy z lubością dotknęła noża, który ukryła w podwiniętym brzegu swojej koszuli.

– Liz, gdzie jesteś? – Wstała po cichu.

Wokół wciąż jeszcze było czarno.

– Tutaj, Kathy, pomóż mi, proszę! – Kathy omal nie przewróciła się

w strumieniu, tak zimna była woda. Wydawała się gęstsza niż jeszcze przed chwilą. Ale Kathy zignorowała ból i podchodzący coraz wyżej brak czucia w nogach. Następny krok postawi z pewnością na drugim brzegu.

Tak, była złą dziewczynką. W końcu przyszedł czas porachunków. Tym razem zabierze Liz również to, co jej jeszcze zostało.

Następny ranek przyniósł ciemne chmury, które jak szara chusta przykrywały niebo. Wydawało się, że się tak naprawdę nie rozwidni. Ale mimo to chmury nie zapowiadały deszczu – tak czuła Mary, bo już teraz było niemiłosiernie gorąco i duszno, a z ziemi unosiła się stęchła wilgoć, która przenikała jej ubranie. Mary odwróciła się do ogniska, które już dawno zgasło. Pozostali jeszcze spali albo przynajmniej udawali, że śpią. Z ciężkimi jak ołów kończynami usiadła. Wczorajszy marsz kosztował ją prawie wszystkie siły. Niewiarygodne, że do tej pory sobie radziła. A co będzie dzisiaj?

Jej wzrok wędrował bez przerwy po małej polance, bo zauważyła pusty śpiwór. Najwyraźniej ktoś wstał przed nią i zostawił swoje rzeczy obok legowiska. Mary rozejrzała się i stwierdziła, że brakuje Kathy. Akurat Kathy, której i tak strach było wejść w drogę. Mary podejrzewała, że ta dziewczyna dotychczas zostawiała ją w spokoju tylko z jednego powodu: dlatego, że ona była tak słaba. Dlatego, że nie stanowiła dla Kathy żadnego zagrożenia i była jedynie niewartym uwagi złem. Inni prawdopodobnie myśleli tak samo. Niech sobie myślą, co chcą.

Mary wstała, rozciągnęła się, a potem poszła spacerem nad strumień, żeby się umyć.

Wciąż jeszcze dręczyło ją pytanie o przeszłość. Skąd jestem? Ale nie było w niej żadnej gotowej odpowiedzi, tylko niepokojące obrazy. Na tych obrazach była małą, drobniutką dziewczynką, która leżała w łóżku i się bała. Nie, nie ciemności. Nie potworów w szafie.

Obawiała się tego, że drzwi się otworzą i wraz ze światłem do jej pokoju wpadnie cień jego.

Ale kim był on? Przysiadła właśnie na jednym z dużych kamieni nad wodą, gdy dostrzegła Kathy. Najpierw zauważyła tylko jej włosy. Rudo połyskiwały w słabym świetle. Leżała tam dziwnie skrzycona, a mimo to wyglądała tak, jakby spała.

Mary jednym susem przeskoczyła strumień i pobiegła do Kathy. Gdy podeszła bliżej, stwierdziła, że Kathy wcale nie śpi. Nie, miała szeroko otwarte oczy, a jej usta poruszały się nieustannie w bezgłośnym szepcie.

– Kathy? – Mary wahała się, czy dotknąć dziewczynę. Ale potem zebrała całą odwagę i potrząsnęła jej ramieniem. – Kathy, wszystko z tobą

w porządku?

Rudowłosa dziewczyna wydawała się wracać z jakiejś dalekiej podróży. Jej zielone oczy wwierciły się w jej... Wtedy Mary dostrzegła nóż, który Kathy trzymała w dłoni. Odsunęła się, przestraszona.

Dlaczego ma nóż? León ma przecież ten jedyny, czyżby jej go dał?

Kathy podążyła za jej spojrzeniem i jednym skokiem poderwała się na nogi. Wpatrywała się w nią wrogo, dziwnie nieobecny wyraz twarzy natychmiast zniknął.

„Nie, miała go od początku, ale ukryła przed nami” – domyśliła się Mary.

– Kathy, co...

Kathy powoli przesuwała się w jej stronę, groźnie wymachując przed sobą nożem.

– Mary, mała Mary. Myślisz, że przeżyjesz, jeśli będziesz udawać taką malutką. Ale teraz mamy małą tajemnicę, ty i ja. Hm? – Kathy uśmiechała się protekcjonalnie. – Jeśli cokolwiek opowiesz innym o tym, jak mnie znalazłaś, albo o nożu – Mary nie mogła oderwać oczu od ostrza, które Kathy trzymała teraz tuż przed jej twarzą – to osobiście zatroszczę się o to, żebyś tego wszystkiego nie przeżyła.

Mary w milczeniu skinęła głową, ciągle wpatrzona w nóż, który Kathy jednak niespodziewanie złożyła i schowała do kieszeni koszuli. A gdy Mary w końcu odważyła się podnieść wzrok, Kathy już zniknęła.

Młodzi ludzie wczesnym rankiem napełnili butelki wodą, z grubsza obmyli się nad strumieniem, opuścili las i znów pomaszerowali na rozległą przestrzeń. Gorący wiatr hulał po równinie. Ponieważ o świcie gwiazda zamigotała na niebie, wiedzieli, gdzie jest ich cel. Teraz wzięli kurs na odległe góry, które za chmurami ledwie było widać.

Wszyscy szli pogrążeni w ponurych myślach. Dzielne światło było przytłumione i czuli, że zagrożenie tym, co czaiło się na nich w ciemności, stało się bardziej realne. Okres ochronny minął. Skóra ich swędziała, a włoski na karku stanęły dęba, gdy usłyszeli pierwsze dalekie i ochryple wycie. A więc ich prześladowcy znów tu byli.

Nikt w grupie nie powiedział ani słowa, nie skomentował tego ostatniego, niedającego się nie słuchać krzyku. Szli gęsiego za Jebem ze zwieszonymi głowami, nawet się nie oglądając. Na końcu szła Kathy.

Jeb próbował utrzymać szybkie tempo, i chciał, żeby wszyscy szli w szeregu. Kilka razy podejrzewał, że Kathy chce się od nich odłączyć, ponieważ co jakiś czas przystawała kilka kroków z tyłu i pospiesznie przeszukiwała wzrokiem horyzont za nimi, gdy myślała, że nikt tego nie

widzi. Już rankiem przed wyruszeniem sprawiała wrażenie dziwnie niespokojnej, nie tak opanowanej jak zwykle. W Jebie rosła bezgraniczna wściekłość, gdy myślał o ubiegłej nocy. Przede wszystkim wściekłość na siebie. Miał nadzieję, że w przyszłości Kathy będzie się trzymać od niego z daleka.

Kiedy Jeb odwrócił się po raz kolejny, westchnął w duchu. Choć wszyscy byli jeszcze rześcy, już teraz było jasne, że Mary tego tempa długo nie wytrzyma. Była zaczerwieniona i ciężko oddychała.

„Co my z nią zrobimy? Nie możemy jej zostawić, ale przecież ona nie zdoła utrzymać tempa”.

Mieli przed sobą jeszcze cały dzień marszu, i to w tym niesamowitym świetle. A moc słońca i ciepło ognia nie ochroni ich dziś przed prześladowcami. Muszą być bardzo ostrożni. Również gwiazda świeciła tak daleko jak nigdy przedtem. Tymczasem nawet Jeba opuściła część jego optymizmu i chętnie oddałby prowadzenie grupy komuś innemu, ale zamiast tego musiał co jakiś czas dodawać im otuchy. Jednak nikt nie odpowiadał na jego uśmiech, nawet Jenna nie podniosła głowy, gdy się do niej odwrócił.

W jego głowie zabrzmiały ciche, ale natarczywe słowa. To było jak dalekie wspomnienie jakiegoś głosu, który znał, lecz nie mógł go do nikogo przyporządkować. To była jakaś mądrość z przeszłości. „Każdy przywódca jest sam, musi podejmować decyzje samotnie”. Słowa wypowiadał jakiś starszy mężczyzna, a on kochał brzmienie jego głosu. Ogarnęło go poczucie dawno zapomnianego bezpieczeństwa, ale już w następnej chwili uleciało, gdy Jenna za nim głośno krzyknęła.

Jeb szybko się odwrócił. Dziewczyna leżała na ziemi z wykrzywioną bólem twarzą i trzymała się za prawą kostkę. Jeb szybko zdjął plecak i przyklęknął obok Jenny. Leżała na boku i jęczała z bólu. Stopniowo podchodzili inni i zbierali się wokół nich.

– Co się stało? Coś sobie zrobiłaś?

Jenna mocno zacisnęła wargi.

– Potknęłam się o jakąś nierówność i chyba skręciłam kostkę.

– Daj mi to obejrzeć.

Jenna obydwoma rękami trzymała łydkę. Jeb ostrożnie wyciągnął rękę do jej stopy. Gdy lekko jej dotknął, dziewczyna krzyknęła.

– Aż tak źle? – zapytał.

W milczeniu skinęła głową.

– Na pewno nastąpiła na jedną z tych cholernych króliczych nor. Misza dobrze je zna – zabrał głos León. Misza przewiercił Leóna wzrokiem, ale

oszczędził sobie riposty. – Prawdopodobnie złamała nogę.

Wszyscy drgnęli. Złamanie nogi oznaczało niezdolność do dalszego marszu. Gorzej, oznaczało pewną śmierć.

Jeb zmusił się do zachowania spokoju. Nie był gotowy tak od razu przyjąć do wiadomości najgorszego.

Misza ukląkł teraz obok Jeba i oglądał kostkę Jenny.

– Uważam, że nie wygląda na złamaną. Nie widać żadnych kości wystających pod skórą, a stopa jest pod naturalnym kątem w stosunku do nogi. Mogę? – Jenna skinęła głową. – Muszę ci teraz przysporzyć bólu, ale chcę sprawdzić, czy możesz poruszać stopą.

Jenna zacisnęła zęby i jeszcze raz kiwnęła głową.

Misza ostrożnie objął jej stopę, poruszał ją powoli w lewo i w prawo, z góry na dół. Nie czuł żadnego oporu, ale przy każdym ruchu Jenna krzywiła się i jęczała. Na jej twarzy pojawiły się krople potu, które powoli spływały na oczy i nos.

– Myślę, że jest tylko skręcona. Normalnie goi się to przez kilka dni, ale do tego czasu trzeba oszczędzać stopę. A w tych okolicznościach? Właściwie potrzebowalibyśmy czegoś do schłodzenia, bo kostka z pewnością spuchnie.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał León.

– Nie mam pojęcia, po prostu to wiem. Mary, daj mi, proszę, opatrunki.

Mary poszperała w plecaku i wyjęła szeroki bandaż.

– Daj, ja to zrobię, umiem – powiedziała.

Misza patrzył na nią pytająco, ale wydawało się, że jest tego pewna, więc ustąpił jej miejsca. Jeb wyjął ze swego plecaka butelkę z wodą i podał Mary.

– Daj jej jedną z tabletek i polej tym opatrunek. To schłodzi stopę i napnie bandaż, żeby opuchlizna nie mogła się tak mocno rozwinąć. – A po chwili dodał: – Te napadowe powroty pamięci są niezwykle, prawda?

Jenna opadła z powrotem na ziemię i z wdzięcznością patrzyła na Mary, która fachowo zakładała jej opatrunek. Jeb i Misza dołączyli do reszty i teraz wszyscy razem siedzieli trochę z boku.

– Nie będzie mogła dalej iść. Musimy wrócić nad strumień albo wejść do lasu, żeby zbudować dla niej nosze – oznajmił Jeb.

– Nie – powiedział León pewnym głosem. – Nie zrobimy tego. Idziemy dalej.

– Chcesz ją zostawić? – zdumiał się Jeb.

– Tak. Gdybyś miał zdrowy rozum, wiedziałbyś, że to jedyna możliwość – odparł León. Jego twarz była bez wyrazu. Już wyciągnął wnioski z sytuacji. – Nie możemy jej zabrać ze sobą i jeśli nie może chodzić, musi zostać.

– León... – Jeb podszedł do niego.

– Co chcesz zrobić? Dać mi w mordę? – León się wyprostował, lecz i tak sięgał Jebowi tylko do nosa. – Mówię, jak jest.

– Musimy wrócić nad strumień albo do lasu i zbudować nosze.

– A potem?

– Potem zaniemiemy ją do tych bram.

– Ach tak, a co dalej? Już to przemyślałeś? Będziemy losować, kto ma przejść przez bramy, a kto zostać tutaj? Jedna z osób, które zniosą Jenę aż do tych wrót, ma się poświęcić, chociaż ona bez naszej pomocy nigdy by tam nie dotarła?

– Potem ja zrezygnuję ze swojej bramy. Zabieramy ze sobą Jenę i jeśli uda nam się dotrzeć do bram, to ja zostanę.

León skrzywił się i popatrzył na niego ze smutkiem.

– Jeb, to naprawdę bohaterka postawa, poważnie, ale to się nie może udać. Po pierwsze, jest bardziej niż prawdopodobne, że w obliczu zagrażającej ci śmierci podejmiesz jednak inną decyzję, a...

Jeb chciał zaprotestować, ale León ostrzegawczo podniósł rękę i ciągnął dalej:

– ...po drugie, nawet gdybyś naprawdę został, kto ci zagwarantuje, że w następnym świecie my ją będziemy holować? – León położył Jebowi rękę na ramieniu. – Przykro mi, nie jestem nieludzkim potworem. Gdyby twoja propozycja miała sens, pomógłbym ci nieść Jenę, ale zrozum wreszcie: ratowanie jej życia oznacza śmierć nas wszystkich.

Słowa Leóna były twarde. Uczciwe i straszne, mimo to Jeb nie był gotowy się poddać.

– A wy? – zwrócił się do Tiana i Kathy. – Pomożecie mi?

Misza w milczeniu pokręcił głową, potem odwrócił się i odszedł. Kathy natychmiast poszła za nim. Tylko Tian jeszcze na chwilę został, potem powiedział cicho: „Przykro mi”. I też odszedł.

– Jeśli chcesz, wyjaśnię Jennie, jak się sprawy mają – spokojnie powiedział León. Szybko i twardo poklepał Jeba po ramieniu. – Będiesz idiotą, Jeb, jeśli spróbujesz ją ratować, ale rób, jak czujesz, że musisz!

Po tych słowach León poszedł do Jenny, ukląkł przy niej i przez chwilę z nią rozmawiał. Jennie wyrwał się rozpaczliwy szloch. Potem León miękko się podniósł i poszedł do Miszy, Tiana i Kathy, którzy już na niego czekali.

Jeb opadł na ziemię obok Jenny.

– Zostanę tu i ci pomogę – powiedziała nieoczekiwanie Mary.

Jeb patrzył na nią zdziwiony.

– Ty?

– Tak, ja. Zbudujemy nosze.

– Nie – odparł Jeb. – Nie masz dość siły, żeby temu sprostać. Będziemy musieli nadłożyć sporo drogi. I jeśli ty też w którymś momencie się załamiesz, nie dam rady holować również i ciebie.

– Dam radę – zapewniła Mary. – Jestem silniejsza, niż wszyscy myślicie.

Jenna otarła łzy i spojrzała na Mary.

– León ma rację. Musicie mnie zostawić, jeśli chcecie żyć. Dam sobie radę. Jakoś...

– Zostaję z tobą – zdecydowanie powiedział Jeb.

– Jeb, nie. Co się stanie, gdy dojdziemy do bram? Tam też chcesz się poświęcić? Jeśli ktoś z nas powinien przeżyć, to właśnie ty.

– Gdy już tam będziemy, wpadnę na jakiś pomysł – upierał się Jeb. – Ale ty, Mary, musisz iść z nimi. Proszę. Zrób to ze względu na siebie, idź.

– Ale przecież nie mogę...

– Owszem, możesz. Gdybym nie upadła, to prawdopodobnie ty byłabyś osobą, która nigdy nie dotarłaby do tych bram, i ty to wiesz. Spójrz na to jako na swoją szansę ratowania życia. – Jenna chwyciła dłoń Mary i mocno ją uściśnęła. – Mary, proszę, idź.

Ciemnowłosa dziewczyna niepewnie wstała. Długo patrzyła z góry na Jennę, potem dołączyła do grupy Leóna. Wszyscy zarzucili swoje plecaki i byli gotowi do odejścia.

Jeb również wstał. Dał Leónowi znak, że chce z nim porozmawiać sam na sam, zanim grupa się oddali.

– León?

– Co?

– Proszę cię o nóż. Nie chcę być bezbronny, kiedy przyjdzie co do czego...

Mina wytatuowanego chłopaka się nie zmieniła.

– Nie, Jeb.

– Poznałem cię do tej pory na tyle dobrze, by wiedzieć, że jesteś egoistą, ale bez serca nie jesteś. Daj mi nóż.

– Myśl o mnie, co chcesz, ale nie dam ci noża. Ja... – Spojrzał na pozostałych. – Potrzebujemy go tak samo jak wy, jeśli chcemy przeżyć.

Jeb wiedział, że León ma rację.

– Masz to. – León niespodziewanie wcisnął mu w dłoń swoją włócznię, którą ostrzył przez tyle godzin. – Przynajmniej nie będziesz bezbronny, gdy przyjdą. Poza tym dobrze się sprawdza jako oparcie podczas wędrówki. Będziesz jej potrzebował.

Jeb zaniemówił. W milczeniu patrzył na włócznie.

– Dzięki, Leónie – wydukał.

– W porządku, *compadre*. Za to, co robisz, masz mój szacun. – Zwlekał. – W innym czasie, w innym życiu prawdopodobnie moglibyśmy się zaprzyjaźnić... albo coś w tym rodzaju.

Jeb głośno przełknął ślinę.

– Mam jeszcze jedną prośbę.

León zachęcił go ruchem głowy, by mówił dalej.

– Obiecuj mi, że doprowadzisz Mary do bram. To, co się tu dzieje, nie może pójść na marne.

León otwarcie spojrzał na Jeba.

– Mogę ci tylko obiecać, że spróbuję to zrobić. Będę jej pomagać, jak się da, ale tylko tak długo, dopóki będzie mogła samodzielnie iść, a ja pozostanę w grupie. Jeśli postanowię odłączyć się od pozostałych, zostawię ją. Do tej chwili masz moje słowo.

Jeb nie mógł żądać więcej.

Przerazający krzyk szybko zakończył ich pożegnanie. Wyruszająca grupa mimo woli się ścieśniła, a Jenna przywarła do ziemi. Mary zakryła sobie uszy, ale to niewiele pomogło w stłumieniu tego przenikliwego skrzeku, który wydawał się szybko zbliżać przez step i wypełniał całą przestrzeń. Brzmiał jak cała horda drapieżników, która podjęła świeży trop.

– Musicie iść.

León podał mu rękę.

– Życzę szczęścia.

– Ja tobie i wam też.

Wytatuowany chłopak odwrócił się i poszedł do grupy. Cała piątka bez zwłoki pomaszerowała. Po chwili ich sylwetki zasłoniła trawa.

Jeb usiadł obok Jenny, która tymczasem znów się wyprostowała.

– Powinieneś pójść za nimi – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nie. – Jego odpowiedź brzmiała niemal przekornie.

– Dlaczego to robisz? Jeśli poświęcasz życie dla mnie, to oboje zginiemy.

– Nie robię tego dla ciebie, robię to dla siebie. Gdybym cię tu zostawił, wszystko inne straciłoby sens. Być może żyłbym dalej, ale nie mógłbym znieść myśli, że zostawiłem kogoś na pewną śmierć.

– Ale przynajmniej byś przeżył, a tak prawdopodobnie oboje zginiemy.

Jeb pokręcił głową.

– Jeszcze nie wszystko stracone.

– Jeśli coś ci się stanie, to będzie moja wina – z goryczą powiedziała Jenna. – I wtedy ja będę odpowiedzialna za twoją śmierć. To lepiej?

– Nie, nie będziesz. To wyłącznie moja decyzja.

– Gdybym nie upadła...

– Ta rozmowa nie ma sensu. Jest, jak jest, zastanawianie się nad tym, co by było, gdyby, nie posunie nas ani o krok naprzód.

Milczeli przez chwilę.

– Jak myślisz, mamy szansę uciec przed tą wyjąca zgrają? – zapytała Jenna.

Jeb wsłuchał się, ale w tej chwili nie słyhać było tych, którzy ich ścigali.

Dlaczego zamilkli? Co nimi powoduje?

– Prawdopodobnie jeszcze nie podjęli naszego tropu. To znaczy, że mamy przewagę. Powinniśmy ją wykorzystać.

– I jak masz zamiar to zrobić?

Odpowiedział wymijająco.

– Nie możemy zostać na równinie, tu jesteśmy zbyt łatwą zdobyczą. To oznacza, że musimy wrócić do lasu i przebijać się tamtędy. To wprawdzie będzie męczące, ale myślę, że praktyczniejsze, bo tam będziemy mieli ochronę przed upałem i niepogodą, i od czasu do czasu znajdziemy wodę. Jeśli nie zgubimy się w lesie, to możemy zdążyć dotrzeć do tych bram.

Nie powiedział tylko, że będą się bardzo wolno posuwać naprzód, bo albo Jenna musiałaby skakać na jednej nodze, albo on musiałby ją nieść. Przedzieranie się w lesie przez gęste krzaki, bez dróg i ścieżek, kosztowałyby wiele sił.

Ale Jenna nie ustępowała.

– Dobrze, ale jak chcesz to zrobić?

– Pójdę za Leónem i pozostałymi. Przejdę kawałek i wydepczę trawę, zostawię wyraźne ślady, tak żeby nasi prześladowcy poszli tropem grupy, a nie za nami.

– Jeśli twój plan się powiedzie, sprowadzisz na innych poważne zagrożenie.

– A co poza tym moglibyśmy zrobić? Oni albo my, ale myślę, że do tego nie dojdzie. Oni są w piątkę, nikt nie jest ranny, mogą uciec, my nie.

– A jeśli się nie uda?

Jeb spojrzał na nią przenikliwie.

– Musi się udać. Nie mamy innej szansy.

Jeb szedł za grupą przez jakieś dziesięć minut. Zrobił wiele drobnych kroczków, wydeptał ścieżkę, powyrywał włócznie trawę i połamał źdźbła, potem pospiesznie wrócił do Jenny.

Wtedy znów usłyszeli pojedyncze, przerażające okrzyki w oddali. Nie dało się określić, skąd dochodzą. Popatrzyli na siebie przestraszeni.

– Musimy ruszać – szybko powiedział Jeb.

Wyciągnął do Jenny rękę i podciągnął ją na nogi. Stała na jednej nodze i rozglądała się niepewnie. Gdy Jeb do niej podszedł, położyła mu rękę na ramieniu i oparła się o jego biodro. Przeszkadzał jej plecak. Jeb wziął go i przełożył zawartość do swojego. Plecak Jenny rzucił na ziemię.

– Może być? – zapytał.

Jennie pot wystąpił na czoło. Skinęła głową i zrobiła pierwszy ostrożny podskok. Z początku trudno mu było ją podtrzymywać, ale przy następnych krokach było już lepiej.

To było męczące. Szli naprzód już nieskończenie długo. Z każdym krokiem ich wiara topniała.

Wycie odbijało się w dali pustym echem, ale Jeb nie mógł stwierdzić, jak daleko w istocie był pościg. Wyjące głosy rozbrzmiewały dziwnie blisko i jakoś tak znajomo, osadzały się w głowie i znów tam rozbrzmiewały. Jeb wciąż się oglądał, próbował rozpoznać w wysokiej trawie cienie prześladowców, jednak wciąż nie było ich widać.

Minęła godzina, gdy wycie się zmieniło. Okrzyki stały się bardziej nerwowe i dzikie. Jeb podejrzewał, że pościg dotarł do miejsca, w którym Jenna skręciła kostkę. Wciąż jeszcze się zastanawiał, jak mogą wyglądać te stwory, które na nich polowały. Misza mówił, że bił od nich lodowaty chłód. Ale Jeb nie miał odwagi wyobrazić sobie więcej niż kilka podobnych do cieni

postaci, które przeszukiwały wydeptaną trawę i obwąchiwały pozostawiony plecak. Dostał gęziej skórki.

A co będzie, jeśli ten numer z fałszywym tropem nie zadziała?

Obok niego dyszała Jenna. Była wykończona. Teraz potrzebowała już kilku sekund pomiędzy jednym a drugim podskokiem, a każdy z nich kończył się budzącym obawy chybotem. To, że się przewróci, było tylko kwestią czasu, i Jeb nie był pewny, czy zdoła złapać ją na czas.

– Robimy przerwę – powiedział, chociaż wszystko w nim krzyczało, żeby iść dalej.

– Nie możemy sobie na to pozwolić – wysapała Jenna.

– Przynajmniej czegoś się napij.

Wydawało się, że Jenna ma coś przeciwko temu, ale potem bez słowa opadła na ziemię. Jeb odłożył plecak i podał jej butelkę z wodą. Piła pospiesznymi, krótkimi łykami, potem oddała mu butelkę i on też zaspokoił pragnienie. Jeśli przeżyją następną godzinę, dotrą do lasu i prawdopodobnie znajdą tam wodę. Do tej chwili muszą za wszelką cenę pozostać na nogach.

– Zostaw mnie. – Jenna znów próbowała go przekonać. – I tak wcześniej czy później będziesz musiał to zrobić. Sam masz szansę. Wiem, że beze mnie może ci się udać.

Popatrzył na nią.

– Zapomnij o tym, Jenno. Albo idziemy razem, albo wcale.

Jenna spojrzała mu głęboko w oczy. Była całkowicie spokojna, ale Jeb przestraszył się jej następnego zdania.

– Nie idę dalej. Nie mam siły.

Spodziewał się tej chwili, lecz miał nadzieję, że zdążą dojść przynajmniej do lasu. Tam mogliby trochę odpocząć.

– Będę cię niósł – powiedział i podniósł się.

– Jeb!

Poczuł, jak rośnie w nim gniew. Gniew, który dawał mu siłę.

– Mogę to zrobić i to zrobię. Jeśli trzeba, stłukę cię do nieprzytomności. Ale wolałbym tego nie robić. – Uśmiechał się zachęcająco. – Nie pójdę bez ciebie – powiedział i znów usiadł w trawie.

Przez chwilę milczeli. Jeb czuł, że Jenna na niego patrzy, ale on wpatrywał się w ziemię.

– Proszę – błagała. – Proszę, nie rób mi tego. Nie chcę być winna twojej śmierci.

– To pozwól się nieść.

– Cholera, dlaczego jesteś taki uparty?

Jeb tylko się uśmiechnął. Wygrał.

– Ale tylko pod jednym warunkiem.

Pokręcił głową.

– Żadnych warunków.

– Jeśli już nie dasz rady mnie nieść, zostawisz mnie i uratujesz przynajmniej swoje życie.

Nie odpowiedział, wstał i postawił ją na nogi.

– Musisz założyć mój plecak – powiedział.

– Plecak i ja? Jak chcesz dać sobie z tym radę?

– Potrzebujemy rzeczy, które w nim są, no i nie jest ciężki. Poza tym, to ty go będziesz niosła. – Próbował śmiać się z sytuacji. – W ten sposób każde z nas musi nieść swój ciężar. – Odwrócił się do niej tyłem i ugiął kolana. – Wdrap mi się na plecy, wezmę cię na barana.

Jenna założyła szelki plecaka, położyła ręce na ramionach Jeba i się podciągnęła. Jeb trochę się zachwiał, potem rozłożył ciężar. Wyprostowanie ugiętych kolan było trudniejsze, niż się spodziewał. Oparł się na włóczni Leóna i z westchnieniem podniósł się do góry.

– Jeb...

– Nic teraz nie mów – fuknął.

Potem zrobił pierwszy krok. Było ciężko. Zacisnął zęby i pomaszerował w kierunku lasu.

Mary została daleko w tyle. Człapała za grupą i wyraźnie poruszała się coraz wolniej. León zwolnił kroku do czasu, aż się z nią zrównał. Twarz Mary płonęła z wysiłku. Wciąż dyszała, chociaż od rozstania z Jebem i Jenny nie minęło wiele czasu.

– Musisz iść szybciej – powiedział León.

– Robię, co mogę.

– Ale to nie wystarczy.

– A czemu się tym martwisz? Jennę przecież zostawiłeś.

– Ona była ranna, to co innego. Nie było innej możliwości.

– To kłamstwo. Jesteś zasranym kłamcą! Moglibyśmy ją ponieść. Na zmianę.

– I wszyscy byśmy przez to zginęli.

Wpatrywała się w niego wściekła.

„Wściekłość jest dobra. Wściekłość doda jej sił. Muszę ją rozgniewać” – postanowił.

– Idź szybciej! – zażądał.

– Zostaw mnie w spokoju!

León zrobił krok w jej kierunku, ona zaś zeszła na bok.

– Mówię to ostatni raz. Idź szybciej albo będziesz przeklinać dzień, w którym się spotkaliśmy.

– Już to robię.

Podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć.

– Ani się waż – syknęła Mary.

León zobaczył w jej oczach gniew. Odwrócił się zadowolony. Miał nadzieję, że Mary od tej chwili nie będzie już zostawać w tyle.

– Mówię wam, z Jebem jest coś nie tak – Kathy zwróciła się do Miszy i Tiana.

– Co masz na myśli? – Tian odgarnął pasemko włosów z twarzy i na nią spojrzał.

– No, całe to gadanie o labiryncie i takie tam.

– Nadal mu nie wierzysz? – spieszył się Misza.

– Wierzę, myślę, że mówi prawdę, ale tej prawdy jest tylko tyle, ile chciał nam powiedzieć. Coś przed nami ukrywa, może zna jeszcze jakieś inne przesłanie.

– Wszystko, co powiedział, na razie się zgadza. Gwiazda, lęki, które nas prześladowają. Założę się, że również bramy będą, jak obiecał – stwierdził Misza.

– On nam nic nie obiecał – syknęła Kathy.

Żaden z chłopaków na to nie zareagował.

– Właściwie kazał nam poruszać się w ciemności po omacku. Zadaliście sobie pytanie, dlaczego był w labiryncie przed nami? – pytała dalej Kathy. – I dlaczego został z Jenną?

– Jest po prostu dobrym człowiekiem – wyjaśnił Tian.

Kathy spojrzała na niego pogardliwie.

– Naprawdę w to wierzysz? Jesteś taki naiwny? Dlaczego miałby się poświęcać dla kogoś, kogo nie zna? Jeśli to prawda, co mówi, to w każdym świecie jest o jedną bramę mniej niż nas. Tylko jedno z nas przejdzie przez ostatnią bramę, wszyscy inni przedtem umrą. Po co się zatem poświęcać, dlaczego ratować kogoś, kto tak czy inaczej jest skazany na śmierć?

– Bo nie potrafi inaczej!

León zbliżył się do nich niepostrzeżenie i przysłuchiwał się rozmowie.

– Myślisz więc, że to po prostu syndrom altruisty? – zapytała z pogardą Kathy.

– Nie, uważam go za idiotę, bo ryzykuje życie dla kogoś, ale w odróżnieniu od ciebie szanuję jego poświęcenie.

– Poświęcenie, gdybym...

– Zamknij dziób, Kathy! Zamknij wreszcie dziób!

Głos Leóna sprawił, że wszyscy poczuli chłód.

– Wszyscy wiemy, dlaczego nie mówisz dobrze o Jebie. Nigdy więcej nie mów o nim źle, w przeciwnym razie osobiście zamknę ci jadaczkę.

– Powiedz, o czym mówisz...

Nie dał jej dojść do głosu.

– Nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa. Ani jednego zasranego słowa albo przysięgam ci, że się zapomnę.

Za nimi w oddali zabrzmiało przerażające wycie i skrzeczenie. Drgnęli. Tian zaczął niezrozumiale jękać się i dreptać. Inni patrzyli na niego z troską i mieli nadzieję, że się opanuje.

– Cholera – zaklął León. – Słyszycie to? Dlaczego idą za nami, a nie za Jebem i Jenną?

– Może oni już nie żyją – rzucił Misza.

León zazgrzytał zębami.

– Nie. Jeb jak zwykle z góry przemyślał kolejny krok. Udało mu się, gnojki, jakoś dokonać tego, że idą naszym śladem, a nie jego.

„Jeb, jesteś sprytniejszy, niż myślałem” – dodał w duchu.

W tym momencie Tian rzucił się na ziemię. Leżąc, na przemian przyciskał pięści do uszu i bił się po głowie.

– Zróbcie coś, żeby przestali. Proszę! Już tego nie wytrzymam, to doprowadza mnie do szału. Ktoś powinien stłumić ten dźwięk. Proszę, zróbcie coś! To się musi skończyć! Skończyć!!!

Rozpaczliwe wrzaski Tiana mieszały się z gardłowymi okrzykami tych, którzy ich ścigali. Napięcie w grupie było nie do zniesienia i wszyscy zastygli w bezruchu.

Kathy podeszła do Leóna i tak rezolutnie zażądała jego noża, że wręczył go jej w mgnieniu oka. To, że ostrzegawczo spojrzała przy tym na Mary, nie zwróciło niczyjej uwagi. Odcięła kilka centymetrów dolnego brzegu swojej koszuli, związała je razem i opasała nimi głowę Tiana. Gdy się bronił i nie przestawał płaczliwie jęczeć, wymierzyła mu siarczysty policzek. Nagle zapanował spokój i Tian oprzytomniał. Starannie naciągnął brązową opaskę na uszy i położył na nich dłonie. Na chwilę zamknął oczy.

– Dziękuję, Kathy – wydyszał.

León z powrotem schował nóż.

– Od tej pory nie będzie przerw. Jeśli ktoś nie da rady, zostaje.

Jeb pocił się każdym porem skóry, ale powoli, ze wzrokiem wbitym w ziemię, maszerował w kierunku lasu. Lewą dłonią obejmował nogę Jenny, prawą opierał się na włóczni Leóna.

Od pewnego czasu miał wrażenie, że wycie za nimi się oddalało. Gdyby miał siłę, uśmiechnąłby się z zadowoleniem, ale był już wykończony. Przez pierwsze pół godziny całkiem płynnie szedł naprzód, ale teraz ciężar na plecach przyginał go prawie do ziemi. Nie tylko dzisiejszy marsz załazał mu za skórę, lecz także wysiłek ostatnich dni. Do tego dochodziło napięcie nerwowe, które też odbierało siły.

„Chyba będę chory” – pomyślał.

Twarz mu płonęła, ale w tym upale to nic dziwnego. Na chwilę podniósł głowę. To, co zobaczył, dodało mu odwagi. Byli wyraźnie bliżej lasu, co zapowiadało wypoczynek i cień. Koniecznie musieli znaleźć wodę, bo język przykleił mu się do podniebienia. A jak się miała Jenna?

Odkąd wyruszyli, nie zamienili ze sobą słowa. Jenna chyba czuła, że potrzebował pełnego skupienia. Cicho przytuliła się do niego. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku. Na dłuższą metę rola tobołka na czyichś plecach na pewno nie była przyjemna, w dodatku krew musiała słabo krążyć w jej nogach, tak że kontuzjowana stopa prawdopodobnie piekielnie bolała. Mimo

to nie jęczała.

– Myślę, że nadciąga deszcz – powiedziała nagle.

Jeb omal się nie potknął, tak go to zaskoczyło. Odwrócił głowę. Na horyzoncie pociemniało, ale nie był w stanie powiedzieć, czy to były deszczowe chmury.

„Deszcz byłby cudowny – pomyślał, starając się nie robić sobie nadziei. – Las. Las jest wszystkim, co się liczy, tam znajdziemy ochronę i wodę”.

Na jego widok poczuł, że ma jeszcze siły, by dalej nieść Jennę. Nie, nie podda się.

– Nie mam pojęcia, czy to deszcz – odpowiedział.

– Myślę, że twój trik z fałszywym śladem się udał – zauważyła z nadzieją w drżącym głosie.

– Tak, też tak myślę. – Nie powiedział jej, że równie dobrze myśliwi mogli się rozdzielić i być może polować w dwóch grupach.

A jednak miał dobre przeczucie. Uda im się dotrzeć do lasu, a potem zobaczą, co dalej.

– Dajesz jeszcze radę? Może powinniśmy zrobić przerwę? – zapytała Jenna.

– Wszystko w porządku. Odpoczniemy w lesie, tu jest za gorąco. A jak ty się czujesz?

– Stopa trochę boli, ale poza tym wszystko dobrze.

Zdawało mu się, że bardzo delikatnie opisała swój stan, żeby nie sprawiać mu dodatkowych kłopotów. Cieszył się, że Jenna jest przy nim, mimo wszystko.

– Jenna? Przypominasz sobie cokolwiek sprzed tego czasu w labiryncie?

Przez chwilę milczała, jakby musiała się zastanowić.

– Nie... nie całkiem. Tylko pojedyncze obrazy, które się pojawiają i znikają. Wiem, że mają coś wspólnego ze mną, ale nie potrafię ich prawidłowo skojarzyć.

– Proszę, opowiedz mi o tym. – Jeb miał nadzieję, że dowie się o Jennie więcej i odwróci to trochę jego uwagę od wysiłku.

– Jak mówiłam, czasem pojawiają się obrazy. Widzę samą siebie jadącą na koniu. To duże, piękne zwierzę. Jesteśmy na jakichś zawodach i widzowie zagrzewają mnie do walki. Gdy próbuję skupić się na tym obrazie, wszystko się rozmywa i stoi przede mną jakaś kobieta. Ma na sobie białą sukienkę, jej jasne włosy są ciasno związane z tyłu głowy. Patrzy na mnie z góry i mówi coś, ale nie słyszę jej głosu. Wszystko, co mówi, pozostaje niezrozumiałym, bezsensownym mamrotaniem. Potem ta scena znika i leżę na plecach,

wpatruję się w czystą biel. Nic, tylko biel. Żadnych linii, żadnych kształtów. Gubię się w tej bieli. W końcu pojawia się nade mną twoja twarz. Pochylasz się i wypowiadasz swoje imię, i to jest... tak, jakbym cię znała od dawna.

„Ja też się tak czuję” – pomyślał Jeb, ale tego nie powiedział.

Uczucia z przeszłości nie miały znaczenia, liczyła się tylko obecna sytuacja. A jednak przypominał sobie każdy szczegół pierwszego spotkania. Jak bezbronna była wtedy, gdy leżała naga. Jej widok głęboko go wzruszył i to się nie zmieniło.

– I nie masz pojęcia, co to wszystko oznacza? – zapytał, żeby odsunąć te myśli.

– Najmniejszego. Jazdę na koniu mogę sobie jeszcze jakoś wytłumaczyć, ale o co chodzi z tą starą kobietą, nie pojmuję. Ta scena jest jakaś niepokojąca.

– Rozumiem. – Jeb był zadowolony, słysząc głos Jenny. Lubił jej głos, towarzyszył mu, gdy z trudem stawiał kroki w trawie. Uspokajała go myśl, że nie jest sam.

– Wiesz, czuję się tak, jakbym wypadła z ram czasu. I jestem przekonana, że mogę do tego czasu wrócić. Że ty też możesz. Musisz tylko wytrzymać, ale zamiast ci pomóc... zamiast pomagać sobie nawzajem w tym, żeby wytrzymać, niesiesz o wiele za dużą i za ciężką dziewczynę, nie zważając na wszelkie niebezpieczeństwa, przez jakiś obcy świat, i próbujesz dokonać niemożliwego. Wiesz co, Jeb?

– Co?

– Lubię cię.

Gdy pojawił, co usłyszał, twarz zaczęła mu płonąć, i tym razem nie miało to nic wspólnego z rozgrzanym powietrzem. Jenna powiedziała głośno to, co czuł przez cały czas, lecz nie odważył się wyrazić, i teraz te słowa zawisły pomiędzy nimi. Zamyślił się.

Byli w jakimś obcym świecie. Wypadli z ram czasu – jak nazwała to Jenna. Ścigano ich. Jenna była ranna i było bardziej niż prawdopodobne, że nie dotrą do bram na czas. Jeśli nie zdarzy się cud, umrą.

Jak powinien na to zareagować? Powiedzieć, że też ją lubi? Dobrze się przy niej czuje i...

Nie, nie ma żadnego „i”, nie może być.

– Ja też cię lubię, Jenno. – Jeb się zdziwił, że to powiedział.

– Wiem – odszepnęła.

Dopóki nie dotarli do lasu, milczeli.

Po kłótni pomiędzy Mary i Leónem wszyscy szli gęsiego w milczeniu. Strach, że znowu usłyszą nerwowe krzyki i być może ci, którzy ich ścigają, jeszcze się zbliżą, okropnie ich męczył. Mimo to trochę zwolnili tempo. Po prostu szybciej iść nie mogli.

León szedł z przodu, za nim Mary i Misza, a w pewnej odległości podążali Tian i Kathy.

– Co z tobą? – syknęła Kathy, gdy Tian znów się potknął.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby tym razem naprawdę miał upaść, ale zaraz odzyskał równowagę.

Tian się nie odwrócił.

– Nic.

– Płaczesz?

– Bzdura.

Kathy widziała, jak wycierał oczy rękawem koszuli.

– Płaczesz – stwierdziła szyderczo.

Tian gwałtownie się zatrzymał.

– To pot zalewa mi oczy. Coś jeszcze?

– Hej, przecież wolno spytać! Ciesz się, że mnie w ogóle interesuje, co z tobą.

Tian był na to za słaby, ale najchętniej głośno by się roześmiał. Co ona sobie wyobrażała? Czyż próbowała być dla niego miła, czy coś knuła? Odsunął na bok niebieskie pasemko włosów i odwrócił się do Kathy. Patrzyła na niego zielonymi oczami i znów miał wrażenie, że z nią jest coś nie tak. Była dziwna. Porywczą, zimną jak lód, nieczułą i... bardzo ładną. Przemknęło mu przez myśl, że nie wie, czy kiedykolwiek przedtem interesował się dziewczynami.

– Dobrze – powiedział. – Uprzejmie dziękuję!

Przez chwilę szli obok siebie. Tian był podenerwowany. Kathy podeszła do niego, ale potraktował ją obojętnie. Musiał przyznać, że była bardzo seksowna. Nawet tu, pocąc się w upale, wciąż była najbardziej podniecającą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. To znaczy, jaką prawdopodobnie kiedykolwiek widział. Próbował niepostrzeżenie przyjrzeć się jej ciału. Zobaczył pojedynczą kroplę potu spływającą po szyi i znikającą między piersiami.

– Podobam ci się – stwierdziła Kathy.

Omiał znów się nie potknął. Po czym poznała, że najchętniej tu i teraz, spoconą czy nie, namiętnie by pocałował?

– Myślałem o Jemie i Jennie – odparł pospiesznie.

Dziwnie się uśmiechnęła, jakby znała każdą jego myśl.

– A o czym konkretnie? – zapytała wyraźnie ubawiona.

Tian szukał słów.

– Że nie powinniśmy byli zostawiać ich samych. Że powinniśmy przynajmniej spróbować im pomóc.

To nie było do końca kłamstwo, bo dokładnie o tym myślał, zanim Kathy go zagadnęła. I owszem, to go zasmucało.

– Pomóc? – Kathy uniosła brwi. – Jak mielibyśmy im pomóc?

– Nie wiem. Ale Jenna i Jeb byli mili. Nie zasłużyli na taki los.

Podeszła bliżej i łagodnie położyła dłoń na jego ręce. Poczował mrowienie na skórze i bicie serca.

– Nikt na to nie zasłużył, Tian – powiedziała miękko. – Ale przecież nas wszystkich czeka to samo. Każdy musi wiedzieć, na czym stoi.

– To cholernie mocne słowa.

Palcem wskazującym wodziła powoli wzdłuż jego przedramienia.

– Przyznaj, płakałeś przedtem.

– Byłem smutny.

– I lubisz mnie, prawda? – pytała natarczywie.

Tian odchrząknął speszony.

– Tak.

Następne pytanie Kathy go zaskoczyło.

– Co byś zrobił, gdyby Mary przytrafiło się to co Jennie?

– Nie zostawiłbym już nikogo. Nigdy więcej. Nie mógłbym.

Nagle zabrała dłoń. Jej spojrzenie było nieruchome i złe.

– Wiesz co, Tian – powiedziała lodowatym tonem. – Jesteś słabeuszem. Moglibyśmy to wszystko razem przetrwać, ale nie potrafisz ustalić priorytetów. Najpierw musisz ratować tych, których lubisz. A właśnie przed chwilą powiedziałeś, że mnie lubisz. Więc dlaczego, do diabła, ratowałeś Mary? – Udawiała obrażoną. – Nie powinieneś się troszczyć o to, co się dzieje z innymi. Tylko o mnie.

Chciał coś odpowiedzieć. Zapewnić, że myślał o niej, że poświęciłby się dla niej.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko – zapewnił słabo. I jednocześnie był za to na siebie zły. Kathy znów udało się go zmanipulować, przyciągnąć tylko po

to, by tym mocniej go odepchnąć.

– Za późno, chłopczyku. – Jeszcze raz spojrzała na niego z naciskiem. – Teraz zostaw mnie w spokoju i przestań się gapić na moje piersi.

Tian zaczerwienił się z zakłopotania. Gdy podniósł wzrok, Kathy wciąż jeszcze patrzyła na niego. Na jej twarzy wypisana była pogarda. Bezgraniczna pogarda.

Znów kogoś rozczarował. Co? Dlaczego znów? Czego nie mógł sobie przypomnieć? Ciężar przeszłości przebijał się na powierzchnię, ale nie mógł go pojąć, jednak poczucie, że zawiódł, ogromnie zawiódł, pozostawało.

Zaczęło mu burczeć w brzuchu, żółć podeszła do gardła. W ostatniej chwili odwrócił się i zwymiotował w trawę. Mimo silnych torsji, słyszał dźwięczny śmiech oddalającej się Kathy.

León zauważył, że Tian się odwrócił i omal ducha nie wyzionął wraz z wymiocinami. Gdy Kathy z uśmiechem zadowolenia przemaszerowała obok niego, chwycił ją za rękę i przytrzymał.

Energicznie strzepnęła jego dłoń, ale stanęła.

– Co znów narobiłaś? – zapytał gniewnie.

Misza i Mary oglądali tę scenę z pewnej odległości.

– Ja? – Popatrzyła niewinnie. – Dlaczego wszystko to musi być moja wina? Trochę tylko gawędziłam z Tianem. Nie wiem, dlaczego zrobiło mu się niedobrze. – Wzruszyła ramionami.

León wpatrywał się w nią.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

Na jej ustach igrał wredny uśmieszek.

– Szkoda. Powiedziałam mu tylko, żeby przestał wciąż gapić się na moje cycki, bo i tak nigdy nie będzie miał szansy bliżej ich poznać. – Mrugnęła do niego. – To oczywiście nie dotyczy wszystkich.

To było niepojęte. Kathy była niepojęta. Co za suka.

„Ty przeklęta zdziro” – pomyślał León.

Zacisnął usta i powoli się pochylił.

– Swoimi zasranymi gierkami tylko nas zatrzymujesz. Jeśli Tian rzyga, nie może iść. Jeśli on nie idzie, zatrzymuje się cała grupa i nie posuwamy się naprzód. Nie kapujesz?

Patrzyła na niego pyszałkowato.

– A kto potrzebuje Tiana? Powinniśmy go zostawić.

León pchnął ją obydwoma rękami. Kathy zatoczyła się do tyłu i upadła na plecy. Z jej ust wydobył się jęk, ale León już przy niej był. Jednym skokiem znalazł się nad Kathy, chwycił ją za gardło i przycisnął do ziemi tak mocno, że

nie mogła się ruszyć. Szybko łapała powietrze, ale León nie miał litości. Powoli wyciągnął nóż. Dłoń mu nie drgnęła, gdy skierował czubek w prawe oko Kathy. Tylko pół centymetra dalej albo nagłe drgnięcie i byłoby po oku. León uśmiechnął się szeroko.

– Uważnie mnie posłuchaj! To ważne, żebyś zrozumiała, co powiem!

Kathy w panice zezowała na nóż. Z jej krtani wyrwał się jeden rozpaczliwy dźwięk.

– Jeśli jeszcze raz sprawisz mi kłopot, zrobisz cokolwiek, co mnie zatrzyma, zostawię cię. Związę, pójdę dalej i nawet się nie obejrzę, kiedy będziesz z wrzaskiem błagać o życie. Czy to jasne?

Poluzował chwyt, tak że Kathy mogła odpowiedzieć, ale tylko skinęła głową.

León wstał i zderzył się z Tianem. Tian miał oczy czerwone od płaczu.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

– Nic – odparł León.

– Nie musisz jej bić – powiedział Tian. – Nie z mojego powodu.

León wpatrywał się w niego.

– Nie uderzyłem jej, ale gdyby nawet, to nie z twojego powodu. Kathy popełniła błąd, zatrzymując grupę. To samo dotyczy ciebie. Nie mamy czasu na takie bzdury, więc trzymaj się od niej z daleka.

Tian chciał coś odpowiedzieć, ale León przerwał mu ruchem ręki.

– Cokolwiek chcesz powiedzieć, nie interesuje mnie to. Jeśli jeszcze raz sprawicie mi kłopot, związę was razem i będziecie mieli na swoje sprzeczki cały czas świata. Chociaż... aż tak wiele go chyba nie będzie.

Tian zwiesił głowę. Milczał.

Kathy wstała i otrzepała ubranie. Gdy przechodziła obok Tiana, rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

León na nich nie spojrział.

„Muszę mieć Kathy na oku, ta bestia tak szybko się nie podda” – pomyślał.

Zadawał sobie przy tym pytanie, dlaczego nagle zaczął traktować resztę grupy tak, jakby był opiekunką do dzieci. Powinien iść dalej sam, olać te bezradne dzieciaki, ale czuł, że jest to winien Jebowi.

„Cholera, nie jestem mu nic winien i jeśli wybuchnie jeszcze jedna awantura, zostawię ich wszystkich” – postanowił.

Chociaż nie było widać słońca, nad równiną panował upał. León czuł, że gardło pali go z pragnienia, ale gdy dotarło do jego uszu dzikie wycie prześladowców, stało się dla niego oczywiste, że nie ma czasu na popijanie wody. Odwrócił się gwałtownie i nie patrząc na innych, ruszył szybkim

krokiem w stronę cienia gór.

Jeb szedł pomiędzy wysokimi drzewami, uważając, żeby nie potknąć się o liczne korzenie wystające z ziemi. Tutaj, wśród zieleni, było chłodniej, o wiele chłodniej niż na równinie. Wziął głęboki wdech i miał wrażenie, że pije miękkie powietrze. Jenna wydała tuż przy jego uchu cichy okrzyk radości. Przeniosła ciężar na prawą stronę i Jeb na chwilę się zachwiał, ale odzyskał równowagę. Potem poczuł na policzku jej wargi. Dała mu delikatnego całusa.

– Za co to? – zapytał speszony.

Najchętniej położyłby rękę w tym miejscu, gdzie go pocałowała, ale wziął się w garść.

– Dziękuję, że mnie tu przyniosłeś. Jeśli muszę umrzeć, to lepiej tu niż na równinie.

– Nikt nie umrze, przestań. – Zabrzmiało to ostrzej, niż chciał. – Przepraszam, ja...

– Już dobrze, Jeb. Postaw mnie.

Stanął, a ona ześliznęła się po jego plecach. Zrobiła trzy podskoki na jednej nodze i opadła na miękki mech. Plecak postawiła obok siebie. Jeb stał jeszcze przez chwilę, koszula kleiła mu się do pleców. Zastanawiał się, czy nie powinni jeszcze głębiej wejść w las, ale teraz potrzebowali wytchnienia. Westchnął i przysiadł się do Jenny.

Przez chwilę milczeli, potem Jenna powiedziała:

– Tu jest tak spokojnie, jakby nic się nie działo. Jakby nie było żadnych bram i koszmarów, które mogą nas nawiedzić. Ten las jest jak ochronny mur, nie uważasz?

Jeb skinął głową. Tak, on też to czuł. Wysokie drzewa, łagodny wiatr poruszający ich wierzchołki, to wszystko emanowało spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Wsłuchiwał się w szum wiatru w drzewach. Pachniało żywicą. Było pięknie. Czuł zapach Jenny, który zmieszał się z tymi wszystkimi woniami, jakby była kwiatem, który zakwitł w tym miejscu.

– Tu wszystko mogłoby być prawie takie jak przedtem. Jak kiedyś, wiesz?
– Jenna odwróciła się do niego i badawczo spojrzała mu w oczy. – Powiedz, co ty właściwie sobie przypominasz?

Jeb zastanawiał się chwilę.

– O motocyklu już ci opowiadałem. Ale jest jeszcze coś innego. Chodzi

o moją matkę. Widzę jej obraz. – Szukał właściwych słów. – Jest chora, nie, tak naprawdę umiera. Twarz jej się zapadła, oczy są głęboko w oczodołach, wygląda na wycieńczoną chorobą.

– Na co choruje?

– Ma raka. Nadchodzi koniec. Obok mnie stoi ojciec, zalatuje od niego wódką, jak zwykle. Jest jeszcze wczesny ranek, a on już jest pijany. Ani dnia bez rauszu, inaczej nie jest w stanie znieść tego, że zawiódł. Od lat jest bezrobotny, pije przez cały dzień, dotychczas utrzymywała nas matka. Mnie, moją małą siostrę i tego gnojka, za którego wyszła przed dwudziestu laty. Pieniądzy zawsze było mało, ale ona jakoś je zdobywała. A teraz leży na łożu śmierci. Ojciec beczy. Pewnie dlatego, że nie ma już pieniędzy na wódkę. Gardzę nim.

Nagle poczuł, że Jenny dotyka jego dłoni. Głęboko wciągnął powietrze, a potem mówił dalej.

– Do pokoju wchodzi jakiś lekarz, mówi nam, że nadszedł czas pożegnania. Nie chcę tego przyjąć do wiadomości, strzepuję jego pocieszającą dłoń i wrzeszczę, że powinien coś zrobić, ale on tylko patrzy na mnie ze smutkiem. Ojciec chce mnie objąć, odpycham go i wybiegam z pokoju, pędzę w dół korytarzem, zbyt tchórzliwy, żeby znieść śmierć swojej matki, zbyt tchórzliwy, żeby tam zostać ze względu na nią aż do końca... Zostawiłem ją samą. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Jenna lekko uścisnęła jego dłoń. Był zaskoczony, gdy delikatnie pogłaskała go po policzku. Serce Jeba biło tak mocno, że chyba musiała je słyszeć.

– Jeb, nie jesteś tchórzem. To, co zrobiłeś dla mnie, było bardzo odważne. Dziękuję ci za to. Niewielu zrobiłoby to co ty.

– Nic specjalnego – próbował to zbagatelizować, ale nawet w jego uszach zabrzmiało to słabo.

– A jednak zrobiłeś coś nadzwyczajnego, aż brak mi słów.

Jeb nie wiedział, co powiedzieć. Jenna dotknęła jego twarzy, przesunęła ręką wzdłuż brody i po policzku. Zamknął oczy.

– Lubisz to?

Poczuł, jak się uśmiecha.

– Tak.

Gładziła jego wargi, i szyję, głaskała kark.

Jeb odwrócił się do niej z zamkniętymi oczami. Czuł, jak jej oddech łaskocze mu nos. Serce waliło mu w piersi jak szalone. Pod powiekami migotało.

Jenna się przysunęła. Czuł jej ciepło, dotyk ręki wciąż jeszcze

spoczywającej na karku. Lekko rozwarł wargi, gdy wtem jakiś głośny trzask kazał im obojgu się odwrócić. Jeb skoczył na równe nogi.

– Co to było? – zapytała Jenna.

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie jakiś zwierzak. – Jeb próbował uspokoić Jennę i siebie samego.

Jeszcze przez chwilę się wsłuchiwał, ale wokół było cicho. Spojrzał na Jennę – uśmiechała się z zakłopotaniem. Nie wiedział, co zrobić albo powiedzieć, więc wyciągnął z plecaka dwie puste butelki.

– Idę poszukać wody.

– W porządku.

– Czy mogę...

– Tak, możesz zostawić mnie samą. To nie kłopot, trochę sobie odpocznę.

Zwlekał, zbierając całą odwagę.

– To przed chwilą... Było bardzo piękne.

– Tak, było – potwierdziła cicho Jenna.

Jeb przestępował z nogi na nogę.

– Zaraz wracam.

Z tymi słowami zniknął pomiędzy drzewami. Cieszył się, że ma chwilę tylko dla siebie. Nie chciał dłużej stać przed Jenną wzburzony i czekać na jakiś znak od niej. Czar prysł.

Tian, Kathy i Misza szli ciężkim krokiem, a za nimi podążał León, który pilnował, by Mary zanadto nie zostawała w tyle. Słońce wciąż jeszcze kryło się za gęstą zasłoną chmur, która wydawała się też odbierać im powietrze do oddychania. Przez cały dzień nie rozwidniło się do końca, więc było tym bardziej duszno i upalnie. Wciąż słyszeli przerażające okrzyki. Tianowi wydawało się, że rozpoznaje poszczególne głosy. Krzyki ich prześladowców brzmiały jak skargi albo okrzyki bólu i były już tak blisko, że czuł, jak odbijają się echem w jego głowie.

– Zabijemy cię, zabijemy cię!

Misza drgnął i się odwrócił. León również się odwrócił, ale nikogo nie było widać. Nikogo, kto im zagrażał, tylko Mary, która wyglądała na bardziej wyczerpaną niż dotąd. León instynktownie dotknął noża – ciężki i gotowy do walki leżał w jego kieszeni. Wiedział, że bez wahania użyje go do obrony.

Nie, nie grupy. Bo jeśli przyjdzie co do czego, będzie wędrował sam. Tylko on miał nóż, inni nie mieli żadnych szans. Cokolwiek by o sobie sądził, nie był taki jak Jeb. W najmniejszym stopniu.

Spojrzał przed siebie i zobaczył, że Tian i Kathy się nie zatrzymali. Misza również szedł dalej, natomiast ich prześladowcy wciąż jeszcze się nie

pokazali.

„Jakie to dziwne, że dotychczas jedynie Misza miał kontakt z tymi bydlakami – pomyślał León. – I że to nie podpowiedziało nam, jak z nimi walczyć. Nie możemy się nawet na to przygotować”.

Rozejrzał się za Mary i na nią poczekał. Doszła do niego, ciężko dysząc. Jej zwykle blada twarz była zaczerwieniona od upału i z wysiłku. Skrzydełka nosa drżały. Brązowe oczy straciły wszelki wyraz, jak gdyby już się poddała i czekała tylko na to, aż ostatecznie się przewróci.

– Mary?

Na chwilę podniosła głowę.

– Oszczędź sobie swoich szyderstw i kazań, które znów chcesz mi wygłosić – wydyszała.

Roześmiał się.

– Kazań?

– Jeśli nie możesz się powstrzymać od swoich mądrości, to trudno. Ale liczę się z tym, że usłyszysz też ode mnie, co o tobie myślę.

Chciał czy nie, musiał się uśmiechnąć. Mary sprawiała wrażenie dystygowanej i dobrze wychowanej, ale od czasu do czasu i ona wybuchwała. Dokładnie o to mu chodziło.

– Mam pytanie. Jeśli teraz zrobimy odpoczynek, trochę odsapniemy, dasz radę iść dalej?

Wpatrywała się w niego spod półprzymkniętych powiek.

– Przerwa? Przez cały czas myślałam, że nie możemy sobie na to pozwolić. Czy to nie ty powiedziałeś, że każda zwłoka od tej chwili będzie przez ciebie karana wykluczeniem z grupy?

– Najpóźniej za pół godziny padniesz.

– I co? To mnie zostaw jak Jennę. W czym problem?

– Nie zostawię cię.

– Ach, nie? Skąd ta zmiana nastawienia? Odkryłeś w sobie altruistę? –
Roześmiała się.

– Jeśli chcesz mnie obrażać, proszę bardzo. Ale to nam nie pomoże.

Nic nie odpowiedziała.

– A więc?

– Co?

– Czy będziesz mogła iść dalej po przerwie, czy nie?

Spojrzała na niego.

– Tak, będę mogła. To znaczy, spróbuję. Nie wiem, jak długo wytrzymam.

– To mi wystarczy.

– Co zamierzasz?

– Chodź, omówimy to z resztą grupy.

Misza, Tian, Kathy i Mary stali półkolem naprzeciw Leóna. Wszyscy byli bardzo wyczerpani. Ich twarze się zapadły i poczerwieniały. Odkąd skończył się zapas wody mieli spierzchnięte wargi i chwyтали oddech, ledwie stojąc. Z trudem się prostowali. Oprócz Mary najgorzej chyba było z Tianem. León miał wrażenie, że Azjata jest obecny jeszcze tylko ciałem. Podpierał się pod boki, plecy miał zgarbione. Niebieskie pasemko przykleiło mu się do czoła, a czarna czupryna była mokra od potu.

León spojrział na Kathy. Wydawało się, że wciąż jeszcze ma zapas sił. Tak samo jak Misza. León zgrzytnął zębami, potem oblizał swoje spieczone usta i wypluł na ziemię gęstą ślinę. Woda to kolejny problem, ale rozwiązanie go musiał odłożyć na później.

– Nie możemy iść dalej.

Wszyscy milczeli.

– W tym tempie nie uciekniemy tym, którzy nas ścigają i chcą zabić. Nieważne, czy nazwiemy ich duszopijcami, czy mordercami. Zawsze będziemy od nich wolniejsi i będą podchodzić coraz bliżej. Słyszeliście te wrzaski. Jeśli teraz będziemy tępo iść dalej, tylko się załamamy, a potem naprawdę będziemy bezradni i skazani na ich pastwę.

– Chcesz się zatrzymać i walczyć? – zapytała Kathy. – Czym? Twoim nożem? Czworo nieuzbrojonych ludzi i jeden wariat z obieraczką do ziemniaków, który myśli, że można walczyć z tym... tym, co tam na równinie nas przeraża. – Uśmiechała się szyderczo. – Życzę szczęścia, ale ja idę dalej.

– Nie zajdziesz daleko – wmieszał się Misza. – Za kilka kilometrów też będziesz wykończona. León ma rację, musimy tu i teraz zrobić coś, co odciągnie od nas ich uwagę. Być może w ogóle nie dojdzie do walki.

– Potrzebujemy słońca, które przegoni to, czego się obawiamy, prawda? Jeśli słońce wyjdzie z chmur, to może problem sam się wreszcie rozwiąże – upierała się Kathy.

León podniósł głowę i spojrział w niebo. Chmury unosiły się nad równiną jak całun.

– Nie wyjdzie – powiedział.

– Nie wierzę, że León chce walczyć – powiedziała Mary. – Prawda?

León spojrział z namysłem na Mary. Najwyraźniej nie była aż tak wykończona, żeby nic do niej nie docierało. Skinął głową.

– Mam inny plan. – Popatrzył na członków grupy. Słuchali go z napięciem.

– Podpalimy trawę. Cały step zmieni się w morze płomieni i w ten sposób raz

na zawsze będziemy mieli z głowy prześladowców.

Wpatrywali się w niego. Nic nie rozumieli. Byli przestraszeni. Widział, jakie wrażenie zrobił na nich jego plan.

– Ryzyko jest przewidywalne – dodał. – Wiatr wieje w dobrym kierunku, w stronę tego, co się na nas czai. Jeśli nagle się nie zmieni, będziemy bezpieczni.

– A jeśli się odwróci? – zapytał Misza.

León wzruszył ramionami.

– To ryzyko, którego nie można wykluczyć i które musimy wziąć pod uwagę. Nie mamy innej możliwości.

Tian odzyskał mowę. Jego głos brzmiał słabo, ale León przynajmniej się uspokoił, że chłopak znów oprzytomniał.

– Dlaczego chcesz najpierw zrobić przerwę? – zapytał. – Dlaczego od razu nie podpalimy trawy?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, musimy odpocząć, nabrać sił, bo gdy nagle zapłonie cała równina, musimy stąd wiać najszybciej, jak to możliwe. – Wskazał kierunek ich ucieczki. – Po drugie, chciałbym choć raz spojrzeć naszym prześladowcom w oczy. Chcę wiedzieć, kto lub co nas ściga. A poza tym nie możemy im zostawić żadnej możliwości obejścia ognia. Chcę wiedzieć, jak w nim umierają; wypracowanie sobie przewagi czasowej nam nie pomoże. No i co wy na to?

– Ja się zgadzam – powiedział Misza.

– Ja też – dodał Tian.

– Mary? – zapytał León.

– Jestem za. – Skinęła głową.

– Kathy?

– Uważam twój plan za szaleństwo. – Głęboko wciągnęła powietrze. – Ale też nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Dobrze, to zrobimy teraz przerwę. Odpocznijcie. Gdy będziecie gotowi, zaczynamy spektakl. Miejmy nadzieję, że wiatr się nie odwróci. Misza, daj zapalniczkę.

Stali w rozciągniętym na mniej więcej sto metrów półokręgu i patrzyli w kierunku, z którego przyszli. Gorący wiatr owiewał ich spocone ciała, nie dawał ochłody. Przeciwnie, odczuwało się go jak tysiące drobnych ukłuc igielką. Ubrania przykleiły im się do skóry, która nieznośnie swędziała, ale nikt się nie ruszał. W milczeniu i bezruchu Misza, Tian, Mary i Kathy czekali, aż ich prześladowcy podejną bliżej.

Ich niezrozumiałe wołanie i chrapliwe wrzaski słyhać było wyraźnie, tworzyły trudną do zniesienia kurtynę dźwięków. León rzeczywiście słyszał teraz prześladowców głośniejszy, bardziej przenikliwie niż dotychczas. Byli blisko. Akurat rozmyślał o tym, co Mary musiała przeżyć, że wyszła z założenia, iż poluje na nich coś tak mistycznego jak duszopijcy. Byli gotowi. On też był gotowy. Wśród tego głośniego wycia i skrzeczenia docierał do niego ledwie słyszalny szept: „Będiesz zebrać o swoje nędzne *vida loca!*”.

Włoski stanęły mu na karku. Te okrzyki były skierowane do niego i czuł się gotowy do walki bardziej niż kiedykolwiek. Gdy spojrzał w prawo na Mary, stojącą w pewnej odległości od niego, zorientował się, że ona również słyszy głosy. Ze strachu szeroko otworzyła oczy. Chciał do niej krzyknąć, że ci, którzy ich ścigają, na pewno uwzięli się na niego, ale zmusił się do skupienia. Nadal nie dało się rozpoznać ich sylwetek w wysokiej trawie.

León zacisnął powieki i kolejny raz przemyślał swój plan. Czy popełnił jakiś błąd? Nie, to była jedyna możliwość i tak długo, jak długo wiatr się nie odwróci, mieli szansę zamknąć swoich prześladowców w kotle ognia i zyskać przewagę. Jeśli wiatr będzie w tym kierunku wiał dostatecznie szybko, półkole się zamknie, a to będzie oznaczać koniec z tymi *hijos de puta!*

León spojrzał z napięciem na Tiana, który stał mniej więcej dwadzieścia metrów od niego w lewo. Chłopak kurczowo trzymał w dłoni wiązkę trawy, którą miał zapalić ogień. Twarz Tiana była jak maska. Opaska wprawdzie nadal tkwiła na jego uszach, ale teraz była bezużyteczna. Skóra napięła się na twarzy Tiana, kiedy kurczowo wpatrywał się w horyzont.

Misza, który stał jeszcze dalej na lewo od Tiana, sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego. Jego ramiona swobodnie zwisały, luźno trzymał w dłoni wiązkę trawy. Misza spontanicznie zaproponował to ustawienie w półkole, zanim – najwyraźniej zaskoczony własną wiedzą – nagle zamilkł. Gdy teraz zauważył spojrzenie Leóna, pewny zwycięstwa podniósł kciuk.

Na prawo od niego Mary patrzyła w dal. Nie zwracała uwagi na Miszę, wyglądała na prawie opanowaną, ale widział, że powieki jej drżą. To mógł być skutek upału albo skupienia, z jakim wypatrywała wrogów.

Całkiem z boku stała Kathy. Niepokojna, spięta, przestępowała z nogi na nogę. Jej wargi ułożyły się w jakimś dzikim uśmiechu. Przy każdym powiewie wiatru na jej twarzy igrały rude włosy. Podobna do bogini wojny, wyprostowana i gotowa do walki, wyciągała pięść z kępką trawy w kierunku niewidocznego jeszcze wroga.

Kathy, gdyby przyszło jej walczyć, broniłaby się do ostatniego oddechu. Była nieobliczalna, przebiegła i niebezpieczna, ale podziwiał jej odwagę w tej niepewnej sytuacji. Wyglądała tak, jakby nie mogła się doczekać, kiedy stanie w końcu twarzą w twarz ze swoimi prześladowcami. León pokręcił głową, zaskoczony jej postawą. Cieszył się, że jest wśród nich – jej duch walki mógł się im jeszcze przydać.

Gdy znów spojrzął w kierunku, z którego musieli nadejść ich wrogowie, zobaczył, co się stało. Najpierw myślał, że to trawa wibruje z gorąca, bo dostrzegł jakiś ruch w wysokiej trawie. Ale to nie byli prześladowcy, którzy do nich podchodzą. Było to bardziej podobne do fali na zielonożółtym oceanie stepu, która toczyła się w ich kierunku. Trawa przed czymś ustępowała.

Przez chwilę jego rozum nie mógł pojąć, co się dzieje. Potem do niego dotarło.

Byli straceni. Wiatr się odwrócił. A wraz z wiatrem jeszcze głośniejsze zabrzmiały groźne okrzyki tych, którzy ich ścigali.

León zaklął.

– Co teraz robimy?! – zawołał Misza.

León błyskawicznie przemyślał możliwości, ale właściwie nie mieli wyboru. Z pewnością mogli próbować uciec, ale już niedługo znów będą w takiej samej sytuacji.

– Mimo to podpalamy trawę! – zawołał do reszty.

– Co?! – Misza wydawał się zdziwiony, inni również wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. – Zupełnie oszalałeś? Wszyscy zginiemy!

León próbował nie tracić spokoju. Nikt nie powinien zauważyć, że on też się boi.

– Wiemy, że nasi prześladowcy boją się ognia. Kiedy trawa stanie w ogniu, przestaną nas ścigać.

– Ach, i ty sądzisz, że będziemy dostatecznie szybcy, żeby uciec przed pożarem stepu? – zapytała Kathy.

– Co... O czym rozmawiacie? – Tian zrobił krok w stronę Leona.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście! Tian, ty też! To ważne, żeby zapalić ogień w tym samym momencie, żeby się równomiernie rozniósł! – wrzasnął do niego León.

– Ale nie możesz przecież...

Nagle ci, którzy na nich polowali, zaczęli wycić wyższym tonem i głośniej niż dotąd. Brzmiało to jak sygnał do ataku. Wszyscy drgnęli.

A potem León ich zobaczył.

Czarne postacie groźnie się do nich zbliżały. Jednak coś było nie tak, bo widział je niewyraźnie. Wydawało się, że wciąż się rozplývają i skupiają na nowo. Nie można było rozpoznać szczegółów, twarzy, tylko sylwetki, jakby ich kontury nieostro odcinały się od mieniającego się słońca. A słońce było zakryte chmurami, w tym ponurym półmroku nie było żadnych cieni. León zmrużył oczy. Wciągnął głęboko gorące powietrze i znów je wypuścił, spróbował się skoncentrować i nagle obraz się wyostrzył. León drgnął.

Obcy wyglądali podobnie do niego. Muskularni, z mrocznymi spojrzeniami. Wszędzie wytatuowani. I uzbrojeni po zęby. Gdy odkryli Leona, siedmiu z nich uformowało szyk i wyjęło broń. Czterech miało pistolety, które odbezpieczyli z szyderczymi uśmiechami. Reszta z głośnym kliknięciem wysunęła ostre, długie noże. Trzymali się w pewnej odległości, ale pozostawali w ciągłym ruchu, jakby to był jakiś układ choreograficzny. Powietrze pomiędzy nimi dygotało od upału. Finał mógł się rozpocząć.

Mary wrzasnęła. Tian coś krzyczał. Kathy rzucała przekleństwa. Tylko Misza panował nad sobą, choć na jego twarzy malował się najczystszy lęk.

– Nie mamy wyboru. Albo ogień, albo wszyscy zginiemy! Przygotujcie się! Musimy być szybsi niż oni! – zawołał León, wyciągnął zapalniczkę i skinieniem głowy dał sygnał Miszy. Później przyłożył zapalniczkę do swojej wiązki trawy. Teraz paliło się wszystkie pięć trawiastych pochodni.

Siedem postaci ruszyło jak na komendę. Podeszły bliżej, a jednak nie były dość blisko, żeby ogień miał na nie jakiś wpływ. Trzeba było je schwytać w ostatniej chwili, tuż przedtem, zanim...

– TEEERAZ! – wrzasnął León, zapalił trawę pod swoimi stopami, rzucił pochodnię w swoich wrogów i ruszył biegiem.

Spojrzał przez ramię i zobaczył, że inni poszli za jego przykładem, podpalili trawę we właściwym momencie i rzucili się do ucieczki.

Pożar rozszerzył się w kilka sekund. Dym wywoływał kaszel, a niezmierne gorąco ognia paliło w płucach przy każdym oddechu. Mimo to León biegł dalej.

Gdy się odwrócił, z zadowoleniem stwierdził, że linia ognia jest szeroka

i potężna. Dym z płonącej trawy unosił się w powietrzu i León miał wrażenie, że obraz się rozmywa. Czy to skutek ognia? Czy może wzrok mu szwankował? Dlaczego nagle znów widział tak niewyraźnie? Postacie znowu były konturami o płynnych kształtach, które z grubsza odcinały się czarno od horyzontu. Nie podążały za nimi.

„Boją się przejść przez ogień – pomyślał. – Wkrótce wszystko tu będzie płonąć. Morze płomieni, a my w środku”.

Kiedy biegł, ciężko dysząc, w każdej chwili spodziewał się odgłosu wystrzału. Niemal słyszał już suchy syk kuli. Ale myśliwi do nich nie strzelali. To napędziło Leónowi jeszcze większego stracha.

„Chcą nas wziąć żywcem – ta myśl pojawiła się znikąd. – Ale dlaczego tego chcą? Jakie mają w stosunku do nas zamiary?”.

– Biegnijcie! – krzyczał do pozostałych. – Biegnijcie, walczyście o życie!

Cisza i chłodne powietrze dobrze robiły Jebowi. W poszukiwaniu strumienia torował sobie drogę głębiej w las. Czuł przy tym, że wracają mu siły. Niemalże widział, jak las oddaje mu energię, jakby był częścią tego cudownego obiegu.

Pomyślał o Jennie, o tym, co się stało. Prawie się pocałowali. Coś między nimi było, iskrzyło. Czuł to wyraźnie i pomyślał, że Jenna też to czuje.

„To szaleństwo. Nie wiemy nawet, czy przetrwamy ten dzień, nie mówiąc już o nadchodzącej nocy, a jednak to się dzieje”.

Uczucia do Jenny peszyły go, niemal przerażały. Nie było to odpowiednie miejsce ani właściwy czas na takie sprawy.

Jeb zatrzymał się, żeby odzyskać orientację. Szedł wydeptaną dziką ścieżką z nadzieją, że prowadzi do wody. A teraz, ponieważ jego kroki już nie zagłuszały dźwięków otoczenia, usłyszał je przed sobą. Bulgotanie i szmer strumienia. Poczował ulgę. Nie spodziewał się, że tak szybko znajdzie wodę.

Gdy rozdzielił dwa gęste krzewy paproci i przecisnął się pomiędzy nimi, zobaczył wąską rzeczkę wijącą się przez poszycie lasu. W powietrzu bzyczały muchy. Obok tańczył motyl.

Jeb musiał zejść z małej skarpy, żeby dotrzeć do wody, która płynęła obok niego, przejrzysta i cudownie świeża. Przykucnął, zaczerpnął wody w złożoną dłoń i wypił. Gdy napełniał butelki, jego wzrok powędrował ku drugiemu brzegowi. Tam poszycie było gęstsze i nawet drzewa stały jedno bliżej drugiego. Rzucały głębokie cienie i tworzyły ciemną ścianę.

Jeb oglądał dziwnie ukształtowany pień drzewa, który upadł w koryto strumienia i powoli butwiał, gdy zauważył po drugiej stronie jakiś ruch. Najpierw myślał, że się pomylił. Wbił wzrok w ten punkt. Powoli wyłaniał się

jakiś kontur.

„Tam ktoś jest. Stoi bez ruchu. Jeden z tych, którzy nas ścigają?”

Instynktownie chciał się cofnąć, ale zmusił się, by wytrzymać.

„Tylko żadnych gwałtownych ruchów – pomyślał. – Może cię jeszcze nie odkrył”.

Ktokolwiek ukrywał się w krzakach, patrzył w jego stronę. Jeb powoli zakręcił butelki. Potem zamknął oczy; być może wszystko było tylko halucynacją po wyczerpującym dniu. Gdy znów podniósł powieki, postać znikła.

Jeb próbował wmówić sobie, że tam nigdy niczego nie było. Ostrożnie się podniósł i z powrotem wspiął na skarpę. I nagle to poczuł. Coś jakby połaskotało go po plecach. Ktoś go obserwował. Szybko się odwrócił.

Teraz, wyraźnie rozpoznawalny pomiędzy drzewami, stał mały chłopiec. Może dziesięcioletni. Czarne dredy opadały mu na nagie, wąskie ramiona. Wplecione były w nie małe piórka i kawałki kory. Chłopiec miał na sobie tylko skórzaną przepaskę na biodrach. Skóra w kolorze brązu, chuda klatka piersiowa i kościste ramiona sprawiały, że wydawał się chudy jak młoda gałązka. Jeb wpatrywał się w niego, a chłopiec czarnymi jak noc oczami odwzajemniał spojrzenie.

Kto to jest? Co tu robi chłopiec? Jeb myślał, że w tej opustoszałej okolicy nie ma żadnych ludzi.

Co ma teraz zrobić? Może chłopiec zaprowadziłby go do ludzi, którzy pomogliby Jennie i jemu. Może wiedzą coś o tym labiryncie i bramach, do których muszą dotrzeć, może znają drogi i skróty. Obecność ludzi oznacza pożywienie i ochronę, jeśli będą do nich przyjaźnie nastawieni. Tak, jeśli...

A może ten chłopiec był pierwszą oznaką niebezpieczeństwa? A może on upatrywał w Jebie zagrożenie.

„Muszę coś zrobić” – postanowił Jeb.

Odstawił butelki, po czym powoli otworzył dłonie, i pokazał, że są puste, że jest nieuzbrojony i nie ma złych zamiarów.

Chłopiec się nie poruszył. Wpatrywał się w niego bez jednego drgnienia.

– Cześć! – zawołał Jeb.

Żadnej reakcji.

– Ja jestem Jeb, a kim ty jesteś?

Wydawało się, że go nie rozumie, bo nadal się nie ruszał. Ale potem chłopiec podniósł prawą rękę w geście powitania.

Jeb się uśmiechnął. I chłopiec też się uśmiechnął. Pokazał przy tym duże przerwy pomiędzy zębami. Był więc młodszy, niż Jeb myślał.

Jeb znów zawołał do niego, podając swoje imię, ale chłopiec milczał. Stali tak naprzeciwko siebie. Potem chłopiec wskazał dłonią w górę rzeki. Jego mimika się nie zmieniła, ale było w tym geście coś, czego Jeb nie potrafił zinterpretować. Wydawało mu się, że chłopiec chce go przed czymś ostrzec. Jakby czaiło się tam niebezpieczeństwo.

– Co?! – zawołał Jeb. – Co tam jest?!

Patrzył w górę rzeki. Ale nie było tam nic nadzwyczajnego. Rzeka gubiła się w oddali w głębokiej zieleni lasu. Wpatrywał się w zieloną pustkę, aż oczy zaczęły mu łzawić. Gdy z powrotem spojrzął na chłopca za rzeką, ten zniknął.

Jeb mrugał i tarł sobie oczy. Nikogo tam nie było. Czyżby mu się wydawało?

Nie!

Jeszcze raz spojrzął w kierunku, który wskazał chłopiec.

Coś wisiało w powietrzu. Nadciągało niebezpieczeństwo. Czuł to niemal fizycznie.

Jenna!

Jenna siedziała wciąż w tym samym miejscu i go wypatrywała.

– I co? – zapytała z zaciekawieniem.

Jeb podszedł do niej i opadł obok na ściółkę.

– Jesteś podekscytowany – stwierdziła Jenna. – Czy coś się stało?

Opowiedział jej o spotkaniu z chłopcem. Opowiedział też o poczuciu zagrożenia, które wydawało się nadciągać ze wskazanego przez niego kierunku.

– Jakby chciał mnie przed czymś ostrzec, ale nie wiem, przed czym.

– Przed tym, co było w przesłaniu?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Cokolwiek to jest, podąża za Leónem i innymi po stepie. Gdyby szło za nami, już dawno by nas dogoniło.

– Może chciał wskazać, w którym kierunku powinieneś pójść.

Jeb pokręcił głową.

– To by znaczyło, że trzeba opuścić las i wyjść z powrotem na równinę. Myślę, że to było ostrzeżenie. Powinniśmy maszerować dalej. Pójdziemy kawałek z biegiem rzeki, potem odbijemy w tym kierunku, w którym ostatnio widziałem gwiazdę.

– Tak dobrze sobie utrwaliłeś pozycję tej gwiazdy? Jesteś pewien, że się nie zgubimy i nie będziemy chodzić w kółko?

– Nie pytaj mnie, skąd, ale nawet tutaj, pod drzewami, wiem, gdzie ta gwiazda jest.

Patrzyła na niego pytająco.

– Myślę, że w swoim poprzednim życiu dużo przebywałem w lesie. Tu wszystko wydaje mi się znajome i wiem, na co muszę uważać. Rozpoznaję na przykład kierunek świata po mchu na drzewach. Mech rośnie zawsze po wilgotnej stronie pni, po stronie, z której nadchodzi deszcz, zatem najczęściej po północnej. Czuję się tu jak w domu, może tu gdzieś jest moje przeznaczenie?

– Ty tak wiele sobie przypominasz. – Jenna uśmiechnęła się łagodnie.

– Mój dziadek. Teraz on przyszedł mi do głowy. To on musiał mi opowiadać o tych wszystkich rzeczach.

Patrzyła na niego z boku.

– Widzisz? Jeszcze jedno wspomnienie. Czy już dostatecznie odpocząłeś, żeby ponieść mnie dalej? Szukałeś wody, więc jesteś cały czas na nogach i nie mogłeś odpocząć.

– Czuję się dobrze. Tu, w lesie, zbieram siły. Jeszcze przez jakiś czas będziemy mieli dzieńne światło, powinniśmy je wykorzystać. Wypocząć mogę również nocą, kiedy będzie za ciemno na dalszy marsz.

Zaczęli więc przygotowania się do wymarszu.

León, Tian, Mary, Misza i Kathy, nie odwracając się, biegli w kierunku odległych gór, które teraz wyraźne rozciągały się na horyzoncie. León biegł ostatni, przed nim Mary próbowała utrzymać tempo, ale jej kroki były coraz wolniejsze. Misza, Kathy i Tian również wykazywali wyraźne oznaki zmęczenia. León krzyknął, żeby się zatrzymali.

Stali w wysokiej trawie, pochyleni do przodu, ziając i dysząc. Tian padł na ziemię, Kathy mało nie wykaślała duszy z ciała.

León czuł się tak, jakby ktoś wbił mu w bok nóż. Czyżby jeden z prześladowców jednak czymś w niego rzucił? Obmacał bok. Nie, był cały. Charcząc, odkaszlnął gęstą ślinę i ją wypluł.

Wiatr przyniósł dym. Już teraz ledwie można było dostrzec własne dłonie. Dym gryzł w oczy.

Kim, u diabła, są ci myśliwi? Dlaczego są tak do niego podobni? Wszystkie te tatuaże wyglądały tak samo jak jego. Miał wrażenie, że przegląda się w lustrze. Cud, że Jeb i Jenna, gdy go znaleźli, nie uciekli od niego z krzykiem.

Czy kiedyś należał do takich jak oni? Nie, byli wrogami, czuł to, zawsze nimi byli. Przybyli tu za nim z jego dawnego życia, żeby go zabić. Cóż takiego zrobił, że tak nieubłaganie na niego polują?

Przy całym przerażeniu, które León odczuwał, dostrzegał też kuriozalność sytuacji. Coś się tu nie zgadzało, ale nie mógł się domyślić co. To było coś

nieuchwytnego, co dodatkowo go przerażało, i postanowił porozmawiać o tym z grupą przy najbliższej okazji. Tuż obok rozległ się trzask.

León spojrzął na Miszę, który zrobił nad oczami daszek z dłoni i patrzył w dal.

– I co? – odezwał się z wysiłkiem.

Gardło miał tak wysuszone, że każde słowo sprawiało mu ból.

– Horyzont płonie – szepnął zachrypnięty Misza. – Wszędzie płomienie. Tych, którzy nas ścigali, nie widać. Ale musimy iść dalej. Trawa pali się jak słoma.

„Mierda – pomyślał León. – Wszystko na nic”.

Gdy się odwrócił, ich położenie wydało mu się w istocie beznadziejne. Żółtoczerwona ściana ognia szybko się zbliżała. Czarny dym był wszędzie. Żarłoczna jak drapieznik pożoga pochłaniała równinę. Ciemne kłęby wznosiły się ku niebu. Wyglądało to jak inferno, jak samo piekło. Powietrze było boleśnie suche, swędziała od niego skóra. León czuł swoje spierzchnięte wargi i nie pierwszy raz zapragnął łyka wody. Język miał jak kamień, prawie nie mógł mówić.

– Co teraz? – wycharczał.

Misza patrzył na niego zdziwiony.

– Myślałem, że wiesz, co mamy robić.

– Już nie.

– Dobra, uważaj. – Misza patrzył na horyzont. – Zbyt wiele możliwości nam nie pozostało. Czekać tutaj, aż dotrze do nas ogień, to żaden pomysł. Biec dalej też nie mamy rady.

– A więc?

– Jeśli nie można ani stać, ani biec, to się idzie.

León był speszony. Spokój Miszy zrobił na nim wrażenie.

– Chcesz po prostu spacerkiem oddalić się od ognia? – zapytał z niedowierzaniem. – Niemożliwe.

Misza uśmiechnął się zdecydowanie.

– Zobaczymy.

Zaczął się od poszumu. Najpierw lekkiego, prawie niesłyszalnego. Potem słyhać było łagodny szelest i uderzenia pulsu we własnych uszach. Jeb zatrzymał się. Jenna zsunęła się na ziemię.

– Też to czujesz? – zapytał.

Skinęła głową.

Jakby silniejszy wiatr szumiał w drzewach, tylko że w ogóle nie było wiatru. W ogóle nic się nie ruszało.

– Czuję taki dziwny ucisk w uszach.

– Tak, ja też, i zrobiło się cieplej.

– Może nadciąga burza.

Jeb odchylił głowę i spojrzał na korony drzew. Nic się nie zmieniło.

Potem spadł jeden liść. Powoli tańcząc przed jego oczami, poszybował na ziemię. Za nim spadło kilka małych gałązek. Z drzew kruszyła się kora. Ziemia zaczęła drzeć. Jeb czuł to przez grube podeszwy butów.

– Czujesz to? – zapytał Jennę.

– Jak trzęsienie ziemi.

I nagle wiedział, co się dzieje, od razu potrafił wyjaśnić te znaki. Podniósł Jennę i pobiegł z nią do potężnego dębu, którego pień był tak gruby, że można byłoby go opasać tylko w kilkoro. Energicznie postawił ją na ziemi. Krzyknęła przestraszona, ale Jeb się tym nie przejął. Zerwał z siebie kurtkę i rozciągnął ją nad ich głowami.

Potem się zaczęło.

Najpierw przez krzaki biegiem przedarł się potężny jelen. Nie zwracając na nich uwagi, zniknął między drzewami. Za nim podążyły inne zwierzęta. Łanie, kolejne jelenie, więksi i mniejsi mieszkańcy lasu. Sapiąc, przebiegł tuż obok nich potężny niedźwiedź. Od tupotu łap i kopyt drżała ziemia. Gałęzie i kora spadały z drzew. Wyglądało to tak, jakby z drzew padał deszcz. Ptaki zrywały się do lotu. W powietrzu wirowały liście, rozwiewał je gorący wiatr. Jeb poczuł to również węchem. Ogień. To musiał być gigantyczny pożar, jeśli zwierzęta gnały przez las w takim panicznym strachu.

– Co się stało? – zawołała Jenna.

– Step płonie.

Patrzyła na niego przerażona. Większość zwierząt zniknęła w gęstwinie, ale przed nadciągającym szybko ogniem wciąż jeszcze uciekały myszy,

szczury, niewielkie jaszczurki i owady. Do lasu wpadły pierwsze płatki popiołu. Wydawało się, że powietrze aż trzeszczy od elektrycznego napięcia.

– Musimy stąd uciekać – zdecydował Jeb.

Pomógł Jennie wstać. Wdrapała się na jego plecy, a on pokuśtykał, podpierając się włócznią Leóna. Tak szybko, jak to możliwe z ciężarem na plecach, szedł przez las. Byle jak najdalej. Jak najdalej od ściany płomieni, która groziła pochłonięciem lasu.

Przedzierając się przez krzaki, poczuł panującą ciszę. Panowała idealna cisza, wydawało się, że na świecie nie ma już ani jednego dźwięku. Potem daleko za nimi upadło na ziemię pierwsze drzewo. Ziemia zadrżała.

Jeb wiedział, że nie zostało im dużo czasu.

Już po nich. Wszystko skończone. Mary upadła. Kathy leżała na ziemi obok niej. Misza odrzucił plecak i zwałił się na ziemię. Tian tuż obok niego. Tylko León pozostał na nogach i wpatrywał się w morze ognia, które toczyło się w ich kierunku z zawrotną prędkością.

Maszerowali może z godzinę. Z palącymi płucami, w drgającym upale, z sadzą i brudem na twarzach, które teraz od potu wyglądały jak czarne maski poorane bruzdami. Rozpaczliwie próbowali zachować tempo, ale byli już wykończeni.

León klął bezgłośnie. Zaprzepaścili swoją szansę.

Nagle poczuł, że Mary położyła mu rękę na ramieniu. Uśmiechała się. León tępo się na nią gapił. Co tu było do śmiechu? Przecież spłoną żywcem.

– Teraz, kiedy wszystko się kończy, już nie musisz rznąć takiej dzielnej – wycharczał.

Ledwie rozchyłał pokryte kurzem wargi.

– Nie widzisz tego?

– Czego?

Wskazała ogień.

– Nie podchodzi bliżej.

Przyjrzał się dokładniej, i rzeczywiście: wydawało się, że płomienie już nie pochłaniają wszystkiego przed sobą, tylko tańczą w miejscu. Wiatr musiał się odwrócić.

Chciał w to wierzyć, ale nie potrafił. Jednak potem nad jego mokrą od potu łysą czaszką zerwał się pierwszy lekki powiew i ucichł, posuwając się w kierunku ognia.

Wiało najpierw jeszcze delikatnie, słabiutko, ale w końcu wiatr przybrał na sile. Sprawił, że płomienie znów rozgorzały, lecz tym razem wiatr gnał je w przeciwnym kierunku. Z dala od nich. W stronę ich prześladowców, tego,

kto się tam jeszcze mógł na nich czaić. León rozciągnął spierzchnięte wargi w szerokim uśmiechu. Udało im się.

Długo wpatrywał się w równinę. Naprawdę niewiele brakowało. Gdyby wiatr się nie odwrócił, niechybnie zginęliby w pożodze. Ale nagle pojał: płomienie wkrótce nie znajdą pożywienia na pustej, wypalonej równinie. Wszystko obróci się w popiół, więc jeśli ich prześladowcy zdołali się uratować, będą bez ochrony na ich skazani. A więc to jeszcze nie koniec. Musieli iść dalej.

León spojrzał na swoją grupę. Dobrze się sprawili, zwłaszcza Mary i Tian. Musiał przyznać, że razem przetrwali wielkie niebezpieczeństwo, którego on w pojedynkę nie byłby w stanie pokonać.

Co im to da na końcu wędrówki? Jeśli te bramy naprawdę istniały, mogli tylko mieć nadzieję, że przy braku Jeba i Jenny nie będą musieli o nie walczyć. Ale okres ochronny i tak skończy się po kolejnym świcie.

„Co nas jeszcze czeka? Kiedy wreszcie skończy się ten koszmar?” – zastanawiał się León.

Podszedł do swoich towarzyszy którzy w bezruchu siedzieli na ziemi. Jak ma im powiedzieć, że po krótkiej przerwie muszą maszerować dalej? Góry były już prawie na wyciągnięcie ręki. Pokrywa chmur w końcu się trochę przetała i znów można było zobaczyć gwiazdę. Wyraźnie migotała pomiędzy strzępami chmur. Szli wciąż w dobrym kierunku. Jutro powinni dotrzeć do bram. Musieli wytrzymać jeszcze jedną noc i kolejny dzień, potem im się uda. Pierwsza przeszkoda będzie za nimi.

León wyszczerzył zęby. Jego duch walki powrócił. Czekał na nich nowy świat.

Był gotów. Zawsze.

Jeb stał po kolana w wodzie, Jenna obok niego. Strumień niespiesznie płynął w dal. Ogień nie wnikał głęboko w las.

– Udało nam się – powiedział Jeb i sam się zdziwił.

– Wiatr się odwrócił – stwierdziła Jenna. Spojrzała na Jeba, który zatopiony w myślach patrzył w gęstwinę rozciągającą się przed nimi. – Hej, rozmarzyłeś się? Mamy wyjść z wody?

– Myślę o tym chłopcu. Musiał wiedzieć o ogniu. Jego wyciągnięte ramię wskazywało kierunek, z którego nadciągnęły płomienie. To przed tym chciał nas ostrzec. – Ostrożnie pomógł Jennie wyjść z wody.

– Czy im się udało? – zapytała.

– Mam nadzieję. Zobacz, nie ma burzy, żadnych błyskawic, które mogłyby wywołać pożar na stepie. Sami podłożyli ogień, byli przygotowani.

– Ale to przecież szaleństwo! Dlaczego mieliby to zrobić?

– Jenno, dotychczas jest tu jedno niebezpieczeństwo, którym jesteśmy wszyscy zagrożeni w jednakowym stopniu. – Nie chciał więcej mówić, bo grupa musiała być skrajnie zrozpaczona, jeśli podpaliła ziemię pod swoimi stopami. Jeb nie wiedział, czy Misza, León, Mary i Kathy jeszcze żyją. Chciał właśnie powiedzieć Jennie, że muszą iść dalej, gdy szturchnęła go łokciem. Spojrzał na nią zaskoczony, ona zaś szybko położyła mu palec na ustach.

– Patrz, tam na brzegu – szepnęła. – Tam ktoś stoi i nas obserwuje.

Jeb odwrócił głowę. Las. Drzewa i krzaki. Ciemna i jasna zieleń, ale potem on też ją zobaczył.

To była stara kobieta z długimi do ramion, śnieżnobiałymi, rzadkimi włosami. Jej opalona na brązowo twarz z niezliczonymi zmarszczkami wyglądała jak kawałek starej skóry. Rozciągnęła wargi w bezzębnym uśmiechu. Staruszka miała na sobie wyświechtaną szatę z grubej tkaniny, pomalowaną w dzikie wzory – okręgi, które łączyły się z innymi i tworzyły coś na kształt labiryntu. Kobieta trzymała w chudych dłoniach duży liść, na którym ułożone było jedzenie.

Staruszka położyła wszystko na ziemi, pomachała do nich, demonstrując bezzębny uśmiech, i zniknęła. Pochłonął ją las i wydawało się, że do tego spotkania nigdy nie doszło.

– Co to było? – ledwie dosłyszalnie zapytała Jenna.

– Nie mam pojęcia, ale powinniśmy zobaczyć, co nam przyniosła.

– To chodźmy i zobaczmy – zaproponowała Jenna.

Jeb podtrzymywał ją, kiedy skakała na jednej nodze na drugi brzeg. Wyglądało na to, że przerwa dobrze jej zrobiła, ale może była to zasługa chłodnej wody, bo Jenna poruszała się już mniej ociężale.

Gdy wspięli się na skarpe, obejrzeni leżący przed nimi liść z prowiantem. Suszone mięso, jagody, coś, co przypominało ser. Nie pachniało ani nie wyglądało zbyt smakowicie, ale Jeb poczuł, jak skurczył mu się żołądek.

– Możemy to zjeść? – zapytała Jenna.

Przez chwilę w zamyśleniu przyglądał się temu posiłkowi. Potem stwierdził:

– Myślę, że tak. Najpierw chłopiec, który nas ostrzega, potem stara kobieta. W tym lesie są ludzie, którzy chcą nam pomóc. – Uśmiechnął się do Jenny, która odetchnęła z ulgą.

– Na szczęście. Chyba jestem głodna!

Oboje zabrali się do jedzenia. Mięso było łykowate i suche, ale przyprawione ziołami, które na języku rozwijały pełny smak. Wypili do tego

kilka łyków wody, co ułatwiało przeżuwanie mięsa. To, co Jeb z początku uznał za ser, było zwykłym, niesolonym chlebem. Skórkę miał chrupiącą, a wewnątrz miękkie. Smakował wspaniale. Na deser były leśne jagody.

– Teraz czuję się znacznie lepiej – stwierdziła Jenna i uśmiechnęła się. – Patrz, wychodzi słońce. – Wskazała niebo pomiędzy czubkami drzew. Rzeczywiście, chmury się przerzedziły i na rzece skrzyło się światło. – Podoba mi się tutaj.

Jeb popatrzył na nią zmartwiony.

– Niestety, musimy iść dalej. – Sprawdził, jak wysoko stoi słońce. – Zostało nam kilka godzin dziennego światła, musimy je wykorzystać.

– A tu byłoby wspaniale, potrzebuję kilku minut bez trosk.

Jeb westchnął. Co mógł na to odpowiedzieć?

– Napij się jeszcze wody, potem znów napełnię butelki.

Gdy byli gotowi do wymarszu, Jeb znów wziął Jennę na barana. Objęła ramionami jego szyję, jakby to było najbardziej oczywista rzecz na świecie. On przez chwilę rozkoszował się tym dotykiem, a potem ruszył.

Po kilku krokach opuścili brzeg rzeki i weszli głębiej w las.

Za wysiłek potrzebny do przetrwania niebezpieczeństwa płacili strasznym zmęczeniem. Po kolejnym etapie leżeli na plecach w trawie z kurtkami na twarzach, żeby słońce jeszcze bardziej nie uszkodziło ich spalonej skóry. Byli przemęczeni i straszliwie spragnieni. Ponieważ słońce znów jasno świeciło, nie musieli bać się swoich prześladowców. Misza miał nadzieję, że ci, którzy na nich polowali, zginęli w płomieniach, ale nie mógł być tego pewny. Chociaż od dłuższego czasu nie słyszał żadnych głosów ani krzyków, czuł, że bezimienny wróg może jeszcze gdzieś się ukrywać.

Podczas spotkania z prześladowcami oczy tak go piekły, że nie mógł rozpoznać, kto chce ich zaatakować. Wszystko mieniało się i migotało i dla niego były to tylko postacie przypominające cienie. Mimo to ciało paraliżował czysty strach. Czuł, że postacie, które wydawały się krwiożerczymi mężczyznami, nieubłaganie na niego polują. Zadowoliliby ich tylko jego śmierć. W tym momencie stało się to dla Miszy zupełnie jasne. To on wywołał atak. Cała nienawiść była skierowana pod jego adresem. Napad na równinie, po jego wcześniejszym przebudzeniu się w tym dziwnym świecie, który zdawał się nie mieć żadnego wyjścia, mówił za siebie. A teraz prześladowali całą grupę. To on naprowadził tych łowców na ślad grupy, która z jego powodu musiała znosić strach i mękę. Teraz rozumiał też, dlaczego łowcy nie śledzili Jeba i Jenny, którzy stanowili znacznie łatwiejszy łup. Nie, oni chcieli dostać właśnie jego.

Ale kim są te typki? Dlaczego tak bardzo go nienawidzą?

Dręczyły go te pytania, lecz nie znajdował na nie odpowiedzi. W żadnym wypadku nie mógł podzielić się tym odkryciem z grupą. Natychmiast by go wykluczyli, a może i zabili. León nie znał litości, przynajmniej tyle się już o nim dowiedział.

Misza spojrzał na step. Równina, która rozciągała się za nimi, była całkowicie zniszczona. Zamiast kołyszącej się na wietrze trawy leżała tam tylko cienka warstwa popiołu, którą unosił wiatr. Gdy wiatr się odwrócił, płomienie straciły pożywienie i szybko zgasły.

Podniósł swoją kurtkę. Obok niego leżała Kathy. Całe jej ciało było umazane sadzą i popiołem, ale nawet teraz trudno było nie dostrzec jej urody. Tylko że jego zupełnie to nie podniecało. Spojrzał w kierunku Leóna, który akurat wstawał i otrząpywał sobie spodnie. Z naga, ubrudzoną sadzą piersią

stał w świetle słońca. Każdy mięsień jego szczupłego ciała wyraźnie się odznaczał. Gdy się poruszał, mięśnie pod jego skórą tańczyły. Misza nigdy dotąd nie widział takiego uosobienia siły. León nie był szczególnie wysoki, o pół głowy niższy od niego, ale poruszał się jak drapieżnik.

Wydawało się, że León zauważył jego spojrzenie, bo popatrzył na niego i puścił oko. Odmrugnął, speszony.

Kathy wydała bulgoczący dźwięk. Potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, że cicho się śmieje.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał.

– Ty – po prostu stwierdziła Kathy i szeroko się uśmiechnęła.

– Co masz na myśli?

– Gapisz się na niego, jakbyś chciał go pożreć.

– Leóna?

– Nie rznij głupa. Obserwowałam cię.

– A co właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Że to, jak się w niego wpatrujesz, nie jest normalne. – Bez dalszych komentarzy wstała i odeszła.

Co złego było w przypatrywaniu się Leónowi?

Mary patrzyła, jak León pakuje swoje rzeczy i przygotowuje się do marszu. Gdyby mogła, nienawidziłaby go teraz, ale na to brakowało jej sił. Upał był niemiłosierny. Jak ciężka chusta kładł się na wszystkim, odbierał jej dech. Czuła się tak, jakby jej płuca były pełne gorących kamieni. Oblizwała popękane wargi, ale usta miała tak suche jak pokrywający je kurz.

Nie wiedziała, ile czasu minęło i czy León pozwolił im na dużo, czy mało spokoju. Niedobrze jej się robiło na myśl, że wyraźnie jeszcze miał siły, podczas gdy ona była zupełnie wykończona. Może i dałaby radę iść dalej, ale nie chciała. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a stopy bolały. Głowa była o wiele za ciężka i Mary czuła, że jeśli nadal będzie się tak pocić, to jej ciało wyschnie, złoży się jak stara serweta i po prostu spadnie na ziemię.

„Potrzebuję wody. Albo umrę” – pomyślała.

Ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że zmierza do niej León. Ze swoim zwykłym, aroganckim uśmiechem na twarzy. Poczowała, że jednak ma dość sił, żeby go nienawidzić.

– Musimy iść dalej – powiedział spokojnie.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Ani kroku więcej. Zostaję tutaj.

– Nie.

Spojrzała na niego zaskoczona. Jego odpowiedź była szybka, a w głosie nie

było cienia wątpliwości. Prychnęła pogardliwie:

- Odkryłeś w sobie miłość do ludzi?
- Z pewnością nie. Nie znoszę was wszystkich.

Musiała się głośno rozeźmiać wbrew swojej woli. Słowa Leóna brzmiały szczerze, więc dlaczego pozostał z grupą? Dlaczego nie ruszył w swoją drogę?

Po chwili zupełnie nagle zrozumiała. Nie został z powodu grupy, został z jej powodu. Wprawdzie widziała, że czasem rozmawiał też z innymi, ale zazwyczaj unikał rozmów. I wciąż na nią nie czekał, dodawał jej otuchy, a nawet przez chwilę niósł jej plecak.

Ale dlaczego? Dlaczego ona?

León z pewnością nie czuł wobec niej współczucia. Przeciwnie, myślała, że jej niechęć jest wzajemna. Błysnęła jej pewna myśl.

– Jeb. To Jeb, prawda?

– Co Jeb?

– Przed wyruszeniem coś mu obiecałeś, prawda? Obiecałeś nam pomoc. Pomóc mnie.

Patrzył na nią bez wyrazu. Jego mina się nie zmieniła, był twardy i zamknięty jak zawsze.

– Co musiał ci za to dać? Kolejny nóż? Zapalniczkę? Coś, co przed nami ukrył? – Czuła, jak rośnie w niej wściekłość. – Nie, teraz wiem: dał ci informacje. To musi być coś ważnego, w przeciwnym razie nie zgodziłbyś się na taką transakcję. Co ci powiedział? Co jest tak cenne, że zadajesz sobie trud ciągnięcia nas ze sobą?

León nie odpowiedział. Nie powiedział, że mu to obiecał, żeby uniknąć walki z nim. Że obiecał mu to z szacunku dla jego postawy i z poczucia, że jest mu to winny. I nie powiedział Mary, że już nie chce walczyć sam. Nie zrozumiałyby tego. Wyśmiałyby go. Niech sobie myśli, co chce.

– Zostawiłeś jego i Jenę – syknęła Mary. – I sprzedałeś nas za kilka informacji. Co z ciebie za człowiek?

Spojrzał w jej brązowe oczy, które taksowały go z pogardą.

Dobrze, niech sobie myśli o nim, co chce. Niech nim gardzi. Znał to. W głębi duszy znał to tak samo dobrze, jak wieczną walkę o przetrwanie.

Przyszedł do niej, żeby jej pomóc. Żeby powiedzieć, jak wielkie wrażenie zrobiło na nim to, czego dokonała, ale te słowa nie przeszły mu przez gardło. Stał tu i wiedział, że nigdy nie potrafiłby się zdeklarować. Mówienie to nie była jego specjalność. W świecie, z którego zapewne pochodzi, obowiązywały inne zasady. Tam przemawiały broń i przemoc. Kula była jednoznacznym przesłaniem. I zazwyczaj nie było odwołania.

- Jesteś godny pożałowania – dodała jeszcze.
- Skinął głową. Nie złamie obietnicy danej Jebowi.
- Za pięć minut ruszamy. Bądź gotowa – powiedział i odwrócił się.

Jeb czuł się przemęczony. Mięśnie nóg go piekły. Kark i szyja były napięte i twarde jak kamień, ramiona bolały, ciężkie jak ołów. Najgorsze jednak było to, że stracił orientację. To poczucie zaciskało mu pierś i prawie uniemożliwiało oddychanie.

Czyż nie wyjaśniał chętnie Jennie, że potrafi odczytać kierunek z mchu na drzewach? Tak, to prawda, ale teraz weszli w las tak głęboko, że drzewa rosły tak gęsto, iż stanowiły dla siebie nawzajem ochronę przed złą pogodą. Mech oczywiście był, ale rósł dookoła pni, bo słońce nie przeświecało przez korony drzew.

Jeb podążał wydeptaną dziką ścieżką. Po zwierzęcych odchodach, które wszędzie leżały na ziemi, rozpoznawał, że używały jej głównie jelenie i sarny. Maszerował ścieżką, bo tak było łatwiej, niż samemu torować sobie drogę przez las. Powietrze tymczasem wypełniło się wilgocią i w upale unosiły się cienkie opary mgły, które rozchodziły się pomiędzy drzewami jak jedwabne chusty. Pachniało gnijącymi liśćmi i sosnową żywicą.

Najchętniej by stanął, przez chwilę odpoczął, ale obawiał się, że jeśli teraz położy się na ziemi, to długo nie wstanie.

Jenna od jakiegoś czasu milczała. Położyła głowę na jego ramieniu i wydawało się, że śpi, ale nagle odezwała się do niego.

– Jeb?

– Hm?

– Myślę, że już raz przechodziliśmy obok tego miejsca.

Zatrzymał się zaskoczony.

– Pień tego drzewa po lewej od nas ma dziwne zabarwienie. Wygląda jak poorana zmarszczkami twarz starej kobiety z zapadniętymi policzkami i długim nosem. Czy ty też to widzisz?

Jeb przyglądał się jednemu drzewu za drugim. Najpierw nic nie dostrzegł, ale potem zobaczył to, o czym mówi Jenna.

– Jesteś pewna, że już widziałaś to drzewo? Może jest tylko podobne do jakiegoś innego?

– Nie, jestem całkiem pewna. Już raz tędy przechodziliśmy, jakieś pół godziny temu.

Jeśli miała rację, to przez ostatnie trzydzieści minut chodzili w kółko. On przez cały czas nie patrzył na otoczenie. Wpatrywał się tępo w ziemię, żeby

się nie potknąć. Musiał gdzieś przeoczyć odgałęzienie dróżki albo dzika ścieżka zrobiła pętlę.

– Zgubiliśmy się, prawda? – zapytała rzeczowo.

Najpierw chciał ją uspokoić, ale potem przyznał:

– Myślałem, że ścieżka zaprowadzi nas we właściwym kierunku. Poza tym tu nie widać słońca, jeśli w ogóle świeci. Mech nie wskazuje już kierunku świata i...

– Co teraz zrobimy?

– Idziemy dalej. A co nam pozostało?

– Możesz jeszcze?

– Przecież muszę.

– Tam z przodu była mała polanka. Może tam jest rozgałęzienie ścieżki – przypomniała sobie Jenna.

To nie była prawdziwa polanka, tylko kawałek wolnej przestrzeni pomiędzy gęstymi drzewami. Dawno temu musiało tu rosnać potężne drzewo, bo wciąż jeszcze sękate korzenie pokrywały ziemię. Pień prawdopodobnie zbutwiało już przed laty, ale rzucające cień korony sąsiednich drzew uniemożliwiły wzrost roślinności.

Gdy Jeb z Jenną na plecach przez chwilę się rozglądał, zauważył ruch pomiędzy drzewami. Zjawa odcięła się od gęstwiny liści i okazała wysokim mężczyzną, wojownikiem o długich czarnych włosach i twardej jak wyrzeźbionej w kamieniu twarzy. Miał nagi tors ozdobiony dziwnymi niebieskimi kołami, które już wyblakły. Mężczyzna był uzbrojony. W lewej ręce trzymał łuk, a na plecach miał kołczan ze strzałami. Jeb mocniej ścisnął swoją włócznię.

Mężczyzna się nie uśmiechał, tylko nachalnie na nich patrzył. Potem powoli podniósł prawą rękę i wskazał w głąb lasu.

Jeb się przestraszył. Czy mężczyzna też chciał go ostrzec przed jakimś niebezpieczeństwem tak jak tamten chłopiec nad rzeczką? Wiedział, że jest zbyt wyczerpany, by mógł jeszcze raz uciekać przed kimś z Jenną na plecach.

Wojownik ledwie zauważalnie skinął głową. Nie. Chodziło mu o coś innego, ale o co?

Kiedy Jeb się zastanawiał, mężczyzna wyciągnął z kołczanu strzałę i napiął łuk. Sekundę później strzała z piórkim z sykiem opuściła cięciwę i poszybowała w las, w kierunku, który mężczyzna wskazywał.

Jeb patrzył na niego skonsternowany i nic nie rozumiał. Do czego ten człowiek strzelał? Patrzył na niego, ale mężczyzna cofnął się o krok do lasu. Wydawało się, że jego postać się rozplynęła, a potem zniknęła.

– Czy ty to widziałeś? – zapytała go Jenna, która zastygła w bezruchu na jego plecach.

– Tak. Ale dlaczego wypuścił strzałę? I do czego?

– Może ta strzała ma nam wskazać drogę.

„Ma rację. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Ten gest i strzała oznacza, że on wskazywał nam kierunek”.

Myślenie przychodziło mu z trudem. Nic dziwnego, że potrzebował tyle czasu, żeby wszystko pokoiarzyć. Był zmęczony. Tak, strasznie zmęczony, ale to jeszcze nie był czas na odpoczynek.

Jenna chyba jednak wyczuła jego stan, bo zapytała:

– Mamy tu zrobić sobie przerwę?

– Nie, pójdziemy jeszcze kawałek.

– Jeb, jesteś wykończony.

Pokręcił głową.

– Dopóki jest widno, musimy iść dalej. A gdy się ściemni, poszukamy dobrego miejsca na nocleg. Wtedy jest zbyt niebezpiecznie. Nie mogę ryzykować, że się potknę.

– Dobrze, skoro tak uważasz.

Jeb trochę przesunął ciężar Jenny, potem poniósł ją dalej. Zszedł ze zwierzęcej dróżki i wszedł na ledwie widoczną ścieżkę pomiędzy drzewami. Nie była niczym więcej niż linią, niewiele szerszą niż ślad ludzkiej stopy. Musiał się skupiać, starannie stawiać każdy krok, żeby nie zgubić drogi.

Po kilku metrach znalazł wystrzeloną strzałę, która tkwiła na wysokości oczu w pniu starego buku. Poniżej niewyraźnie wycięta w drzewie strzałka wskazywała kierunek w lewo. Jeb nagle zrozumiał. Wojownik wystrzelił tę strzałę, żeby go naprowadzić na drogowskazy na pniach drzew. Głęboko odetchnął. Poczł wdzięczność do tego obcego człowieka i trudną do wyjaśnienia więź. Jenna i on nie byli sami. Znów zaczął mieć nieśmiałą nadzieję, że wszystko będzie dobrze i dotrą do tych portali na czas. Teraz spadł mu z serca wielki ciężar, ale czuł, że trzyma się na nogach już tylko dzięki silnej woli.

– Jeb?

– Tak?

– Jeśli nam się uda z tego wyjść, odwdzięczę ci się. Jeszcze nie wiem jak, ale to zrobię.

– Ty zrobiłabyś dla mnie to samo. Więc... – zająknął się – ...wprawdzie nie mogłabyś mnie nieść, ale wiem, że byś mnie nie zostawiła.

– Oczywiście, że nie.

Jeb wiedział, że Jenna mówi prawdę. Jej szczerść i otwartość dawały mu siłę, żeby iść jeszcze kawałek, aż znajdą miejsce na nocleg. Tu w lesie mieli nadzieję bezpiecznie przenocować przy ognisku.

– Gotowa? – zapytał z nową wiarą.

– Gotowa!

Krajobraz zmienił się niepostrzeżenie. Trawy było coraz mniej, aż w końcu całkiem znikła i ustąpiła miejsca wyschniętej gliniastej ziemi. Wszędzie widniały głębokie pęknięcia. Twarde podłoże czuło się nawet przez grube podeszwy turystycznych butów. Do tego dochodziły kamienie i większe okruchy skalne, które wwiercały się w obuwie. Grunt się podnosił. Z początku tego nie zauważyli, ale teraz cały czas mieli pod górkę. Dotarli do stóp górskiego pasma.

Misza, León, Tian, Kathy i Mary kuśtykali w piekielnym upale. Oczy kleiły im się od kurzu, bezwzględnie potrzebowali wody. Zataczali się jeszcze na słabych nogach, ale krok za krokiem postępowali do przodu. O swoich prześladowcach już dawno zapomnieli. W słońcu czy nie, niech już przyjdą i ich zabiorą, wszystko wydawało się lepsze od tego potwornego pragnienia.

Mary wciąż bezskutecznie próbowała polizać spękane wargi, ale język przykleił się jej do podniebienia i nie dawał się oderwać.

„Wszyscy tu umrzemy” – pomyślała.

Idący obok niej Tian zataczał się jak pijany. To, że w ogóle jeszcze trzymał się na nogach, wydawało się cudem. Bądź co bądź ona też się jeszcze nie poddała, co najbardziej dziwiło ją samą. Długie włosy Tiana z niebieskim pasemkiem przykleiły mu się do twarzy jak druga skóra, która zdążyła już przybrać kolor ugotowanego raka. Zauważył jej spojrzenie i wycharczał coś, czego Mary nie rozumiała. W jej świadomości było jeszcze dość miejsca na jedną jedyną myśl, jedno słowo: woda...

Za kubek chłodnej wody sprzedałaby duszę diabłu.

Nagle stanęła przed nią Kathy. Mary, niezdolna do reakcji, potknęła się o nią. Rudowłosa dziewczyna odwróciła się i przez chwilę wpatrywała się w Mary płonącym wzrokiem.

– Uważaj, gdzie idziesz, głupia krowo! – syknęła.

Zaskoczona Mary zatoczyła się do tyłu. Nie z powodu tych słów, tylko raczej dlatego, że Kathy jeszcze mogła mówić i najwyraźniej wystarczało jej energii, żeby ją zwymyślać. Kathy była bestią i Mary jej w tej chwili zazdrościła. Chociaż Kathy wyglądała na tak samo wykończoną jak inni, jej wola życia była niezłomna.

„Jeśli ktoś przetrwa ten gnój, to ona” – pomyślała Mary i uwierzyła, że Kathy jest twardsza niż León. I przypomniała sobie, że Kathy gdzieś schowała

nóż, o którym oprócz Mary nikt nie wiedział.

Była zbyt zmęczona, żeby przeproszać, i nie miała też na to ochoty. León podszedł do niej ociężale. Jego łysa czaszka była tak spalona słońcem, że wytatuowanych znaków prawie nie było widać. Popatrzył na nią ociężale klejącymi się do snu oczami.

– U ciebie wszystko w porządku? – zaskrzeczał.

– Co za głupie pytanie – prychnęła Kathy, a Mary w duchu przyznała jej rację.

León chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pojawił się Misza. Jego umazana kurzem twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Co cię tak śmieszy? – wypaliła Kathy.

– Oprócz ciebie? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale już po chwili musiał odkaszląć.

– Dupek!

Gdy kaszel ustał, Misza mówił dalej:

– Przed nami jest więcej pagórków. Może znajdziemy tam jakąś jaskinię na noc. I widzę jakieś drzewo.

Teraz wszyscy skupili się na nim. Tian, León i Mary patrzyli na Miszę zaskoczeni. Tylko Kathy nie rozumiała.

– Co jest wspaniałego w tym drzewie?

– Drzewa oznaczają wodę – zaskrzeczał Misza.

– I z tego się cieszycie?

León i Mary skinęli głowami.

– A zastanowiliście się nad tym, że korzenie drzew sięgają głęboko? Że woda być może jest tak głęboko, że nigdy się do niej nie dostaniemy?

– Będziemy kopać. – W głosie Miszy brzmiała irytacja na to, że Kathy zgasila tę iskierkę nadziei.

Mary rozumiała Miszę: po uwadze Kathy czuła się dziwnie rozczarowana. Potem poczuła, jak rośnie w niej nowa fala gniewu. Dwa razy sucho odkaszlęła i wypluła gęstą, żółtą ślinę.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy wodę – powiedziała ochrypniętym głosem, choć każde słowo sprawiało jej trudność. – Jeśli nie, umrzemy tak czy owak. Ale teraz zamknij jadaczkę!

Kathy obrzuciła ją palącym spojrzeniem, lecz na Mary nie zrobiło to wrażenia i odpowiedziała jej twardym wzrokiem.

– Idziemy dalej – zdecydował León.

Misza i León objęli prowadzenie. Mary szła za nimi, w odległości jakichś dziesięciu metrów szli Tian i Kathy.

Mary wydawało się, że zrobiło się jeszcze goręcej.

Tian walczył o każdy krok. Najchętniej by upadł i został tak na zawsze, ale zmuszał się do przenoszenia swojego ciała krok za krokiem naprzód. Dręczyły go palące pragnienie i nieznośny ból głowy. Przed oczami tańczyły białe punkciki, wciąż też mieszały się z nimi nieznane obrazy.

Wydawało mu się, że widzi kawałek swojego dawnego życia, i to, co mu się ukazywało, napawało go lękiem. Była tam stara kobieta. Miała rzadkie pasemka włosów. Niezliczone zmarszczki tworzyły na jej twarzy krajobraz pełen wyschniętych koryt rzek. Czarne szkliste oczy patrzyły oskarżycielsko. Chudy palec wskazujący groźnie kiwał się przed jego twarzą.

– Tian, miałeś na nią uważać, ale bawiłeś się tą diabelską skrzynką, która wyžera twoje życie – powiedziała. – Twoja siostra zniknęła i nikt nie wie, gdzie jest. To twoja wina.

Tak, zawiódł. Wiedział to. Zawiódł, jak już niejedną raz, ale tym razem nie będzie przebaczenia. Jego sześciolatnia siostra Szu wyszła z mieszkania, kiedy rodzice pracowali, a on grał na playstation w Last Man Standing Berlin. Prawdopodobnie poszła do maleńkiego parku na ich osiedlu. I zniknęła.

„To ja jestem winny” – pomyślał Tian.

Gdyby nie to, że brakowało mu już łez, toby się rozplakał.

„Co ja narobiłem? Szu? Gdzie jesteś? Wybacz mi”.

Nie było nikogo, kto by mu odpowiedział, poza echem jego myśli. Tian szlochał, ale łzy nie płynęły.

Jego stopy stąpały naprzód niemalże bez woli, nie widział otoczenia, przez które szedł. Właściwie w ogóle niczego nie zauważał. Było mu wszystko jedno, dokąd maszerują. I czy kiedykolwiek tam dotrą.

– Co z tobą? – zapytał nagle ktoś obok niego.

Drgnął. Kathy. Znów. Dlaczego nie przestała z niego szydzić?

– Idź sobie, czego chcesz? – wychrypiał.

– Przeprosić. Byłam podła i jest mi przykro.

Podniósł głowę. Spojrzał jej w oczy.

– Dobra, przeprosiny przyjęte. – Wstrząsnął nim suchy kaszel.

Kathy pochyliła się, przejechała dłonią po piasku, podniosła mały czarny kamyk, niewiele większy od paznokcia, i wręczyła go Tianowi, który gapił się, nic nie rozumiejąc.

– Co to ma być?

– Włóż go do ust, to pobudza wydzielanie śliny i łagodzi pragnienie. Naprawdę, możesz mi wierzyć.

Położył kamyk na języku i ostrożnie zaczął ssać.

– Dziękuję, Kathy – powiedział cicho.

– A teraz już chodź.

Kathy znów go zaskoczyła.

Chwilę później dotarli do drzewa, którego widok wabił ich obietnicą wody. I rzeczywiście, znaleźli zgniłe bajoro pokryte warstwą żółtego kurzu.

– Możemy się tego napić? – zapytała Mary.

Wszyscy wpatrywali się w tę wodę. Było jej niewiele i była brudna.

– Mamy jakiś wybór? – zapytał León.

Nikt nie odpowiedział.

– A co będzie, jeśli okaże się trująca? – zapytał Misza. – Ten kolor...

– Ja... – już chciał zacząć León, gdy Tian padł na kolana i złożonymi dłońmi pospiesznie nabierał do ust mętną wodę.

Po sekundzie Kathy leżała obok niego. W końcu pili wszyscy.

Woda smakowała obrzydliwie, była gorzka i śmierdziała, ale zaspokoila pragnienie. Tylko to się liczyło.

León wstał pierwszy i padł na plecy. Był zdyszany, bo prawdopodobnie, jak wszyscy pił za szybko. W żołądku burzyła mu się śmierdząca breja. Potem głośno mu się odbiło. Popatrzyli na niego i się roześmieli. Brzmiało to jak czysta rozpacz i wyczerpanie, ale się śmiali.

– To coś smakuje jak owcze gówno – stwierdził Misza. – Ale cholera, jestem szczęśliwy, że znaleźliśmy to bajoro.

Obok niego Tian wciąż jeszcze wlewał w siebie wodę. Misza poklepał go po ramieniu.

– Stary, nie tak dużo naraz, bo zrobi ci się niedobrze.

Ledwie to powiedział, Tiana nagle ścisnęło za gardło, gwałtownie rzucił się w bok i zwymiotował w piach. Wszyscy z obrzydzeniem odwrócili się od niego.

– Dobrze, że przynajmniej nie zrzygał się do wody – skomentowała Kathy.

Mary czerpała dłońmi wodę z bajora, żeby zmyć z twarzy brud.

– Na to nie mamy dostatecznie dużo wody – napomniał ją León. – Musimy jeszcze napełnić butelki, zanim pójdziemy dalej.

– Chcesz iść dalej? – przestraszył się Misza.

– Tylko kawałek, aż znajdziemy coś podobnego do jaskini. Jakaś musi tu gdzieś być. Potem zbierzemy parę wysuszonych gałęzi, które się tu walają, i rozpalimy ognisko. Musimy też coś zjeść.

Obok nich Tian, zanim opadł na ziemię, wydał kilka ostatnich zdławionych jęków.

– Czy wszyscy się zgadzają, żebyśmy tu w pobliżu spędzili noc? – zapytał

León.

Skinęli głowami.

– To teraz Misza i ja przeszukamy okolice. – Spojrzał pytająco na jasnowłosego chłopaka.

– Dobra.

Kathy podeszła do Tiana i usiadła obok niego na ziemi. Zdjęła mu z głowy opaskę, zwilżyła ją i starła mu z twarzy kurz i wymiociny.

– O ludzie, ale mi głupio – ledwie słyszalnie szepnął Tian.

– Nie myśl o tym. Po prostu piłeś za szybko.

Na jego twarzy pojawił się udręczony uśmiech.

– Wciąż leżę w pasku i wyrzucuję sobie duszę z ciała. Słusznie uważasz mnie za słabeusza.

– Wcale nie – zaprzeczyła Kathy. – Chyba nie zawsze potrafię nad sobą zapanować i wolę coś palnąć, niż zmilczeć, ale cieszę się, że nie muszę sama przechodzić przez to piekło.

Odwrócił się do niej.

– Wiesz co, Kathy, właściwie to jesteś całkiem w porządku.

Kathy patrzyła w innym kierunku. Mylił się, czy była nawet trochę niepewna? Postanowił dodać jej otuchy.

– Możliwe, że to u ciebie taka forma samoobrony. Może w twoim wcześniejszym życiu stało się coś, co każe ci tak reagować, chociaż tego nie chcesz.

– Tak myślisz?

– Przecież tak może być.

Spojrzała w niebo.

– Niby tak, ale kto z nas wie, kim naprawdę jest? Być może nigdy się tego nie dowiemy.

– To właściwie wszystko jedno – powiedział Tian. – Jesteśmy tutaj, żyjemy i w tej chwili tylko to się liczy.

Kathy wstała, otrzepała kurz ze spodni. Tian odniósł wrażenie, że woli uniknąć dalszej rozmowy. Czyżby tak bardzo bała się pokazać swoje prawdziwe uczucia?

– Kathy?

– Tak.

– Jesteś w porządku.

Speszona Kathy popatrzyła na Tiana. Naprawdę? Właściwie zadawała sobie to pytanie od czasu pamiętnego zdarzenia w nocy w lesie.

Od snu. Postanowiła nazwać go atakiem obłądu, w którym z nożem w rękę

szukała siostry. Następnego ranka obudziła się poza obozem zupełnie dezorientowana. Wszystko tej nocy było jak zatarte, ukryte za jakimś welonem, którego nie mogła zerwać.

Gdy usłyszała głos siostry na równinie, z trudem powstrzymała się, by nie podążyć za Liz. Zmusiła się do walki ze swoimi koszmarami, które stały się jawą. Musiała je pokonać, żeby odzyskać kontrolę nad swoim umysłem. Za wszelką cenę.

„Cholera jasna, ledwie rozpoznawałam, co się tu z nami dzieje. Tak dalej nie może być. Nie jestem sobą. Nie mogę tak bardzo się tego bać”.

W odległości kilku kroków od Tiana ześliznęła się plecami po pniu drzewa, objęła nogi ramionami i położyła głowę na kolanach.

„Coś jest ze mną nie tak, dlaczego to się dzieje? Dlaczego słyszę głos Liz akurat tutaj? Czy moim przeznaczeniem na tym pustkowiu jest... zemścić się na Liz? Dlaczego w ogóle ją pamiętam, a poza tym niczego? Co tu się dzieje? Może to wszystko jest rodzajem testu: jeśli pokonam swoje koszmary, to przeżyję?”.

Oczywiście, że przeżyje. Kathy wiedziała, że bez skrupułów poświęci życie każdego z grupy, żeby ratować własne. Zwłaszcza Tian budził w niej mieszane uczucia. Czasem wzruszał ją swoją bezradnością, ale zazwyczaj gardziła nim za słabość.

Słabość? O to chodzi? Nie potrafię sobie radzić ze słabością?

Już na samą myśl o Mary poczuła gniew. Ta rozpuszczona zdzira wciąż hamowała grupę i przyciągała uwagę wszystkich. Tak samo jak Tian. W jednej chwili mu współczuła, a w następnej najchętniej okładałaby go pięściami, żeby wreszcie umilkło jego nędzne skomlenie.

„Zwariowałam? To musi być skutek upału, wyczerpania, napięcia i lęku, które są przez te dni moim udziałem”. – Kathy próbowała się uspokoić, ale to nie działało.

Coś w niej drzemało. Siła, która czasem przejmowała nad nią kontrolę. Coś, czemu nie mogła się przeciwstawić.

Ukryła twarz w ramionach, tak żeby nikt nie mógł zobaczyć, że płacze. Łzy cicho spływały. A gdy wyschły, powróciła wściekłość.

Jaskinia była idealna. Tak duża, że można w niej było bez trudu się wyprostować, sucha i głęboka. Ciągnęła się w skale na ponad dziesięć metrów, oferowała ochronę przed upałem dnia i chłodem nocy. Odkrył ją Misza. Zanim wszedł do jaskini, upewnił się, że nie kryje się tam żadne dzikie zwierzę. Myśląc o tym, aż zmarszczył czoło – w końcu dotychczas nie trafili na żadną żywą istotę. To było dziwne, właśnie dlatego musieli być ostrożni.

Misza przez pewien czas krzyczał coś do środka i rzucał kamienie do ciemnego otworu. Gdy ciągle panował spokój, wszedł i obejrzał jaskinię na tyle, na ile pozwalało dzienne światło. Zadowolony ze swojego znaleziska poinformował najpierw Leóna, a potem pozostałych.

Teraz siedzieli w kucki na gołej skale, a na zewnątrz zachodziło słońce. Pośrodku paliło się ognisko, które rozpalili z suchych gałęzi. Dzięki temu mieli światło, a jednocześnie ogień wypierał nachodzący chłód nocy.

Zjedli teraz resztkę zapasów. Było tego niewiele. Na większość wspólnego posiłku złożyli się Tian i Mary, inni już dawno zjedli swoje racje.

Tian zaproponował, żeby brudną wodę przefiltrować przez materiał koszuli i napełnić nią butelki. Misza nie spodziewał się po tym wyczerpanym Azjacie aż takiej pomysłowości. Ale gdy teraz spojrział na niego, zobaczył, że skurczony Tian przysiadł w kucki na ziemi i nieobecny duchem wpatrywał się tępo w ogień.

– Rano musimy dotrzeć do bram – przypomniała Mary.

Siedziała z podciągniętymi kolanami obok Leóna i Miszy, otulona śpiworem.

– Jeśli Jeb mówił prawdę – powiedział León.

– Dlaczego to nie miałyby być prawda? Przecież było napisane czarno na białym – przypomniał Tian.

– Wierzysz we wszystko, co jest napisane na jakimś wyświechtanym świstku, który znalazł się w czyjejs kieszeni? – upierał się León.

– Ja, tak czy owak, w to wierzę – wtrąciła się Mary. – Rano znajdziemy portale. Potem opuścimy ten nędzny świat i być może wrócimy do domu, gdziekolwiek to jest.

Misza podniósł wzrok i spojrział na Leóna. Podzielał zdanie wytatuowanego chłopaka: mimo wszystkiego, co dotychczas tu przeżył, wzbraniał się przed akceptacją nakreślonej na kartce rzeczywistości. Nie

mogli przestać mieć się na baczności.

León odpowiedział na jego spojrzenie, a potem zapytał Mary:

– Naprawdę wierzysz, że czekają na nas jakieś inne, obce światy, przez które musimy przejść, żeby móc wrócić do prawdziwego życia?

– Tylko jedno z nas przeżyje – przypomniała Kathy zupełnie bez emocji. – Tak brzmiały te słowa.

Przez chwilę milczeli, w końcu Mary powiedziała:

– O tym nie chcę myśleć. Nie teraz. Jutro dotrzemy do bram. Może potem wszystko będzie lepiej.

„Albo gorzej” – pomyślał Misza.

Zakładał, że następny świat będzie jeszcze większym wyzwaniem. To wszystko był tylko sprawdzian ich woli i zdolności przetrwania. A żeby oddzielić słabych od silnych, zadania musiały być coraz trudniejsze, w przeciwnym razie wszyscy docieraliby do bram.

„Ale być może w tym tkwi perwersyjność naszego przetrwania. Może powinniśmy walczyć ze sobą, zabijać się nawzajem. Jest tylko jedna nagroda. Tylko jeden zwycięzca. Morderca przeżyje”.

Zadrzał na tę myśl. Pomyślał o ich prześladowcach. Kto był gotów walczyć i... zabijać?

Tian siedział w bezruchu przy ognisku. Odkąd przypomniał sobie o siostrze Szu, prawie już nie czuł się sobą. Stał się sobie obcy.

„Jak mogłem być tak nieodpowiedzialny?” – zastanawiał się.

Widział Szu przed sobą jasno i wyraźnie. Jej błyszczące czarne włosy związane w kołyszący się koński ogon. Jej błyszczące brązowe oczy. Zawsze nazywał ją „kaczuszką”, ponieważ przy chodzeniu kiwała się na boki. I za to uderzała go w brzuch swoją maleńką piąstką.

Te obrazy z przeszłości były straszne. Tian czuł, że coś w nim pękło. Nieświadomość wcześniejszego życia była łaską, teraz na każdym kroku prześladowały go brązowe oczy Szu.

Mary usiadła obok niego, milcząc spojrzała w ogień, potem na linie, które nieświadomie namalował patykiem na piasku.

– Co to znaczy? – zapytała po chwili.

Tian spojrzał pomiędzy swoje stopy, a potem wzruszył ramionami.

– Nic, to po prostu bazgroły.

Mary czekała.

– Co się z tobą dzieje?

Roześmiał się gorzko.

– Chodzi o coś poza tym, że na wpół żywi z pragnienia maszerowaliśmy

w piekielnym upale, gonieni przez bestie, i poszukujemy jakichś bram, których prawdopodobnie nie ma. A nawet jeśli są, to też nie za bardzo nam pomogą... – Spojrzał na Mary i uśmiechnął się z trudem.

„Właśnie sobie uświadomiłem, jaką nieodpowiedzialną, egoistyczną świnią jestem” – pomyślał.

– Dobrze, dobrze. Masz rację, to było głupie pytanie. Chciałam tylko wiedzieć, jak się czujesz.

Spojrzał w jej wielkie oczy.

– Przykro mi, Mary. Nie chciałem być podły.

– Już dobrze.

– Co z tobą?

Westchnęła.

– Mam twarz spaloną od słońca, skóra mi schodzi z ust i jestem zupełnie wyczerpana, ale chyba wszyscy mamy się podobnie.

– Połóż się trochę, popilnuję cię, jeśli chcesz.

„W tym to ja jestem mistrzem świata” – pomyślał.

– Dziękuję, to miło z twojej strony, ale nie mogę teraz zasnąć. Jestem zbyt ożywiona i przestraszona.

– Nic dziwnego, po tym, co wszyscy dziś przeżyliśmy. Ja też nie wiem, czy będę mógł spać dzisiejszej nocy.

– To nie tylko to... – powiedziała cicho Mary. Wyglądało na to, że szuka właściwych słów. – Ja... widzę obrazy z mojego prawdziwego życia i one nie są piękne.

Tian podniósł głowę.

– Wiem, o czym mówisz. – Zastanawiał się, czy powinien jej opowiedzieć o Szu, ale wszystko w nim jeżyło się na tę myśl.

Wydawało się, że Mary również się rozmyśliła. Dokładnie tak samo jak on, wołała milczeć, żeby nie ożywić duchów przeszłości. Czasem lepiej zostawić w spokoju to, co straszne.

– To dziwne – po chwili powiedział Tian. – Ledwie pamiętamy nasze wcześniejsze życie. W każdym razie nie pamiętamy pięknych rzeczy, które się na pewno zdarzyły. Dlaczego zabraliśmy ze sobą do tego straszego świata akurat naszą winę? Może to wszystko to jakiś rodzaj pokuty.

– Tak myślisz?

– Nie wiem. To tylko luźna myśl.

Milczeli. Mary bez słowa wstała i poszła na swoje miejsce.

Tian patrzył za nią.

„Przesłanie jest prawdziwe: wszyscy jesteśmy straceni” – pomyślał.

Jenna leżała owinięta śpiworem na leśnej ściółce i patrzyła w małe ognisko, które rozpałił Jeb. Bolesne pulsowanie w stopie ustąpiło, gdy znów wzięła od Jeba tabletki. Rozbili obozowisko pod drzewami, których wierzchołki wznosiły się wysoko do góry. Jeb leżał na plecach obok ogniska, z zamkniętymi oczami. Jego klatka piersiowa równomiernie unosiła się i opadała. Jenna podejrzewała, że śpi, ale nie była pewna.

Podążali za znakami, jednak nie spotkali już tubylców. Nawet jeśli im pomogli, Jenna się ich bała. Wszystko tu ją przerażało, ale starała się ukryć swoją niepewność. Chciała wspierać Jeba, jak tylko się da, i nie być jedynie bezużytecznym ciężarem, który i tak już stanowiła.

Najpierw ci mistyczni prześladowcy, a potem jeszcze obcy – wszystko to nie trzymało się kupy. Niemota tych... tubylców ją niepokoiła. Skąd mogą wiedzieć, że ich w nocy nie napadną? Dlaczego im pomagali?

„To z powodu Jeba – przyszło jej do głowy. – Są tacy jak on. Mają skórę jak z brązu, czarne włosy, taki sam kształt oczu. Mógłby być jednym z nich. Wojownikiem”.

Jeb opowiadał jej o swoim dziadku i powoli wykrystalizował się w jej wyobraźni starszy człowiek o siwych włosach, trochę podobny do tej kobiety nad rzeczką.

Ale jak to możliwe? Jesteśmy przecież bardzo daleko od domu. Dlaczego ci ludzie są podobni do Jeba?

Jenna nie знаła odpowiedzi. Chociaż powinna być wdzięczna obcym, wolałaby, żeby ten świat był niezamieszkały. Żeby byli tu sami. A co myślał o tym Jeb? Wydawało się, że akceptuje okoliczności takimi, jakie były, i jest wdzięczny za wsparcie.

Jenna marzła. Nad lasem rozpostarła się zimna i ciemna noc. Płomienie ogniska powodowały taniec cieni na pniach drzew. Gdzieś w lesie trzasnęła gałązka. Jenna w napięciu spojrzała na Jeba.

Ostrożnie odwinęła śpiwór, cicho wstała i w podskokach zbliżyła się do niego. Nie ruszył się nawet wtedy, gdy rozłożyła swój śpiwór i położyła się obok.

Przez minutę ledwie odważyła się oddychać, potem przysunęła się kawałek bliżej. A potem jeszcze kawałek. W końcu prawie się dotykali.

Jenna ostrożnie wyciągnęła rękę i leciutko położyła dłoń na piersi Jeba. Rozkoszowała się tym, że go dotyka.

Jeb otworzył oczy. Jenna nie zabrała dłoni.

– Nie chciałam cię obudzić.

– I nie obudziłaś.

– Mogę zostać przy tobie?

Uśmiechnął się. Jenna nabrała odwagi, przysunęła się jeszcze bliżej i położyła mu głowę na piersi. Dobrze jej robiła jego bliskość. Wyczuwała przez koszulę bicie jego serca i przytuliła się, jakby to robiła od zawsze. Jeb pogłaskał ją po włosach w równie naturalny sposób.

– Boisz się? – zapytał.

– Hm.

– Nie musisz, uważam na ciebie.

Zamknęła oczy i zasnęła.

Zaczął świtać, ale minęło jeszcze parę chwil, zanim światło wniknęło do jaskini i obudziło całą grupę. Było jeszcze chłodno, ale już czuło się, że dzień będzie nieznośnie upalny. Świeciło słońce, nie musieli się więc martwić tymi, którzy ich ścigają. Na szczęście mieli za sobą spokojną noc, bo czekał ich decydujący dzień. Mieli opuścić ten świat. Chociaż byli jeszcze zmęczeni i wykończeni, ogarnął ich niepokój o nadchodzące godziny.

Czy znajdą bramy?

Czy przez nie przejdą?

Co ich tam czeka?

Nikt nie powiedział ani słowa. W milczeniu pozbierali swoje rzeczy i wepchnęli do plecaków. Ogień zgasł, ale zapach zimnego popiołu wciąż jeszcze wisiał w powietrzu.

Misza wyszedł z jaskini jako pierwszy. Przy wejściu zatrzymał się i spojrzał w niebo. Dostrzegł wyraźnie migoczącą gwiazdę.

– To nie może być daleko – powiedział do Leóna, który pojawił się za nim i również szukał wzrokiem gwiazdy. – Jak myślisz?

– Gwiazda prowadzi nas prosto w góry, wspinaczka będzie dość męcząca.

– Myślisz, że bramy są na górze?

León wzruszył ramionami.

– Właściwie wszystko jedno. Jeśli to prawda, co było napisane na kartce, większość z nas umrze w tej podróży, a jeśli nieprawda, to dopiero jesteśmy w dupie.

– No tak, ale te bramy dają trochę nadziei – upierał się Misza.

– Tak, tym, którzy chcą w nie wierzyć.

– A ty? Co myślisz?

– Nic. Może te bramy tam są, a może nie. Sprawdzę to. Siedzenie i czekanie nie leży w mojej naturze. Wolę walczyć.

– Potrafiłbyś? To znaczy, czy potrafiłbyś z nami walczyć o bramy, gdyby do tego doszło? – Patrzył z boku na Leóna.

León spojrzał w jego niebieskie oczy.

– Do tego nie dojdzie. Jest duże prawdopodobieństwo, że straciliśmy już dwoje z nas. Zatem również w potencjalnym kolejnym świecie nie będzie kłótni o bramy.

„Dlaczego mnie to nie uspokaja – pomyślał Misza. – I dlaczego León mówi

o tym tak, jakby to dla nas było wielkie szczęście?

León pociągał go i jednocześnie odrzucał. W pobliżu niego czuł się jak naelektryzowany. Nie wiedział dlaczego, ale coraz bardziej ciągnęło go do tego dziwnego chłopaka z jego jeszcze dziwniejszymi tatuażami, które go szpeciły i zdobiły. Nie pierwszy raz Misza przyglądał się obrazkom na ciele i twarzy Leóna.

Widział romby i wzory pokrywające dużą część skóry. Ale także trupie czaszki, grymasy i zdobienia, które sprawiały wyjątkowo groźne wrażenie i... były fascynujące. Równie dziwne były napisy, których Misza nie umiał przeczytać. Nawet León nie potrafił ich odcyfrować. Przez jego czoło przechodziły dwie faliste litery, które wraz z dwiema liczbami tworzyły połączony krętymi liniami obraz. Pierwsza litera przypominała dach wspierany na trzech kolumnach. Obok wiła się jak wąż druga litera, która przechodziła w liczbę. Miszy one nic nie mówiły.

Nie wiadomo dlaczego, czuł, że tych kilka znaków na bogato ozdobionej skórze chłopaka jest rozwiązaniem jakiejś zagadki; ale co to za zagadka? Czy miała coś wspólnego z nimi i labiryntem? Czy było w niej ukryte jakieś przesłanie? Misza uwielbiał takie zagadki. Liczby było mu chyba łatwiej zrozumieć niż ludzi. Ciągłe pętały mu się po głowie. Przychodziły i odchodziły, migotały jak światła nawigacyjne z innego życia. W ich grupie jedynie León miał tatuaże. Musiał być kimś wyjątkowym. Bo czyż wszystko, co zdarzyło się do tej pory, nie miało swojej przyczyny? Oni wszyscy, włącznie z Jebem i Jenną, znali słowa, które wymawiali inni. Rozumieli się nawzajem, chociaż zewnętrznie bardzo się różnili. Oczy Tiana były jak szparki, a jego włosy połyskiwały niebieskawo, co nie wyglądało naturalnie. León nie miał włosów, ale miał tatuaże. Wiele rzeczy ich dzieliło, ale też wiele łączyło. Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku. Ze snów i obrazów, które podsuwał mu umysł, wiedział, że ludzie są młodszy i starsi. Dlaczego więc oni byli w tym samym wieku? Może znali się wcześniej, ale teraz nie mogli sobie tego przypomnieć?

To wszystko nie miało sensu. Dlaczego mieliby gnać przez jakieś światy, przetrwać niebezpieczeństwa, pokonać przeszkody, jeśli na końcu czekała ich śmierć?

„Gna nas czysta wola przetrwania. Nie potrafimy działać inaczej, niż walczyć. O każdy centymetr gruntu, o bramy, możliwość przeżycia kolejnego dnia...”.

– Nad czym się zastanawiasz? – zapytał León.

Po nim wyszli z jaskini pozostali i teraz patrzyli w jasne światło słońca.

– Nad niczym. – Misza zrobił pierwszy krok. – Chodźmy, przed nami długa droga.

Jenna obudziła się z wrażeniem, że ktoś ją obserwuje, ale gdy otworzyła oczy i rozejrzała się, nikogo nie zauważyła. Co nie musiało oznaczać, że była sama. Miejscowi w tym świecie poruszali się niemal bezszelestnie, pojawiali się i znikali jak duchy. Cicho westchnęła.

Obok niej spał Jeb. Popatrzyła na niego z czułością, a potem uwolniła się z objęć, w których spędziła tę noc. Wstała i ostrożnie spróbowała obciążyć chorą stopę. Jej nogę przeniknął piekący ból. To jeszcze potrwa, zanim znów będzie samodzielna. Jeb będzie musiał ją nieść jeszcze jeden dzień. Zaklęła w duchu. Nie zostawi jej, nawet jeśli będzie o to błagała. Był uparty i w zasadzie była mu za to wdzięczna.

Poruszył się. Otworzył oczy i spojrzał na Jennę.

– I co? – zapytał i szeroko ziewnął.

– Już trochę lepiej, ale jeszcze nie mogę chodzić.

– Damy radę. – Uśmiechnął się. – Bez ciebie moje plecy wydawałyby mi się zupełnie puste.

Jenna promiennie się do niego uśmiechnęła. Wiedziała, że jego mięśnie od wysiłku poprzedniego dnia są zupełnie odrętwiałe i muszą boleć. Mogła sobie wyobrazić, że będzie cierpiał męki, gdy znów będzie ją niósł przez las, ale wiedziała, że nie da po sobie niczego poznać. Wprawdzie wstał trochę sztywny, lecz gdy rozciągnął mięśnie, wróciła mu dawna giętkość.

– Mamy jeszcze coś do jedzenia?

Pokręciła głową.

– A wodę?

– Proszę. – Zbliżyła się do plecaka, skacząc na jednej nodze, pochyliła się i wyciągnęła butelkę. Pił dużymi łykami.

– Powinniśmy ruszać. – Jeb spojrzał na wierzchołki drzew, które przepuszczały pojedyncze promienie światła. – Słońce jest już wysoko na niebie. Najwyższy czas.

Jenna wszystko spakowała. Śpiwory, kurtki i butelki z wodą.

Jeb opadł na kolana.

– *My lady*, skoro już zaszliśmy tak daleko...

Jenna zarzuciła sobie plecak na ramiona i wdrapała się na jego plecy. Podniósł się ze stęknięciem.

– Przytyłaś ostatniej nocy? – zapytał ze śmiechem.

– Nie, to prawdopodobnie nasze przebogate zapasy w plecaku – odparła i także się uśmiechnęła.

– No, to ruszajmy! Musimy wyjść z lasu i zorientować się, dokąd iść. Jeśli wszystko jest w porządku, znajdziemy też bramy.

– Tak, jeśli... – Jenna westchnęła. – Bo prawdopodobnie całkiem się zgubiliśmy.

– Myślę, że tubylcy doskonale wiedzieli, dokąd zmierzamy. Założę się, że to już niedaleko.

Jeb ruszył, a Jennie tyle myśli kłębiło się w głowie, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jeśli chcesz... – Przerwał milczenie Jeb.

– Co?

– ...możesz zaśpiewać piosenkę. – zaproponował.

Zachichotała, potem lekko uderzyła go w ramię.

– Może rzeczywiście powinnam to zrobić. Jestem pewna, że jedna piosenka wystarczy, żebyś zechciał mnie tu zostawić.

– To znaczy, że nie umiesz śpiewać?

– Nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Jeb uśmiechnął się.

– Dobra, to opowiedz mi jakąś historię.

– Już zapomniałeś, że nic nie pamiętam?

– To opowiedz jeszcze raz to, co sobie przypominasz.

Jenna wzięła głęboki wdech i zaczęła cicho opowiadać.

Nie uszli daleko, gdy Jenna nagle krzyknęła. Jeb drgnął przestraszony i o mało się nie przewrócił. Podniósł głowę i przez chwilę szukał wzrokiem niebezpieczeństwa, przed którym Jenna najwyraźniej chciała go ostrzec.

– Patrz, tam z przodu! – zawołała.

– Co? Ktoś tam jest? – wydyszał bez tchu. – Nic nie widzę.

– Nie. Popatrz. – W jego polu widzenia pojawiła się jej dłoń wskazująca na niepozorne krzaki. – Wydaje mi się, że leży tam plecak.

Jeb z trudem podszedł do tego czegoś. Rzeczywiście, wśród zieleni leżał plecak, podobny do jego własnego w najdrobniejszych szczegółach. Zsunął Jennę z pleców i pochylił się. Drżącymi palcami otworzył go i w nim pogrzebał. To, co znalazł, nie zdziwiło go, natomiast przeraziło go to, czego nie znalazł.

„Muszę się mylić. To niemożliwe” – pomyślał.

Wywinął plecak na drugą stronę i wytrząsnął zawartość. Na ziemię wypadła nienaruszona racja żywnościowa i spiwór. Takie same, jakie znalazł w swoim plecaku. Ale nie było butelki z wodą. Ani ubrań. Była za to para nieużywanych skarpetek.

Jeb wziął ją do ręki. Podniósł wzrok i spojrzał Jennie prosto w oczy.

– To plecak Leóna. Gdy go spotkaliśmy, nie miał na nogach skarpetek, pamiętasz?

Jenna pobladła.

– To niemożliwe. Stracił go przecież na równinie, dwa dni marszu stąd.

Jeb pokręcił głową z namysłem.

– Coś tu nie gra. – Westchnął. – Po prostu tego nie rozumiem. Jak ten plecak się tu znalazł? Jenno, co tu się dzieje?

Uklękła i zapakowała prowiant do ich plecaka. Potem z trudem wstała.

– Nie wiem, Jeb. Co się teraz z nami stanie?

Jeb w milczeniu przykucnął. Jenna zarzuciła mu ręce na szyję i podciągnęła się do góry. Poszli dalej.

Jenna szepnęła mu tuż przy uchu:

– W tej chwili to znalezisko ratuje nam życie. Ale obawiam się, że będziemy musieli słono za nie zapłacić.

To nie może być prawda! – krzyczał Misza. – Cholera, to po prostu nie może być prawda!

Stał tak jak inni na krawędzi głębokiego wąwozu i wpatrywał się w drugi brzeg przepaści. Bramy pulsowały tam niebieskim światłem.

Było sześć portali, każdy owalny, o wysokości mniej więcej dwóch metrów. Nie dało się rozpoznać, z czego są zrobione. Światło bram kusilo. Rozjaśniały się, a potem ciemniały w jednostajnym rytmie, podobnym do bicia ludzkiego serca, tylko trochę wolniejszym. Kolor pozostawał przy tym jednakowy – intensywnie niebieski i widoczny z daleka. Przesłanie Jeba zawierało prawdę, wszystko zgadzało się z rzeczywistością. Bramy naprawdę istniały, a oni musieli tylko pokonać tę cholerną przepaść.

Nikt z nich się nie spodziewał wąwozu, przed którym teraz stali. Rozwarł się przed nimi nie wiadomo skąd po ostatniej wspinaczce. Grupa długo pięła się rzadko porośniętymi zboczami, a krajobraz nie był szczególnie urozmaicony, nie licząc poprzecinanych szczelinami skał, pojedynczych traw i suchych krzaków. Szli prostą drogą za gwiazdą, która wciąż migotała zza kilku chmur na poza tym błękitnym niebie. Nagle, bez specjalnej zapowiedzi, nad wierzchołki gór nadciągnęły burzowe chmury i teraz groźnie nad nimi wisiały, gotowe w każdej chwili się otworzyć.

Podchodzili do gwiazdy coraz bliżej, chociaż szczyty górskiego pasma widniały jeszcze w oddali. Rosła w nich nadzieja, mimo że nie wiedzieli, co czeka na nich za portalami.

A teraz, ku ich zaskoczeniu, droga została odcięta. Nie spodziewali się wąwozu. Góra jakby otworzyła się kilka minut temu. Z dna unosiła się mgła, czuć było skały i ziemię.

Otchłań była tak głęboka, że stojąc na krawędzi, tylko przeczuwali, gdzie może być dno. I wydawała się ciągnąć przez cały górski masyw. León i Misza poszli wzdłuż krawędzi wąwozu w przeciwnych kierunkach – bez efektu. Choć nie było drogi, którą można go było obejść, musieli jakoś pokonać wąwóz.

Misza wrócił ze swojej zwiadowczej wyprawy bardzo blady. Mary, Kathy i Tian badali wzrokiem portale po drugiej stronie. Przepaść pomiędzy obydwoma stronami nawet w najwęższym miejscu miała co najmniej trzydzieści metrów. Nie było szansy, by tak po prostu przejść na drugą stronę,

a i teren tego nie ułatwiał.

– Co mamy teraz zrobić? – płaczliwie zapytał Tian.

Kathy, wściekła, naskoczyła na niego.

– Przestań jęczeć!

– Wszystko na nic. Cała ta męka na nic.

– Zamknij dziób! Nie mogę już słuchać tego skomlenia! Od pięciu minut beczysz pod nosem! Działasz mi na nerwy!

León obserwował ich w milczeniu. Odkąd wdrapali się na ostatni pagórek i odkryli wąwóz, z jego ust nie padło ani jedno słowo, ale teraz podniósł prawą rękę.

– Cicho bądźcie! Wszyscy!

Misza nie wytrzymał.

– Co? Może na to też masz pomysł? – syknął wściekły. – Tak? To zdradź nam, jak mamy przejść przez tę zasraną przepaść. Obejść się tego wąwozu nie da. Sam widziałeś. Ta rozpadlina ciągnie się kilometrami w obydwu kierunkach. No, zaczynaj.

Mary, Kathy i Tian patrzyli na Leóna, który jednak nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Jeśli nie możemy go obejść, musimy przez niego przejść. Z tej strony na dół, a po drugiej stronie z powrotem na górę.

– Czyś ty oszalał? – pieklił się Misza. – Zadałeś sobie w ogóle trud, żeby spojrzeć w dół? – Wskazał na otchłań. – Wiesz, jak tam jest stromo? Prawie nie ma roślin ani występów skalnych, których można by się chwycić. Cholera! I jeszcze raz cholera! Ty nas tu przyprowadziłeś!

– Uspokój się! – powiedział León, który wyglądał na całkiem rozluźnionego. – Jeb miał rację. Musimy wykorzystać materiały, które mamy. Mamy jedną linę, na której możemy spuścić kogoś do wąwozu. Ten ktoś wdrapie się potem na górę po drugiej stronie i umocuje tę linę. Potem możemy jedno po drugim przesunąć się po linie na drugą stronę.

Misza patrzył speszony w głąb wąwozu.

– Może się to udać – stwierdził po chwili. – Rzeczywiście może zadziałać. Kto ma tę linę? – Przed chwilą jeszcze wychodził z siebie, a teraz był pełen energii i żądny czynu. – Ja to zrobię – powiedział po chwili. – Zejdę do wąwozu, a potem wdrapię się po drugiej stronie na górę. Dam radę.

– Ja też mogę iść... Co z twoim ramieniem? – zapytał León.

– Jest jak nowe, patrz. Poradzę sobie. Myślę, że wcześniej też to robiłem. Żaden problem. – Poklepał Leóna po ramieniu. – Zaufaj mi. Nie minie wiele czasu, a wszyscy będziemy po drugiej stronie i zostawimy ten cały gnój za

sobą.

Dla Miszy było jasne, że ma tylko jedną szansę. Od niej zależało nie tylko jego życie.

Tymczasem Tian niepostrzeżenie wyjął linę ze swego plecaka i rzucił jeden koniec do wąwozu. Drugi koniec dyndał w jego dłoni.

– Nie chcę wam psuć zabawy, ale... – Odwrócił się do Leóna i Miszy z mrocznym spojrzeniem.

– Co? – zapytali jednocześnie.

– Mamy problem. – Zwlekał, a po chwili dodał zatroskany: – Lina jest za krótka.

Minęło parę chwil, zanim uporali się z szokiem. Kathy i Mary podeszły do wąwozu i bez wyrazu patrzyły w otchłań. Tak, lina była za krótka. Jej koniec dyndał wysoko nad mrocznym dnem wąwozu. To oznaczało, że Misza mógł wprawdzie od tego miejsca dalej schodzić w dół o własnych siłach, ale musiałby puścić linę i potem nie miałby szansy umocować jej po drugiej stronie. Mogliby oczywiście wszyscy przejść przez wąwóz, ale bez zabezpieczenia liną nawet najmniejszy fałszywy krok oznaczałby śmierć. W jednej chwili ich plan stał się niewykonalny.

– O ile sobie przypominam – Mary przerwała ciszę – mieliśmy przecież dwie liny.

– Tak, rzeczywiście! Kto ma tę drugą? – Gdy w grupie zaległa cisza ciężka jak ołów, Tian sam odpowiedział na swoje pytanie. – Jeb i Jenna. Nikt nie przewidział, że możemy jej potrzebować.

Mary z namysłem popatrzyła na zebranych, a potem cicho powiedziała:

– Nie uważacie, że dziwne jest to, jak wielkie znaczenie ma każdy element naszego wyposażenia? Zapalniczka, lina, nóż, opatrunek. I że zawsze były w plecaku tego, kto potrafi się nimi posłużyć. Od początku plan był taki, że powinniśmy współpracować, żeby dotrzeć do tych bram.

– A gdy uda nam się dotrzeć do bram...? – gorzko zapytał Tian, chociaż znał odpowiedź.

– Mamy o nie walczyć – odpowiedział León. – Słabi zostają. Silni idą dalej.

– Do następnego świata. Do kolejnych bram – uzupełnił Misza.

– Cholera, kto zaplanował ten obłąd? – Tian odrzucił głowę do tyłu i krzyknął z rozpaczą. – Dobrze się bawisz, tak? Kimkolwiek jesteś, gnoju, bawisz się teraz naszym kosztem? Bawi cię przyglądanie się temu, jak się dręczymy? Ach, idź do diabła! – dorzucił i zapadł się w siebie.

Misza w duchu westchnął. Ataki i napady gniewu Tiana były trudne do zniesienia.

Na parę chwil wszyscy pograżyli się we własnych myślach.

– Co teraz? – Mary spoglądała na wszystkich po kolei.

– Każdy z nas musi zdecydować, czy chce zejść do wąwozu, czy nie – odpowiedział León.

– Nad czym tu się zastanawiać? A mamy inny wybór?

Nikt tego nie skomentował. Wszyscy znali trudną prawdę.

– Moglibyśmy spróbować tutaj przeżyć – stwierdziła Mary.

– Już nie pamiętasz, że na nas polują? Chociaż cały czas zadaję sobie pytanie, gdzie zostali ci, którzy nas ścigali. – León wyjął nóż, który trzymał w kieszeni spodni. – Pewne jest tylko jedno: gdy przyjdą, bez broni nie mamy żadnych szans.

Spojrzenie Miszy niespokojnie wędrowało po okolicy. Szukał jakiegoś wyjścia, jakiegoś rozwiązania, sposobu, który przeoczyli.

– Odpuśćmy trochę, potem omówimy to, jak zacząć schodzenie – zaproponował León.

Nikt się nie sprzeciwił. Tian cicho płakał.

Kathy chodziła po krawędzi przepaści w jedną i drugą stronę. Niespokojna jak tygrys w klatce, wędrowała z prawej strony na lewą i z powrotem. Bezsilność w obliczu tej sytuacji wyprowadziła ją z równowagi. Gdzieś głęboko w niej jakiś przełącznik zmienił pozycję i w żyłach płynęła teraz czysta adrenalina.

Jej wzrok wciąż wędrował ku reszcie grupy. Patrzyła, jak stoją w koło, chowają głowy w ramionach i jęczą. Można się było zrzygać. I wtedy zakipiła w niej dobrze znana nienawiść.

„Jesteście słabi! Tacy słabi!”

Popatrzyła na płaczącego Tiana.

Znowu!

Dlaczego ten typ ciągle skamlał? Dlaczego był takim słabeuszem i nic z tym nie robił?

„Weź się w garść!”

Kathy obserwowała, jak Mary pocieszająco objęła Tiana ramieniem.

„Tak, wszystko się zgadza. Trzymajcie się razem. Słabeusze, łączcie się! Nie zasłużyliście na to, żeby dotrzeć do bram! Stójcie tak jak durnie i gapiecie się na drugą stronę! Ja tam przejdę, bez względu na to, co stanie się z wami”.

Kathy splunęła w piasek.

„Umrzecie! Nie zasłużyliście na nic innego”.

Jeb i Jenna nadal podążali za znakami, które niezawodnie wskazywały im drogę. Prawie dzień po tym, jak weszli do lasu, znów go opuścili.

Drzewa rosły tu rzadziej, odstępów pomiędzy pniami zrobiły się większe. Nawet rosła tu trawa. Były krzaki, i małe, i duże. Już nie widzieli swoich pomocników i nie znaleźli więcej jedzenia.

Gdy wyszli na step, powitało ich jaskrawe światło słońca. Po mrocznym lesie ich oczy musiały przez dłuższy czas przyzwyczajać się do światła. Było gorąco. Jebowi chciało się pić i potrzebował odpoczynku. Od wczesnego ranka niósł Jennę na plecach. Dla Jenny nieznośne było to, że stanowiła dla niego ciężar. Dopasował swój chód do tego ciężaru i czuła, że szło mu lepiej niż poprzedniego dnia. Mimo to było mu coraz trudniej iść i poznawała po jego chodzie, że cierpi. Potrzebował przerwy i musiał rozluźnić mięśnie, w przeciwnym razie wkrótce nie zrobi ani kroku. Od pewnego czasu droga pięła się w górę i to kosztowało Jeba mnóstwo sił. Dała mu znak, żeby ją zsadził.

Jeb opuścił Jennę na dół i rozprostował kończyny.

– Dasz mi wody?

Jenna podała mu butelkę. Pił powoli, wyraźnie rozkoszując się każdą kroplą. Mieli wprawdzie jeszcze zapas wody, ale wiedzieli, że na równinie więcej jej nie znajdą. Musieli nią oszczędnie gospodarować.

– Jeb, wydaje mi się, że coś widzę – powiedziała Jenna. Osłaniała oczy dalszkiem z dłoni i wskazywała ręką horyzont. – Tam! Też to widzisz?

Przymknął oczy i... pokręcił głową. Ale wkrótce po jego postawie rozpoznała, że dostrzegł niebieską poświatę, ledwie widoczną w drżącym od upału powietrzu.

– Co to jest? – Wciąż nie pojmował.

– Poświata jest zbyt nienaturalna jak na tę okolicę. Wygląda sztucznie... – Nagle głęboko westchnęła. – Znaleźliśmy bramy.

– Naprawdę tak myślisz? Ale jeśli to prawda... – Patrzył na nią rozpromieniony. Potem szybko zrobił trzy kroki w jej kierunku, podniósł ją i obrócił dookoła. – Udało nam się! Naprawdę nam się udało!

Roześmiała się.

– Postaw mnie, Jeb! – Nagle spoważniała. – A gdzie są pozostali?

– Myślisz, że już przeszli?

– Możliwe – odpowiedziała.

– To została tylko jedna brama. – Zobaczył wyraz jej twarzy i szybko dodał: – Wpadniemy na jakiś pomysł.

Popatrzyła na niego poważnie.

– Musimy o tym porozmawiać, sam wiesz.

Nic nie odpowiedział. Wziął do ręki gałązkę i zaczął rysować kółka na

piasku. Przypominały Jennie wzór na ubraniach tubylców.

– Jeb, co zrobimy, jeśli tam dojdziemy i okaże się, że jest już tylko jedna brama? Jeśli tylko jedno z nas będzie mogło uciec z tego świata?

– Porozmawiamy o tym później, kiedy już tak się stanie.

– Nie, porozmawiamy o tym teraz. – Jenna wydawała się zagniewana. – Wyobrażam sobie, jaki masz plan. Chcesz dobrowolnie zostać, żebym ja mogła przejść przez ostatni portal.

Z narysowanych kół wyłoniły się postacie o szerokich ramionach i wąskich biodrach. Trzymały w dłoniach włócznie.

– Ale tak nie będzie – powiedziała Jenna. – Przyniosłeś mnie tu. Bez ciebie już dawno bym nie żyła. Nie dopuszczę do tego, żebyś się dla mnie poświęcił.

– Może zostało jeszcze więcej bram. Może ktoś z pozostałych nie dał rady albo razem przejdziemy przez bramę...

– Wiesz, że tak nie można! – Jenna pochyliła się do Jeba i chwyciła go za ramię. – Spójrz na mnie!

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Jeśli wszystko jest tak, jak czytałeś, a pozostali już przeszli przez bramy, to pójdziesz ty. Inaczej to nie ma sensu, wszystko byłoby na próżno, rozumiesz?

– Nie zostawię cię. Nigdy.

– Owszem, musisz, Jeb. Musisz. Walcz i przeżyj dla nas!

– Jenno, nie mogę.

Zobaczyła w jego oczach łzy. Tak wiele wytrzymał, żeby ją zanieść do tych bram. Niósł ją godzina po godzinie, nigdy nie skarżąc się na trud ani na ból. Nawet gdy oboje mieli już niewiele nadziei, dodawał jej odwagi. Ten silny Jeb siedział teraz przed nią i płakał. Łzy płynęły po jego ubrudzonej twarzy, lecz wydawało się, że tego nie zauważa. Przestał rysować.

– Jeb, zrób to dla nas... dla mnie. Proszę, nie odmawiaj mi tej ostatniej swobodnej decyzji.

Jeb cicho szlochał. Jego głowa opadła na ramię Jenny. Przez jakiś czas tak siedzieli, potem on zdecydowanym ruchem podniósł głowę.

– Nie musimy teraz o tym rozmawiać, bo jeszcze nie jesteśmy przy bramach. Najpierw musimy przejść przez równinę. Tam znów będziemy łatwym łupem dla naszych prześladowców, których podejrzenie długo nie słyszeliśmy. Jeśli w ogóle uda nam się dotrzeć do tych portali, zobaczymy, ile ich jeszcze zostało. – Jeb wstał. – Idźmy dalej.

Czuła, że nie potrafi go przekonać. Nie tu i nie teraz, ale nie była gotowa przyjąć jego ofiary. Dla obojga była tylko jedna nadzieja: jeśli ktoś

z pozostałej grupy nie dał rady dotrzeć do portali, oboje mieli szansę.

Jenna wiedziała, że nawet gdyby nie było dostatecznie dużo portali, nie zostawi Jeba.

Siedzieli na wilgotnej ziemi i patrzyli w pustkę, skazani na bezczynność. I nagle znów się zaczęło.

Misza zastygł. Z bardzo daleka dobiegły przerażające krzyki. Rozejrzał się, ale nikt nie reagował. A potem na to ochryple wycie nałożył się dźwięk wybuchu, wprawdzie daleko, gdzieś na horyzoncie, ale jednak nie do pomylenia: ci, którzy napadli go pierwszego dnia, znów byli za nimi. Ten dźwięk przeszywał go na wskroś. Mary nazwała napastników duszopijcami i uważał to wyrażenie za adekwatne. Dokładnie taki był ich dotyk. Misza wczepił palce w gołą ziemię i czuł lekkie porażenie w ramieniu. Przy każdym dźwięku, który docierał z daleka i był zniekształcony, drzął i nie rozumiał, dlaczego inni tego nie słyszą.

Dlaczego tylko ja słyszę te krzyki i wybuch? Czy sobie to wszystko wymyślam? Nie, to niemożliwe. Może jego słuch był bardziej wyczulony niż pozostałych. Poza tym to nie był dobry moment na zadawanie sobie takich pytań. Musieli działać, bo ucieczka była bez sensu. I żadne z nich nie wiedziało, ile im jeszcze zostało czasu, żeby przejść przez bramy.

Misza cieszył się, że Tian się uspokoił, jednak jego propozycja, by podrzeć ubrania i przywiązać do liny, nie wróżyła sukcesu. Również i tego by nie wystarczyło. Był tylko jeden sposób. Musieli zejść do wąwozu po zboczu.

Misza przyciągnął do siebie plecak. Pospieszenie majstrował przy szelkach. To było bezsensowne przedsięwzięcie, szybko jednak stwierdził, bo nawet jeśli doliczy szelki, lina wciąż będzie za krótka, zwłaszcza jeśli miała wystarczyć nie tylko do zejścia na dół, lecz także by napiąć ją nad przepaścią.

Potrzebowali drugiej liny, a czas mijał bez pożytku. Nie było tu Jenny i Jeba. Nikt nie mówił tego głośno, ale kto wie, może już byli martwi? Wtedy lina leżała gdzieś bezużyteczna w trawie albo lesie, a tutaj od niej zależało ich życie.

Misza wypił ostatni łyk wody. Jeśli nie przejdą przez ten wąwóz, to i tak wcześniej czy później zginą. Jeśli im się uda, może znajdą nowe źródło.

Próbował o tym nie myśleć i obserwował Kathy. Siedziała na brzegu skały, machała nogami nad przepaścią i patrzyła na bramy. Wydawała się spokojna, ale Misza wiedział, że aż w niej kipi, i obawiał się, że zrobi coś nieprzemyślanego. León wziął od Tiana linę i przymocował ją do skały. Dzięki temu byli zabezpieczeni przynajmniej na pierwszy etap schodzenia do

wąwozu. Można było pomyśleć, że najchętniej sam ruszyłby przez wąwóz. Ale coś go powstrzymywało.

Tian stał plecami do otchłani i wpatrywał się w dal. Wydawał się skupiony. Przymknięte oczy osłaniał daszkiem z dłoni.

– Stamtąd ktoś nadchodzi! – zawołał nagle.

Misza skoczył na równe nogi. Wszyscy podeszli do Tiana, który wskazywał coś ręką.

– Kto to jest? – zapytał Misza. Z powodu drżącego z upału powietrza prawie nic nie można było rozpoznać na horyzoncie. Zbliżał się do nich duży, niewyraźny cień.

– To jakiś olbrzym, o wiele większy niż człowiek. Ale sprawia wrażenie rannego, aż się zatacza.

Nagle Mary krzyknęła:

– To Jeb i Jenna! On niesie ją na barana.

Milczeli zaskoczeni. Mijały minuty, podczas których z wysiłkiem patrzyli w dal. Rzeczywiście, już mogli rozpoznać szczegóły. Kraciaste koszule, jasne włosy Jenny i ciemne Jeba. Jenna do nich pomachała. Coś wołała, ale wiatr porwał jej słowa.

Tian zaczął nerwowo podskakiwać.

– Wiecie, co to oznacza? – krzyczał. – Wiecie, co to oznacza? Mamy drugą linę! – cieszył się głośno. – Drugą linę! Przejdziemy przez ten przeklęty wąwóz!

Byli uratowani. Misza patrzył z ulgą na wszystkich po kolei. León wyprostował ramiona, Mary i Tian promienieli. Jedynie Kathy, jak zauważył Misza, stała z boku i się nie uśmiechała, tylko z zawziętą miną s pluwała na ziemię.

Żeby dostać się do grupy, Jeb i Jenna musieli wejść pod ciemne burzowe chmury. Jednak już tak dawno nie słyszeli swoich prześladowców, że brak słonecznego światła z początku wydał im się niewielkim problemem. Nie mieli wody i wspinaczka stała się męką.

Gdy wreszcie Jenna zeszła z pleców Jeba, głośno stękając, padł na kolana i wysapał:

– Cholera, ale gorąco. – Przez chwilę zafascynowany patrzył na pulsujące niebiesko bramy po drugiej stronie wąwozu i dodał: – Udało się nam!

– Tak, udało się. – Rozpromieniona Jenna patrzyła na niego z ulgą.

Tian podszedł do Jeba, pomógł mu wstać, a potem przytulił trochę zakłopotaną Jennę. Misza objął ich jak starych przyjaciół, a Mary pocałowała obydwój w policzki. León podał Jebowi rękę i poklepał go po ramieniu.

Jenna bez słów kiwała głową. Tylko Kathy siedziała wciąż jeszcze w bezruchu nad przepaścią i wpatrywała się w otchłań.

Radość z ponownego spotkania szybko ustąpiła rozczarowaniu, gdy grupa opowiedziała dwojgu spóźnialskim o prawie nieprzekraczalnym wąwozie. Jennie wyrwał się okrzyk przerażenia; z szeroko otwartymi oczami i niedowierzaniem zajrzała w dół. Jeb bezsilnie przesunął dłonią po włosach, a potem położył ręce na twarzy i nie ruszał się przez minutę. Czekali w milczeniu.

W końcu Jeb wziął głęboki wdech, przetarł rękami zmęczoną twarz, obrzucił spojrzeniem okolice i wskazał głową w kierunku Kathy.

– Co z nią? – zapytał.

– Przecież znasz Kathy. – Uśmiechnął się León.

– Po prostu ją zignorujcie, ja to robię przez większość czasu – poradziła Mary. – Wspaniale, że znów jesteście z nami.

– Dość tej gadaniny. Musimy się pospieszyć. – León pokazał ciemne burzowe chmury. – Jenno? Masz jeszcze linę, która była w twoim plecaku?

Jenna bez słowa wyjęła linę z plecaka.

– Potrzebujemy jej, żeby Misza mógł zejść do wąwozu i wdrapać się z powrotem na drugą stronę. Przymocuje tam linę, żebyśmy mogli przesunąć się po niej na drugą stronę.

– A więc dlatego tu jeszcze jesteście? – Jeb skierował na Leóna twarde spojrzenie. – Myślałem, że czekacie, gotowi do losowania bram, bo nas zobaczyliście. Ale widzę, że po prostu tu utknęliście. – Prychnął z pogardą.

León i Misza milczeli speszeni. Gdy nikt nic na to nie odrzekł, Jeb mówił dalej: – Dobra, potrzebujecie naszej liny, a co dostaniemy w zamian?

Twarzy Leóna stężała.

– Wy potrzebujecie naszej liny. Bez obu nikt nie przejdzie na drugą stronę. Jeb podrapał się po głowie.

– Widzę to tak, że mamy przewagę. Udało nam się dotrzeć aż tutaj, chociaż już dawno postawiliście na nas krzyżyk. Przejdziemy też przez ten wąwóz. Jeśli nie będzie innego wyjścia, przywiążę sobie Jennę do pleców i będę się wspinał na górę.

– Nie dasz rady – syknął León.

– Ponieważ to nasza lina, mogę z nią zrobić, co zechcę.

W tym momencie rozległy się niesamowite krzyki, zachrypnięte i już nieodległe. Wszyscy popatrzyli w dal, nawet Kathy skoczyła na równe nogi. Czyżby coś poruszało się na horyzoncie? León miał nadzieję, że to tylko rozdygotane w upale powietrze płata im figle, ale wiedział też, że temperatura

w ostatnich minutach znacznie spadła. A więc to nie powietrze drgało, tylko zbliżali się ich prześladowcy.

– Nie mamy czasu na dyskusję – naciskał. – Co proponujesz?

– Jenna i ja przejdziemy pierwsi przez wąwóz. Skorzystamy z dwóch bram.

León zagryzł zęby.

– Nigdy. – Pochylił się tak, żeby słyszał go tylko Jeb. – Możemy walczyć o tę linę, tu i teraz. Jest nas pięcioro przeciwko dwojgu. Jenna jest niesprawna, a ty z wyczerpania ledwie trzymasz się na nogach.

– Być może nie jestem akurat w najlepszej formie, ale sił mi jeszcze wystarczy, żeby jednemu lub dwojgu z was rozbić czaszkę. – Jeb pokręcił głową i założył ręce na piersi.

Wytatuowany chłopak westchnął.

– Nie możemy wam dać dwóch bram, ale będziemy ciągnąć o nie losy. Nikogo nie zostawimy ani nie oszukamy, to uczciwa propozycja dla wszystkich.

Misza, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie, zabrał głos.

– A co ze mną?

– A co ma być? – zapytał zimno León.

– Ryzykuję życie, wspinając się przez wąwóz. Myślę, że zasługuję za to na bramę. Nie może być tak, że was wszystkich uratuję, a sam zostanę.

– Nie ma wyjątków – powiedział León, chociaż wiedział, jak niesprawiedliwie to zabrzmiało. – Ale możesz jako pierwszy ciągnąć los, kiedy jest jeszcze najwięcej szans.

Znów rozległy się krzyki. Przypominały skargę starej kobiety. Leónowi dreszcz przebiegł po plecach.

– Nie mamy czasu, Jeb. Robimy tak, jak powiedziałaś: ty i Jenna przechodzicie pierwsi, my podążamy za wami, a potem losujemy. Dobrze?

– Dobrze – westchnął Jeb.

Inni też się zgodzili. Kathy rzuciła im wściekłe spojrzenie, gwałtownie się odwróciła i znów podeszła do krawędzi wąwozu.

Gdy León jeszcze raz wyjaśnił procedurę, Tianowi wyrwało się:

– Mam jeden warunek. Chcę przejść ostatni.

– Ostatni? Dobrze. Po Jennie i Jemie przechodzi Mary, potem Kathy, ja, i na końcu Tian. Czy wszyscy to akceptują?

Skinęli głowami.

– Potem będziemy losować. Jenna, daj mi swoją linę. Misza, przygotuj się.

Zostaw wszystko poza ubraniem, przyniosę twój plecak. Nie schodź za szybko, nie ryzykuj, ale myśl też o tym, że nie mamy do dyspozycji czasu całego świata.

– Niepotrzebne to całe gadanie – odrzekł jasnowłosy chłopak.

León spojrział na horyzont, na ciemne chmury, które szybko sunęły w stronę słońca.

– Nie, to nie to – wymamrotał.

Związane razem liny były przyczepione do skały, ale nie do końca rozwinięte. Tian, Jeb i León trzymali je mocno w rękach i powoli spuszczały w dół, w otchłań. Dłonie ich paliły, ale ignorowali ból. Musieli teraz zatroszczyć się o to, żeby Misza bezpiecznie dotarł na dno wąwozu, zanim będzie mógł wspiąć się na drugą stronę. Dziewczyny patrzyły w napięciu w głąbie, gdy Misza zniknął za skalnym występem.

Z dołu dotarł słaby okrzyk.

– Dalej!

– Do cholery – jęknął Tian. – Wydaje się taki szczupły, ale mam wrażenie, że waży tonę.

– Wolałbyś wisieć na linie wiele metrów nad przepaścią? – mruknął León. Gdy lina w niekontrolowany sposób zaczęła się zsuwać, chwycili ją jeszcze mocniej i zaparli stopy o ziemię.

– Cholera, co on tam robi? – zaklął Jeb.

– A niech to diabli! – Oddech Tiana był stłumiony.

Lina kołysała się coraz bardziej. Potem mocno drgnęła, jak gdyby ktoś za nią szarpnął, i prześliznęła się przez ich dłonie. Dwa metry liny zniknęły w otchłani. Trzej mężczyźni ślizgali się po skalistym podłożu w kierunku przepaści, zanim zdołali znaleźć oparcie i zabezpieczyć linę.

Ich dłonie krwawiły. Piekący ból był nie do zniesienia.

– Nie mogę już dłużej jej trzymać – jęczał Tian.

– Musisz! – zażądał León. – Biada ci, jeśli puścisz. Tu nie chodzi tylko o życie Miszy. Jeśli puścisz, wszyscy będziemy martwi.

Lina znów szarpnęła, potem zaczęła się kołysać w jedną i w drugą stronę.

– Kathy! Mary! – wrzasnął Jeb. – Chodźcie tu i pomóżcie!

Obydwie dziewczyny podbiegły i chwyciły linę.

– Jenno, powiedz Miszy, żeby przestał się huścić.

Jenna opadła na kolana i wrzasnęła prosto w otchłań. Misza coś odpowiedział, ale nie mogła go zrozumieć.

– Mówi o jakimś ptaku.

– Co? – jęknął Jeb.

Lina nagle przestała się kołysać, ale tylko na chwilę, po czym znów mocno się odchyliła. Jęknął, przygotował się na ból i głośno krzyknął, w momencie gdy jeszcze mocniej chwycił linę. Popatrzył w niebo. Nadciągnął

lekki wiatr, chmury zrobiły się prawie żółte i wisiały tuż nad nimi.

„Nie, tylko nie to – pomyślał z rozpaczą. – Potrzebujemy jeszcze trochę czasu”.

A potem usłyszał ich głosy. Ciche przekleństwa i groźby.

Byli blisko.

Misza zawzięcie walczył, by nie spaść. Najpierw zaatakował go wielki czarny ptak z zakrzywionym dziobem. Pojawił się znikąd i omal na niego nie wpadł. Aż do tej chwili było dobrze, miał wszystko pod kontrolą. Każdy jego chwyt był idealny, choć lewe ramię miał trochę sztywne.

Drugi atak tego ptaszyska był bardziej niebezpieczny. Gdy Misza mijał skalną pieczarę, rzuciło się na niego, prawdopodobnie w obronie swojego gniazda. Przestraszony, próbował unikać kontaktu z łopoczącymi skrzydłami i twardym dziobem. Ale ptak nie ustępował, wczepił się ostrymi pazurami w jego włosy i dziobał po twarzy i dłoniach. Misza w panice próbował jedną ręką przytrzymać się skały, a drugą szaleńczo machał wokół swojej głowy. W chwili nieuwagi stracił oparcie i spadł głową w dół. Na szczęście stopa tak zahaczyła się w pętli, którą zawiązał wokół nogi, że nie spadł daleko, ale teraz kołysał się na linie głową w dół, niebezpiecznie blisko popękanej skały. Kręcił się i obracał jak ryba na haczyku, żeby trzymać się w pewnej odległości od skalnej ściany i móc z powrotem podciągnąć się do góry. Nie udawało mu się jednak tak rozbujać ciała, żeby chwycić linę nad swoją stopą. Lina jeszcze groźniej kołysała się w obydwie strony, przy czym jego głowa wciąż była o włos od skały. Dobrze, że przynajmniej to ptaszysko się od niego odczepiło, ale minęło parę chwil, zanim Misza pojął, że musi przestać się poruszać, żeby kołysanie ustało. Po kilku nieskończone długich minutach znów spokojnie wisiał na linie.

Światło wpadło z góry do wąwozu i Misza spojrzał w głęboką otchłań. Dostrzegał ciemne dno tylko w zarysach. Oceniał, że wisi jakieś piętnaście metrów nad dnem. Do góry nogami.

„Zginę. Jeśli spadnę, jestem martwy” – pomyślał.

Poczuł krótkie szarpnięcie, potem lina zadrżała i opuściła się kawałek. Waga jego ciała spowodowała, że zakleszczony turystyczny but uwolnił się trochę z ratującej życie pętli.

Misza krzyknął ze strachu. Nie zostało mu wiele czasu. Teraz już tylko czubek stopy tkwił w pętli. Przy kolejnym szarpnięciu liny całkiem z niej wypadnie. W panice szeroko otworzył oczy i zaczął głośno krzyczeć.

– Coś słyszę – powiedziała Jenna. – Bądźcie cicho. Misza coś krzyczy.

Na twarzach wszystkich członków grupy malował się wysiłek, ale

przynajmniej lina już się nie ruszała. Ich dłonie płonęły z bólu. Na czoła wystąpił pot. Z zaciśniętymi zębami razem przeciwstawiali się tej skale.

– Zdaje się, że chce, by go szybko opuścić.

– Widzisz go?

– Nie, wisi pod występem.

– Jesteś pewna, że mamy go szybciej opuszczać?

– Niezupełnie go rozumiem, ale myślę, że tak.

– Coś... się... stało – wysapał León.

– Może powinniśmy go wciągnąć na górę? – zastanawiał się Jeb.

– Nie. Musi zejść niżej. To nasza jedyna szansa. – León chwycił linę tak mocno, jak się dało. – Troje zawsze opuszcza linę, dwoje ją zabezpiecza. Już!

W końcu poszło. Ci na górze zaczęli go stopniowo opuszczać. Próbował im pomagać gołymi rękami, wciąż starając się zachować odstęp pomiędzy sobą a skałą.

„Proszę, León, bądź ostrożny, żeby mi się stopa nie wysunęła. Proszę, proszę” – błagał w myślach.

Obok niego przesuwały się mroczne ściany skalne. Widział głębokie szczeliny, luźne odłamki kamieni. Pachniało pyłem, ale też stęchlizną, a im był głębiej, tym więcej było wilgoci. Kiedy zjeżdżał w dół, jego zmysły były wyostrzone do ostateczności. Rejestrował każde skrzypienie liny, czuł, jak pętla wędruje ku palcom jego stopy. Oddychał płytko ze strachu, że nawet najlżejszy ruch może doprowadzić do wysunięcia się stopy z pętli.

W końcu odważył się odchylić głowę i spojrzeć w dół. Tak. Ziemia była bliżej. Jeszcze z dziesięć metrów, a potem da radę. Mógł już dostrzec skały, które pokrywały dno wąwozu. Wszędzie leżały otoczaki, ale nie było śladu rzeki, która musiała tu kiedyś utorować sobie drogę. Ani śladu jakiegokolwiek życia. Tylko spękane skały, jak okiem sięgnąć. Wiele miało dziwne kształty, wyglądały na nienaturalnie krzywe albo osobliwie oszlifowane. Misza dziwił się temu, ale na zastanawianie się nie było teraz czasu. Ziemia była coraz bliżej.

Stwierdził ze strachem, że posuwa się w dół coraz szybciej. Zapiaszczone skały zbliżały się do niego zbyt szybko. Jeśli León, Jeb i Tian nie zwolnią, nie zdąży podeprzeć się ręką, by wyhamować, i wyląduje głową na twardym skalistym dnie.

Znów zaczął wołać, ale wydawało się, że nikt go nie słyszy.

Jeszcze siedem metrów.

Sześć.

Pięć.

Cztery.

Trzy metry. Misza jak dziki wymachiwał nogami, żeby uwolnić się z pętli. Przez cały czas groziło mu, że pętla się zsunie, a on spadnie i się zabije, natomiast teraz stopa nie chciała wysunąć się z pętli. Gdyby mógł się z niej uwolnić, mógłby zamortyzować zderzenie z ziemią i się przetoczyć.

Dwa.

Jeden metr.

Misza uniósł wysoko ramiona i próbował ochronić głowę dłońmi. Z potężnym impetem uderzył o skały. Ostra krawędź wwierciała mu się w plecy. Impet uderzenia na chwilę zaparł mu dech. Jego głowa uderzyła o kamień. Obok niego na ziemię spadło trochę liny. Dłonie miał podrapane i gdy zdjął je z potylicy, zobaczył krew. Bolała go nie tylko głowa, znacznie gorsze było to, że czuł się tak, jakby połamał sobie kości. Każdy oddech sprawiał mu ból i mógł tylko płytko dyszeć.

Ostrożnie wyprostował się i zaczął obmacywać. Bolały go dłonie, ale nie złamał żadnej kości. Żebra po lewej stronie wydawały się stłuczone, ale z tym mógł żyć. Wyglądało na to, że znów miał szczęście. Gdy próbował stanąć, jego ciało przeszył gwałtowny ból. Spróbował jeszcze raz. W końcu niepewnie stanął na nogach i porządnie odetchnął. Z początku sprawiło mu to piekielny ból, ale potem już był do zniesienia.

Spojrzał na przeciwległą ścianę skalną, po której musiał się wspiąć. Przerazająco sterczała przed nim, niebo było ledwie widoczne, ale to prawdopodobnie z powodu ciemnych chmur, które wisiały tuż nad wąwozem. Wiedział, że nie ma czasu na uzalanie się nad swoimi ranami.

Nie podda się. Nigdy.

Kathy odsunęła się od grupy. W głowie jej łomotało, oczy zaczęły łzawić. Wiedziała, że winny temu jest nie tylko przeklęty upał. Była wściekła. Kłębily się w niej dzikie uczucia. Raz to była nadzieja, potem znów rozpacz, a wszystko podszyte gniewem. Czerwonym jak krew gniewem, który tańczył jej przed oczami.

Tam, po drugiej stronie, były bramy. I wydawało się, że do niej przemawiają.

„Popatrz, Kathy, jak świecimy. Posłuchaj, jak cię wołamy. Przejdziesz przez nas. Przeżyjesz”.

A jeśli nie będzie miała szczęścia w losowaniu? Jeśli inni wygrają otwarte bramy?

Skąd w ogóle pewność, że dotrze na drugą stronę? Kathy próbowała rozluźnić skurczone i obolałe palce. Bez efektu. Nikt nie pomyślał o tym, jak

mają przejść przez wąwóz, jeśli nie byli nawet w stanie odkręcić butelek z wodą. Co za denny plan.

Spojrzała na Tiana. Wczoraj mu pomogła, pocieszyła go, ale teraz wszelkie współczucie dla niego uleciało. Kathy widziała już tylko jego słabość i brzydziło ją to, że ktoś taki jak on rości sobie prawo do bramy.

Pewna myśl przemknęła jej przez głowę. Nagle zachichotała i wszystkie wątpliwości zniknęły. Przeżyję. Tak, tak właśnie będzie.

Mary usłyszała jej śmiech, niepewnie odwróciła się, ale unikała jej wzroku, a po chwili znów spoglądała w stronę wąwozu. Najwyraźniej właśnie usłyszeli od Miszy, że dotarł na dół. W końcu sprawa posunęła się naprzód.

Spojrzenie Kathy podążyło za Mary.

„Najpierw Tian, potem ty” – postanowiła.

Uśmiechnęła się. I zaczęła nucić.

Humpty Dumpty na murze siadł.

Humpty Dumpty z wysoka spadł.

I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie

Złożyć do kupy nie byli go w stanie.

Misza opuścił rękę. Miał nadzieję, że ci na górze widzieli jego gest, ale niczego więcej nie dokonał. Samo machanie kosztowało go kilka sekund odpoczynku po bólu. Zdjął koszulę i zawiązał sobie wokół klatki piersiowej jak opatrunek uciskowy. Od razu łatwiej mu było oddychać. Przez chwilę wahał się, czy krzyknąć, żeby wciągnęli linę z powrotem i spuścili do wąwozu kogoś innego, ale... Nie, musi dać sobie radę. Trzeba wywiązywać się ze zobowiązań.

„Kto wie, czy ci, którzy nas ścigają, nie dotarli już do grupy?”, zastanawiał się.

Zrobił ostrożny krok w stronę ściany. Jeszcze jeden. Obmacywał wystającą przed nim ścianę w poszukiwaniu miejsc, których mógł się przytrzymać. Występów, skał wystających ze ściany, szczelin w skale, wszystkiego, gdzie da się wsunąć palce albo na czym mógłby się oprzeć. Przez minutę wpatrywał się w skały, a potem zobaczył ścieżkę, którą mógł się wspinać. Jasno i wyraźnie odbijała się od szarego kamienia.

Misza nabrał trochę odwagi. Przywarł ciałem do ściany, jedną ręką chwycił u góry za mały występ i się podciągnął. W klatce piersiowej pulsował ból, ale go zignorował. Całkowicie skoncentrował się na następnym kroku.

Kiedy inni obserwowali, jak Misza nieznośnie powoli wspina się po skalnej ścianie, Tian i Jeb wdrapali się na pagórek, żeby rozejrzeć się za myśliwymi.

– Jak myślisz, są jeszcze daleko? – zapytał Tian.

Jeb zmarszczył czoło.

– Trudno powiedzieć, ale jeśli nic ich nie zatrzyma, mogą tu być szybciej, niż myślimy. Po prostu musimy zdążyć uciec przed nimi na drugą stronę.

Tian skinął głową. On miał ostatni przesunąć się po linie, tak sobie życzył. Miał lęk wysokości, a jeśli nie chciał spowolnić innych, musiał się poświęcić. Gdy pierwszy raz spojrział w przepaść, panika wycisnęła mu całe powietrze z płuc, a w następnej chwili już widział siebie spadającego w bezdenną głębię. I od tego momentu był pewny: nie potrafił przesunąć się po linie nad tą otchłanią. A jednak będzie musiał to zrobić.

Na szczęście nikt nie zauważył jego słabości. W przeciwnym razie być może odmówiliby mu przejścia przez bramę. Tego nie mógł zaryzykować, bo teraz, tuż przed bramami, znów wszystko było możliwe i obudziła się nieufność Tiana w stosunku do towarzyszy. Prawdopodobnie uważali go za

słabeusza, który nie zasłużył na przetrwanie. Gdyby teraz poprosił o pomoc, zaprezentowałby się jako pierwsza ofiara. Nie, musiał zacisnąć zęby i jakoś przejść przez ten przeklęty wąwóz. Jeb i León obiecali, że nikt nie przejdzie przez bramy, zanim wszyscy nie będą po drugiej stronie. Miał szansę! I mocno trzymał się tej myśli.

Tian obserwował Jeba kątem oka. Podziwiał go za to, że przyniósł Jennę aż tutaj. Jeb nie powiedział na ten temat ani słowa, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Ale Tian, który na równinie przekonał się, jaki ciężki może być plecak, darzył go głębokim szacunkiem.

Nieludzkie. Tak, to było właściwe słowo. To, co zrobił Jeb, było prawie nieludzkie, a to, że niemal nie widać było po nim wysiłku, czyniło sprawę jeszcze bardziej niewiarygodną.

Dlaczego Jeb robił rzeczy, których inni by nie zrobili? Oni wszyscy byli gotowi zostawić Jennę na lodzie, ale Jeb dobrowolnie ryzykował życie, żeby ją ratować. Chociaż jej nawet nie znał.

Czy Jeb jest w ogóle jednym z nich? Czy jest w tak rozpaczliwym położeniu jak oni? A może współpracuje z tymi, którzy sprowadzili ich do tego obcego świata?

Kiedy się na niego patrzyło, sprawiał wrażenie otwartego i przyjaznego, ale Tian przez te dwa dni przeżył dostatecznie dużo, by wiedzieć, że zło doskonale potrafi się ukrywać za przyjaznym uśmiechem. Co on właściwie tak naprawdę wie o tym, co się tu dzieje? I kim są pozostali?

Jenna była w porządku. Mary chyba też. Miszy po prostu nie można było nie lubić, ten chłopak był niezniszczalny i nawet teraz promieniował radością życia. A Kathy? Cóż, jej można było z całego serca nienawidzić. Bezwzględna, podła, a przy tym niezwykle cwana, budziła w nim przede wszystkim strach. W każdym razie przed nią powinien mieć się na baczności.

Został jeszcze León z tymi osobliwymi tatuażami. Jego Tian nie potrafił przejrzeć. Właściwie był urodzonym samotnikiem, a mimo to przez ostatnie dwa dni troszczył się o grupę. Prowadził ją i dbał o to, by nikt nie został w tyle. Dlaczego to robił?

Tian czuł, że zachowanie Leóna w każdej chwili może się diametralnie zmienić, że w jego wypadku nic nie jest pewne. Ale tu właściwie nie było nic pewnego.

Tylko te obrazy, które pojawiały się przed jego oczami, stawały się coraz bardziej znajome. Wciąż i wciąż powracały. Mroczne wąwozy ulic, skrzywione szare twarze, ciągłe opady śniegu. Z upływem czasu nabierał przekonania, że nigdy tam nie był, a jednak znał to otoczenie i przeczuwał

niebezpieczeństwo, które mogło się czaić za każdym rogiem. Wiedział, że każde spotkanie w tym odrażającym świecie oznaczało walkę o przeżycie. Ale o co chodziło z tym złotym aniołem? Widział puste oczodoły w jakiejś bladej twarzy, skrzywioną gębę... I wciąż słyszał straszny krzyk, chwilę przedtem, zanim obraz się rozmył i widział już tylko czerwień.

Przycisnął dłonie do oczu, żeby przegonić okropne obrazy. Gdy je znów otworzył, poczuł coś na plecach. Odwrócił się i zobaczył, że Kathy patrzy na niego z oddali. Coś czaiło się w jej spojrzeniu. Tian poczuł, że kładzie się na nim lodowaty chłód.

Już o wiele za długo wisiał na tej skalnej ścianie. O wiele za długo w jego ciele szalał ból, ciągnął się od opuszków przez palce, potem dłonie, i w końcu w górę do ramion. Ciało było napięte i trudno nim było manewrować. Tłumił ból, który go osłabiał. A przy tym czuł cały czas, jak z pulsującej rany na potylicy na kark spływa mu krew.

Dyszząc, wypuścił powietrze z płuc, zanim powoli przesunął prawą rękę do góry. Patrzył na kamień tuż przed nosem, bo na tej ścianie praktycznie nie dało się już odchylić głowy i przyjrzeć się skale. Nie mógł całkowicie polegać na swoich dłoniach i stopach, przyklejał się więc jak jaszczurka do ciemnego kamienia i wspinał do góry centymetr po centymetrze.

W głowie Miszy pojawiały się słowa. Nie wiedział, skąd pochodzą, ale dawały mu pociechę. *Ojciec nasz, któryś jest w niebie...*

Nagle z jakiegoś występu spadł kamień i lewa stopa, na której spoczywał cały ciężar ciała, zsunęła się kawałek. Misza instynktownie wbił obydwie dłonie w skałę i rozpaczliwie szukał nowego oparcia dla stopy. Spod jego nóg skalne odłamki z hukiem leciały w otchłań. Drżąc, przykleił się do ściany. Cholera, niewiele brakowało...

Po fali adrenaliny ogarnęła go rozpacz. Wisiał na koniuszkach palców nad przepaścią, nie miał już sił. Wydawało się, że w powietrzu trzyma go jeszcze tylko to, że się skurczył.

Pragnął wybawienia od bólu. Gdyby po prostu się puścił, byłoby po wszystkim. Cała ta męka by się skończyła. I tak nie było dla nich nadziei. Dla niego...

Sześć bram, a ich było siedmioro. I w następnym świecie będzie tak samo. Zawsze będzie za mało o jedną bramę, dzięki której mogliby się uratować.

Walczyć. Cierpieć. I umierać.

Jego szloch odbił się od skalnych ścian.

A jakiś dziwnie zniekształcony głos szeptał mu do ucha: „Puść!”.

Co się stało? Dlaczego nie wspina się dalej? – zapytała Jenna.

Gryzła paznokcie od czasu, kiedy pierwszy raz dostrzegła Miszę na skalnej ścianie. Ani na chwilę nie spuściła go z oczu. Niemalże miała nadzieję, że może podciągnie go do góry swoimi spojrzeniem, że jakoś mu to ułatwi. Ogarnęło ją złe przeczucie.

– Coś jest nie tak... Zobaczcie, on się zsuwa.

Wszyscy wstrzymali oddech i z westchnieniem wypuścili powietrze, gdy zobaczyli, że Misza znów znalazł oparcie. Przez chwilę wyglądało na to, że zaraz runie w otchłań.

– Co się dzieje? – zapytał Jeb, który podszedł do nich niepostrzeżenie.

Za nim stał Tian i patrzył nieruchomo na swoje stopy.

– Misza o mało nie spadł. Chyba jest ranny.

Jeb spojrział na Miszę, który kontynuował wspinaczkę i wdrapywał się do góry jak mrówka. Jenna miała rację, z Miszą coś było nie w porządku. Jego nerwowe ruchy wskazywały, że utrzymanie się na skale najwyraźniej sprawia mu dużą trudność.

– Myślę, że jest po prostu zmęczony – stwierdziła Mary.

– To nie tylko to – upierała się Jenna.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle znów usłyszała ten przerażający, aż nazbyt dobrze znany głos. Jenna zmusiła się, by nie krzyknąć ze strachu. Tak, to brzmiało jak jej własny głos, który coś do niej wołał. Jakby ten głos wołał o pomoc. Leżąc na ziemi, ostrożnie się rozejrzała, ale tak samo jak przedtem, gdy byli z Jebem na równinie, niczego nie dostrzegła. Cholera, dlaczego tylko ona słyszała ten głos, podczas gdy inni w tym samym momencie słyszeli tylko nieokreślone krzyki. Było prawie tak, jakby sama sobie szeptała do ucha. Czuła dziwny ucisk w okolicach żołądka.

„Nie, muszę wziąć się w garść. Wszystko będzie dobrze, wyjdę z tego, razem z Jebem” – postanowiła.

Zdecydowanym ruchem odwróciła się do pozostałych, tak samo przerażonych. Niemo wpatrywała się w szeroko otwarte oczy Mary, potem się pozbierała.

– Depczą nam już po piętach – stwierdziła sucho.

Gdy nikt się nie poruszył i wszyscy zastygli pod wpływem szoku, Jenna zauważyła, że każdemu z nich niewiele brakuje do tego, by umarł ze strachu.

Musiała przypomnieć sobie i innym, że teraz wszyscy potrzebują odwagi. Wydawało jej się, że sama jeszcze nie tak dawno dowiodła niewyobrażalnej odwagi.

A może sobie to tylko wymyśliła? Może fantazjuje? Tak jak z tym głosem?

Zdecydowanym tonem zwróciła się do wszystkich:

– Misza potrzebuje naszego wsparcia. Musi wiedzieć, że nie jest sam. Już, dopingujmy go.

I chociaż nie wiedzieli, czy ich słowa docierają przez wąwóz zrozumiałe, wykrzykiwali do Miszy pojedynczo, jedno za drugim, słowa otuchy i zachęty.

Misza wspinał się szybciej, zupełnie jakby ich słyszał. Pozostali w milczeniu śledzili jego drogę. Jenna wiedziała, że w duchu wszyscy błagają go o to, by jak najszybciej dotarł do krawędzi skały.

Misza wspinał się, jakby od tego zależało jego życie. Najdosłowniej. Ból był prawie nie do zniesienia, a i zmęczenia nie mógł już ukryć. Wiedział jednak, że musi pozostać w ruchu. Zawsze obciążać na krótko tylko jedną rękę albo jedną nogę, potem natychmiast wspinać się dalej. Jak gekon posuwał się w górę po ścianie.

„Dalej. Jeszcze jeden chwyt. W górę.

Podciągnij się.

Teraz obciąż stopę. Odbij się.

Następna ręka”.

Mamrotał te słowa jak litanie. Ledwie słyszalne wydobywały się z jego ust. Usłyszał teraz z drugiej strony wąwozu okrzyki, nie rozumiał ani jednego słowa, ale wiedział, że chcą mu jakoś pomóc. Nie był sam.

„Tu jest szczelina. Dobrze wygląda. Wsuń w nią palce.

Nie zwlekaj. Znajdziesz oparcie”.

I tak wspinał się dalej.

Z trudem.

Uparcie.

Nagle usłyszał budzące grozę krzyki myśliwych.

O mało się nie puścił ze strachu, ale ramiona niezawodnie go trzymały.

„Czyżby już tu byli? Dogonili nas? Co z resztą?”.

Misza niespodziewanie poczuł lekki powiew wiatru na karku. Prawie mu się udało. Światło go oślepiło. Dotarł do krawędzi skały.

Teraz nadeszła najtrudniejsza część wspinaczki. Musiał się podciągnąć na niewielki występ skalny. Cały jego ciężar znów będzie utrzymywał się na czubkach palców. Z głośnym wrzaskiem odbił się prawą stopą i sięgnął ręką nad krawędź. Udało mu się chwycić suchy korzeń wystający z ziemi. Na

chwilę zawisł w powietrzu, potem szybko dołączył lewą rękę do prawej i darł paznokciami gołą ziemię, dopóki palce nie znalazły małego zagłębienia. Stopy kołysały się w powietrzu, ale trafił na oparcie.

Wydał z siebie głośny krzyk, gdy z niewyobrażalnym bólem podciągał się do góry. Centymetr po centymetrze. Resztką sił wciągnął tułów nad krawędź, i wreszcie mu się udało. Dysząc, odwrócił się na plecy. Nad nim było mroczne czarno-żółte niebo.

Uczucie szczęścia było tak wielkie, że na chwilę nawet zapomniał o bólu. Udało mu się dokonać niemożliwego.

Z trudem się pozbierał i rozejrzał dookoła. Bramy świeciły niecałe sto metrów przed nim, pulsowały równomiernym błękitem, wabiły go.

Miały dwa metry wysokości, były owalne i składały się tylko z szerokiego pierścienia energii otaczającego wibrujące pole, które wprawdzie było przejrzyste, ale zniekształcało tło i pokazywało je tylko rozmyte. Misza patrzył na pierwszą z bram.

„Mógłbym teraz przejść przez jedną z tych bram. Kto miałby mnie zatrzymać? Jeśli nie przymocuję liny, pozostali tu nie przejdą. Znalazłbym bramę nie tylko w tym, lecz także w każdym z pozostałych światów. Mogłoby mi się udać. Do samego końca”.

To było takie kuszące. Wydawało się takie łatwe. Zasłużył sobie na tę bramę. Dlaczego miałby jeszcze o nią ciągnąć losy? Poza tym wszyscy byli przeciwko wszystkim. Przeżyje albo on, albo jedno z grupy. Dlaczego nie on?

Zrób to! To twoja szansa!

Potem dotarły do niego ich głosy. Gdy odwrócił się w stronę drugiej strony wąwozu, zobaczył Jeba, Jenę, Leóna i innych, którzy coś nerwowo krzyczeli.

Misza przesunął dłonią po twarzy. I podjął decyzję. Nie, nie mógł zostawić ich na lodzie. A kto wie, może będzie potrzebował jeszcze pomocy tam, gdzie wszyscy się znajdują? Z wahaniem odszedł od bram i rozejrzał się.

Tamten odłamek skalny się nadawał. Poczłapał do niego, odwiązał linę, którą był opasany, i obwiązał ją wokół skały. Napiął ją mocno, zawiązał kilka węzłów, zawiesił się na niej i przez chwilę sprawdzał, dopóki nie był pewny, że ani lina się nie ześlizgnie, ani węzły nie puszczą.

Potem pomachał do reszty. Podniósł do góry kciuk, opadł na ziemię i zamknął oczy wyczerpany.

W tym momencie uderzył przerażający piorun, potem żółto-czarne chmury nad nimi uwolniły swoją zawartość. Jennie wyrwał się krzyk, jakby coś w nią trafiło, potknęła się i wpadła na Jeba. Rozszalał się grad z deszczem i spadały na nich bryłki lodu wielkości rzecznych kamieni. Przerażeni patrzyli w niebo.

Lina kołysała się, chłostana spadającym gradem.

– Dobra, Jenno, nie ma rady, ty jesteś pierwsza. Musisz teraz przejść na drugą stronę. – Jeb prawie krzyczał, taki hałas robiły te niezliczone grudki lodu, uderzając o ziemię.

Jenna nerwowym ruchem strzepnęła ze spodni piasek. Jej ładna buzia była przerażona i blada.

Jeb podszedł do niej jeszcze o krok.

– Gdy zawiśniesz na linie, opleciesz ją nogami i będziesz rękami podciągać się do przodu, nie obciążając chorej stopy. Nie zwracaj uwagi na grad. Myślisz, że dasz radę?

– Zrobię to.

Jeb widział, że Tian wciąż w pewnej odległości wypatruje tych, którzy na nich polują. Ale na razie słychać było tylko nienaturalne krzyki.

– I, Jenno... – Z naciskiem spojrział jej w oczy. W te nieprzeniknione niebieskie oczy...

– Tak? – Jenna ufnie na niego popatrzyła.

Jakże chętnie wzięłby ją w ramiona, przepędził jej troski, zapomniał się na chwilę i tylko ją całował.

– Proszę, pospiesz się.

Podszedł z Jenną do przepaści. Lina lekko drżała na wietrze, ale sprawiała wrażenie solidnej. Mimo to ten, kto straci oparcie, spadnie w otchłań. Na pewną śmierć. To było dla nich wszystkich oczywiste.

Przy niesamowitych krzykach dudniących w uszach i czując grad na całym ciele, Jeb pomógł jej przyjąć właściwą pozycję. W końcu zaczęła się przesuwac. Przy jej wadze lina tylko lekko opadła, widać na szczęście Misza wykonał dobrą robotę. Jenna dotarła na drugą stronę z głową w ramionach, ale bez żadnych przygód.

Misza podał Jennie rękę i postawił ją na nogi. Był w stanie tylko lekko się uśmiechnąć.

– Dziękuję – powiedziała Jenna. – Byłeś po prostu wspaniały!

Lód ciągle na nich spadał. Ale Miszę nagle ogarnęło uczucie szczęścia. Dobroczynne ciepło rozeszło się po jego ciele i obrzucił Jennę promiennym spojrzeniem.

– Udało mi się! Cholera, naprawdę to zrobiłem!

Misza nie mógł uwierzyć, że mogą iść dalej. Nagle zapomniał o wszystkich trudach, dopóki mroczna myśl nie zmaciła jego radosnego nastroju. Losowanie... Przed nimi było jeszcze losowanie. A jeśli nie będzie dla niego bramy? Głęboko odetchnął, próbując stłumić ogarniającą go rozpacz.

Obserwował, jak Jeb z pozoru bez trudu przesuwa się wzdłuż liny.

Chwilę później również on stał obok nich cały i zdrowy.

– Dziękuję, że nie zostawiłeś nas na lodzie, człowieku. – Gdy Jeb poklepał go po ramieniu, Misza skrzywił się dziwnie. – Co ci jest? – zapytał Jeb. – Jesteś ranny?

– Za szybko mnie opuściliście. To było dość twarde lądowanie. Mam nadzieję, że zebra są tylko stłuczone, a nie złamane. – Uniósł ramiona i zapierający dech ból znów przeszył jego ciało.

– Och... Przepraszam, bardzo mi przykro. Myśleliśmy, że masz kłopoty i chcesz szybciej zjechać do wąwozu.

– Tak, zgadza się. Zaatakowała mnie jakaś wrona, omal przez to nie spadłem. Ale było, minęło. Ważne, że teraz wszyscy przejdziemy przez ten wąwóz.

Odwrócili się jak na komendę. Mary zwisała na linie i z trudem posuwała się naprzód. Wciąż zatrzymywała się wyczerpana albo próbowała uchylać się przed pojedynczymi grudkami gradu i wprawiała tym linę w niebezpieczne kołysanie. León po drugiej stronie coś wrzeszczał, ale nie dało się tego zrozumieć, bo wiatr i szum gradobicia zagłuszały jego słowa.

Jeb i Misza podeszli do brzegu urwiska. Mary po prostu zatrzymała się w połowie drogi.

– Cholera, nie ma czasu, a tam po drugiej stronie jest jeszcze troje naszych. Mary musi posuwać się dalej. I to natychmiast. – Misza był zatrwożony.

– Mary! – zawołał Jeb.

– Co? – odpowiedziała żałośnie.

– Podciągaj się naprzód. Już, zrób to! Musisz się pospieszyć!

– Już nie mogę.

– Jasne, że możesz. Ruszaj, jedna ręka za drugą! Zamknij oczy! Inni czekają!

– Nienawidzę cię i nienawidzę tej zasranej liny, i tego zasnego wąwozu. Właściwie nienawidzę wszystkiego w tym zasnym świecie.

Miszy ledwie udało się stłumić śmiech. Również Jenna się uśmiechała. Jeśli ktoś potrafił tak kląć, najwyraźniej miał jeszcze dość siły.

Uważnie obserwowali, jak Mary wyciąga jedną rękę wzdłuż liny i posuwa się kawałek naprzód. Za nią podążyła druga ręka. Wprawdzie Mary była wciąż jeszcze strasznie powolna, ale wydawało się, że złapała rytm. Dziesięć nieskończenie długich minut później również ona stała po drugiej stronie. Gdy Jeb podciągnął ją do góry, natychmiast padła na ziemię.

– Pocałujcie mnie wszyscy w dupę – wymyślała, kuląc się przed gradem.

Tylko chwilę później Kathy udało się przekroczyć wąwóz. Gdy Jeb zaoferował jej dłoń, żeby ją podciągnąć, pogardliwie pokręciła głową. León dotarł za nią równie szybko. Podszedł do innych i teraz, wszyscy z oczekiwaniem patrzyli na Tiana, który się nie ruszał, tylko gapił na linę.

– Co z nim jest? – zapytał Jeb. – Dlaczego się nie przeprawia?

Nikt nie odpowiedział. Dwie minuty później Tian nie ruszył się nadal nawet o centymetr.

Jeb złożył dłonie w tubę.

– Tian!

Żadnej reakcji.

– Co z tobą? Chodź natychmiast!

Nic.

Potem zobaczyli, jak młody Azjata nagle drgnął. Odwrócił głowę i spojrzał za siebie. Misza przeczuwał, że ich prześladowcy musieli znów podejść kawałek bliżej.

Wydawało się, że Tian wreszcie pokonał odrętwienie. Spojrzał w niebo, przetarł sobie twarz, podszedł do przepaści i z wahaniem chwycił za linę. Przez chwilę jego stopy kołysały się w powietrzu, potem wysoko zarzucił nogi i zaczął przesuwać się wzdłuż liny.

Misza, który cały czas wstrzymywał oddech, wreszcie wypuścił powietrze.

Tian wisiał na linie i bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. W jego głowie pojawiały się obrazy, które go przerażały. Własne dłonie na linie rozmywały mu się przed oczami, zamiast nich widział teraz krajobraz z lodu i czarnych ruin. Śnieg jak brudne pagórki popiołu piętrzył się na brzegu ulicy. Wraz z tymi obrazami docierały też do niego dźwięki. Słyszał za sobą szuranie kroków, ochrypłe ujadanie głodnych psów. Rosła w nim panika. Jego umysł opanowała tylko jedna myśl: musi stąd uciec. Wszystko jedno jak, byle tylko uciec.

Wiedział, że jeśli choć na moment oderwie swoje drżące dłonie od liny, będzie po wszystkim. Dodatkowo nadciągnął silny wiatr, który kołysał liną. Robiło mu się na przemian gorąco i zimno. Wciąż trafiały w niego pojedyncze grudki lodu i kłuły w twarz jak igły. Oddech miał urywany, a w głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: „Spadnę. I już na zawsze zostanę w tym świecie”.

Wiatr igrał z liną. Najpierw powoli huśtał nią w jedną i drugą stronę. Potem miotał nią coraz silniej.

Było tylko kwestią czasu, kiedy ręce Tiana się z niej zsuną.

Jeb patrzył zakłopotany na Tiana, który już nie posuwał się naprzód, tylko

w bezruchu wisiał na linie. Po jego zastygłej, skurczonej pozie Jeb widział, że Tian strasznie się boi. Jenna i Mary zaczęły wołać. Również Misza i León dopingowali Tiana, krzyczeli do niego, żeby posuwał się dalej. Jeb z początku nie wykrztusił ani słowa, teraz jednak odchrząknął energicznie i dołączył do ich wołania. Czyżby coś się ruszało po drugiej stronie wąwozu?

Wszystkie spojrzenia były skierowane na Azjatę.

Nikt nie zauważył, że Kathy odłączyła się od grupy i prześliznęła do skały, do której przymocowana była lina.

Grad przestał padać tak nagle, jak zaczął. Teraz wołanie grupy docierało do uszu Tiana. Głosy brzmiały nerwowo, jakby chciały go ostrzec. Spojrzał wzdłuż liny z powrotem na opuszczoną stronę wąwozu. A tam one już się na niego czaiły. Schematyczne postacie z jego mrocznych wizji zajęły płaskowyż przed wąwozem. Wyglądały jeszcze bardziej przerażająco niż kilka sekund temu w jego głowie: patrzyły na niego pustym wzrokiem, ich ubrania były postrzępione, a skulone ciała pokrywała warstwa popiołu. Tian nagle ocknął się ze swojego bezruchu.

Zaczął pospiesznie podciągać się naprzód. Jeśli istniało coś, czego obawiał się jeszcze bardziej niż tej otchłani, to tego, że wpadnie w ręce tych kreatur.

„Proszę, nie. Oszczędźcie mnie” – błagał w myślach.

Jego ręce szybko posuwały się naprzód i energicznie chwytaly linę. Nie dostaną go. Ale nagle lina drgnęła, a potem zwiotczała mu w palcach. Jego dłonie chwyciły pustkę.

Jeszcze przed chwilą był gotów walczyć o życie, ale teraz wszelka nadzieja nagle umarła. Tian miał umysł tak jasny jak nigdy. Spadał. Jak w zwolnionym tempie widział zbliżające się dno wąwozu. Jego myśli pobiegły do Szu, bawiącej się w świetle słońca, z promiennym uśmiechem w brązowych oczach, gdy go dostrzegła.

„Zaraz będę przy tobie – pomyślał. – I nigdy więcej nie zostawię cię samej, Szu.

Szu”.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Mary obserwowała, jak nad wąwozem przez szczelinę rozprzestrzenia się światło. Po drugiej stronie pojawił się wielki cień. Uświadomiła sobie, że jej umysł miesza prawdziwe obrazy z obrazami z przeszłości. Rosła w niej panika. Co to było? Akurat gdy myślała, że rozpozna więcej szczegółów, rozległ się za nią głośny huk. Coś owinęło się wokół jej nóg, syknęło po chwili obok niej nad brzegiem wąwozu i znikło.

Natychmiast wiedziała: zerwała się lina.

Jej oczy szukały Tiana, który przez ułamek sekundy wydawał się szybować nad przepaścią, zanim spadł w otchłań. Krzyczał.

Potem zniknął.

Połknął go wąwóz.

Gdy Jenna, Jeb, León i Misza pobiegli naprzód i patrzyli w przepaść, Mary stała skonsternowana.

Odwróciła głowę.

Kathy wyszła zza skały, do której była przymocowana lina. W jej ręku coś błysnęło. Nóż.

Mary patrzyła jak zamurowana na Kathy, która ze spokojem odpowiedziała na jej spojrzenie i płynnym ruchem schowała nóż w kieszeni kurtki.

„To ty przecięłaś linę! Ty zabiłaś Tiana!”.

Mary się przestraszyła. Kathy była zdolna do wszystkiego. Już przedtem udowodniła, że nie ma skrupułów i nie zna litości.

„Muszę powiedzieć pozostałym, co ona zrobiła” – pomyślała.

Mary już się odwracała, gdy Kathy stanęła tuż przed nią. Jej zielone oczy zwęziły się w wąskie szparki, a ładna twarz zupełnie skamieniała. Potem nagle usta Kathy rozciągnęły się w uśmiechu. Wydawała się z siebie tak zadowolona, że Mary na chwilę wstrzymała oddech. Kathy pochyliła się, łagodnie pogłaskała Mary palcem po policzku aż do szyi i w poprzek niej.

Potem bez słowa odwróciła się na pięcie i poszła do innych na brzeg wąwozu.

Jenny miała sucho w ustach. Bardziej sucho niż kiedykolwiek, od wielu godzin nie wypła ani łyka wody. Była zbita z tropu, nie mogła jasno myśleć. W głowie miała pustkę.

Tian nie żył.

Jak to możliwe? Dlaczego lina się zerwała? Jenna czuła, jak łyzy spływają jej po policzku.

Obok niej cicho jęknął Misza.

– Nadchodzą – powiedział ledwie dosłyszalnie.

Jenna podniosła wzrok. Druga strona wąwozu migotała w mętym świetle. Dostrzegła postacie, które rozpiezchły się we wszystkie strony i przeszukiwały płaskowyż. Ale potem zobaczyła coś jeszcze. Coś, co było niemożliwe, nie miało prawa się dziać. Jedna z postaci wyprostowała się i spojrzała na nią. Długie, jasne, ubrudzone włosy poruszały się na wietrze, otaczały wąską twarz bez wyrazu.

Jenna oniemiała, ale w duchu wszystko w niej krzyczało, gdy rozpoznała tę dziewczynę, która stała po drugiej stronie wąwozu i nie spuszczała z niej wzroku. Drżącymi palcami Jenna wskazała na drugą stronę i cofnęła się przestraszona. Jeb podążył za jej spojrzeniem; drgnął. Jenna usłyszała, jak León cicho klnie. A więc to nie był tylko wytwór jej wyobraźni.

Ta dziewczyna była blada, bez życia. Ale nie było żadnych wątpliwości: wyglądała tak jak Jenna, jak blade lustrzane odbicie jej samej. I podążała w kierunku przepaści. Jej twarz wydawała się zupełnie bez wyrazu, nie było na niej nawet szczególnego zdecydowania, gdy schyliła się po linę, która po drugiej stronie wciąż jeszcze była przymocowana do skały. Wyciągnęła kilka metrów, potem szybkimi chwytami zeszła po linie w dół, w otchłań.

Jenna gwałtownie drgnęła ze strachu, gdy Jeb potrzęsnał ją za ramię.

– Musimy stąd zniknąć! – powiedział.

Jenna jak ogłuszona odwróciła się od przepaści i na niego spojrzała. Misza, Mary, Kathy i León stali już w odległości kilku metrów, wprost przed silnie pulsującymi bramami.

Jenna zwlekała. Nie chciała spotkać tej dziewczyny, a mimo to nie mogła jej tak po prostu zostawić.

Kim ona jest? Dlaczego jest do niej taka podobna?

Jenna niechętnie pozwoliła, by Jeb ją pociągnął. Jej umysł był jak

znieczulony. Dopiero gdy zobaczyła, że León kieruje się wprost do jednej z bram, oprzytomniała.

Byli w wielkim niebezpieczeństwie! Musieli iść dalej, bez względu na to, co czekało ich po drugiej stronie, nieważne, czy te bramy oznaczały ratunek, czy jeszcze większe zagrożenie. Nie, nie chciała się dowiedzieć, kim była ta dziewczyna, która w tej chwili spuszczała się po linie.

Pozostali tymczasem stanęli przed bramami i wpatrywali się w coraz szybsze pulsowanie.

– Co teraz robimy? – zapytał Misza. – Tak po prostu przechodzimy? Nie ufam temu czemuś.

León chwycił plecak Tiana i rzucił go przez migający pierścień. Ale czegośkolwiek oczekiwali, rozczarowali się. Nie było błysku energii, żadnego huku czy czegośkolwiek, co pokazałoby, że działają tu nieznane siły. Plecak rozczarowująco zwyczajnie klapnął po drugiej stronie na ziemię.

– Jak to w ogóle działa? – zapytał Misza.

– Może reaguje tylko na coś żywego – odpowiedziała Mary.

– Możliwe – odrzekł León.

Wyciągnął prawą rękę. Przejrzyste pole energii wewnątrz bramy przy jego dotyku emitowało fale, które zmierzały ku brzegowi. Wyglądało to, jakby ktoś wrzucił kamień do jeziora i tak jak kamień również ręka Leóna schowała się pod odbijającą obraz powierzchnią. Chwilę później wyciągnął ją z powrotem i wszystko było jak przedtem. Pierścień pulsował, a pole energii znów było niewidoczne. León trzymał swoją rękę tuż przed oczami.

– Dziwne – wymamrotał.

– Co? – zapytała Mary.

– To dziwne uczucie wetknąć tam rękę, ale jeszcze dziwniejsze było to, że po drugiej stronie było zimno. Dotknij mojej ręki – zwrócił się do Mary.

Mary dotknęła jego palców.

– Rzeczywiście. Lodowata. Jak to możliwe?

Nikt nie znał odpowiedzi.

– Co teraz? – zapytała Jenna.

León spojrział na nią.

– To, co nam polecono. Przechodzimy przez bramy.

Jednym płynnym i szybkim ruchem odwrócił się, wskoczył do bramy...

...i zniknął. Podobnie jak brama, przez którą przeszedł.

Speszona Jenna tak jak inni wpatrywała się w miejsce, na którym jeszcze przed chwilą stał portal. Pozostałe pięć bram zaczęło niespokojnie migotać. Zostało niewiele czasu. Jenna podeszła do jednej z bram. Misza, Jeb, Kathy

i Mary również.

Jenna wzięła głęboki wdech, potem zamknęła oczy i zrobiła duży krok...
...do innego świata.

Księga druga

Gdy Mary otworzyła oczy, wszystko wokół niej się zmieniło. Jeszcze niedawno stała w upale, w krajobrazie zdominowanym przez żółć, brąz, szarość i ochrę, teraz panowały biel, szarość i czern.

I było zimno.

Okropnie zimno.

Lodowaty wiatr pędził płatki śniegu, które kładły się na jej włosach i topniały na twarzy.

Pachniało popiołem i śmiercią.

Serce Mary zaczęło szybko walić. Ledwie mogła coś dostrzec z odległości trzech metrów, tak gęsta była śnieżna zadymka. Drżała z zimna, a dłonie jej zeszywniały, chociaż stała tu dopiero od kilku minut. Odwróciła się w kierunku bramy, ta jednak zniknęła.

Mary zrobiła krok naprzód i omal się nie potknęła. Pod jej stopami stał plecak podobny do tego, który miała na ramionach, tylko ten był bardziej wypchany. Przyciągnęła go do siebie i podniosła wysoko. Był ciężki. Natychmiast przeleciała jej przez głowę myśl o jedzeniu. W ostatnich dniach przeżuła tylko kawałek starego suszonego mięsa, a teraz żołądek aż ją palił, żądając jedzenia.

Ale gdzie była grupa?

Rozejrzała się.

Jeb, Misza, Jenna, León? W tej chwili ucieszyłaby się nawet na widok Kathy. Chociaż kilka razy obróciła się wokół własnej osi, nikogo nie dostrzegła.

Wołała ich po imieniu. Coraz głośniejsze krzyczała w wirującą biel, ale żadna odpowiedź nie nadeszła.

Co powinna teraz zrobić?

Szukać reszty? Ale w którą stronę ruszyć?

Nie, lepiej zostać w miejscu i mieć nadzieję, że ją znajdą. W końcu tak było na stepie.

Było jej strasznie zimno. Koniecznie musiała znaleźć schronienie. Z oczami przymkniętymi z powodu zacinającego wiatru rozejrzała się i dostrzegła duży, nieforemny cień, który odbijał się od bieli. Jakiś dom. Mury z kamienia. Ucieszyła się na ten widok, zarzuciła sobie na ramiona drugi plecak i poczłapała przez śnieg.

Budynek był coraz większy, aż Mary dostrzegła, że sięga do pokrytego chmurami nieba. Na fasadzie nad wejściem przymocowana była tablica z literami. PO DAMERPL AR EN. Wejście składało się z przezroczystego frontu z roztrzaskanymi drzwiami, które Mary z ciekawością obmacała. Materiał był przejrzysty jak woda, ale twardy jak kamień. Szkło – przypomniała sobie słowo, które go opisywało. Potem sięgnęła do lodowatego metalowego uchwyty u drzwi i go pociągnęła. Drzwi zaskrzypiały i Mary najpierw stopą odgarnęła śnieg, zanim je trochę uchyliła, żeby wemknąć się do środka.

Powitał ją blady mrok. Trochę światła wnikało przez potłuczone okna. Była w dużej hali z wieloma piętrami. Stały w niej niezliczone stoły, na których leżały spalone albo rozpadające się ubrania. Metalowe szkielety i brudne manekiny ludzkiej wielkości prezentowały jeszcze więcej strzępów materiału, po których trudno było rozpoznać, czym niegdyś były. Gdy Mary rozkoszowała się w tej wielkiej hali osłoną od wiatru i rozgrzewała swoje zdrętwiałe palce, uświadomiła sobie, że jest w sklepie odzieżowym. Pochodzenie tej wiedzy było dla niej zagadką, ale nie wątpiła w to ani przez sekundę. Kiedyś ludzie przychodzili tu kupować ubrania. Mary spojrzała na siebie. Rzeczy, w które była ubrana, dostała w poprzednim świecie. Tym razem również znalazła plecak. Zupełnie jakby ktoś go dla niej przygotował.

Z ciekawością go otworzyła. Były w nim woda, racja żywnościowa, ale też ubrania. Z wdzięcznością włożyła ciepły sweter. Na to grubą kurtkę, czapkę i rękawiczki. W końcu zrobiło jej się trochę cieplej. Dopiero teraz sięgnęła po butelkę i przez chwilę piła dużymi łykami. Suszonego mięsa i chleba nie tknęła. Może to zjeść później, gdy znajdzie grupę.

Właśnie włożyła rzeczy z powrotem do plecaka, gdy przestraszył ją jakiś dźwięk.

León, Jeb, Kathy, Misza i Jenna stali w wirującej bieli tylko kilka metrów od siebie. Lodowaty wiatr gnał gęste, pełne śniegu chmury. Wszyscy znaleźli plecaki i włożyli nowe ubrania, nie byli więc bez ochrony, zdani na pastwę pogody. Otuleni grubymi kurtkami, dreptali w miejscu na zdrętwiałych z zimna stopach i patrzyli na siebie bez słowa.

Jenna zareagowała pierwsza i zwróciła się do Jeba. Jej futrzaną czapkę, spod której wystawały jasne włosy, szybko pokrywał śnieg.

– Rozpoznajesz coś? Gdzie jesteśmy? – zapytała.

Jeb wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Czuję tylko, że tu jest strasznie zimno.

– A gdzie jest Mary?

Jeb jeszcze nie zauważył, że jej nie ma.

– Gdzieś tu musi być.

Złożył dłonie w tubę i zawołał ją, ale nie usłyszał odzewu.

– Dlaczego nie pojawiła się obok nas? – Jenna rozglądała się, ale gęsta zadymka utrudniała jej dostrzeżenie czegokolwiek.

Dołączyli do nich Kathy i Misza. Zaraz potem przyszedł León.

– Nie ma Mary – stwierdził Misza.

Kathy zmarszczyła czoło.

– To woła o pomstę do nieba! Mary zniknęła, ale my znajdujemy nowe ubrania. Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, wprawdzie chce, żebyśmy umarli, ale nie chce, żebyśmy przy tym zmarli. Nie uważacie, że to dziwne?

Jeb spojrzał w jej zielone oczy.

– Odkąd obudziłem się na stepie, nie dziwię się już niczemu.

– Sprawdziłeś już może, czy nie dostałeś kolejnej kartki? – zapytał Misza. – Czy nadal ktoś na nas poluje?

– Nie, nie było nowej kartki. Co prawdopodobnie oznacza, że wszystko zaczyna się od nowa.

– Myślisz, że duszopijcy polują na nas również w tym świecie? – Misza patrzył na Jeba ze zmarszczonym czołem.

– Nie mieli bram, przez które mogliby przejść. Mam więc nadzieję, że oni nam nie grożą.

– No nie wiem, mam naprawdę niepokojące przeczucia. Na równinie wszystko z wyjątkiem upału było takie spokojne i sielankowe, tylko ci, którzy na nas polowali, sprawiali wrażenie groźnych.

– Myślisz, że teraz samo otoczenie stało się naszym wrogiem?

Misza skinął głową.

– To możliwe, prawda?

– Hej, ludzie – przerwała im Jenna. – Jest piekielnie zimno, potrzebujemy jakiegoś schronienia i brakuje jednej z nas. O reszcie możemy podyskutować później. Poszukajmy Mary, a potem tak szybko, jak się da, rozpalmy ogień. Poza tym jestem wściekle głodna.

– Myślisz, że coś jej się stało? – zapytał León, którego spojrzenie cały czas szybowoło po wąwozach ulic.

Jeb nic nie odpowiedział. Nie chciał od razu zakładać najgorszego.

– Podzielimy się. Każdy dostanie jakiś kawałek terenu do przeszukania. Patrzcie na ziemię, w śnieg, może dostrzeżecie jej ślady. – Wymawiał kolejne imiona i wskazywał kierunek.

– To przecież strata czasu. Nie wierzę, że znajdziemy ją w tej śnieżycy – powiedziała Kathy tak spokojnie, jakby już zaakceptowała zniknięcie Mary.

Jeb nie zwracał na nią uwagi.

– Spotkamy się z powrotem w tym miejscu. Zapamiętajcie sobie punkt. Zostawcie tu plecaki. Jeśli nie znajdziemy Mary, zastanowimy się, co robić dalej.

– *Compadre*, z całą pewnością nie zostawię jeszcze raz swojego wyposażenia. Już nie pamiętasz, co się stało ostatnim razem? – odparł León i zarzucił plecak na ramiona.

– Dobra, masz rację. Spotykamy się przed tym przejściem podziemnym, tam, po drugiej stronie. – Wskazał na przeciwległą stronę ulicy i zdziwił się jednocześnie, że tak od razu przychodziły mu do głowy właściwe słowa, opisujące nowe otoczenie w tym świecie.

– Jakie zagrożenia mogą tu na nas czekać? – Jenna rozglądała się niepewnie.

Jeb najchętniej objąłby ją ramieniem i obiecał, że ta dziwna historia dobrze się skończy. Ale te słowa nie przeszły mu przez gardło. Zamiast niego odpowiedział León.

– Cóż, z wyjątkiem okropnego chłodu, wszystko wygląda spokojnie. Wydaje się, że nikt tu nie mieszka.

Rozejrzeli się dookoła. Śnieżycą trochę zelżała i teraz można było w tej bieli rozpoznać wysokie kontury budynków. Konstrukcje ze stali i betonu. Jeb butem odsunął śnieg. Pod nim pojawił się szary asfalt.

„Ulica – pomyślał. – To jest ulica, a my jesteśmy w jakimś mieście. Właściwie powinni tu mieszkać ludzie, ale wszystko jest jak wymarłe. Dlaczego?”.

Coś tu się stało. Wojna? W każdym razie ludzi, którzy zamieszkiwali to miasto, już od dawna tu nie było. Widoczność była tak słaba, że trudno było sobie stworzyć właściwe wyobrażenie o tym miejscu. Ale nie pozostało im chyba nic innego, jak poszukać gwiazdy i iść dalej, żeby przeżyć.

Gwiazda! Jak mamy ją odnaleźć? W tym białym piekle dotarcie do gwiazdy wydawało się jeszcze bardziej nieosiągalne niż poprzednio.

Jeb spojrzął na towarzyszy. Wszyscy sprawiali wrażenie przygnębionych i zniechęconych, ale może byli tylko zmęczeni. Przypomniał sobie Tiana i swoje próby dodawania mu otuchy w lesie... Wszystko to wydawało się dzieć wieki temu. Te trzy niezwykle dni kosztowały Tiana życie. A oni jego śmierci zawdzięczali swoje.

– Gdzie jest gwiazda? – zapytała Kathy. – Nie mogę jej dojrzeć. – Dziko kręciła się w kółko. – Jak w ogóle można ją zobaczyć na niebie przy tej pogodzie?

– Kiedy przestanie padać śnieg, z pewnością znów ją zobaczymy – burknął Jeb.

Kathy naprawdę miała talent do gaszenia wszelkiej nadziei.

„Jeszcze brakuje nam tylko tego, żeby Kathy doprowadziła nas do obłądu – pomyślał.

– Powiedz, co właściwie masz we włosach? Czy to nie opaska Tiana?

Jeb jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Misza był tak wytracony z równowagi. O czym on mówi?

– No i co? To była moja koszula, więc opaska należy do mnie. Już się nie zgrywaj. Tianowi i tak na nic się nie przyda – odparła bezczelnie Kathy.

Jeb naprawdę miał dość.

– Idziemy! – wydał krótką komendę i ruszył, zanim ktokolwiek zdążył coś dodać.

Gdy się rozdzielili, Kathy straciła grupę z oczu. To było jej tylko na rękę. Ile wrzawy zrobili o ten strzęp materiału. Nie miała najmniejszej ochoty szukać tej małej rozwydrzonej zdziry. Poza tym dobrze, że przepadła, przynajmniej nie trzeba uważać na jej niewyparzoną gębę. A gdyby się nigdy więcej nie pojawiła... tylko pomogłaby im wszystkim, a i ona miałaby o jeden problem mniej.

„Właściwie powinni mi być wdzięczni. Każdy bez walki dostał jedną bramę. Ten słabeusz Tian i tak wcześniej czy później by zginął” – pomyślała.

Wiedziała jednak, że nie może spodziewać się wdzięczności. Ani nawet zrozumienia. Może ewentualnie od Leóna. On był tak samo twardy jak ona, ale w ostatnim czasie zdarzyło mu się zbyt wiele ataków współczucia. Zwłaszcza w stosunku do Mary. Suka!

Kathy stanęła i wyciągnęła z plecaka butelkę. Ten przeklęty śnieg, który padał na usta, smakował gorzko jak popiół. Splunęła na ziemię.

Jej wzrok powędrował dookoła. Przed nią leżało miasto z niezliczonymi, zrujnowanymi domami i zniszczonymi ulicami, które litościwie pokrywał śnieg. Z nieba nieustannie spadały płatki śniegu i Kathy miała wrażenie, że padało tu już od lat, ale płatki były cienkie, wodniste i szare. Zdjęła prawą rękawiczkę i obserwowała, jak topnieją na jej dłoni i zostawiają przy tym lepkie czarne smugi. O dziwo, zniszczenie było widoczne wszędzie dookoła, ale nigdzie nie widać było zwłok. Jednak kto wie, co czaiło się w budynkach. Jeszcze raz obejrzała swoją ubrudzoną dłoń. Popiół, sadza i śnieg.

„Może oni wszyscy zostali wypędzeni?”

Ta myśl zabłysła, na chwilę wzbudziła w niej lęk, ale potem Kathy znów się uspokoiła i przeszła parę kroków.

Wypędzeni.

Stąpając przez śnieg, wpatrywała się tylko w swoje buty.

Wszyscy wypędzeni.

Nagle stanęła jak skamieniała. Zaczęła drżeć.

„Jeśli wszyscy nie żyją, to do kogo należą te ślady stóp, w które właśnie wdepnęłam?” – pomyślała.

Mary kręciła się dookoła. Plecak na wszelki wypadek trzymała przed sobą. Jej oczy gorączkowo przeszukiwały ciemność. Czy coś tam było? Skąd dochodził ten szelest?

Tam, obok wieszaków na ubrania. Czyżby coś się tam ruszało?

Wbiła spojrzenie w mrok.

Jeśli to ktoś z jej grupy, to dlaczego nic nie mówi? Kathy?!

– Kto tu jest?! – zawołała Mary. – Kathy, to ty? Wyjdź, widziałam cię!

Ale Kathy nie miała żółtych oczu i nie warczała. Mary panicznie się przestraszyła, gdy dostrzegła, co czai się w mroku.

To było zwierzę, którego kontury mogła teraz rozpoznać. Spod oślinionych fafli błyskały wielkie, brudnożółte zęby.

Pies. Przerażony i głodny. Gotowy rzucić się na nią w każdej chwili.

Przez chwilę nie wiedziała, jak się zachować. Ani pies, ani ona się nie poruszyli. Mary powoli opuściła rękę i wsunęła ją do plecaka. Wymacała palcami suszone mięso i wyciągnęła je ostrożnie.

– Mam coś dla ciebie – szepnęła.

Pies warczał, ale jednocześnie machał ogonem. W końcu zwyciężył głód. Węsząc, z wahaniem podszedł do Mary. Teraz zobaczyła, jak olbrzymie jest to zwierzę. Chociaż z wychudzonego ciała wystawały żebra, pies emanował siłą i dzikością.

Mary rzuciła mu swoją rację żywnościową i ostrożnie cofnęła się o trzy kroki. Pies rzucił się do przodu i łapczywymi kęsami połykał jedzenie. Gdy żuł i się dławił, Mary obejrzała go dokładniej.

Futro zwierzęcia było zupełnie zmierzwione, brakowało mu kawałka ogona i zauważyła też, że z otwartej rany na łapie cieknie krew. Prawdopodobnie się zranił. Jej spojrzenie powędrowało dalej ku łysemu miejscu na tylnej łapie. Tam również była krew. Tym razem trzy krwawe rozcięcia, jak od pazurów.

Albo od noża.

Kathy była jak urzeczona śladami stóp na śniegu. Jej umysł podmarzł, ale powoli docierało do niej, że ktoś niedawno musiał tu stać. I to nie była Mary. Na to odciski stóp były za duże.

„Zatrzymał się tu jakiś mężczyzna. Ślady są głębokie” – pomyślała.

Kathy oglądała ślady, które kończyły się tuż przed jej stopami i prowadziły

w kierunku wysokiego budynku.

Przyszedł stamtąd i tutaj się zatrzymał. Potem zawrócił i pospiesznie pobiegł z powrotem.

Zdradziły jej to różnej wielkości odstępki pomiędzy poszczególnymi śladami stóp.

„Widział nas? Dlaczego się nie ujawnił? Dlaczego pobiegł z powrotem?”

Odpowiedź była prosta. Był sam, a oni w piątkę. Natknął się na nich przypadkiem, nie spodziewał się tu nikogo spotkać. To oznaczało, że ludzie w tej beznadziejnej samotni byli czymś niezwykłym. Ale byli.

„Dlaczego zawróciłeś?”

Boisz się nas!

Ludzie nie są w tym świecie przyjaciółmi, tylko wrogami, zwłaszcza gdy są obcy.

Byłeś sam. Dlaczego?

Polujesz na coś. Nie na zwierzęta, w przeciwnym razie byłyby na śniegu jeszcze inne ślady.

Nie, zasadziłeś się na coś większego.

Na ludzi.

I pobiegłeś z powrotem, żeby sprowadzić posiłki”.

Ta ostatnia myśl dotarła do niej z całym impetem. Nie tracąc czasu, pobiegła z powrotem do swoich.

W poszukiwaniu Mary León zataczał szerokie kręgi. Niestrudzenie brnął przez śnieg i za nią się rozglądał. W regularnych odstępach stawał, osłaniał oczy dłonią i w skupieniu przyglądał się otoczeniu.

Nic. Żadnych śladów.

Skonsternowany zmarszczył czoło i spojrzał w niebo. Sama szarość w szarości. Kathy miała rację. Jak można przy tej zasranej pogodzie zobaczyć gwiazdę? Nie wiedzieli, gdzie były bramy, nawet nie przeczuwali, jak daleko były, nie mówiąc o tym, ile czasu minęło.

A teraz jeszcze Mary zniknęła. To go zdenerwowało. Ale i zaskoczyło. Czuł, że Mary jest w niebezpieczeństwie. A to, że nie wiedział, gdzie ona jest i jak może jej pomóc, niepokoiło go.

Szukał więc dalej.

W końcu dostrzegł jej ślady w śniegu. To tu pojawiła się w tym świecie. Tam po drugiej stronie leżał jej plecak. Zobaczył też, jaką drogą poszła. Na szczęście śnieżycą trochę ustała, w przeciwnym razie jej ślady już dawno byłyby zasypane. Poszła dokładnie w przeciwnym kierunku. Z triumfem zacisnął pięść. Właśnie się odwracał, żeby przyprowadzić grupę, gdy

przybiegła do niego Kathy z grymasem strachu na twarzy. Miała szeroko otwarte oczy.

Uważał, że Kathy to zimnokrwista bestia i nie spodziewał się, że coś może ją aż tak przestraszyć.

Gdy stała przed nim, dysząc i jękając się, chwycił ją za ramiona.

– Powoli! Co jest?

– Znalazłam... ślady...

– Ja też. Mary jest...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – Nie Mary. Jakiś mężczyzna nas... obserwował. Gdy się pojawiliśmy. Upatrzył nas sobie... Poszedł po posiłki. – Szybko chwyciła powietrze.

Mężczyzna, który na nich polował? Prawdopodobnie odkryła w śniegu ślady jakiegoś obcego, ale skąd mogła wiedzieć, że jest do nich wrogo nastawiony?

– Widziałaś go? – zapytał.

– Nie, tak szybko, jak mogłam, przybiegłam z powrotem. Jenna, Jeb i Misza są gdzieś tam, po drugiej stronie.

– Znalazłem ślady Mary – powiedział León i wskazał na śnieg.

Kathy zupełnie nie zwracała na nie uwagi, tylko ciągnęła go w innym kierunku.

– Sprowadźmy pozostałych, musimy uciekać.

León niechętnie się odwrócił. Kathy miała rację. Musieli ostrzec resztę, a potem razem znaleźć Mary.

Jeb, Misza i Jenna po bezowocnych poszukiwaniach wrócili do punktu wyjścia, gdy przybiegli do nich León i Kathy.

León stanął przed nimi i ciężko oddychał. Obok niego Kathy, dysząc, wypuszczała białe obłoczki pary.

– Znalazłem ślady Mary. Zdaje się, że zgubiła się w śnieżycy i weszła głębiej do miasta. Miejmy nadzieję, że nie zaszła za daleko. Znajdziemy ją.

– To dobrze.

– ...ale, niestety, to nie wszystko. Kathy też znalazła ślady jakiegoś mężczyzny, który nas obserwował i prawdopodobnie nie jest szczególnie zadowolony z naszej obecności.

Jeb spojrział pytająco na Kathy, więc opowiedziała o swoim odkryciu. Wszyscy milczeli. Po chwili Jeb odważył się wyrazić swoje wątpliwości:

– Nie sądzisz, Kathy, że przesadzasz? Może ten mężczyzna po prostu nas się bał. Kto wie, jakie wrażenie na nim zrobiliśmy. Może ludzie tutaj wyglądają inaczej niż my. Poza tym był sam, więc to rozumiałe, że wołał

nam zejść z drogi.

– To dlaczego tak się spieszył? – Kathy wzięła się pod boki.

– Może po prostu przed nami uciekał?

– Ale przecież go nie odkryliśmy. Normalnie człowiek ostrożnie się wycofuje. A ten mężczyzna wyraźnie się spieszył. Dla mnie te znaki są oczywiste. Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Jeb popatrzył na nią z namysłem. W argumentach Kathy tkwił jakiś sens, ale pomyślał też o mieszkańcach lasu, którzy pomogli Jennie i jemu i przeprowadzili ich przez las.

– Co sądzicie? – zwrócił się do Jenny i Miszy.

Twarz Jenny nie zdradzała, co myśli albo czuje, ale jej odpowiedź była jednoznaczna.

– Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Jeśli Kathy jest w błędzie, to nie ma dla nas znaczenia, ale jeśli ma rację, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

– Misza?

– Myślę, że Kathy ma rację. Lepiej się mieć na baczności, niż narazić na zagrożenie.

– Dobrze więc, od tej chwili będziemy bardzo ostrożni. A teraz poszukajmy Mary – niecierpliwie powiedział León.

Jeb skinął głową i wszyscy pomaszerowali w kierunku, w którym prawdopodobnie poszła Mary.

Mary cofała się powoli, krok po kroku. Starła się nie szeleścić, mimo to pies podniósł na nią wzrok i znów zaczął groźnie warczeć.

„Jeśli zacznę biec, pobudzę tylko jego instynkt łowiecki. Ale nie mogę tu stać, aż pies sam zniknie. Albo pojawi się ktoś, do kogo on należy. Komuś, kto tak źle traktuje to zwierzę, lepiej schodzić z drogi” – uznała.

Gdy się nad tym zastanawiała, z górnego piętra dobiegł cichy gwizd. Pies zaczął się przysłuchiwać i dreptać w miejscu. Prawdopodobnie z jednej strony chciał spełnić rozkaz, z drugiej zaś musiał nadal pilnować zdobyczy.

„Muszę stąd uciec, zanim mnie zauważą” – postanowiła Mary.

Zrobiła ostrożny krok w tył. Pies głośniej zawarczał. Mary jeszcze raz sięgnęła do plecaka i wyciągnęła chleb. W ten sposób znów wzbudziła zainteresowanie psa. Gdy skupiony wpatrywał się w chleb, rzuciła go ponad nim daleko w głąb pomieszczenia. Pies rzucił się w tamtym kierunku.

W tej samej chwili Mary pobiegła w przeciwną stronę, do wyjścia. Nie oglądała się za siebie, patrzyła pod nogi, żeby się nie potknąć. Starła się nie robić hałasu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi właściciela zwierzęcia. W każdej chwili spodziewała się ataku psa. Dotarła do drzwi i wymknęła się na mróz. Bez namysłu przeszła na drugą stronę ulicy i wbiegła w najbliższą uliczkę.

León schylił się. Gładził dłonią śnieg.

– Biegła. W tamtą stronę.

Wszyscy wstrzymali oddech.

– Ktoś ją gonił. Te duże ślady wciąż krzyżują się ze śladami Mary, ale tu są jeszcze inne odciski na śniegu... Biegło tędy jakieś zwierzę. Wygląda na to, że to pies.

León nie potrafił powiedzieć, dlaczego odciski łap rozpoznał jako psie ślady. Po prostu to wiedział. Tak samo, jak wiedział, że w domach mieszkali ludzie, ale nie w tym, przed którym stali. To było centrum handlowe. Wszystko to obudziło dawno zapomniane wspomnienia.

Kiedy był mały, a świat był jeszcze w porządku, poszedł ze swoją matką do takiego centrum handlowego. Jej obraz pozostał zamazany, ale wiedział, że chciała coś kupić i dlatego zostawiła go w dziale z zabawkami. To był jeden z najpiękniejszych dni jego dzieciństwa. Przez godzinę wypróbował wszystkie możliwe zabawki: samochód strażacki z migającym kogutem

i syreną. Bączki, tory wyścigowe, skórzane piłki do gry w nogę i plastikową gitarę, która wydawała dźwięki, gdy się szarpało za struny. To wszystko pozwoliło mu przez chwilę wierzyć, że niebo, o którym zawsze mówiła babcia, spadło na ziemię. Nie chciał stamtąd nigdy wychodzić, ale matka wróciła o wiele za wcześnie, chwyciła go za rękę i pociągnęła ze sobą. Nie chciał iść, krzyczał i próbował przytrzymać się jakiegoś regału, ale nic nie pomagało. Wyrwała mu z rąk dinozaury z materiału i samochód strażacki i odstawiła z powrotem na regał.

– Nie mamy na to pieniędzy.

– Mamo, proszę! – błagał.

– Nie, Leónie, musisz się nauczyć, że nie możesz mieć wszystkiego. Te rzeczy są dla bogatych białych dzieci gringos, dla nas zostaje tylko kurz i ulica.

„I wódka” – pomyślał.

Był jeszcze mały, ale dokładnie wiedział, czym jest wódka. Tequila. Oczywiście, nie taka ze sklepu, tylko pędzony w metalowych beczkach bimber, który można było w ich dzielnicy kupić wszędzie. Mówiło się, że można od niego oślepnąć, ale jego matka, chociaż chlała, dobrze widziała. Miała wzrok jak sokół. Oczywiście nie wtedy, kiedy była pijana, bo wtedy leżała w chacie na starej macie z łyka i chrapała tak głośno, że nawet muchy omijały ją szerokim łukiem.

León pokręcił głową, żeby przepędzić obrazy z przeszłości. W tej chwili miał inne problemy. Musieli znaleźć Mary. Jakiś człowiek ją gonił, a to uczucie León znał lepiej niż wszystko inne.

– Musimy iść szybko – zagrzewał grupę.

– Jenna nadal ledwie chodzi – przypomniał Jeb, który cały czas ją podtrzymywał.

– W porządku – próbowała to zbagatelizować.

– Nie, nie w porządku! – Jeb pozostał nieugięty.

León dostrzegwał, że Jennę boli noga, ale nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Jenna nie dała mu dojść do głosu. León musiał przyznać, że mimo problemów z nogą Jenna miała niewiarygodną siłę, i za to ją podziwiał.

– Tu jest dostatecznie dużo budynków, które nadają się na schronienie. Tam odpoczne. O północy na niebie zabłyśnie gwiazda. Przedtem i tak się nie dowiemy, w jakim kierunku musimy iść, mogę więc równie dobrze zostać tutaj i oszczędzać siły.

León wiedział, że Jenna ma rację, Jeb również musiał to uznać. Na jego

twarzy była wypisana troska. Wwykraczająca ponad zwykłą koleżeńską normę. Koleżeństwo? Tak, pomiędzy nimi wszystkimi zrodziła się więź. Dopóki byli sobie potrzebni, mogli polegać jedno na drugim.

León zauważył spojrzenia, jakie wymieniali ze sobą Jenna i Jeb, i podejrzewał, że w lesie coś między nimi zaszło. Łączyła ich jakaś dziwna zażyłość, która była czymś więcej niż koleżeństwem i znacznie więcej niż przyjaźnią.

Jak to możliwe? Istniała jakaś siła, która grała z nimi w straszliwą grę. Która chciała, by wszyscy umarli po rozpaczliwej walce o swoje życie. León już nie wierzył, że jedno z nich przeżyje. Ktokolwiek pozostanie, będzie tylko świadkiem tego przestępstwa. Nie, oni wszyscy mieli umrzeć, a ktoś się temu przyglądał.

„To nie jest miejsce na takie rzeczy” – uznał.

Mimo to zauważał wszystkie te drobne, przypadkowe dotknięcia, które nieświadomie wymieniali ze sobą Jenna i Jeb, widział tęskne spojrzenia, jakimi potajemnie się obrzucali, gdy to drugie akurat nie patrzyło.

Roześmiał się w duchu. A co właściwie działo się z nim? Dlaczego w ogóle interesowało go, co się dzieje między Jebem i Jenną? Powinni mu być całkowicie obojętni, podobnie jak Mary, Misza i Kathy.

– No, to ruszamy! – powiedział.

Jeb chwycił go za ramię.

– Nie mamy broni.

León spojrział na niego szyderczo.

– Opowiedz coś nowego. I bądź troszkę bardziej kreatywny. W końcu leży tu mnóstwo złomu, którego możemy użyć, żeby się bronić. Niedługo i tak będzie ciemno, choć oko wykol, wtedy już nie znajdziemy śladów Mary. Nie chcę sprawdzać, co jeszcze czai się na nas w cieniu. – Niechętnie strząsnął dłoń Jeba. – Chodź już, straciliśmy dość czasu.

Mary niemalże potknęła się o zaspę, gdy pospiesznie się obejrzała. Wiedziała: może i udałoby się jej uciec temu mężczyźnie, ale pies ją wytropi. Ten głodny kundel pójdzie jej śladem wszędzie, nieważne, dokąd pobiegnie.

Wiatr gładził ją po twarzy. Kto ją gonił? I dlaczego?

Założyła, że ściga ją mężczyzna. Wielkość psa, ale przede wszystkim okropne ślady znęcania się nad zwierzakiem, podpowiadały jej, że pies należy do mężczyzny nawykłego do przemocy. Przez chwilę pomyślała o Kathy, która z zimną krwią zamordowała Tiana.

Było dla niej oczywiste, że człowiek, który nie miał złych zamiarów, nie miał też powodu, by ją ścigać. W ostatnich dniach nauczyła się, że życie jest walką. Chociaż słabo przypominała sobie swoją przeszłość, wiedziała, że to było dla niej nowe doświadczenie. Jeszcze nigdy nie musiała się o nic starać. A teraz chodziło o jej życie.

Kim jestem? To pytanie odbijało się echem w jej głowie, nadal bez odpowiedzi. Pojawiały się obrazy dużego, tego nadzwyczajnie dużego i budzącego grozę cienia stojącego za wąską smugą światła. Wiedziała, że od tego czasu bała się nocy, ale dlaczego? A poza tym... nic.

Pomyślała o swoich dłoniach. Były miękkie i delikatne, jak gdyby nigdy nic nimi nie robiła, ale teraz pojawiły się na nich rysy i odparzenia, a paznokcie były połamane. Jej ciało dokonało rzeczy, które dotąd uważała za niemożliwe. Okazało się, że wcale nie jest słaba, chociaż zawsze tak o sobie myślała.

Ale nie była też taka jak Jeb, León, Misza czy Kathy, którzy wydawali się urodzeni do przetrwania. Podobnie jak Jenna, zanim zrobiła sobie krzywdę.

Kolejna myśl już jej nie przerażała, bo pogodziła się z tym odkryciem kilka dni temu: Jeśli Jenna znów może chodzić, to ja jestem następną.

Jednak w tej chwili miała pilniejszy problem. I właśnie ten problem zaczął ujadać.

– Robi się ciemno – powiedział Jeb. – Wkrótce nie będziemy widzieli śladów jej stóp.

„Jakbym sam o tym nie wiedział” – zaklął w myśli León.

Od pewnego czasu szli tylko po śladach na śniegu, ale Mary wciąż nie było widać.

„Cholera, jak daleko pobiegła? Musi tu przecież gdzieś być” – martwił się

León.

Kathy wskazała ślady w śniegu.

– Te wyglądają na świeże. Nawet brzeg odcisków butów się nie zatarł.

León spojrział na nią speszony. Ta dziewczyna wciąż go zaskakiwała. Mary była już niedaleko. Równoległe do śladów Mary odkryli teraz też ślady psa i człowieka, który ją ścigał. Wciąż ta sama długość kroków. Ktokolwiek podążał za Mary, był dość zdecydowany.

León wyprostował się i przez chwilę wsłuchiwał się w otoczenie. Nic nie usłyszał. Żadnego wołania o pomoc. Pozostała mu tylko nadzieja, że Mary jest w pobliżu i nic jej się nie stało.

Jeszcze nie.

Pies stał z opuszczonym łbem i wyszczerzonymi zębami. Warczał na nią. W świetle dnia wyglądał jeszcze groźniej niż w sklepie z odzieżą.

Mary przywarła do betonowej ściany za plecami. Nie miała już gdzie uciekać. Była uwięziona w ślepej uliczce. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wołać o pomoc, ale bała się, że to sprowokuje psa do ataku. Nie, lepiej spokojnie stać i mieć nadzieję, że właściciel tego zwierzęcia nic złego jej nie zrobi.

Chociaż miała grubo watowaną kurtkę, czuła na plecach chłód muru. Spojrzała w szare niebo, z którego padały już tylko pojedyncze płatki. Tak wiele zrobiła, żeby dostać się do tego świata, a teraz prawdopodobnie wszystko marnie się skończy.

Po reakcji psa, który przestał warczeć i tylko cicho skomlał, Mary domyśliła się, że właściciel podszedł bliżej. Ze zwieszonym łbem pies cofnął się, gdy jakaś opatulona postać skręciła zza rogu ulicy i ruszyła w jej kierunku.

Obcy był wysoki i chudy. Nosił czarne ubranie. Z początku Mary ledwie rozpoznawała twarz, ale potem zobaczyła szczegóły. Taksowały ją ciemne oczy. Obcy miał brodę, która zakrywała dolną połowę twarzy. Mary bezwiednie drgnęła. Znała tę twarz. Znała ją z nocy, podczas których śniła o tym, by uciec daleko. Daleko z ciemnego pokoju, daleko ze swego ciała. Znów ją znalazł. Teraz zabierze jej wszystko.

Stał w bezruchu i wpatrywał się w nią, a to spojrzenie wywoływało lodowate ciarki na plecach Mary. Czuła się jak ogłuszona. Krzyki, wrzaski i bunt – na to odważyła się tylko raz i teraz również czekała w milczeniu. Szybciej będzie po wszystkim. Niema i z kończynami jak z ołowiu czekała na to, co musiało się stać.

Na twarzy mężczyzny nie drgnął ani jeden mięsień. Zrobił krok w jej

stronę.

Mary zamknęła oczy.

Przed nimi główna ulica krzyżowała się z małą boczną uliczką pomiędzy szeregami domów. Gdy skręcili za róg, León zobaczył Mary. Stała na końcu uliczki przyciśnięta do muru i zakrywała twarz rękami. Jej pozycja wyrażała bezgraniczny lęk, ale nie było tam nikogo innego. Mary była sama. León szybko do niej podbiegł i dotknął ramienia. Krzyknęła i zaczęła łkać. Chwyił ją za rękę i mocno trzymał.

– Mary! To ja, León. Mary... nie słyszysz? To ja...

Opuściła ramiona i z wahaniem podniosła wzrok. Potem powoli opadła na jego pierś i mocno się do niego przytuliła. León był zaskoczony, nie wiedział, jak się zachować, ale gdy Mary zaczęła szlochać, objął ją i przytulił.

– Ja was... zgubiłam... zgubiłam się. Potem ten człowiek... i ten duży pies. Szli za mną. On... on... stał wprost przede mną – szlochała Mary.

Jeb, Misza i Kathy podeszli bliżej. Mary oderwała się od Leóna i pociągnęła nosem. Policzki jej płonęły.

– Gdzie on jest? Jeszcze przed chwilą tu był. I ten pies. Gdzie jest pies? Jest olbrzymi. Potwór.

León szukał w śniegu śladów stóp obcego. Było coraz ciemniej, a tutaj, w tej uliczce, światło ledwie się przebijało przez gęsto stojące domy. Mimo to wierzył, że rozpozna ślady tego, który gonił Mary. Kończyły się jakieś osiem kroków przed murem, przy którym stała. Potem ten człowiek i jego pies ostro skręcili w prawo. Ślady prowadziły przy ścianie domu kawałek z powrotem i kończyły się przed ledwo widocznymi drzwiami. León pospieszył do nich i pociągnął za klamkę, ale były zamknięte.

– Czy ten typ coś ci zrobił?

Mary spojrzała na Leóna, a potem powoli pokręciła głową.

– Nie... tym razem nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Gdy Mary gwałtownie odwróciła głowę, spytał: – Był uzbrojony?

– Nie, ale... – Zwlekała, zagryzając wargi. Wreszcie dodała szeptem: – Myślę, że on jest moim lękiem.

Pozostali członkowie grupy patrzyli na nią przestraszeni.

– Twoim lękiem? Co przez to rozumiesz? To znaczy, że polowanie na nas nadal trwa? – León zaklął.

Misza odezwał się po namyśle:

– Nie wiem, ludzie, to mi raczej wygląda...

– A gdzie jest Jenna? – zapytała nagle Mary.

– Schowała się – wyjaśnił Jeb. – Oszczędza stopę. Wróćmy do niej. Nie chcę, żebyśmy zabłądzili i żeby musiała sama spędzić tę noc.

León skinął głową.

– Dobra. Chodźmy.

Kiedy szli z powrotem po swoich śladach, Mary cały czas trzymała się blisko Leóna. Gdy inni nie słyszeli, szepnęła cicho:

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Ale León nie zareagował na jej słowa. Ze spuszczoną głową szedł długimi krokami i nie zwracał na nią uwagi.

Mary spojrzała do tyłu i zauważyła, jak nieprzyjaźnie wpatruje się w nią Kathy, która zawzięcie brnęła przez śnieg obok innych.

„Wolałabyś, żebyście mnie nie znaleźli – pomyślała Mary. Szybko odwróciła się do przodu, ale wciąż czuła na plecach spojrzenie Kathy. – Czy nie powinnam jednak powiedzieć im o nożu, który ma Kathy? Czy mi uwierzą? – zastanawiała się. – Kathy wszystkiemu zaprzeczy, a ja odtąd nie będę miała spokojnej chwili, gdy ona będzie w pobliżu”.

Odłożyła decyzję na później. Była nieludzko zmęczona i głodna. Jeszcze raz spojrzała na Leóna.

„A ja myślałam, że mnie nie znosisz” – pomyślała.

Obok niej pojawił się Misza. Jego rozwichrzone jasne włosy wystawały spod futrzanej czapki.

– Mary? Ten typ, który szedł za tobą... Jak wyglądał? – zapytał z powagą.

Wahała się, ale przed jej oczami natychmiast pojawił się ten obraz.

– Był wysoki, ubrany na ciemno, miał brodę i... – Mary się zająknęła. Bała się, że gdy powie to głośno, to stanie się bardziej realne. A przecież sądziła, że już dawno mu uciekła. – I wiedziałam, że jest tu tylko z mojego powodu. Przypominasz sobie kartkę Jeba?

– Jak mógłbym o niej zapomnieć...

– Niczego na świecie nie boję się bardziej niż tego mężczyzny. Lepiej nie potrafię tego wyjaśnić.

Misza wsunął rękę pod czapkę i podrapał się.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Takie samo uczucie miałem na równinie. A mimo to wydaje mi się, że tu jest inaczej. Tam nie widzieliśmy nawet twarzy naszych prześladowców, nie mówiąc już o wyraźnych śladach stóp.

Mary popatrzyła na niego zaskoczona, ale milczała. Misza ciągnął dalej:

– Naprawdę się cieszę, że nie jestem tu sam. Staliśmy się silnym zespołem, tak uważam... no tak, chyba z wyjątkiem Kathy...

„Żebyś wiedział” – przemknęło jej przez myśl.

– Ale jesteśmy wszyscy w tej samej sytuacji. I dzięki wam wiem, że nie będę umierał sam.

– I co ci to da? Przetrwanie jednego z nas będzie innych kosztowało życie. Uważam, że ciężko to znieść.

Uśmiechnął się smutno.

– Wiem. Ale czy z tego powodu powinniśmy zachowywać się jak bestie? Po prostu nawzajem się pozabijać?

– Nie wiem – odparła Mary.

– Wówczas nic nam nie zostanie, nawet iskierka godności. Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, zabrał nam wszystko. Nasze życie, wspomnienia i nawet naszą przyszłość, ale ja nie dam sobie odebrać jeszcze swojej godności.

León, który idąc obok, przysłuchiwał im się w milczeniu, teraz się wtrącił.

– To jest dla ciebie godność? – prychnął z pogardą. – Twoje wyobrażenie jest dobre dla słabeuszy. Zwycięzcy zdobywają łupy, słabeusze zachowują swoją godność i nic poza tym. Gównu ci ona pomoże, kiedy stoi naprzeciwko ciebie ktoś z bronią i chce cię zabić. Nie, coś takiego jak godność nie istnieje. Życie lub śmierć. Ty albo ja. Kto jest szybszy? Kto jest silniejszy? O to chodzi... Zapomnij o swojej godności.

Mary nie mogła oderwać wzroku od Leóna. Nie z powodu jego katagorycznej wypowiedzi, lecz dlatego, że w sumie podzielała jego poglądy. Poza tym jeszcze nigdy nie słyszała, żeby wypowiedział aż tyle słów. Zazwyczaj ograniczał się do krótkich poleceń.

Misza patrzył z namysłem na Leóna.

– Musiałeś mieć przedtem trudne życie, jeśli tak myślisz.

León splunął w śnieg.

– Nie mam pojęcia, ale myślę, że za bardzo od tego gówna tutaj się nie różniło.

„Takim słabeuszom jak ja w swoim dotychczasowym życiu z pewnością nie dawałeś szans” – pomyślał Misza.

Mary nie wiedziała, czy powinna tego wytatuowanego wojownika nienawidzić, czy podziwiać. León pozostawał dla niej zagadką.

Teraz zatrzymał się. W mroku badał wzrokiem śnieg. Kathy i Jeb doszli do nich.

– Tutaj rozdzieliliśmy się z Jenną, skrzyła tam. – Wskazał kontury dwóch wysokich budynków, które wznosiły się przed nimi na śniegu.

Na fasadzie jednego z domów wisiała duża tablica z olbrzymimi literami. León nie potrafił odcyfrować tego prawie zawianego śniegiem napisu, ale to nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, że ślady Jenny wyraźnie do niego

prowadziły i że na śniegu nie było innych. Nikt za nią nie szedł.

Razem brnęli przez śnieg do budynku. Jenna zdecydowała się na dom po lewej, bez napisu. Jej ślady kończyły się przed szklanymi drzwiami, które łatwo można było przesunąć i wejść do środka. Szkło było brudne, niepotłuczone, co oznaczało dostateczną ochronę przed chłodem nadchodzącej nocy.

Weszli po kolei w blady mrok. Przez szklane drzwi wpadało niewiele światła, ale natychmiast dostrzegli Jenkę, która ostrożnie wyszła zza drewnianej ścianki i uśmiechała się z ulgą.

Jeb natychmiast do niej podszedł i położył dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku?

León był już pewien, że łączy ich coś wyjątkowego. Może nawet sami przed sobą się do tego nie przyznawali, ale to, że do siebie należą, było oczywiste.

– Tak, ale mimo to było niesamowicie. Wszystko jest takie ciche, a teraz, gdy światło powoli gaśnie, każdy cień wygląda przerażająco. – Jenna spojrzała na Mary. – U ciebie wszystko w porządku?

– Tak... Widziałaś kogoś, Jenko?

León zauważył, że głos Mary lekko drży. Nie było w tym też nic dziwnego, w końcu tylko ona spotkała kogoś z tego miasta.

– Nie, żywej duszy.

– Dobrze – stwierdził Jeb. – Ale dzięki śladom w śniegu wiemy, że w pobliżu jest jakiś mężczyzna albo nawet dwóch. To mężczyźni, o których Mary i Kathy sądzą, że nie są do nas przyjaźnie nastawieni. Mary widziała jednego z nich, miał dużego psa i wydawało się, że jej zagraża, ale zniknął, gdy się pojawiliśmy. Musimy więc być ostrożni. Proponuję, żebyśmy weszli głębiej do tego budynku i wystawili wartę. Powinniśmy się trochę przespać, a nie chciałbym w nocy przeżyć przykrej niespodzianki. – Popatrzył na Leona, a ten skinął głową. – Jeśli będziemy mieli szczęście, w nocy niebo się przetrze. O północy powinna pokazać się gwiazda, potem zacznie się odliczanie i musimy znaleźć bramy.

Rozległ się pomruk zgody. León pokazał ruchem ręki, że zgadza się na ten plan i zachęcił Jeba, żeby mówił dalej. Wydawało się, że Jeb jak zwykle obmyśla swoje kroki z wyprzedzeniem, co podobało się Leonowi, nawet jeśli sposób bycia Jeba czasem nieźle mu działał na nerwy.

Jeb kontynuował:

– Rozbijemy obozowisko, najlepiej na niższych piętrach. Tam możemy rozpalić ogień, tak żeby światło nas nie zdradziło. Jedno z nas zostanie tu, na

parterze, i będzie pilnowało drzwi. Inni będą na górze. Warta będzie kilkakrotnie się zmieniać, żeby każdy mógł się wyspać. – Jeb podał Miszy plecak. – Kiedy wy będziecie szukać czegoś na ognisko, ja pójdę na dwór zatrzeć nasze ślady.

Nieco później wszyscy, z wyjątkiem Leóna, który pierwszy objął wartę, siedzieli wokół małego ogniska, które rozpalili z resztek starych drewnianych mebli leżących dookoła, kartonów i papieru. Migoczące światło płomieni rzucało na ich twarze upiorne cienie. Jeb widział, że nie czują się najlepiej.

– No, przynajmniej jest trochę cieplej – stwierdził Misza.

Nikt mu nie odpowiedział, więc ził w milczeniu suszone mięso. Jenna podzieliła się swoim jedzeniem z Mary, która wszystko oddała psu. Niewiele tego było, ale wypełniło burczący żołądek. W plecakach nie było nowej broni ani materiałów, ani wskazówek.

Jeba dopadły mroczne myśli. Rzuceni z jednego beznadziejnego świata w drugi znów byli skazani na walkę o życie. Jennę prawdopodobnie wciąż bolała stopa, a Misza przy każdym ruchu ledwo zauważalnie drżał. Pewnie jednak złamał sobie żebro. Jeb czuł do Miszy głęboki szacunek za to, co dla nich wszystkich zrobił w wąwozie. Dla wszystkich z wyjątkiem Tiana.

Jeb widział, że grupa nie chce albo nie potrafi rozmawiać o śmierci Tiana. Jego śmierć była potwierdzeniem, że to wszystko nie jest snem. Że się tak po prostu nie obudzą.

„Było nas siedmioro, teraz jest tylko szóstka. Kto będzie następny?” – zastanawiał się Jeb.

Takie myśli nie miały jednak sensu, to była strata energii. Tak wiele mogło się zdarzyć, zanim dotrą do bram. W dodatku to, że w tym świecie są wrogo nastawieni ludzie, wcale nie zwiększało ich szans.

Nagle poczuł, że Jenna przysuwa się bliżej. Jej dotyk wywołał u niego dreszcz.

– Jak się macie, ty i twoja stopa? – zapytał cicho.

– Całkiem dobrze. Jestem tylko nieludzko zmęczona.

– Dobrze to rozumiem. – Spojrzał nad ogniem na wyczerpane twarze towarzyszy, a potem głośniej powiedział: – Chodźmy spać. – Szelest śpiworów był wystarczającą odpowiedzią. – Misza, zluzujesz potem Leóna. A później, po swojej warcie, zbudzisz mnie, żebym mógł ją przejąć.

– Wszystko jasne.

Jeb chciał sobie poszukać miejsca do spania, gdy zauważył spojrzenie Jenny.

– Mogę spać przy tobie? – zapytała cicho.

Uśmiechnął się mimo woli i skinął głową.

Rozłożyła w jednym kącie kartony. Teraz ułożyli na nich swoje śpiwory. Jenna natychmiast wpełzła do śpiwora. Jeb położył się obok niej, ale odwrócił się plecami. Mimo to byli blisko siebie. Tak blisko, że oddech Jenny delikatnie głąaskał go po karku.

„Jeśli teraz się odwrócę, wyciągnę do niej rękę...”. Nie odważył się podążać dalej za tą myślą.

Od odpoczynku w lesie, gdy się prawie pocałowali, wiele się zdarzyło. Jeb w myśli przeklinał siebie za brak odwagi, ale po prostu nie był gotowy, by zrobić pierwszy krok. Zbyt bał się odrzucenia, beznadziejności tego, co czuje do Jenny.

I teraz leżał w ciemności, tuż obok dziewczyny, dla której gotów był umrzeć, marzył o wspólnej przyszłości i ledwie śmiał oddychać.

Jenna patrzyła na słabe światełko tańczące nad plecami Jeba. Czyżby za blisko się do niego przysunęła, czy on odsunie się od niej? Wydawało się, że po każdym kroku, o który się do siebie zbliżali, on robił dwa kroki w tył.

W lesie przytuliła się do niego, ale nie stało się nic. Wtedy złożyła to na karb zmęczenia, jednak teraz zadawała sobie pytanie, czy on w ogóle coś do niej czuje. A jednocześnie była pewna, że tak właśnie jest. Jego rozpacz, kiedy nie chciał jej zostawić, pozwalała wierzyć, że Jeb odwzajemnia jej uczucia. A ona od dłuższego czasu była całkiem pewna tego, jak wiele on dla niej znaczy. Teraz musiała przyznać, że prawdopodobnie wyciągnęła przedwczesne wnioski, łudząc się, że Jeb ją wyróżnia. Wiedziała, że jest jej przyjacielem, i że będzie ją chronił, ale chciała o wiele więcej. A co z nim? Żadnego gestu, żadnego dotknięcia, żadnego czułego słowa.

Jenna była w rozpacz. Z trudem tłumiała łzy.

„Och Jeb, nie widzisz, co do ciebie czuję? Serce mi drży, gdy jestem blisko ciebie, i marzę o twoich ustach. Jeb, proszę, odwróć się. Powiedz coś do mnie, obejmij mnie, przytul, pocałuj” – błagała w myślach.

Ale on tego nie zrobił. Chwilę później Jenna poznała po jego spokojnym oddechu, że zasnął.

Mogła w końcu dać upust łzom.

León siedział w kucki w ciemnościach wejścia do budynku i patrzył na zewnątrz, gdzie śnieg połyskiwał w słabym świetle księżyca. Śnieżyca ustała i szara kołdra chmur rozciągnęła się na tyle, że widoczna była część nieba. León żuł kawałek chleba i zastanawiał się nad tym, co Misza powiedział w drodze powrotnej: „Nie pozwolę sobie odebrać jeszcze i mojej godności”.

Może coś w tym jest? Co ich odróżnia od zwierząt kierujących się

instynktem? Żarcie, zabijanie, przetrwanie. Czy jego życie takie nie było? Starał się, jak już wiele razy, ożywić obrazy ze swoich wspomnień, ale wszystko pozostawało tylko ogólnym i niewyraźnym zarysem. Głosy słyszał rzadko, a i wtedy były to tylko przekleństwa, rozkazy, wyzwiska albo poprzysięganie zemsty.

„Może to wszystko tutaj jest karą za grzechy, które popełniłem? Zabiłem chłopaka. Strzeliłem mu w pierś. Odebrałem życie. Prawdopodobnie zasłużyłem na to, by tutaj być” – myślał.

A co z innymi? Czy oni też pokutowali za to, co zrobili w swoim poprzednim życiu?

Jeb i Misza może tak. W wypadku Kathy było to do pomyślenia, ale co z Jenną i Mary? A z Tianem? Mimo najszczerzych chęci nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ta trójka była zdolna do czegoś, za co musiałaby zostać w taki sposób ukarana.

Czy, jeśli otrzymuję karę, nie powinienem wiedzieć, za co się mnie karze?
Bo jestem mordercą.

A pozostali? Zjeżył się na tę myśl, ale był to jedyny logiczny wniosek: czy był mordercą wśród morderców?

I kto ich karał? Skąd wiedział, że otrzymali sprawiedliwą karę?

Jesteśmy jak szczury. Żreć, kasać, walczyć. I prawdopodobnie ktoś się nam przy tym przygląda.

Złożył dłoń w pięść i podniósł w stronę bezgwiezdneho nieba.

„Kimkolwiek jesteś, jeśli to przeżyję, znajdę cię. I zabiję!”.

Mary leżała w swoim śpiworze. Nie spała, chociaż chętnie by zasnęła. Jej myśli wciąż szybowały do Kathy.

Kathy była morderczynią. Miała nóż, i to ona przecięła linę. Do czego jeszcze była zdolna?

Tego Mary nie wiedziała. Im bardziej starała się uzyskać jasny obraz Kathy, tym bardziej jej myśli chybiały celu. Dziwny uśmiezek Kathy. Jej zabiegi o względy chłopaków. Nóż. Spontaniczna, nawet jeśli niezwykle rzadka gotowość do pomocy. Jej ostrzegawczy gest po śmierci Tiana...

„Co ja wyprawiam?” – zastanawiała się Mary.

Kathy była groźna. Dla każdego w grupie, ale czy oni w ogóle wysłuchają Mary? Czy nie pomyślą, że ona, pod każdym względem najśłabsza w grupie, z samego strachu i wyczerpania widzi rzeczy, które w ogóle się nie zdarzyły? Może po prostu uznają ją za wariatkę?

Jeszcze przez pewien czas wahała się, co zrobić, aż w końcu ogarnęło ją zmęczenie i Mary zapadła w niespokojny sen, pełen ciemnych i splątanych

koszmarów.

Ci dwoje doprowadzali ją do obłędu. Jedno delikatne i godne ochrony, drugie tak wierne i czułe jak tresowany pudel. Do aż takiej porażki Kathy jeszcze nigdy nie musiała się przyznawać – jeśli chodzi o mężczyzn, to właściwie mogła mieć zawsze każdego, którego chciała. Narzeczeni jej siostry lub jej przyjaciółki toczyli się do jej stóp jak dojrzałe owoce. Ona musiała je tylko podnieść, żeby czuć się potężną i godną pożądania.

Jenna i Jeb od czasu swojej wycieczki na równinie byli nierozłączni. Ale nie z powodu Jenny, lecz nieobliczalnego temperamentu Kathy zbyt niebezpieczna była kolejna próba zbliżenia się do Jeba. Tymczasem naprawdę nabrała wielkiej ochoty na walkę z Jebem o jedną z bram. Wyobrażała sobie jego spojrzenie, gdy niespodziewanie wyciągnie nóż z tunelu u dołu swojej koszuli...

Kathy nie mogła stłumić głośnego śmiechu, który bulgotał jej w gardle. Oczywiście, jeśli tylko ta mała zdzira Mary będzie trzymać gębę na kłódkę. Dotychczas okazała się dostatecznie zastraszona, ale kto wie, co zdarzy się w tej słodkiej główce?

Kathy już dawno zauważyła, że Mary szuka bliskości Leóna. Robiła z siebie wrażliwą, słodką istotkę, a on nie miał nic lepszego do roboty, niż oferować jej swoje silne ramiona. Kathy głośno parsknęła. Na szczęście wszyscy spali głęboko i ten dźwięk nikogo nie obudził.

Nie, Kathy za żadną cenę nie chciała przyznać, że akurat słaba Mary rozgryzła tego niepojętego Leóna. I że będzie musiała zrezygnować z pewnej wygranej przy jednej z następnych bram.

„Ale tak się nie stanie, jeśli będę miała w tej sprawie coś do powiedzenia” – postanowiła.

Stał przed nią pies. Jego oczy bezlitośnie obserwowały każdy jej ruch. Mary trzęsa się ze strachu. Z gardła zwierzęcia wydobywał się groźny bulgot. Obejrzała się, dostrzegła mężczyznę, do którego należał pies, i widziała jego pożądlivy uśmiezek.

„Śnię – pomyślała. – To tylko sen. Zaraz się obudzę, potem wszystko będzie dobrze. Jestem bezpieczna, może mi...”.

Pies potężnym susem wyskoczył naprzód, wskoczył na nią i złapał za gardło. Przeszył ją straszliwy ból i nie mogła oddychać. Leżał na niej ciężki pies. Nie mogła się ruszyć. Ręce miała unieruchomione.

„Duszę się”.

Ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Nacisk na jej krtani przybierał na sile. Rozpaczliwie próbowała wciągnąć do płuc powietrze. Gardło paliło ją jak żywy ogień.

Obudziło ją własne rżenie. Otworzyła oczy.

Najpierw widziała tylko kontury przedmiotów. Szarość, czerń, ciemność. Wciąż jeszcze nie mogła złapać powietrza. Potem w świetle ognia błysnęły oczy. Nie żółte oczy psa. Zielone.

Kathy.

Siedziała na jej piersi i ją dusiła. Kathy była o krok od tego, by ją – jedyne go świadka zamordowania Tiana – zabić. Była szalona. Kompletnie zwariowała. Mary sapała, próbowała się bronić, a jednocześnie myślała gorączkowo: jak Kathy wyjaśni pozostałym moją śmierć?

Ale myśleć było jej coraz trudniej. Walczyła o oddech. Ogarnęła ją panika. Zrzucić Kathy, jakoś uwolnić ręce, to wszystko było niewykonalne, nie miała żadnej szansy. Opuszczały ją siły. Przed oczami tańczyły czerwone plamy. Kiedy osuwała się w czerń, usłyszała głos Kathy.

– Zdychaj, ty gnojówo!

Potem nagle chwyt wokół jej krtani się rozluźnił. Kathy gwałtownie wierzgała nogami, Mary dostała kilka kopniaków. Nie mogła otworzyć oczu, otaczała ją głęboka czerń.

Teraz docierały do niej też inne głosy. Misza coś powiedział, a Jenna krzyknęła.

– Łapcie ją! – dyszał León. – Trzymajcie jej przeklęte nogi!

Mary chciała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Skupiła się na swoim oddechu, podczas gdy obok niej wciąż toczyła się bójka. Misza wydawał rozkazy i w końcu zrobiło się cicho.

– Do jasnej cholery, Kathy! Co to ma znaczyć? – wrzeszczał rozwścieczony León.

Jeb usłyszał krzyki dobiegające z dolnego piętra i zbiegł po schodach.

– Co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia – zawołał León. – Budzę się i widzę, że Kathy próbuje udusić Mary.

Jeb pochylił się nad Mary, która z zamkniętymi oczami leżała na plecach, z trudem łapiąc powietrze. Jej klatka piersiowa pospieszenie się unosiła i opadała, przy każdym oddechu słychać było przyduszony świst.

– Mary? Słyszysz mnie? – Wziął ją za rękę, ale nie zareagowała, tylko dalej dyszała. – Mary, co się stało? Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Otworzyła oczy. Powieki jej drżały.

– Ona zabiła Tiana – wycharczała ochryple.

W pomieszczeniu zaległa cisza.

– Tian spadł – spokojnie powiedział Jeb. – Lina się zerwała.

– Nie – zaprzeczyła Mary. – Ona ją przecięła. Kathy ma nóż, miała go przez cały czas. Widziałam to.

Jeb wstał, groźnie spojrzał z góry na Kathy.

– Czy to prawda?

Kathy patrzyła na niego pogardliwie.

– Przeszukajcie ją, a potem puście!

Kathy się nie broniła. Wkrótce potem León wyciągnął nóż, który ukryła w koszuli. Z wahaniem uwolnił Kathy. Natychmiast się wyprostowała i obrzuciła ich wściekłym spojrzeniem.

– Masz nóż – stwierdził Jeb. – I nic nam o tym nie powiedziałaś.

– I co? – zapytała z sykiem.

Jeb patrzył na nią natarczywie.

– Czy zabiłaś Tiana?

Skrzywiła się w grymasie nienawiści.

– I tak by umarł. Ten przeklęty słabeusz nigdy nie dotarłby do ostatniej bramy.

Wszyscy to słyszeli. Jedno z nich zamordowało członka grupy. Stało się coś niepojętego. Przemoc i śmierć groziły już nie tylko z zewnątrz. Jeb nie mógł uwierzyć, że ktoś z ich grupy był w stanie zrobić coś takiego.

– To nie od ciebie zależało, czy Tian ma żyć, czy umrzeć – powiedział. Z trudem powstrzymywał się od tego, żeby nie uderzyć Kathy pięścią w twarz.

– Tak jak my wszyscy, zasłużył na szansę, która byłaby fair.

– Szansę? – szyderczo roześmiała się Kathy. – Powinniście być mi wdzięczni. Nikt nie musiał losować bramy.

– Jesteś morderczynią – stwierdziła ze zdziwieniem Jenna, jakby nie mogła w to jeszcze uwierzyć.

Kathy zaśmiała się gardłowo.

– Gdybyście mogli zobaczyć ulgę w swoich oczach, gdy Tian spadł. – Odrzuciła włosy na plecy; widać było brązową opaskę. – Tak, wprawdzie beczeliście, ale bądźcie uczciwi: byliście wdzięczni, że pusty los już do was nie trafi. A ty, Jenno? Lepiej bądź ostrożna. Każdy z nas wie, że byłabyś pierwszą ofiarą i że gdyby cię Jeb w jakimś wzruszającym napadzie sentymentalizmu nie doniósł do bram, umarłabyś już na stepie. I stałabyś się zarciem dla tych, którzy chcieli nas widzieć martwych. Małaś szczęście, a Tian

nie. Przed bramami było nas o jedno za dużo, rozwiązałam ten problem za was.

– A Mary? – wycedziła Jenna przez zaciśnięte zęby.

– Ta mała zdzira już długo by nie pociągnęła. – Wskazała na Mary. – Przyjrzyjcie się jej. Rozpuszczona gówniara!

Uderzenie spadło tak szybko, że nie można go było przewidzieć. Kathy nagle padła na ziemię. León pochylił się nad nią.

– Zamknij mordę! – wysyczał niebezpiecznie cicho.

Jeb położył mu dłoń na ramieniu.

– Daj spokój.

León patrzył na Kathy tak, że Jeba zmroziło. W jego ciemnych oczach szalała żądza mordu.

Jeb specjalnie spokojnie powiedział:

– Zdejmijcie jej kurtkę, żebyśmy mogli ją związać, dopóki nie postanowimy, co z nią zrobić.

Kathy milczała i pozwalała im na wszystko bez oporu. Jeb odciął rzemienie od plecaka Kathy.

– Odwróć się! – rozkazał. – Ręce na plecy!

Gdy związali jej ręce i nogi, wyprostował ją, żeby mogła na kolanach śledzić, co teraz będzie.

– Usiądźcie.

Z wahaniem posłuchali jego polecenia.

– Co to ma być? – odezwała się Kathy. – Rozprawa sądowa?

Jeb zdjął jej opaskę z czoła i ją zakneblował, tak że mogła tylko wydawać głucho dźwięki.

– Więc co z nią robimy? – zapytał zebranych.

– Zabijmy ją! – bez wahania powiedział León. – Zabiła Tiana i nie zasługuje na nic innego.

Inni milczeli przestraszeni. Potem głos zabrał Misza:

– To by z nas też zrobiło morderców. Nie bylibyśmy lepsi od niej.

– Misza ma rację – powiedział Jeb. – Tak nie możemy jej ukarać. Co sądzicie? – zwrócił się do Mary i Jenny.

– Na pewno nie może zostać z nami – oznajmiła Jenna. – Już nie możemy jej ufać. Prawdopodobnie znów spróbuje zaatakować kogoś z nas, a na takie ryzyko nie możemy sobie pozwolić.

– Ona jest szalona – powiedziała Mary, wciąż jeszcze z chrypą. – Gdybyście widzieli jej wzrok. Zupełnie oszalały. Obawiam się, że znów to robi.

– A więc z nami nie może dalej iść – powiedział Jeb niepewnym głosem.

– Zostawmy ją! – León był bardzo zdenerwowany.

– Skrępowaną? Nie, to byłby wyrok śmierci. – Jeb powiódł wzrokiem po zebranych, jakby szukał poparcia. – Jestem za tym, żeby ją wykluczyć z grupy. Od tej chwili musi sama decydować, jak sobie dawać radę.

– To by oznaczało, że wciąż jeszcze może dotrzeć do jednej z bram – powiedział León. – Uważasz, że to w porządku po tym, co zrobiła?

Jeb popatrzył na niego poważnie.

– Właściwie nie. Dobra, proponuję, żeby musiała zostawić całe wyposażenie poza ubraniem. Śpiwór, woda i jedzenie zostają tutaj. Potem rozdzielimy te rzeczy między siebie. Zgadzaście się na to?

Jenna skinęła głową. Mary tak samo. Misza zwlekał, ale i on na to przystał. Tylko León się nie ruszał. W końcu wytatuowany chłopak cicho zwrócił się do Jeba:

– Uważam, że nie zasłużyła na tę szansę. Tian takiej nie miał.

– Tak, ale my...

León podniósł rękę.

– Już dobrze, wiem, co chcesz powiedzieć, nie bylibyśmy lepsi od niej. Ale przed świtem musi zniknąć, w przeciwnym razie zmienię zdanie.

León zwrócił się do Kathy, która obserwowała tę rozmowę z rosnącym przerażeniem.

– Gdybym ja o tym decydował, umarłabyś tu i teraz, ale szanuję decyzję większości. Jeśli jednak spotkamy się jeszcze raz, natychmiast z tobą skończę. Zrozumiałaś?

Kathy dumnie skinęła głową. Cień lęku szybko znów zniknął z jej twarzy. Jeb był zdziwiony, z jaką szybkością zmieniały się emocje tej dziewczyny. Może mimo wszystko wierzyła, że ma jeszcze jakąś szansę. Jeb wiedział lepiej. Przeczesał palcami włosy, a potem wstał.

– Już późno. Zobaczmy, czy można już gdzieś dostrzec gwiazdę.

Zadowoleni ze zmiany tematu poczłapali schodami na parter i wyszli na lodowaty chłód nocy. Niebo było jeszcze miejscami zakryte chmurami, lecz pomiędzy pojedynczymi szarymi strzępami prześwitywała granatowa czerń.

Jeb kręcił się w kółko. Przeszukiwał wzrokiem nieboskłon, pozostali również wyciągali szyje. Mijały minuty. Ich oddechy rozpieczęły się w białych obłoczkach.

Nagle usłyszeli głos Miszy:

– Tam. Chyba coś widziałem. – Wskazywał dłonią.

W słabym świetle księżycy jego ręka wyglądała jak biały cień.

– Tak – przyznała Jenna. – Też ją widziałam.

– To ona. – Mary niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

Świecąc wyraźnie, gwiazda wyłoniła się zza chmury, żeby chwilę później znów zniknąć we mgle. Jeb utrwalił sobie w pamięci kierunek. Teraz znów wiedzieli, dokąd muszą maszerować.

„Nasza podróż w nieznane trwa nadal” – pomyślał.

Ranek znów zaczął padać śnieg. Jeb rzucił pomysł, by wyjść z domu handlowego nie głównym wejściem, tylko przez boczne drzwi, i zmylić ewentualnych wrogów. Prowadzili bez końca dyskusje o tym, kto może na nich polować i czy te wrzeszczące postacie ze stepu mogły dotrzeć aż do tego zrujnowanego miasta. Każdy był innego zdania i miał jakąś inną teorię. W którymś momencie zapadło głucho milczenie.

Wciąż jeszcze było zimno. Mokre płatki spadały z ponurego nieba i pozostawiały brudne ślady na ścianach domów, ulicach i ich ubraniach. Jeb wiedział, że spali niespokojnie. Teraz zniechęceni stali na zimnie i próbowali się rozgrzać, drepcząc w miejscu. Nadzieja, którą Jeb odczuwał jeszcze w nocy, gdy zobaczył gwiazdę, w obliczu nadchodzących trudów uleciała.

Przed nimi stała Kathy. Miała na sobie grubą kurtkę, nie wzięła nic poza tym. Jej ręce i nogi już nie były związane, nie miała również knebla. Rude włosy, które rozwiewał wiatr, otaczały jej ładną, teraz bardzo bladą twarz o charakterystycznych zielonych oczach.

– Idź! – polecił Jeb.

– W ten sposób skazujecie mnie na śmierć.

– Na nic innego nie zasłużyłaś, ale nie chcemy być mordercami.

Misza i Jenna bez słowa kiwnęli głowami, lecz nie mieli odwagi na nią spojrzeć. León natomiast przeciwnie, odpowiedział na jej wzrok, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– To się jeszcze okaże. – Kathy popatrzyła na Jeba, potem odwróciła się i poszła.

Chwilę później śnieżycą pochłonęła jej smukłą sylwetkę.

Misza patrzył za nią, dopóki nie zniknęła we wszechobecnej bieli. Czuł się winny. Czy to, co zrobili, było właściwe? Kathy zabiła Tiana, decyzja była zatem sprawiedliwa i dawała jej mimo wszystko szansę dotarcia do bram. Mimo to Kathy była zdana tylko na siebie, nieuzbrojona, bez jedzenia i wody. Czy byli o wiele lepsi od niej?

„Tu są ludzie – próbował się pocieszać. – Może ktoś jej pomoże”.

Było to kłamstwo. Wiedział to, bo ci ludzie okazywali się tylko zmieniającymi się koszmarami. Pomogło mu to jednak odpędzić myśl, że wysłali Kathy na pewną śmierć.

Misza spojrział na Leóna. Wytatuowany chłopak wydawał się całkiem

spokojny, gdy informował resztę, że mogą ruszyć. Twarz Mary prawie zniknęła pod kapturem, ale Misza wyczytał z jej oczu, że ostatnia noc pozostawiła na niej ślad. Jeb i Jenna cicho rozmawiali. Czy tylko tak się wydawało, czy naprawdę wszyscy znieśli wypędzenie Kathy bez mrugnięcia okiem?

Drugie pytanie przyszło mu do głowy, gdy założył plecak. Dlaczego León był tak skrajnie zafiksowany na Mary? To on był siłą napędową jej poszukiwań. To on obezwładnił Kathy i groził jej śmiercią, gdyby jeszcze raz zbliżyła się do grupy. Misza miał wrażenie, że León właściwie chciał powiedzieć: gdyby się zbliżyła do Mary. Czyżby coś było między nimi?

Nie wiedział dlaczego, ale ta myśl go zabolęła. Popatrzył na Mary. Lubił tę dziewczynę o ciemnych oczach i czarnych włosach. Może czasem była trochę męcząca, ale tak samo jak Jenna emanowało z niej ciepło.

Dokładnie w tej chwili León podniósł kciuk, by pokazać, że jest gotowy do wymarszu, i ich oczy spotkały się na chwilę. Misza odpowiedział na ten gest, ale czuł się słaby. Czuł, że dopóki nie poukłada sobie w głowie swoich myśli, trudno mu będzie brnąć przez głęboki śnieg.

„Leónie, kim ty jesteś? Dlaczego tak mnie fascynujesz? Dlaczego mnie boli, kiedy o tobie myślę?”

Tak wiele pytań i żadnej odpowiedzi. Grupa ruszyła. Misza obejrzał się i ostatni raz spojrzął na ślady Kathy, które już prawie pokryły świeże płatki śniegu.

Podszedł Jeb i maszerował teraz obok niego.

– U ciebie wszystko w porządku?

– Tak... myślałem o Kathy i o tym, co ją czeka – skłamał.

– Zasłużyła na taki los. A poza tym byłaby dla nas ciągłym zagrożeniem.

– Wiem. Mimo to...

Jeb skinął głową ze zrozumieniem.

– Czy coś wydaje ci się znajome? – zapytał, gdy Misza znów się odwrócił i uważnie się rozglądał.

– Wiem, czym są domy, i wiem, czym są centra handlowe. Po ulicach takich jak ta jeździły kiedyś samochody. A w takich budynkach zazwyczaj jest ubranie albo jedzenie. Niestety, nie mamy czasu tego szukać.

– Tak, powinniśmy się pospieszyć. Nie wiemy, jak daleko są bramy.

Misza dalej rozmyślał o tym, co zobaczył. Poprawił plecak, który teraz znów był ciężki, bo częściowo wypełniony zapasami.

– Kiedyś prawdopodobnie mieszkali tu tacy ludzie jak ty i ja. Potem musiało się wydarzyć coś, co zmieniło ten świat. Ludzie, którzy są tu teraz,

wyglądają wprawdzie jak my, ale dziwnie się zachowują. I wiesz, co jeszcze jest dziwne? Tian opowiadał mi o mieście, w którym wciąż pada śnieg. Ale był przekonany, że tam nie mieszkał. Czy to nie zastanawiające, że teraz tu jesteśmy?

– Może wszyscy pochodzimy z takiego miasta jak to? – zgadywał Jeb. – W każdym razie mnie to jest zupełnie obce. A może uważasz, że to ma inne znaczenie?

Misza spojrział na niego poważnie.

– Nie wiem.

Nagle Jeb położył mu dłoń na ramieniu.

– Powinienem być już dawno ci to powiedzieć. – Uśmiechnął się. – Jesteś miłym facetem.

Misza się speszył.

– Dziękuję.

– Naprawdę. To, co zrobiłeś dla nas w wąwozie, było niewiarygodne, ale przede wszystkim jestem pod wrażeniem, że nie przeszedłeś natychmiast przez jedną z tych bram. Wiele ryzykowałeś. Jesteś dobrym kumplem.

„Gdybyś wiedział, jak bliski byłem tego, żeby zdradzić was wszystkich” – pomyślał Misza.

– Zostawiamy zbyt wyraźne ślady – stwierdził Jeb i zatrzymał się. – Jeśli ludzie w tym świecie naprawdę się na nas czają, to ułatwiamy im pościg.

Jenna odwróciła się i spojrzała za siebie. Ich ślady wyglądały tak, jakby przez śnieg wił się gigantyczny wąż.

Ze śladów stóp Kathy można było wywnioskować, że po kilku metrach skręciła w jakąś boczną uliczkę. Może tam czuła się pewniej, ale ponieważ w nocy nie widziała gwiazdy, mogło też być tak, że chodzi bez celu po okolicy. Jenna wciąż nie wiedziała, czy powinna czuć do niej litość.

– Możemy jakoś zatrzeć nasze ślady? – zapytała grupę.

– Tak byłoby, rzecz jasna, najlepiej, ale jak to robić? To też wymaga czasu. Nie wiemy przecież, jak daleko są bramy.

– Gwiazda nie była wczoraj zbyt daleko, ale przez śnieg bardzo powoli posuwamy się naprzód. – Misza bezradnie wzruszył ramionami.

– Tak, i nie mamy pojęcia, co nas czeka – wtrącił Jeb.

Jenna popatrzyła na niego. Jego twarz wskutek chłodu była trochę zaczerwieniona.

„Całkiem ci pasuje trochę koloru na twarzy” – orzekła.

Sprawił wrażenie bardzo silnego, kiedy tak dyskutował z Miszą, podczas gdy León i Mary stali obok. Jej spojrzenie powędrowało ku niebu, z którego

nieustannie spadały, tańcząc, szarawe płatki śniegu. Nie wpadli na żaden pomysł, a czas naglił. Szli jakiś czas jedno za drugim, stąpając dokładnie po śladach poprzednika. W ten sposób mogli przynajmniej trochę kogoś zmylić.

To był znów jeden z pomysłów Jeba.

„Co byśmy bez niego zrobili?” – pomyślała Jenna.

Nie wiedziała, jak się zachowywać w stosunku do niego. Nie widział, co się z nią dzieje? Czy ona musi zrobić pierwszy krok? Przecież mógł nie odwzajemniać jej uczuć. Ostatniej nocy na próżno miała nadzieję na chwilę szczęścia. Ich związek wprowadziłby do grupy niepokój, wiedziała, że inni ich obserwują, ale z tym by się pogodziła.

„Może sobie coś wmawiam? Może traktuje mnie cały czas jedynie po przyjacielsku?” – zastanawiała się.

Gdyby to wiedziała. Gdyby odważyła się otwarcie z nim porozmawiać, powiedzieć, co czuje... A tak, żyła w niepewności i uczuciowym chaosie, ale miała nadzieję.

Nagle zagadnęła ją Mary.

– A co z twoją stopą?

– Już lepiej. Jeszcze boli, ale mogę chodzić, to najważniejsze.

– No to dobrze. Jestem pewna, że dasz radę dotrzeć do bram. – Mary tarła palcem nos. – Cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego idę dalej, to przecież nie ma sensu. Wcześniej czy później padnie na mnie. Nie wytrzymam konkurencji z Jebem, Leónem, Miszą ani z tobą. Więc po co się dalej dręczyć?

– Nie wolno ci tak mówić. Kto wie, co się jeszcze zdarzy? – Spojrzenie Jenny na chwilę powędrowało do Jeba, który szedł obok Miszy i prowadził z nim ożywioną rozmowę.

Na twarzy Mary pojawił się wymuszony uśmiech.

– Mówiąc szczerze, Jenno, nie musisz dodawać mi otuchy. Obydwie wiemy, że mówię prawdę.

Jenna wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała Mary po policzku.

– Możesz być z siebie dumna – rzekła z przekonaniem. – Do tej pory dawałaś sobie radę. Nie poddawaj się, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

– Właściwie to prawda. – Mary roześmiała się. – Kto by pomyślał, że zdołam przejść przez równinę!

Jeb napomniał je, żeby się nie guzdrały. Jenna wzięła Mary pod rękę i poczłapały przez śnieg do grupy.

Kathy poruszała się po budynku szybko i pewnie. To był wysoki biurowiec, na którego białych ścianach brudny śnieg wypisał przesłanie zimy. Czarne ślady wciąż biegły po murze w dół, tworząc groteskową grę szarości i czerni we wszystkich odcieniach. Wewnątrz było lepiej. Kathy uciekła od śniegu, którego już nie mogła znieść. Wiele okien było tu całych i dzięki temu śnieg i niepogoda nie zdołały uczynić zbyt wielu szkód. W przestronnych pomieszczeniach stały meble. Prawdopodobnie kiedyś pracowali tu ludzie. Czworokątne skrzynki z czarnymi szklanymi oczami śledziły jej drogę.

„Komputer – pomyślała. – To są komputery”.

To słowo nie wywołało echa w jej myślach. Wszystkie obrazy z dotychczasowego życia gdzieś tkwiły, ale Kathy nie była teraz w nastroju do ich szukania. Pieniła się z wściekłości i gniewu. Czuła też nienawiść. Jej ciało było tak napięte, że mogło pęknąć. Energicznymi krokami przemierzała pomieszczenia i w głowie wciąż miała tylko jeden cel: śledzić pozostałych i zabić Mary. Potem, ale dopiero potem, ruszy w drogę do bram. Gdy ta mała zdzira już nie będzie owijać sobie wokół palca Miszy, Jeba, Jenny i Leóna, oni wreszcie zauważą, jak wspaniałą Kathy jest wojowniczką. Że potrzebują jej, żeby przetrwać. Tak! W końcu zrozumieją, że zabiła Tiana tylko po to, by grupa mogła przetrwać.

Uśmiechnęła się. Wszystko będzie dobrze. Może nawet Jeb da jej jeszcze jedną szansę. W odróżnieniu od Jenny miała sporo do zaoferowania. Jeb dowiódł, że reaguje na nią fizycznie.

Kathy wemknęła się przez kolejne niezamknięte drzwi i pospieszyła do wielkiego frontowego okna po prawej stronie pomieszczenia. Szkło było tu stłuczone, a wiatr wwiewał do środka płatki śniegu. Mogła tu dobrze się ukryć za szeroką ramą i patrzeć w dół na ulicę.

Tam! Tam są!

Z powodzi śniegu wyłoniło się pięć postaci. Z głowami opuszczonymi dla ochrony przed wiatrem brnęli przez śnieg jedno obok drugiego. Mary została trochę w tyle. Jak zwykle.

„Jeszcze cię dopadnę” – ucieszyła się Kathy.

*Schwytaj małego motylka,
motyl w powietrzu się kręci,
złap go i połóż na ręce,*

*motyl się stamtąd nie ruszy,
dopóki go nie wypuścisz.*

Mary nigdy więcej nie będzie sobie fruwać. Wyrwie jej skrzydła gołymi rękami.

Kathy poczuła, że chce jej się pić. Zgarnęła trochę śniegu z parapetu i włożyła go do ust. Smakował gorzko. Popiołem.

Cóż to za zaszpany świat?

Jeszcze raz spojrzała z góry na grupę. Nikt nie podniósł głowy, nikt jej nie widział.

„Jesteście tacy nieświadomi! Jak dzieci” – pomyślała.

Może powinna zabić ich wszystkich? Wiedziała, że jest w stanie to zrobić.

„Nie wmawiaj sobie niczego, Kat. Nie dosięgniesz Jeba, a León poderżnie ci gardło, gdy tylko będzie miał okazję. Misza jest w porządku. Niegroźny. Owieczka wśród wilków. A Jenna? Ten problem również łatwo rozwiązać”.

Kathy zachichotała. Bramy w następnych światach będą należały tylko do niej. Zdobędzie tę nagrodę i przetrwa. A oni otrzymają sprawiedliwą karę. Nie okazali jej litości, wypędzili ją. No, skoro sprawy zaszły tak daleko, to nie będzie ich żałować.

Nagle jakiś szelest wyrwał Kathy z przemyśleń. Szybko się odwróciła.

Na czubkach palców przemknęła się do drzwi i zajrzała do biura. Nie było tam nikogo.

Czuła jednak, że już nie jest sama.

– Jesteś pewny, że to dobry kierunek? – przerwał milczenie Misza.

Jeb podniósł wzrok.

Brwi i wystające spod czapki włosy były pokryte śniegiem. Tak samo kurtka. Grube płatki padały nieustannie i zasłaniały wszystko pod sobą. Wszyscy wyglądali jednakowo.

Szli pod wiatr, więc posuwali się z trudem. Śnieżycą była tak duża, że niewiele widzieli i musieli przymykać oczy, żeby cały czas nie łzawiły. W mieście było cicho. Niesamowicie. Do uszu nie docierał żaden dźwięk poza skrzypieniem śniegu pod nogami.

Chociaż ulica wiodła prosto jak po sznurku, wciąż mocno opadała w dół. W miejscach, gdzie wiatr naniósł przyzmy śniegu, Jeb już dwa razy zapadł się aż po biodra i wydobyć się stamtąd kosztowało go trochę trudu. Miał mokre spodnie i chłód pełzył mu w górę po nogach. Zauważył, że lekko nadwyreżył jedną nogę, ale nie czuł bólu. Może miał wcześniej jakiś uraz? W każdym razie nic sobie nie przypominał. To z pewnością skutek zimna. Musiał cały czas być w ruchu, bo gdy tylko przystawał, zaczynał marznąć.

– Widzieliśmy ostatniej nocy gwiazdę. Ta ulica wiedzie w jej kierunku. Dopóki nie skręcimy, jesteśmy na dobrej drodze – zapewnił grupę Jeb.

– Jakby człowiek szedł jakimś wąwozem, po prawej i lewej tylko szare i białe domy. Już nie mogę na to patrzeć. Najpierw bezkresny żółty step, a teraz wieczny śnieg – narzekał Misza.

– Myślisz, że to kolejny egzamin, test, czy nie zwariujemy w tej monotonii? – Jeb był zdenerwowany.

Czyżby Misza właśnie odgadł kolejną wskazówkę?

– Ścigani, obłąkani albo martwi! Jakie to ma znaczenie? – odpowiedział pytaniem zrezygnowany Misza.

Jebowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź, która mogłaby dodać im otuchy. Zatrzymał się, żeby poczekać na resztę. Doszedł León. Potem Jenna i Mary.

– Zróbmy przerwę. Coś zjedzmy i wypijmy – zaproponował wytatuowany chłopak.

Linie i wzory na jego twarzy błyszczały pod wpływem wilgoci i Jeb po raz kolejny zadawał sobie pytanie, co oznaczają tatuaże Leóna. Nikt ich nie rozumiał, nawet sam León. To była zagadka, której rozwiązanie nie leżało w ich zasięgu.

Jeb spojrzał na Jenę i Mary; sprawiały wrażenie zmęczonych i zagubionych.

– Dobrze. Poszukajmy schronienia w jednym z tych domów i trochę odpocznijmy.

Drzwi następnych domów były zabarykadowane albo zamknięte. Mary po cichu klęła. Marzła, z trudem powstrzymywała drżenie rąk i nóg, i była bezgranicznie zmęczona.

Pojawił się przed nimi mały, dziwnie uformowany pagórek. Pokryty śniegiem jak wszystko inne wydawał się regularny i okrągły. Mary patrzyła, jak Jeb do niego podszedł i go oglądał, a potem zrobił ręką dziurę w śniegu i do niej zajrzał.

– To samochód! – zawołał zaskoczony.

Mary zdumiała się. Samochód! Tak, jeździła już samochodem, wiele razy. W szkole pełnej dziewcząt, wszystkich ubranych tak samo jak ona. W ciemnoniebieskie żakiety, białe bluzki, spódnice w granatową kratę, białe rajstopy i błyszczące czarne buty. Wszystkie wyglądały tak jak ona, tylko pod jej ubraniem kryło się ciało, za które się wstydziła.

Jeb odgarnął więcej śniegu i próbował otworzyć drzwi auta, ale mu się nie udało. Albo były zamknięte, albo – co bardziej prawdopodobne –

przymarzięte. Mimo to Jeb się uśmiechnął.

– Czyż to nie wspaniałe? – zapytał swoich towarzyszy. – Mam poczucie, że jesteśmy kawałek bliżej naszego dotychczasowego życia. Wszystko tutaj, domy, ulice, napisy i teraz ten samochód, wygląda znajomo. Jeździłem kiedyś samochodem, dokładnie to sobie przypominam. – Jego przyspieszony oddech wydobywał się z ust w postaci małych obłoczków.

– Wspaniale – stwierdził Misza i w uszach Mary zabrzmiało to okropnie ironicznie. – Samochód. Też to znam, ale co nam to teraz da?

– Nie o to chodzi. To otoczenie jest światem podobnym do tego, z którego pochodzimy. To oznacza, że zbliżamy się do naszego celu. Naszego prawdziwego życia.

– Ale następny świat może znów wyglądać zupełnie inaczej – ponuro stwierdził Misza.

Mary widziała, jak z twarzy Jeba znika nadzieja. Misza miał rację i wszyscy o tym wiedzieli. Jenna speszona patrzyła w ziemię, León stał z boku i szperał przy plecaku.

„Ach, Misza, Jeb chciał nam dać odrobinę otuchy. Chciał wierzyć, że coś posuwa się naprzód” – pomyślał z żalem León.

– Prawdopodobnie tak jest – przyznał Jeb.

Jeszcze raz spojrzął na ośnieżone auto.

– Jeb, przepraszam... – zaczął Misza, ale Jeb już się odwrócił i poszedł dalej wzdłuż ulicy.

„Gratulacje, Miszo. Jedyne, który mógł dać nam siłę i wiarę, jest teraz równie sfrustrowany jak wszyscy pozostali”.

– Zaraz mu wróci humor – orzekła Jenna.

Mary westchnęła i wytarła rękawem ciekący nos.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna. Jeb jest... – Jenna zamilkła.

– Jeśli Jeb się podda, to nie będzie dla nas dobrze. Bez niego jesteśmy straceni.

– W tej chwili jest sfrustrowany, ale wkrótce jego duch walki się obudzi. – Jenna położyła dłoń na ramieniu Mary. – On się nie podda. To nie w jego stylu.

W końcu mieli szczęście. Wycofali się do sklepu. Po pustych półkach nie można się było zorientować, co tu kiedyś sprzedawano. Od podłogi po wysoki sufit, od przodu do tyłu, wszędzie stały metalowe regały, których przeznaczenie pozostawało tajemnicą. Wszystko było pokryte popiołem. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny.

Jeb szedł z przodu. Nie podobało mu się tutaj. Coś ponurego emanowało z tych umazanych sadzą ścian.

– Przerazające – stwierdziła stojąca obok niego Jenna.

– Nie zostaniemy tu długo. – Jego wzrok powędrował przez szklany front na zewnątrz. Wciąż padał szary śnieg, a wiatr, ciągle wirując, podrywał płatki i niósł je dalej.

León wskazał stół stojący w rogu pomieszczenia, wokół którego ustawione były krzesła.

– Możemy tam usiąść.

Strzepnęli popiół z siedzeń. Misza wytarł rękawem blat stołu. Zmęczeni opadli na krzesła. Każdy wyciągnął ze swojego plecaka jedzenie i picie. W milczeniu zaczęli posiłek.

– Myślę, że z twoją stopą naprawdę już jest dobrze – powiedziała Mary do Jenny. – Utrzymujesz tempo.

Jenna uśmiechnęła się do niej.

– Tak, od dzisiejszego ranka prawie mnie nie boli. Ale może to też zasługa chłodu, że nie czuję już bólu.

– A co z tobą, Misza? Co z zębem? – Mary spojrzała na niego.

Misza zdjął czapkę i strzepnął z niej śnieg. Jego jasne włosy połyskiwały od wilgoci.

– Jeszcze boli, ale do wytrzymania.

Jeb podniósł na chwilę wzrok, ale nic nie powiedział. Wiedział, że Misza kłamie. Gdy szedł obok, wyraźnie słyszał świst jego oddechu i widział, jak Misza wciąż przyciska rękę do boku. Najwyraźniej próbował bagatelizować swoje obrażenia.

– Miejmy nadzieję, że szybko wrócisz do zdrowia – stwierdziła Mary.

Wydawało się, że jest w nastroju do pogawędki, bo teraz zwróciła się do Leóna i jeszcze raz podziękowała za to, że uratował ją przed Kathy. Jeb był jej wdzięczny, że przełamała męczące milczenie, on sam nie miał siły na wiele

słów. Zamiast tego popatrzył na Jennę, która siedziała naprzeciwko niego po drugiej stronie stołu i w milczeniu piła wodę z butelki. Ponure myśli, które dręczyły go od chwili znalezienia auta, natychmiast uleciały.

„Jenno. Nawet chłód i brud nie mogą odebrać ci uroku. Dla mnie zawsze jesteś piękna. Tylko jak mam ci powiedzieć, co do ciebie czuję, tak żebyś się nie przestraszyła?”

Nawet jeśli nie był jeszcze gotowy wyznać Jennie swoich uczuć, czuł potrzebę bliskości z nią. Wstał, żeby podejść do Jenny, ale León nagle rzucił się na podłogę.

– Na dół! Natychmiast! Wszyscy! – szepnął.

Nie zwlekając ani chwili, Jeb też padł. Po prawej i po lewej od niego wszyscy się położyli. Nie wiedział dlaczego León tak gwałtownie zareagował, ale posłusznie zbliżył twarz do stęchłej warstwy popiołu na podłodze.

– Co się dzieje? – cicho syknęła Mary.

León podniósł głowę jak jaszczurka i przez chwilę wyglądał przez szklany front. Pokazał reszcie ręką, żeby zostali na ziemi.

– Na zewnątrz ktoś jest – szepnął tak cicho, że ledwie go rozumieli. – Grupa mężczyzn. Jest ich ośmiu albo dziewięciu, idą naszym śladem. Nie widzę ich twarzy, mają na ustach i nosach zawiązane jakieś szmaty. Z całą pewnością nie wyglądają na niegroźnych.

– Dlaczego? – zapytał Jeb.

– Dwóch z nich ma siekiery, a przynajmniej jeden – długi nóż.

– Nie pytaj dlaczego, ale to nie są duszopijcy – odezwał się Misza.

Jeb czuł, że inni obok niego zastygli. Mieszkańcy tego miasta polowali na nich. Nikt, kto ma pokojowe zamiary, nie wychodzi naprzeciw innym uzbrojony.

– Co teraz robią? – zapytała cichutko Jenna.

– Stańli, oglądają nasze ślady i naradzają się. Prawdopodobnie dyskutują o tym, czy iść za nami, czy lepiej poczekać, aż sami wyjdziemy.

Misza przetaczał się po podłodze, dopóki nie przekreślił się w przeciwnym kierunku.

– Tam z tyłu są drzwi. Przy odrobinie szczęścia wyjdziemy tamtędy na ulicę albo przejdziemy do następnego domu. Robimy tak?

León wciąż jeszcze patrzył na zewnątrz. Potem nagle przywarł do podłogi.

– Myślę, że jeden z nich mnie widział. Musimy natychmiast uciekać!

Pospiesznie czołgali się po podłodze. Prawie wyczołgali się z tego pomieszczenia i dotarli do drzwi, gdy Jenna nagle się zatrzymała.

– Plecaki. Zapomnieliśmy plecaków – syknęła.

– Wrócę tam i je zabiorę – natychmiast zaproponował León.

– Oszalałeś? – Jeb spojrział na niego. – Zapomnij o plecakach. Musimy uciekać.

– Bez nich niczego nie mamy. Jak myślisz, ile czasu wytrzymamy w tym świecie bez wyposażenia?

– To jest zbyt...

Ale León już zawrócił. Jeb patrzył za nim z troską.

– Ruszajcie dalej – popędził Jennę, Mary i Miszę.

– Nie powinniśmy na niego poczekać? – zapytała Mary, która jako jedyna nie zdjęła plecaka i wciąż miała go na plecach.

– Nie – zaprzeczył Jeb. – Powinniśmy stąd zniknąć. León nas dogoni. Znacnie go przecięż. Jego niełatwo zabić.

Teraz Kathy go dostrzegła. Uzbroidła się w spiczastą stalową rurę i ukryła za przewróconym regałem.

Ostrożnie wszedł do pomieszczenia. Zawahał się w wejściu. Spojrzął na podłogę w poszukiwaniu śladów stóp. Był nie wyższy od niej, chudy, niemal zagłodzony, ale przez tę dziką brodę wyglądał dostatecznie groźnie, żeby traktować go jak poważnego przeciwnika.

Kathy się nie ruszyła, patrzyła przez szczelinę i obserwowała, jak robi kolejny krok.

„Czujesz, że tu jestem, ale nie wiesz, czy możesz ufać swojemu instynktowi” – pomyślała.

Uśmiechnęła się i ujęła rurę jeszcze mocniej.

„Podejdz. Tylko podejdz bliżej. Tak, tak jest dobrze”.

Jeszcze jeden krok.

Jeszcze jeden.

„Nie, dlaczego stajesz?”.

„Idź dalej! Chodź do mnie!”.

Potem zobaczyła w jego dłoni nóż i to, że w poszukiwaniu przeciwnika obrócił się wokół własnej osi. Jego oczy wciąż przeszukiwały pomieszczenie. Wahał się. Potem zrobił pierwszy krok w tył.

„Nie” – jęknęło coś w Kathy.

Była w pułapce. Jeśli on wyjdzie z tego pomieszczenia, nie będzie wiedziała, dokąd poszedł. Może przyczaić się na nią na jednym z niższych pięter, tak jak zrobiła to ona. Tego nie mogła ryzykować.

Kathy zastanawiała się, czy powinna wyskoczyć ze swojej kryjówki i na niego się rzucić. Ale on już opuścił pomieszczenie. Miała ochotę wyć z wściekłości i rozczarowania.

„Muszę wiedzieć, dokąd poszedł. Na górę, na dach, czy na dół. Nie może mnie dopaść. Nie! Nie! Nie! Nie dopuszczę do tego” – postanowiła.

Podniosła się jak drapieżny kot i wyszła ze swojej kryjówki. Ostrożnie przemknęła do drzwi. Przyłożyła do nich ucho i wsłuchiwała się przez chwilę.

Nic.

Lewą dłonią chwyciła klamkę i nacisnęła. W prawej ręce trzymała przygotowaną rurę. Uchyliła drzwi tylko na tyle, by móc się przez nie wymknąć.

W tym momencie już wiedziała, że popełniła błąd. Zimne ostrze noża dotykało jej gardła.

– Nie ruszaj się – usłyszała cichy głos, który przyprawił ją o ciarki na plecach.

Mężczyzna chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie.

León dotarł do plecaków w chwili, gdy wyleciały drzwi sklepu. Potłukło się szkło. Do środka wtargnął wiatr, unosząc wirujące płatki popiołu. Do pomieszczenia weszło osiem postaci. Ich broń połyskiwała w bladym świetle.

León przymknął oczy. Tańczące płatki popiołu mąciły wzrok. Zapiekły go oczy. Przez chwilę miał wrażenie, że wrócili jego prześladowcy z równiny. Wydawało mu się, że rozpoznaje te same spocone twarze i ciała z rysunkami. Ale potem dostrzegł, że mężczyźni są chudzi i mają blade, wymizerowane twarze, prawie zakryte nastroszonymi brodami i długimi włosami. Obcy rozstawili się w pomieszczeniu i próbowali zorientować się w sytuacji. Jeden go dostrzegł, wymamrotał jakieś ostrzeżenie i wszyscy odwrócili się do Leóna.

Wydawało się, że spieszyły ich na chwilę tatuaże na twarzy Leóna, bo się zawahali. Wykorzystał te sekundy, złapał trzy plecaki, odwrócił się i pędem pobiegł do drzwi, w których jako ostatnia zniknęła Mary. Mężczyźni przez ten czas otrząsnęli się z odrętwienia i pobiegli za nim.

León śmigał pomiędzy metalowymi regałami. Biegąc, co chwila chwycił któryś i przewracał. Z głośnym hukiem spadały na podłogę i zmuszały ścigających go do ich omijania.

Jeden z nich wbiegł do równoległego korytarza po swojej prawej stronie, pozostali deptali Leónowi po piętach. Gdy się obejrzał, nagle jego lewa stopa wpadła w poślizg. O mało nie upadł, ale w ostatniej chwili wyhamował i pobiegł dalej, ile sił. Przewrócił jeszcze jeden regał, z pożądanym skutkiem: dla siedmiu ścigających go droga się zamknęła. Trzy ciężkie plecaki okładały Leóna po plecach i uderzały o nogi. Wiedział, że strasznie go spowalniają, i gdy zastanawiał się nad tym, czy jednego nie wyrzucić, rozległy się obok niego czyjeś kroki i wyciągnęła się do niego jakaś ręka.

Mary zbyt długo się wahała i spojrzała na Leóna o jeden raz za dużo. Gdy jak najciszej zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się po korytarzu, pozostali już zniknęli za rogiem. Przez odległe okno w dachu wpadało trochę światła i to ledwie wystarczało, by zorientować się w półmroku. Mary zaczęła biec wzdłuż korytarza. Słyszała kroki, ale nagle zrobiło się cicho. Ze strachu, że mogłaby się zgubić, dała z siebie wszystko. Zobaczyła na końcu korytarza ciężkie otwarte drzwi prowadzące na zewnątrz. Wiatr wiewał przez nie płatki śniegu. Wyjście. Zaraz będzie z innymi, uratowana!

Oślepiło ją wpadające z zewnątrz światło. Myślała tylko o jednym: uciekać stąd! Biegła wzdłuż korytarza ze wzrokiem wbitym w otwarte drzwi, gdy jej stopa, tuż przed progiem, nagle trafiła w próżnię. Ze strachu zaparło jej dech i zanim się zorientowała, co się dzieje, wpadła w tę pustkę.

Impetu uderzenia już nie czuła.

Kathy działała instynktownie. Odrzuciła głowę do tyłu i walnęła napastnika w nos. Usłyszała chrzęst i poczuła tępy ból. Zupełnie zaskoczyła tego mężczyznę. Krzyknął i trochę rozluźnił chwyt. Kathy podniosła spiczastą rurę i wbiła ją obcemu głęboko w udo. Rozległ się wrzask. Była wolna.

Odwróciła się, gotowa ponownie zaatakować, gdy pięść mężczyzny z mocą dosięgła jej twarzy. Z niepohamowanym impetem poleciała na ścianę. Od razu próbowała się podnieść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

A potem on był już nad nią. Rzucił się całym ciężarem i wycisnął z jej płuc całe powietrze. Wymacał dłońmi szyję i zaczął ją dusić.

Przed oczami Kathy tańczyły złote gwiazdki. Trudno jej było skupić wzrok, ale w końcu z upiornych konturów wyłonił się mężczyzna, który patrzył na nią z nienawiścią.

Waliła w niego pięściami, ale nie miała żadnej szansy. Ledwie chwytiała powietrze. Jej ciało przenikał ból, jakiego nigdy przedtem nie czuła – jakby żywcem płonęła od wewnątrz. Opuściła ramiona. Jej ręka dotknęła przy tym metalowej rury, która wciąż jeszcze tkwiła w nodze mężczyzny. W ostatnim odruchu buntu chwyciła ją i gwałtownie przekręciła w ranie. Napastnik zawył i puścił ją, żeby odsunąć się z jej zasięgu. Kathy przetoczyła się pod nim, ale tym razem nie próbowała się od niego uwolnić. Przeciwnie. Wyrwała rurę z rany i znów nią uderzyła. Widziała jeszcze kątem oka, że trafiła mężczyznę w szyję.

Nie zważając na ból, rzuciła się na swego oprawcę. Szalejąc ze strachu, bólu i gniewu, zmieniła się w dzikie zwierzę i nie przestała atakować, nawet gdy napastnik już się nie ruszał.

León bardziej czuł ten ruch, niż go widział. Nie zwalniając, machnął plecakiem i uderzył ścigającego w twarz. Rozległo się głucho kłapnięcie, a potem jęk. León wiedział, że trafił.

Dużymi susami dotarł do drzwi, przez które uciekli jego towarzysze. Przebiegł przez nie, zatrzasnął i popędził przez korytarz. Gdy zobaczył wyjście i zrobiło się widniej, przyspieszył. Tuż przed drzwiami, kiedy już stawiał stopę na zewnątrz, dojrzał w podłodze ziejącą czarną dziurę. Lekko się potykając, przeskoczył ją. Pokonał jeszcze tylko kilka metrów i był na powietrzu.

Wiatr się nasilił, płatki śniegu, twarde jak żwir, siekały go po twarzy. Widoczność była tak kiepska, że widział nie więcej niż dwa metry przed sobą. Potrzebował chwili, żeby dostrzec ślady pozostałych. Musiał szybko podążyć za nimi, by wiatr i śnieg nie zatarły śladów.

Zanim ruszył dalej, odwrócił się i szybko spojrzął w głąb ciemnego korytarza, którym przybiegł. Jeszcze nie widział pogoni, ale już słyszał kroki.

León dostrzegł jednocześnie, że w zamku tkwi klucz. Rzucił się na drzwi, które z chrzęstem się zamknęły, a potem złapał klucz. Najpierw nic się nie ruszało. Palce drętwiały z zimna. Już myślał, że traci tu tylko czas, ale w końcu zabrzmiało wyczekiwane szczęknięcie i klucz obrócił się w zamku.

Na szczęście w porę. Po drugiej stronie prześladowcy zderzyli się z drzwiami. Rozległy się wściekłe okrzyki.

León odwrócił się i z uśmiechem zadowolenia pobiegł przez śnieżycę za swoimi.

Mary ocknęła się z głębokiej nieświadomości. Nie przypominała sobie ani gdzie jest, ani co się stało. Dookoła niej panowała ciemność, bolało ją całe ciało, szczególnie biodra i głowa. Wyprostowała się ostrożnie i obmacała. Odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że niczego sobie nie złamała. Potem wróciły wspomnienia.

Uciekaliśmy.

Biegłam przez korytarz.

Tam było wyjście. A potem nagle już nic.

Gdzie są León, Misza, Jenna i Jeb?

Przeraziła się. A co, jeśli reszta ją zostawiła?

„Nie, tego by nie zrobili. Zaraz tu będą, żeby mi pomóc. Jeszcze tylko chwila”.

Dlaczego tu jest tak ciemno?

Skrobanie obok niej sprawiło, że drgnęła.

Co to było? Może szczur?

– No, co my tu mamy? – zabrzmiał szorstki głos.

Mary myślała, że w tym momencie stanie jej serce. Jakieś ręce ją obmacywały, a potem ktoś powiedział:

– Jest nieuzbrojona.

Ktoś niedelikatnie chwycił ją i postawił na nogi. Chciała krzyknąć, wołać o pomoc, ale strach zasznurował jej gardło. Ktoś założył na nią worek i mocno zawiązał. Szorstki materiał drapał po twarzy. Brakowało jej powietrza. Potem ją podnieśli i zabrali stąd. Od jej przyjaciół.

„Dokąd mnie niesiecie?”

Gdzieś, gdzie będą na nią czekać kolejne okropieństwa.

Była zbyt słaba, żeby się bronić. Nie była w stanie wykrzesać odwagi nawet na próbę uwolnienia się.

– Gdzie mnie niesiecie? – szeptała. – Kim jesteście?

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby jej odpowiedzieć.

Zaczęła cicho płakać.

Kathy cała była pokryta popiołem. Jej ubranie, rozwichrzone włosy, a przede wszystkim twarz były czarnoszare. W tym brudzie jej oczy wydawały się nienaturalnie białe. Naznaczone obłędem spojrzenie niespokojnie wędrowało po ścianach i martwym ciele.

Żyła. Pokonała przeciwnika w walce. Kathy odrzuciła głowę do tyłu, szeroko otworzyła usta i wywrzaskiwała swój triumf. Przez jej głowę przebiegały różne myśli. Myślała o swojej siostrze Liz i jej przyjaciółkach z eleganckich części miasta.

„Gdybyś mnie teraz mogła zobaczyć, czułabyś dla mnie szacunek. Ten pogardliwy uśmiezek, który masz ciągle na twarzy, wreszcie by zniknął, a ty byś wiedziała, że powinnaś się mnie bać” – pomyślała.

Zaczęła chichotać, cicho, potem coraz głośniejsze. Jej spojrzenie padło na martwego mężczyznę. Leżał tam jak stłuczona lalka. Kathy podeszła do niego i przykucnęła obok. Potem przez chwilę głośno krzyczała z radości.

On był martwy, a ona żyła. Tak będzie ze wszystkimi, którzy wejdą jej w drogę.

Wstając, dostrzegła nóż mężczyzny. Chwyciła go. Leżał ciężko w jej dłoni. W końcu znów była uzbrojona. Sprawdziła matowo połyskujące ostrze i jęknęła zadowolona. Nóż był niezwykle ostry. Popatrzyła w dół na swój krwawiący kciuk i rozsmarowała sobie krew na twarzy, zanim zlizwała z kciuka resztę.

Wyprostowała się dumnie. Jej podróż się nie skończyła. Jeszcze długo nie. Wywalczy sobie drogę do bram. Nieważne, z kim przyjdzie jej się zmierzyć.

Nagle usłyszała na zewnątrz jakiś szelest. Szybko przemknęła do okna, schowała się w rogu i wyjrzała na śnieżycę.

„Jestem gotowa, możecie przyjść” – powiedziała sobie w myśli.

Były tam jakieś postacie. Dwóch mężczyzn. Szarzy, chudzi i obdarci. Podeszli bliżej drugą stroną ulicy. Wyglądali podobnie do tego, którego właśnie załatwiła. Po jej twarzy błąkał się grymas samozadowolenia.

Dopiero teraz Kathy zauważyła, że mężczyźni niosą w worku coś, co ma wielkość i kształt ludzkiego ciała. Co tam nieśli?

Zwłoki?

Kogoś z jej grupy? Ale po co mieliby nieść ze sobą nieboszczyka? Chyba że... ci ludzie byli kanibalami. Otworzyła szeroko oczy ze strachu. Potem zauważyła, że to coś w worku się rusza. Najwyraźniej więzień jeszcze żył. Kim był?

Mężczyźni przeszli przez ulicę i ruszyli prosto w jej kierunku. Kathy wstrzymała oddech. Musiałaby wyjść ze swojej kryjówki, żeby dalej ich obserwować. Weszli do budynku.

Dokąd chcą pójść?

Z wysiłkiem nasłuchiwała, ale niewiele było słychać. Na górę docierały ciche pomruki. Mężczyźni się oddalili.

Właściwie powinna wykorzystać okazję i jak najszybciej stąd zniknąć, ale obudziła się w niej ciekawość. I instynkt łowiecki. Kathy wyszczerzyła zęby. Ten typ przed chwilą nie dał jej rady i tak samo będzie ze wszystkimi innymi, którzy z nią zadrą.

Stara Kathy umarła i odrodziła się jako wojowniczką. Oblizła popękane wargi, posmakowała krwi i uśmiechnęła się.

Potem bezszelestnie wymknęła się po schodach na dół.

Ruszyła na polowanie.

León podążał po coraz bardziej zasypanych śniegiem śladach stóp aż do małego budynku z cegły, którego mury pokryte były graffiti. Budynek nie miał okien, za to niezamknięte drzwi, które akurat chciał otworzyć, gdy jego towarzysze wyszli z cienia domu. León zauważył, że ślady miały zmylić wrogów. Najwyraźniej wszyscy podeszli aż pod drzwi, a potem długim susem skoczyli na bok. Nowo powstałe ślady zatarli i przyczaili się w wąskiej bocznej uliczce.

„Jeb, twoje pomysły są niezrównane” – pomyślał.

– Tutaj jesteście – stwierdził zadowolony León.

Przeszli jeszcze kilka kroków i ukryli się za następnym wejściem do domu.

– Udało ci się ich zgubić, czy jeszcze za tobą idą? – zapytał Jeb.

– Zamknąłem drzwi. Nie wyjdą tamtędy, muszą poszukać innego wyjścia. To powinno chwilę potrwać. Przez ten czas śnieg zasypie nasze ślady.

– Dobra robota. – Uśmiechnął się Jeb.

– Gdzie jest Mary? – zapytał nagle Misza.

– Jak to, nie jest z wami? – Leóna ogarnęło złe przecucie.

– Nie, myśleliśmy, że przyjdzie z tobą.

– Jak? Przecież... wybiegła przede mną. Gdyby stanęła albo upadła, musiałbym ją zobaczyć. – León gorączkowo próbował zrozumieć, co się stało.

– Widziałeś jej ślady na śniegu? – zapytał Jeb.

– Wiatr prawie wszystko zasypał, a ja też ich nie szukałem.

– Może zabłądziła? – zastanawiała się Jenna.

León pokręcił głową.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Gdyby jakieś ślady skreśliły w innym kierunku, zauważyłbym to. Nie... – Cicho zaklął. – *Mierda!* Musi być jeszcze w budynku.

– Niemożliwe – powiedział Misza. – Z pomieszczenia wyszła za nami. Potem jest tylko korytarz. Żadnych odgałęzień, żadnych drzwi.

– Ta dziura – wyrwało się nagle Leónowi. – Przypominacie sobie tę dziurę w podłodze? Tuż przed wyjściem. Omal w nią nie wpadłem.

León patrzył na nich przestraszony. Na ich twarzach również malowało się przerażenie. León wiedział, co myśleli: najpierw Tian, potem Kathy, a teraz Mary. W krótkim czasie ich grupa skurczyła się prawie o połowę.

Ale Mary prawdopodobnie jeszcze żyje. Ta myśl była dla Leóna dziwnie

pocieszająca. Nikt nie wiedział, jak głęboka była ta dziura, z pewnością to kilka metrów. Prawdopodobnie Mary leży tam w ciemności i czeka na pomoc.

– A jeśli leży w dziurze ranna? – León głośno wypowiedział swoją myśl.

Z nieba bezgłośnie spadały płatki i głużyły wszystkie inne dźwięki. Można było mieć wrażenie, że się ogłuchło.

Jeb przerwał otaczającą ich ciszę:

– Dobra, pójdę z powrotem i jej poszukam.

León widział kątem oka, jak Jenna drgnęła, i sięgnął do jego ręki.

– Nie. Ja wrócę. Misza wspinał się dla nas w wąwozie, ty niosłeś Jennę przez równinę. Teraz moja kolej, ja mam jeszcze największe rezerwy.

Misza chciał odpowiedzieć, ale León nie dopuścił go do głosu.

– Wciąż jeszcze źle się czujesz i bolą cię zebra. Możesz to przed nami ukrywać. Być może boisz się, że cię zostawimy, jeśli okażesz słabość.

„Kathy prawdopodobnie tak czy owak nie da sobie rady. A jeśli nawet, potrafię zapobiec temu, żeby przeszła przez jedną z bram” – pomyślał León.

– Dlaczego to robisz? – chciał wiedzieć Jeb.

León uśmiechnął się.

– Przecież ci obiecałem, że będę uważał na Mary.

Obaj wiedzieli, że nie o to chodzi, ale Jeb tylko skinął głową.

León z namysłem oblizał wargi.

– Ruszam natychmiast i znajdę Mary.

– Czekamy tu na ciebie – oświadczył Jeb.

Misza i Jenna skinęli głowami.

– Nie, nie róbcie tego – sprzeciwił się León. – Nie wiem, ile czasu mi to zajmie. Może Mary jest ranna i będziemy powoli posuwać się naprzód. Proponuję, żebyście szli dalej, spotkamy się przy bramach.

Po ich spojrzeniach León poznał, że wszyscy są świadomi, jakie podjął ryzyko. Z ranną Mary nie tylko nie mógłby walczyć praktycznie z żadnym wrogiem, istniało też niebezpieczeństwo, że Kathy dotrze przed nimi do bram i przejdzie przez jedną z nich.

– No to idę – powiedział i wręczył plecaki Jebowi i Miszy. – Przeszkadzają mi tylko, weźcie je.

Jenna w milczeniu go objęła. Misza pożegnał się z nim mocnym uściskiem dłoni. Jeb położył mu rękę na ramieniu, tak jak już raz zrobił.

– Bądź ostrożny. Nawet jeśli akurat nie widać tych, którzy na nas polują, nie wierzę, że tak szybko się poddadzą. Leónie, uważaj na siebie.

León skinął głową i się odwrócił.

Chwilę później pochłoneła go śnieżycą.

Mimo stanu zamroczenia do Mary dotarło, na co obcy się umawiają. Dwóch z nich miało z nią wrócić do obozu, a pozostali ruszyć w pościg za resztą ich grupy. Przez pewien czas kłócili się, kto ma co zrobić, a potem jeden z mężczyzn wydał ostry rozkaz. Słyszała ciche przekleństwa, tupanie, w końcu zrobiło się wokół niej cicho.

W worku brakowało jej powietrza. Dyszała i wciąż musiała kaszleć. Przy każdym kasznięciu jeden z tych, którzy ją nieśli, bił ją. Tylko raz słabym głosem wycharczała, że się dusi. Za to dostała pierwsze lanie. Od tego momentu wołała być cicho.

Mężczyźni najwyraźniej powoli posuwali się naprzód. Na początku kołysanie w worku było jeszcze do zniesienia, ale gdy Mary poznała po zimnym powiewie powietrza, że obcy opuścili budynek i teraz brnęli przez śnieg, huśtawka stała się nie do wytrzymania. Wciąż ją mdliło. Bała się, że z powodu ciasnoty w worku udusi się własnymi wymiocinami, więc za każdym razem, gdy treść żołądka podchodziła jej do gardła, przełykała ślinę. Łzy jej wyschły. Nie miała już nadziei. Żadnej możliwości ucieczki. Przeciwno tym mężczyznom nie miała żadnych szans.

„Już po wszystkim – pomyślała. – Dotąd dawałaś sobie radę, ale teraz twoja podróż się skończyła. Pomoc nie nadejdzie”.

Jeśli to w ogóle możliwe, chód tych, którzy ją nieśli, stał się jeszcze bardziej nierówny. Prawdopodobnie obaj próbowali zatrzeć swoje ślady, żeby nikt nie próbował ich gonić. Nawet jeśli León i pozostali wyruszą, żeby jej pomóc, nigdy jej nie znajdą.

„Co ze mną zrobią? Jeszcze mnie nie zabili, mają więc w stosunku do mnie jakieś plany, ale jakie?”.

Nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl. To są mężczyźni, a ona jest kobietą.

O nie, nie to. Proszę tylko, nie to...

Myślała, że już nie może płakać, ale w tym momencie łzy napłynęły jej do oczu. Z krtani wyrwał się szloch i znów musiała odkaszlnąć. Dostała cios w głowę. Natychmiast zmusiła się do spokoju. Jej umysł był jasny. Było tylko jedno rozwiązanie, ale nie będzie łatwe. Nie mogła walczyć z mężczyznami, nie mogła im uciec.

„Ale mogę umrzeć, zanim mi coś zrobią” – przemknęło jej przez myśl.

Kathy podążała za mężczyznami z workiem w bezpiecznej odległości. Uśmiechała się, gdy się za nimi skradała. Nie podejrzewali, że od dawna z łowców zamienili się w ściganych. W myślach wyobrażała sobie, jak podrzyna im nożem gardła.

„Położę się na was jak cień nocy i zabiję was wszystkich” – pomyślała.

Omali nie zachichotała, ale w ostatniej chwili stłumiła śmiech. Nie, nie mogła się zdradzić przed wrogiem.

„Zgotuję wam piękną niespodziankę” – postanowiła.

Nagle grupa przed nią stanęła. Kathy pospiesznie przywarła do najbliższej ściany i próbowała stopić się z cieniem, ale nikt nie patrzył w jej stronę. Słyszała głosy.

– Gdzie jest Ben, ten dupek? – zapytał ktoś.

Aha, więc to ten koleś, którego załatwiła.

– Od dawna powinien tu być.

– Może poszedł prosto do obozu. Prawdopodobnie złapał jakąś zdobycz i teraz ślini się przed szefem, żeby coś z tego dostać.

– Cholera, a my mamy tylko to! – warknął niechętnie i uderzył w worek.

Rozległ się cichy jęk bólu.

„Mary?! Dziś jest mój szczęśliwy dzień” – ucieszyła się Kathy.

– Zajrzałeś może do plecaka, który ma ta mała? – zapytał pierwszy głos.

– Nie, sam wiesz, jaki jest Torben, jeśli ktoś dotyka przed nim jego prezentów. Nie mam ochoty stracić dłoni i stopy.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Ma dobre ubrania, ale jest mała, jej rzeczy nie będą na nas pasować.

– Widziałeś jej buty?

– Nie, ale nie rób sobie nadziei. Torben weźmie sobie te rzeczy.

– Gdyby sobie nie wyszukał akurat tej przeklętej dziewczyny, już dawno schwytalibyśmy pozostałych i podzielili ich rzeczy między siebie. Wszyscy byli duzi, a rzeczy wyglądały na bardzo ciepłe. A tak, nie będzie nas przy tym, jak będą obrabiać tych obcych.

– Ale Torben...

– Pieprzyć Torbena!

Znów milczenie.

– Co teraz robimy? – zapytał drugi głos.

– Idziemy do obozu. Nie czekam na Bena ani sekundy dłużej. Prawdopodobnie od dawna siedzi przy ogniu, grzeje się i wyjada nasze żarcie.

Kathy uśmiechała się w ciemności.

„Nie martwcie się tak. Ben już nie jest głodny” – pomyślała.

Obydwaj mężczyźni znów podnieśli worek. Od razu dobiegł z niego jęk. Jeden z nich uderzył w worek otwartą dłonią.

– Zamknij się! – zbeształ Mary. – Albo tu i teraz postaram się o to, żebyś zamknęła dziób. I to na zawsze.

Obcy ruszyli swoją drogą.
Kathy wyszła z cienia i podjęła pościg.

León stał przed ciężkimi metalowymi drzwiami, które nie tak dawno zamknął. Wiał silny wiatr. Badał ślady na śniegu. Było oczywiste, że tędy wyszły tylko cztery osoby. Mary musiała więc znajdować się w budynku. Czy to źle, czy dobrze, nie wiedział, ale nie tracił czasu na bezsensowne rozważania. Znajdzie ją i uratuje.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Nie było widać ich wrogów.

Gdzie oni są? Musieli od dawna tu być.

Przyłożył ucho do zimnego metalu drzwi i wsłuchiwał się. Nie było słyhać żadnego dźwięku. Dobrze, może wszystko pójdzie gładko. Mimo to miał przecucie, że kłopoty dopiero się zaczną. Oderwał się od drzwi i potarł sobie ucho bolące od dotyku lodowatej stali na zimnie.

Potem zdecydowanym ruchem przekręcił klucz w zamku. Drzwi ze stęknieniem ruszyły i w swój mroczny sposób zaprosiły go do korytarza. Zrobił pierwszy, niepewny krok. Znów nasłuchiwał. Poszedł dalej. Wkulił głowę w ramiona i próbował nie wydawać żadnych dźwięków. Do dziury nie było daleko.

León stał przy miejscu, które się zawaliło, i patrzył w dół, w ciemność. Światło, które padało z zewnątrz na korytarz, było zbyt słabe, by coś rozpoznać.

– Mary! – zawołał cicho.

Nasłuchiwał w napięciu. Nic.

– Mary! – Tym razem zawołał nieco głośniejszym, bardziej natarczywie.

Złożył dłonie w tubę i zawołał jeszcze raz, tym razem głośno, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

„Mierda!” – zaklął w duchu.

Rozpiął kurtkę, oderwał kawałek materiału od koszuli, wyciągnął zapalniczkę i położył się płasko na ziemi. Wysunął się ponad krawędź dziury i przytknął płomień zapalniczki do materiału. Gdy strzęp zajął się ogniem, puścił go. Powoli, jak liść na wietrze, spadał teraz na dno.

W końcu mógł coś dostrzec. Pomiedzy światłem a cieniem zobaczył, że dno jest co najmniej trzy metry pod nim. Na dnie dziury leżały kartony i materiał wypełniający, podobny do pianki. Ale po Mary nie było śladu. Jeśli tu wpadła, miała szansę przeżyć upadek bez obrażeń.

Ale jeśli tu wpadła, to gdzie teraz była? Próbowwała znaleźć wyjście z tej

piwnicy?

León zobaczył brudne ślady butów na kartonach. Nie, nie wyszła stąd sama. Wyciągnęli ją obcy i zabrali stąd.

Dokąd? Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

León wstał, otrzepał ubranie. Potem stanął na brzegu dziury, wziął głęboki wdech i wskoczył do środka.

Jeb stanął. Odwrócił się od wiatru i spojrzał wstecz na drogę, którą przyszli.

– Co jest? – Misza musiał głośno krzyknąć, żeby przebić się przez burzę.

– Nie wiem – odpowiedział Jeb. – Mam wrażenie, że znów nas śledzą. Chyba nam się nie udało zgubić tych typów.

Podeszła też Jenna. Wszyscy patrzyli do tyłu, przymykali oczy, próbowali rozpoznać kształty w tym wirującym chaosie.

– Nic nie widzę – stwierdziła Jenna. Wystające spod jej czapki włosy całkowicie pokrył śnieg. Płatki topniały jej na twarzy i spływały jak łzy po zaczerwienionych policzkach.

Jeb wytarł sobie czoło rękawem, potem dwa razy klasnął w dłonie, żeby śnieg opadł.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Misza.

– Musimy zejść z tej ulicy i iść okężnymi drogami. Przemykać się przez budynki, próbować zacierać ślady – powiedział Jeb.

– Mamy aż tak dużo czasu? A co będzie, jeśli się zgubimy? – zaprotestowała Jenna.

– Zawsze to lepsze niż otwarta ulica. Tu jesteśmy łatwym łupem. Zgoda?

Jenna i Misza skinęli głowami.

Jeb szedł przodem. Skręcił z ulicy i skierował się do płaskiego budynku. Nad wejściem przymocowane były wielkie napisy z powyrywaniem literami. Szyba wysokich drzwi wejściowych była od dawna stłuczona, więc bez kłopotu weszli do wysokiego przedsionka.

Dookoła stały na wpół spalone meble. Podłogę pokrywały zbutwiałe dywany. Z sufitu na plastikowych kablach zwisały kolorowe lampy, które kołysał wpadający wiatr. Przeszli przez to pomieszczenie i weszli do sali, której jedna strona zdominowana była przez olbrzymie napięte płótno zwisające z sufitu. Ustawione w jego stronę szeregami stały składane krzesła. Pachniało starym materiałem i kurzem.

Gdy przyzwyczaili się do ciemności, poszli w dół rzędów do tylnych drzwi.

Wyjście wyprowadziło ich na małą uliczkę, która jednak wiodła łukiem z powrotem do głównej ulicy. Dlatego Jeb skierował się do następnego domu.

Tutaj nie było drzwi. Zdjął plecak i zdecydowanym ruchem wybił okno.

Szybko przeszli przez środek i znów znaleźli się w jakiejś bocznej uliczce. Następny dom rzucał się w oczy, bo miał zakratowane okna. Żelazne podpory zapewne miały zapobiec włamaniu, ale szeroko otwarte masywne drzwi skrzypiały na wietrze. Jeb wszedł. Tuż za nim Misza i Jenna. Wewnątrz światło było rozproszone. Przywitały ich kolejne otwarte drzwi.

Gdy Jeb wszedł do tego pomieszczenia, stanął zaskoczony. Od razu wiedział, gdzie wylądował. Znów weszli do sklepu i stali w dziale sportowym, który był jeszcze nieźle zaopatrzony. Te wszystkie dziwne narzędzia i piłki go nie interesowały. Uwagę przyciągnęła broń, którą dobrze znał. Na tylnej ścianie wisiał sportowy łuk, a obok, w kołczanie, tkwiło dwanaście strzał.

Przypomniał sobie swojego dziadka, który mu pokazywał, jak obchodzić się z taką bronią.

Uśmiechnął się.

Od tej chwili nie byli już bezbronni.

Kathy cierpliwie przemykała za porywaczami Mary. Jej celem były właściwie bramy, ale na tę małą okrężną wycieczkę mogła sobie pozwolić. Mary wypadła z gry. I Kathy chciała sobie pozwolić na tę przyjemność: popatrzeć, jak cierpi i umiera jej przeciwniczka.

„Tak, to dopiero będzie przyjemność” – pomyślała i aż zadrżała z radości.

Wyobrażała sobie mające nastąpić sceny ze wszystkimi szczegółami i nie od razu zauważyła, że mężczyźni się zatrzymali. Przestraszyła się i pospiesznie przywarła do ściany. Miała szczęście, jej nie dostrzegli.

Mężczyźni nie rozmawiali, tylko otworzyli drzwi i za nimi zniknęli. Gdy poszli, Kathy zakradła się tam i przez chwilę nasłuchiwała. Słyszała za drzwiami oddalające się kroki. Buty stuknęły o metal. Wzięła głęboki wdech, potem powoli otworzyła drzwi i stanęła przed żelaznymi schodami prowadzącymi gdzieś w głąb. Daleko pod sobą dostrzegła migoczące światło. Porywacze Mary zapalili pochodnię i schodzili w ciemność. Tu, w środku, Kathy musiała być ostrożniejsza niż dotychczas, bo każdy szmer odbijał się od ścian wielokrotnie wzmocniony. Sięgnęła do metalowej balustrady, przytrzymała się i ostrożnie postawiła stopę na najwyższym stopniu.

Krok po kroku schodziła pięć pięter. Potem światło znikło. Kathy usłyszała zatraskujące się ciężkie drzwi, po czym zapanowała wokół niej kompletna ciemność. Dłonie zaczęły jej drżeć. Czuła, jak strach pełził jej w górę po plecach, ale zacisnęła zęby. Nie, nie pozwoli odebrać sobie tego widowiska. To był tylko jakiś zasrany korytarz z zasranymi schodami, i było ciemno. Nic więcej.

Zrobiła następny krok.

Potem jeszcze jeden.

Uśmiechała się w ciemnościach.

Chwilę później dotarła do równego gruntu. Jej zdrętwiałe dłonie wymacały drzwi. Znów intensywnie nasłuchiwała.

Nie było nic słychać.

Odważyła się trochę uchylić drzwi. Drgnęła, gdy na jej twarz padło światło pochodni.

León przemykał w piwnicy tego domu długim, ciemnym korytarzem. Z płonącego paska materiału zmajstrował sobie pochodnię, składającą się z kawałka drewna i płótna z worka. Na szczęście materiał dobrze się palił, chociaż tu na dole było zimno i wilgotno. I jakoś niesamowicie.

W końcu dotarł do przejścia, które po z grubsza ociosanych kamiennych schodach zaprowadziło go z powrotem na górę. Po kilku stopniach znów zobaczył dzienne światło. Pomieszczenie było puste. Porywacze Mary zostawili wyraźne ślady w warstwie popiołu pokrywającej podłogę. Prowadziły do przeciwległej ściany, a potem na zewnątrz.

Pod daszkiem mężczyźni się rozdzielili. Dwóch przeszło na drugą stronę ulicy, reszta skręciła w prawo. Dla Leóna natychmiast było jasne, że dwóch mężczyzn niosło Mary, ponieważ ich ślady na śniegu były wyraźnie głębsze. Reszta grupy ruszyła w pościg za Jebem, Miszą i Jenną, no i za nim.

Przez chwilę zastanawiał się, jak mógłby ostrzec pozostałych. Wiedział jednak, że musi skupić się na Mary, bo jeśli teraz zgubi jej ślad, w tym labiryncie domów prawdopodobnie nigdy go nie odnajdzie.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez ulicę i podążył za porywaczami Mary do wysokiego budynku. Droga tych mężczyzn była zawiła. Czyżby chcieli zgubić kogoś, kto ich śledził? Czyżby było tu więcej koleśki ich pokroju, band, które nawzajem się zwalczały? Jednocześnie nie zadali sobie trudu, żeby zatrzeć swoje ślady. León wciąż znajdował na zakurzonej podłodze odciski, które wskazywały mu drogę. Z łatwością przychodziło mu podążanie ich tropem. Jednak potem odkrył coś zadziwiającego.

Akurat przeszedł przez długi korytarz i wszedł do przestronnego pomieszczenia, gdzie znalazł na podłodze pełny ślad buta mężczyzny skrzyżowany z kolejnym, który nie mógł być śladem innego mężczyzny. Podeszwy obydwu butów były gładkie i znoszone, natomiast ten nowy ślad był mniejszy i miał wyraźny profil. To znaczy, że ktoś podążał za tymi obcymi tak samo jak on.

León postawił swoją nogę tuż obok śladu, porównał odciski butów

i zdziwiony wypuścił powietrze. Ten sam profil.

Kathy!

Również tędy szła i dokładnie tak jak on podążała za mężczyznami. Od rana już o niej nie myślał, ale teraz wydało mu się dziwne, że Kathy najwyraźniej nie próbuje dotrzeć do bram, tylko idzie w przeciwnym kierunku.

Jaki ma plan? Czyżby odkryła porywaczy Mary?

Nie, to niemożliwe. León pokręcił głową. Kathy była dla niego zagadką. Nie rozumiał jej. Ale przede wszystkim była nieobliczalna. Nie, nie pozwoli, by go zatrzymała. Może sobie próbować.

Madre dios! Wręcz modlił się o to, by spróbowała to zrobić.

Obydwaj mężczyźni stanęli, coś powiedzieli, potem niedelikatnie wyrzucili Mary z worka. Twardo wylądowała na podłodze.

Z ulgą chwyciła powietrze, ale powalił ją smród. W pomieszczeniu wisiał ciężki odór niemytych ciał i zgnilizny. Płytko oddychając, uniosła głowę i zaparło jej dech. Jej spojrzenie wędrowało po brudnych, znoszonych butach z cholewami, coraz wyżej. Ta twarz, która przed chwilą jeszcze była czarną maską, stała się brodatą gębą. Kłudy w niej ciemne oczy, patrzyły na nią. Mary od razu go rozpoznała. Ten mężczyzna z psem, w bocznej uliczce. Jej strach zmienił się w panikę. Zaczęła drżeć i straciła nad tym kontrolę. W jej głowie pojawiały się obrazy. I załamywały ją wspomnienia.

Była sobie kiedyś rodzina, ojciec, matka, mała Mary i jej mały brat, David.

Mary leżała w swoim łóżku, paliła się tylko lampka nocna i rzucała na ścianę cienie motyli, gdy on wszedł do pokoju i położył się obok niej. „Moja mała, jesteś przecież moją małą”. Potem ją dotknął. Ale to nie była Mary. Mary była bardzo daleko. Cała zeszywniała, ale on wcisnął ręce pomiędzy jej nogi i powiedział cicho: „Wszystko dobrze”. Jednak Mary wiedziała, że tak nie jest. Płakała, i to nie tylko ten jeden jedyny raz, lecz przez wiele nocy.

Po wielu nocach – zbyt wielu – ojciec już do Mary nie przyszedł. Ale słyszała, że chodził do pokoju jej brata. Słyszała, jak szepcze z Davidem, i słyszała, jak jej kochany młodszy brat łka.

Mary nic nie powiedziała. Cieszyła się, że to minęło, że może już o tym zapomnieć. Milczała więc i nie powiedziała nikomu ani słowa.

A teraz był tutaj. Jej ojciec. Ta chuda, wycieńczona twarz stała się jego twarzą. Patrzył na nią. Tak jak wtedy, nie uśmiechał się, a jego twarz nie miała żadnego wyrazu. Po prostu stał tam i gapił się na nią. W jego spojrzeniu było coś pożądliwego i Mary była znów małą dziewczynką, tak jak w swoim wspomnieniu. Jak wtedy. Potem otworzył usta i można było zobaczyć brak całego rzędu zębów.

– Wstań! – rozkazał zimno.

Gdy nie posłuchała, powtórzył rozkaz. Tonem, którego Mary jeszcze bardziej się przestraszyła. Nagle stało się dla niej jasne, że tym razem nie może po prostu stać się niewidzialna. Nie mogła nawet wyobrazić sobie, że jej nie ma. Szybko się pozbierała i wstała.

Dopiero teraz obudziła się ze swego koszmaru. Gdzie była? Po długiej

podróży w worku, skurczona, zauważyła, że jej mięśnie zeszywniały. Kolana ugięły się i Mary upadła. Jeden z porywaczy chwycił ją za włosy i postawił z powrotem na nogi. Mary krzyknęła.

– Cicho bądź! – powiedział mężczyzna o twarzy jej ojca. Zapytał: – Masz jedzenie?

To pytanie zaskoczyło Mary. Minęła chwila, zanim zrozumiała jego sens. I przez moment miała nadzieję, że to był tylko sen, ale wrażenie minęło, gdy spojrzała w zimne oczy mężczyzny.

– Tak. – Próbowała nie dać po sobie poznać strachu i wskazała plecak, który mężczyźni postawili obok niej na podłodze. – Ale niewiele.

Chociaż o to zapytał, zawartość wydawała się go nie interesować. Skinął głową do swoich ludzi, którzy natychmiast rzucili się na plecak i zniknęli w kącie.

Mary próbowała wyrobić sobie zdanie o miejscu, do którego ją przywleczono. Musiało się znajdować pod ziemią, bo nie było tu okien. Tylko goły beton, po którym wilgoć spływała ze ścian na podłogę małymi strużkami. Pomieszczenie było duże i surowe, podzielone tekturą i deskami na wiele mniejszych boksów, w których na starych materacach koczowały ciemne postacie. Ale było ich tu niewiele. Mary zobaczyła oczy błyszczące w półmroku. Oczy, które z ciekawością ją lustrowały w świetle przymocowanych do ścian pochodni. Spuściła wzrok. Na podłodze leżały ogryzione blade kości. Mary przełknęła ślinę. Przywleczono ją do jakiegoś koszmaru. Do jej osobistego piekła.

– Jak ci się podoba moje królestwo? – zapytał mężczyzna, który był najwyraźniej przywódcą tej grupy. Na jego mrocznym obliczu wciąż pojawiała się twarz jej ojca.

Postanowiła na niego nie patrzeć. W ten sposób mogła przewyciężyć odrętwienie, które czuła w całym ciele.

Mary milczała. Drżała ze strachu i zmęczenia. Gorączkowo szukała możliwości ucieczki. Obudził się w niej instynkt przetrwania, ale wiedziała, że z tej sytuacji było tylko jedno wyjście. Nie może jej znów zabrać wszystkiego. Tym razem go uprzędi.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział mężczyzna. – Należysz do mnie, wiesz przecież. Stąd nie ma ucieczki.

Przestraszona Mary z trudem chwyciła powietrze. Pochylił się do niej, wziął w rękę pasmo jej włosów i obwąchiwał.

– Dobrze pachniesz – powiedział.

Jego śmierdzący oddech zacisnął jej gardło.

– Proszę, proszę, nie. Proszę, nie. Jeśli coś źle zrobiłam, to... to bardzo przepraszam – cicho skamlała.

Uśmiechnął się do niej bezzębnymi ustami.

– Ależ nie, wszystko dobrze zrobiłaś. Znalazłaś drogę do mnie, nawet jeśli trochę musiałem ci pomóc.

Mary pokręciła głową.

– Nie wiem, czego pan chce, ale nie dostanie pan tego.

Cios był całkowicie niespodziewany. Jedną ręką uderzył ją w twarz, co odrzuciło jej głowę w bok. Mary jęknęła. Złapała się za policzek i wybuchnęła płaczem.

Znów podszedł do niej blisko. Delikatnie przeciągnął palcami po grzbiecie jej dłoni.

– Nie musisz płakać – powiedział, a potem ciągnął niebezpiecznie cichym głosem: – Ale jeśli nadal będziesz taka krnąbrna, będę musiał nauczyć cię dobrych manier.

Te słowa. Jak często słyszała te słowa od niego. Świat zaczął jej wirować w oczach. Obrazy z przeszłości próbowały porwać Mary ze sobą. Ojciec stał przed nią, grożąc. Mary znów była małą dziewczynką.

– Dlaczego? – błagała. – Dlaczego tu jesteś?

Przekrzywił głowę. Twardy wyraz jego ciemnych oczu zniknął. Potem uśmiechnął się i westchnął. Coś do niej powiedział, ale Mary słyszała inny głos.

– W końcu znów cię mam. Teraz będziemy szczęśliwi. – Wziął ją pod brodę, a drugą dłoń położył na jej udzie.

Od tej chwili Mary już tu nie było. Była daleko stąd.

Serce Kathy na chwilę stanęło. Potem zauważyła, że pochodnia jest przymocowana do ściany i nikt nie czai się na nią za drzwiami. Rozejrzała się dookoła. Nikogo nie było widać.

Drzwi otwierały się na przestronne pomieszczenie, którego sufit podpierały masywne, okrągłe filary. Po lewej stronie kamienny korytarz prowadził na wyższe piętra, po prawej wiódł przez podobną rampę w głąb. Ktoś dawno temu zadał sobie trud, by podzielić to pomieszczenie na małe, prostokątne pola i je oznaczyć.

Tuż przed nią znajdowała się metalowa skrzynka. Mniej więcej wielkości mężczyzny, sporo od niej wyższa. Metal był chłodny i gładki, a przy tym dziwnie nieuszkodzony. Kathy przeciągnęła po nim ręką. Spojrzała na matowe pole ze szkła, w którym odbijała się jej twarz, i drgnęła.

To nie było jej lustrzane odbicie. To nie była ona. Nie Kathy. To, co

patrzyło na nią z drugiej strony, było potworem z twarzą umazaną krwią i popiołem. Oczy, głęboko osadzone w oczodołach, były matowe jak zużyte szklane kulki. Rozciągnęła wargi i wyszczerzyła zęby.

„Stałam się zwierzęciem. Już nie jestem sobą” – pomyślała.

Nagle wezbrały w niej łzy. Coś w niej pękło i zaczęła strasznie płakać. Nie dało się tego stłumić i Kathy głośno szlochała, nie zważając na to, czy ktoś ją odkryje.

Pojawiły się obrazy z dawnego życia i wywołały jeszcze intensywniejszy płacz. Kathy zobaczyła jakiegoś mężczyznę. Wysokiego i szczupłego. Opalonego na brązowo, z rozwichrzonymi, pojaśniałymi od słońca blond lokami, trzydniowym zarostem i uśmiechem zuchwałego chłopaka. Słońce Australii wyżłobiło niezliczone zmarszczki i skóra w kącikach jego oczu pokryta była tysiącem drobnych rys.

Tato? Gdzie jesteś?

W duchu słyszała jego głos. „Kochanie, chodź. Morze jest cudowne i słońce świeci. Chodź, posurfujemy”.

„Nie. Muszę się uczyć do szkoły. Jutro piszemy test”.

„Szkoła? Dziecko, jesteś najlepszą surferką, jaką kiedykolwiek widziałem. Będiesz zarabiać pieniądze na surfowaniu. Wygrałaś wszystkie zawody na tym kontynencie. Świat stoi przed tobą otworem. Zapomnij o wkuwaniu. Ja sam...”.

„Wiem – przerwała mu. – Ty też olewałeś szkołę, a mimo to jesteś szczęśliwy”.

Ale tak naprawdę uważała, że jest nieudacznikiem. Kimś, kto żyje z dnia na dzień i sądzi, że palenie jointów i surfowanie to prawdziwe szczęście. Nieudacznik. Matka gardziła tym mężczyzną i go porzuciła, gdy ona i jej siostra były jeszcze małe. Odeszła bez słowa. Z jedną walizką w garści. Kathy płakała, biegła za nią. Małymi rączkami wczepiła się w jej spódnicę, ale kobieta, która była jej matką, zniknęła w upale gorącego dnia. A ojciec? Leżał naćpany na sofie, gdy w telewizji leciał jeden z tych działających na nerwy talk-show.

Kathy próbowała go obudzić, chciała mu powiedzieć, że mama odeszła, ale przebywał akurat w krainie narkotycznych snów, z której zazwyczaj powracał dopiero późnym popołudniem.

Kathy opadła na brudną podłogę. Oparła się plecami o metalową skrzynkę, podciągnęła kolana i objęła nogi.

„Mamusiu. Gdzie jesteś?

Proszę, wróć.

Proszę, przyjdź i mnie zabierz. Tu jest strasznie i boję się”.

Ale obrazy zbladły i tęsknota za matką uleciała. Kathy siedziała tak jeszcze przez chwilę, potem wstała. Jej spojrzenie powędrowało do rampy prowadzącej na dół. Z głębi dobiegało łkanie Mary.

Mary. Wytarła sobie nos rękawem. Jej wściekłość na Mary zniknęła. Kathy teraz wiedziała, że śmierć Mary nie sprawi jej przyjemności. Będzie dalej śledzić Mary, ale chyba już nie musi jej zabijać. W jej głowie panowała pustka, myśli były zupełnie przejrzyste. To ona była samotna i zagubiona. Ktoś wyrwał ją z jej świata i zmusił do tego, żeby walczyła o życie tutaj, w tym niegościnnym świecie, ale nie miała szans na wygraną. Nagroda przetrwania była przeznaczona dla jednego z chłopaków. Prawdopodobnie Leóna. Ten typ był wytrzymały jak szczur. Wygrał już wiele walk i tę też zapewne wygra.

Nie, ona nie miała żadnej szansy, było więc wszystko jedno, czy brnęła przez śnieg, czy pokonywała pustą, upalną równinę. Ostatecznie wszystko było obojętne, nie miało już znaczenia.

Tak chciałabym jeszcze raz zobaczyć słońce, poczuć wiatr we włosach i fale pod sobą. Pędzić na desce surfingowej w kierunku plaży. Być jednością z niezmiernym oceanem. Ale to było niemożliwe. Prawdopodobnie skończy tutaj, w tym zimnym, brudnym miejscu.

Spojrzała na nóż zaciśnięty w pięści i zrobiła krok w stronę schodów prowadzących w głąb budynku. Nie umrze sama.

Jeb ważył w dłoni łuk. Broń leżała w niej tak, jakby to było najbardziej naturalne na świecie. Ostrożnie napiął cięciwę. Najwyraźniej dobrze zniosła upływ czasu. Gładko, lekko i bezszelestnie Jeb uzyskał największe napięcie, zanim z powrotem ją zwolnił. Uśmiechnął się do Miszy.

– Teraz już nie jesteśmy bezbronni.

– Umiesz się tym posługiwać? – zapytał Misza.

– Tak, ale nie pytaj mnie dlaczego.

Jenna obróciła się i przez chwilę błądziła spojrzeniem po pomieszczeniu.

– Może znajdziemy też coś dla mnie i Miszy.

– Dobry pomysł – powiedział Jeb. – Ale trzeba się pospieszyć. Potrzebujemy kryjówki na noc. Do tego czasu musimy zgubić tych, którzy nas ścigają.

Podzielili się i metodycznie przeszukali pomieszczenie. W końcu Misza dostrzegł zaklejoną, wąski karton i bez namysłu go rozdarł. Znajdował się w nim ciężki kawałek polerowanego drewna z grubym, okrągłym końcem. Wziął trzonek w rękę i dwukrotnie uderzył wyimaginowanego przeciwnika. Wydawał się zadowolony.

– Czy ktoś wie, co to jest? – zapytał.

Jenna pokręciła głową, ale przed oczami Jeba pojawiły się obrazy.

– Myślę, że tym gra się w piłkę... w bejsbol.

– Bejsbol? – dziwił się Misza.

– Tak, uderza się piłką nad polem, a inni próbują ją złapać.

Misza uśmiechał się.

– Brzmi jakoś głupio.

– Niestety, ja nic nie znalazłam – stwierdziła Jenna i wzruszyła ramionami.

Jeb wyciągnął nóż Kathy z kieszeni spodni i jej wręczył.

– Lepiej, żebyś go zatrzymał – powiedziała.

– Teraz mam już coś, żeby się bronić. To ważne, żebyś ty też coś miała.

Jenna z wahaniem sięgnęła po broń.

– Jeśli będziesz chciał go z powrotem, to ci zwrócę.

Machnął ręką.

– Zatrzymaj go. – Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. – Ale teraz powinniśmy zniknąć.

Przytroczył kołczan ze strzałami do paska. Łuk luźno trzymał w dłoni. Misza ułożył sobie ciężki drewniany kij na ramionach.

– Już czuję się lepiej – powiedział.

Jeb szedł przodem. Przeszli przez połowę pomieszczenia, gdy Jeb usłyszał ciche skrobanie. Słyszała je także pozostała dwójka. Dochodziło z korytarza za nimi. Jeb natychmiast opadł na kolana i położył na ustach palec wskazujący. Misza i Jenna również przysiedli.

– Cicho – szepnął Jeb.

Wskazał na drzwi daleko z tyłu pomieszczenia.

Pochyleni, szukając osłony, przemknęli przez salę sprzedaży i dotarli do wyjścia. Jeb położył rękę na klamce w drzwiach. Dookoła było cicho. Żadnego ruchu. Żadnych oznak, że ktoś ich zauważył. Myślał już, że się pomylił i że to wiatr był źródłem tego dźwięku, gdy zauważył jakiś ruch. Kilka cieni wślizgiwało się po kolei do pomieszczenia.

Gdzie oni biegną? – zastanawiał się.

Wiedział tylko, że nieubłagane podchodzą coraz bliżej.

Gdy Mary odzyskała przytomność, leżała ze związanymi rękami na zimnej kamiennej podłodze. Musiała minąć dobra chwila, zanim ostatnie wydarzenia żywo stanęły jej przed oczami. Wzbierały w niej łzy. Opanowała ogarniającą ją rozpacz i spróbowała się wyprostować. Z pewnym wysiłkiem udało jej się ukucnąć, ale na więcej ciasno zasznurowane więzy nie pozwoliły. Oparła się o wilgotną ścianę i poczuła, jak chłód wpełza jej na plecy.

Odwróciła głowę w prawo i się rozejrzała. Wśród tych wszystkich kartonów i bud z desek nie widać było postaci, ale w tle zauważyła starego mężczyznę, który przechadzał się pomiędzy boksami z wiadrem w ręku.

Potem odwróciła głowę w lewo i drgnęła. Niedaleko od niej siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami przywódca tej hordy. W rękach trzymał długi nóż, który ostrzył na jakimś kamieniu. Nagle mężczyzna podniósł głowę i spojrzał zamyślony, tak jak zawsze robił jej ojciec, tuż przedtem, zanim szła do łóżka. W jego spojrzeniu nie dało się rozpoznać żadnych uczuć. Z oddali jego twarz wydawała się prawie nierzeczywista, jak maska, i dopiero gdy przyjrzała się dokładniej, rozpoznała twarz swojego ojca. To było niesamowite, jak jego postać najpierw była nic niemówiącym zarysem, a potem zmieniała się w jej najgorszy koszmar.

„Trzymaj się z dala ode mnie. Nie podchodź do mnie za blisko, ty potworze, bo odgryzę ci palce” – zagroziła mu w myśli.

– Straciłaś przytomność – stwierdził spokojnie.

Mary prawie nie słyszała jego słów, tak była skupiona na kiełkującej w niej

wściekłości.

„Pozostań wściekła – rozkazała sobie. – Wściekłość jest lepsza niż lęk”.

– Na jak długo? – Mary słyszała, że chrypi.

– Niedługo.

– Możesz zdjąć mi więzy? Ręce całkiem mi ścierpły.

– Nie. Nie mogę dopuścić do tego, żebyś uciekła.

Mary zagryzła zęby, a potem sama się zdziwiła mocą swego głosu.

– Nie dotkniesz mnie już nigdy więcej, przysięgam ci! – Teraz prawie krzyczała. – Wolę umrzeć!

– Wiem, dlatego jesteś skępowana. Ani mnie, ani sobie nic złego nie zrobisz, zatroszczę się o to.

Mary chętnie spoliczkowałyby samą siebie za własną głupotę. Zdradziła mu, że woli się zabić niż mu ulec. Teraz on nie da jej żadnej szansy na to, by mogła to zrobić. Gdyby zamiast bezrozumnie się wściekać, zastanowiła się, jak go przechytrzyć, może byłby bardziej niedbały. A tak, miał się na baczności.

Mężczyzna wyjął z kurtki wykałaczkę i zaczął nią dłużyć w zębach. Mary brzydziła się go coraz bardziej. Wyglądał wprawdzie jak jej ojciec, ale nim nie był. Nie odważyła się też zapytać, kim naprawdę jest, żeby go tym jeszcze bardziej nie rozwścieczyć. Wiedziała tylko, że musi stąd uciec. Natychmiast.

– Należysz do mnie. Wiesz przecież.

Mary uznała, że jest jej wszystko jedno, jak bardzo ten człowiek się wścieknie. Jeśli to miały być jej ostatnie chwile i miała tu zginąć, to da upust swoim uczuciom.

– Będę z tobą walczyć, kimkolwiek jesteś. Do ostatniego tchu. Nic ci dobrowolnie nie oddam... – Roześmiała się zjadliwie. – Kiedyś nadarzy się okazja i wtedy cię zabiję.

Oczekiwała, że skoczy rozwścieczony na równe nogi i ją uderzy, ale siedział dalej. Był uosobieniem spokoju. Tylko jego oczy przybrały smutny wyraz.

– Miałem nadzieję, że nie będę musiał sięgać do takich środków, ale nie pozostaje mi nic innego. Od dzisiaj będziesz chyba musiała spędzić resztę swojego życia w więzach. Związana jak zwierzę. Wezmę, co do mnie należy, i gdy z tobą skończę, oddam cię swoim ludziom. Już nigdy nie opuścisz tego miejsca, zapomnij o ucieczce czy buncie. Nie utrudniaj tego sobie i mnie bardziej niż to konieczne. – Wstał i spojrzał na nią z góry. – A teraz lepiej odpocznij. Wkrótce wrócą pozostali, a potem będzie wielka uczta. Po niej do ciebie przyjdę. Lepiej, żebyś przywitała mnie uśmiechem.

Nie mówiąc nic więcej, wyszedł. Mary opuściła głowę na podciągnięte kolana; wstrząsał nią gorzki płacz.

Udało im się niepostrzeżenie opuścić sklep. Jeb, Jenna i Misza biegli jak najciszej przez zapadający zmierzch, wchodzili do domów i wychodzili z nich po drugiej stronie. Przechodzili przez centra handlowe i biurowce, próbowali zacierać swoje ślady. Chyba udało im się zgubić pościg, bo już nikogo nie widzieli ani nie słyszeli. Jeb zauważył, że w tym świecie ci, którzy na nich polowali, nie wydawali żadnych odgłosów, zupełnie inaczej niż na stepie. Te dziwnie znajome, a przecież nieludzkie krzyki i wrzaski jeszcze wyraźnie brzmiały mu w uszach. Podejrzewał, że to były głosy z jego przeszłości. Głosy, których nie lubił.

A tu i teraz? Nagle mieli do czynienia z najzupełniej fizycznymi przeciwnikami. Przynajmniej tak mu się wydawało. Strzeżcie się swoich lęków. Czyżby lęki stawały się większe, przybierały na sile? Jeb wciąż jeszcze wierzył, że w tym mieście trafili na trop swego dawnego życia. Tak wiele rzeczy tutaj rozpoznali! Ale czy to również znaczyło, że te straszne lęki i koszmary z ich życia stały się bliższe i zyskały większy wpływ? Jeb wiedział, że bez sensu było dłużej się nad tym zastanawiać. Niemożliwe było przygotowanie się na nieznaną. Zmusił się do skupienia na tym, co ich czekało: zabezpieczeniu ich przetrwania i znalezieniu bram. Może jednak wszystko skończy się dobrze.

Wciąż jeszcze padał śnieg. Zrobiło im się zimno i gorąco zarazem. Palce były prawie zamarznięte, twarze płonęły od wysiłku, a pot spływał po plecach. Gdy tylko się zatrzymali, pot wydawał się zamarzać w czysty lód. Podobnie jak pozostała dwójka Jeb drżał. Chłód nie pozwalał im zatrzymać się na świeżym powietrzu nawet chwilę dłużej niż to konieczne.

Jeb spojrzął w prawo i lewo, zanim przeszedł przez boczną uliczkę. Obok niego przez głęboki śnieg kuśtykała Jenna. Bez słowa wyciągnął do niej rękę i powiodł ją za sobą. Wiedział, że ją boli, tak samo jak Miszę, który wciąż przyciskał rękę do boku i ciężko dyszał. Jeb czuł, że oboje są u kresu sił. Przez chwilę zastanawiał się, czy mogą zaryzykować odpoczynek, ale wiedział, że nie ma wyboru. Na szczęście po pewnym czasie wyłonił się z zamglonej ciemności niski dom. Jeb dał reszcie znak, potem wszedł do budynku przez wybite okno.

Wewnątrz nie wiało i było bardzo spokojnie. Nie słychać było żadnych odgłosów, docierał do nich tylko stłumiony gwizd wiatru. Wszedł dwa metry w głąb pomieszczenia i zrobił rekonesans. Z tyłu odkrył dwa wyjścia, które zapewniały drogę ucieczki. Frontu łatwo było bronić: ktokolwiek chciałby

wejść do domu, musiałby się wdrapać przez wybite okno i tym samym stanowiłby łatwy cel dla jego strzał. Zadowolony z sytuacji, dał reszcie znak, że mogą zdjąć plecaki.

Jenna cicho westchnęła, gdy opadła na podłogę. Misza przysiadł obok niej. Jeb został jeszcze chwilę przy oknie i wpatrywał się w zapadający mrok.

– Myślę, że na razie jesteśmy tu bezpieczni. Możemy się trochę napić, zjeść i odpocząć. Proponuję, żebyśmy tu spędzili noc.

– A co z Leónem i Mary? – zapytała Jenna. – Nigdy nas tu nie znajdą.

– Tak jak się umówiliśmy, spotkamy się przy bramach. Muszą szukać własnej drogi.

– Myślisz, że dadzą radę?

– Jeśli ktokolwiek może przyprowadzić Mary całą, to tylko León. Jakoś dotrze do bram, a wraz z nim Mary – oznajmił z większą pewnością, niż sam miał.

Jednego był na sto procent pewny: jeśli komuś może się udać uratować Mary, to tylko Leónowi.

Widział, że Jenna wątpi w jego słowa, ale nic nie powiedziała.

– Co z twoją stopą? – zapytał.

– Boli, ale ujdzie.

„Znów bagatelizuje ból” – pomyślał.

– Tu jest zimno – zauważył Misza.

– Nie powinniśmy rozpalać ognia, ktoś mógłby zobaczyć światło.

– To już ten poprzedni świat z jego wściekłym upałem był lepszy.

Jeb uśmiechnął się.

– Teraz tak mówisz. Jeszcze niedawno oddałbyś wszystko za chwilę ochłody.

Misza roześmiał się, ale już po chwili skrzywił się z bólu.

– Misza? Ciebie też boli, prawda?

Tym razem nie było powodu do szukania wymówek i udawania, że nic złego się nie dzieje.

– Tak – po prostu przyznał Misza. – Każdy oddech sprawia mi ból.

– Myślisz, że jak odpoczniemy i przenocujemy tutaj, to będziesz mógł iść dalej?

– Nie wiem, ale sądzę, że tak. Zapytaj mnie rano jeszcze raz.

Jeb wiedział, że ten jasnowłosy chłopak boi się, że go zostawią. Usiadł obok niego.

– Jeśli już nie będziesz dawał rady, powiedz. Poniosę cię.

Misza gorzko się roześmiał.

– Dziękuję, Jeb, ale to niemożliwe. Ty też jesteś wykończony, a ja ważę o dwadzieścia kilogramów więcej niż Jenna. Przebijać się ze mną na plecach przez głęboki śnieg...? – Pokręcił głową. – Nie, tak się nie da. Ci, którzy nas ścigają, natychmiast by nas dogonili, a potem...?

Nie musiał dalej mówić...

– Potem Jenna i ja zostalibyśmy sami z napastnikami.

– Dobra, ale cię nie zostawię, więc odpoczywaj. Rano zobaczymy, co dalej.

León na krótki czas stracił trop, miał jednak szczęście i zaraz odnalazł ślady. Prowadziły do kolejnego budynku przez pozornie niekończący się ciemny korytarz, do metalowych schodów. Teraz skradał się w prawie zupełnych ciemnościach po schodach na dół. Gdy dotarł do pierwszej platformy, wyciągnął szeroko ramiona i próbował dotykiem zbadać otoczenie. Palcami trafił na stalowe drzwi i znalazł klamkę. Nasłuchiwał. Potem ostrożnie ją nacisnął.

W ciemność wdarł się promień światła, który go oślepił. Przez chwilę się wahał. Zanim znów otworzył oczy, poczuł na ustach czyjąś dłoń. A potem zimne ostrze na szyi.

– Cicho! – syknął ktoś do ucha Leóna. – Nie hałasuj, nic nie mów. Oni są niedaleko i mogą nas usłyszeć.

Kathy!

Odbił rękę na bok i błyskawicznie się odwrócił, przyjmując pozycję do ataku. Przed nim stała istota, która kiedyś musiała być Kathy, ale w tej chwili przypominały o tym tylko długie rude włosy i nienaturalnie zielone oczy, reszta była umazana brudem i pokryta popiołem. Twarz Kathy była jedną czarnoszarą maską, na której odcinały się ciemnoczerwone pręgi. Oczy błyszczały w niej jak dwa szmaragdy. Rzucił spojrzenie na nóż w dłoni Kathy. Był dwa razy dłuższy niż jego, cięższy, z przerażająco wygiętym ostrzem.

– Skąd to masz? – zapytał cicho, ale Kathy nie odpowiedziała, tylko odciągnęła go od drzwi z powrotem w ciemność klatki schodowej. Zostawiła nieco uchylone drzwi, tak, żeby mógł ją widzieć. Potem powiedziała:

– Znalazłam.

– Ach tak – szepnął. – A czyja krew jest na twojej twarzy?

– Nieważne.

Wpatrywał się w nią.

– Gdzie jest Mary?

– Ci mężczyźni ją tu przynieśli. Jest za tymi drzwiami, rampą w dół, a potem na prawo. Tam koczują.

– Ilu ich jest?

– Nie mam pojęcia. Wśród tych śmieci trudno cokolwiek zobaczyć, ale oceniam, że co najmniej tuzin.

– Cholera! – ledwie słyszalnie zaklął León. – Co z Mary? Nic się jej nie stało? Nie jest ranna?

– Patrzcie no, jaki z ciebie dżentelmen. Przywódca ma w stosunku do niej jakieś plany, o ile dobrze zrozumiałam. Mary na niego nawrzeszczała i powiedziała, że nigdy tego nie dostanie. Myślę, że oboje wiemy, czego ten typ od niej chce.

León skinął głową, zaciskając zęby.

– Widziałaś ich, a oni cię nie zauważyli?

– Nie jestem przecież idiotką.

– Jak to wygląda tam w środku? Są strażę? Gdzie dokładnie ją trzymają? Jest związana? Jak daleko jest do następnego wyjścia?

– Człowieku, powoli. Chcesz tam wejść i ją uwolnić? – Oczy Kathy błyszczały szyderczo. – Nie dasz rady.

– Muszę spróbować.

– Tam w środku będziesz tak samo stracony jak Mary. Spójrz na siebie, na swoje czyste ubranie, piękną nową kurtkę i te twoje straszne tatuaże na twarzy. Zanim przejdiesz dziesięć metrów, będą cię mieli na widelcu.

– Wszystko mi jedno.

– Ja ją wyciągnę – zdecydowanym tonem powiedziała Kathy.

– Ty?

– Spójrz na mnie. – Uśmiechnęła się gorzko. – Nie tak bardzo się od nich różnię. Może mi się uda wydobyć stamtąd Mary.

– Ale... – León nie potrafił ukryć zdziwienia zmianą, która zaszła w Kathy.

– Przecież ty jej nienawidzisz, chciałaś ją zabić.

– A kto powiedział, że nadal nie chcę?

– Jeśli myślisz, że w ten sposób odzyskasz prawo do wolnej bramy, zapomnij.

Położyła mu palec na ustach.

– Robię to dla Mary. – Zawahała się. – I dla siebie.

León milczał nieufnie.

– W tym zasranym labiryncie stałam się ściganą zwierzyną. I morderczynią. Wszystko było nie tak. Tian nie zasłużył na taką śmierć. Tak samo jak wszyscy inni powinien dostać szansę na otwartą bramę. I Mary też... Z tą winą muszę żyć albo umrzeć. Przeklinam to, ale nie mogę tego odwrócić. Uznaj to za moje zadośćuczynienie. – Chwyliła go za ramiona. – León! Jeśli już stamtąd nie wyjdę, powiedz innym, co ci mówiłam. Powiedz im, że na

koniec znów byłam sobą.

– Nie wiem, Kathy, czy mogę ci wierzyć.

– To daj sobie spokój. – Kathy patrzyła mu prosto w oczy.

Czy mógł jej ufać? Tej Kathy, którą znał jako bestię i intrygantkę zdążającą do celu po trupach? Musi to sprawdzić. Nie miał innego wyjścia. Jeśli Kathy przy tym zginie, będzie umiał pogodzić się ze stratą. Ale Mary... León pokręcił głową, żeby odegnać tę myśl.

W tej chwili Kathy wśliznęła się przez drzwi.

W cieniu pochodni Kathy powoli przesuwała się w dół rampy. Nie próbowała się ukrywać, tylko poruszała się pochyłona, powłócząc nogami, tak jak tamci. Droga była długa i wiodła przez zabłoconą podłogę do zagłębienia usianego śmieciami. Pachniało zgnilizną i niemytymi ciałami. Kathy nie zatrzymała się ani razu, lecz przy każdym kroku wsłuchiwała się w blady mrok, patrzyła spod czapki, ale nikogo nie spotkała. Mimo to ogarniał ją coraz większy lęk. Bała się, że zaraz ktoś ją odkryje. Już nieomal słyszała krzyk, widziała mężczyzn, którzy zrywają się na równe nogi, żeby za nią gonić, ręce, które pożądliwie się do niej wyciągają. Ale nic takiego się nie stało. Kathy szła dalej. Dotarła do dolnego poziomu i szybko zorientowała się w przestrzeni. Nikogo nie było widać... ale chwileczkę, niedaleko poruszał się jakiś cień. Kathy przestraszyła się, lecz zmusiła się do zachowania spokoju. To był starszy mężczyzna z wiadrem w dłoni. I szedł prosto na nią. Trochę się odwróciła, tak żeby nie było widać jej twarzy, i poszła dalej. Jeszcze tylko kilka metrów i ich drogi się przetną. Kathy chwyciła trzonek noża w rękawie.

Staruszek człapał powoli w jej kierunku. Miał spuszczoną głowę. Wiadro w jego ręku kołysało się przy każdym ruchu. Roztaczało odrażający odór, wypełniało powietrze śmierdzącą chmurą.

Potem mężczyzna znalazł się tuż przed nią. Kathy ledwie mogła oddychać. Widać było jego twarz i mlecznobiałe oczy bez źrenic. Starzec był niewidomy.

Spojrzenie Kathy padło na wiadro. Kubeł na odchody, odrażające.

Poczuła mdłości, ale wzięła się w garść. Mężczyzna już chciał przejść obok niej, gdy nagle stanął i zaczął węszyć.

„Rozpoznaje po zapachu, że nie jestem jedną z nich” – pomyślała.

Nóż ciężko leżał w jej dłoni. Ten starzec nie był dla niej żadnym zagrożeniem, jednak mógł ostrzec innych.

– I oto Duch Święty zstępuje na sprawiedliwych i niesprawiedliwych – wymamrotał starzec.

Przeżegnał się, potem pokręcił głową i poczłapał przed siebie.

Kathy odetchnęła z ulgą i poszła dalej.

Przeszła obok chat z tektury, drewna i złomu. Wydawało się, że nikogo w nich w tej chwili nie ma. Większość tych ludzi była chyba zajęta ściganiem Jeba i jego towarzyszy. Tu na dole było nienaturalnie cicho, więc tym głośniejsze w uszach Kathy dudniły jej własne kroki. Przeszła przez wolny placyk

i skreśliła w lewo.

To tu! Obozowisko przywódcy. Jak wszystkie inne chaty, nie miało dachu. Bo i po co, tu na dole nie padał ani śnieg ani deszcz. Jednak ta chata była wyraźnie większa od innych; wyłożona psimi futrami, miała wysłużony stary fotel z obłazającą tapicerką i małą, własnoręcznie zrobioną drewnianą szafę. Mary siedziała przykucnięta przy tylnej, betonowej ścianie chaty. Trzymała głowę na kolanach, nie ruszała się. Kathy jeszcze raz ostrożnie się rozejrzała, potem wśliznęła się do środka.

Prawie dotarła do Mary, gdy ta podniosła głowę i szeroko otworzyła oczy. Już miała krzyknąć, gdy Kathy dała susa do przodu i zasłoniła jej usta dłonią.

– To ja, Kathy! – szepnęła.

Oczy Mary zrobiły się jeszcze większe, kiedy rozpoznała, kto przed nią stoi.

– Czego jeszcze chcesz ode mnie. Nie masz dość? – zapytała płacząco.

– Dziękuję, też się cieszę, że cię widzę.

Mary wydawała się wiedzieć, dlaczego Kathy tu przyszła.

– Chcesz...? Skąd wiedziałaś, że ja...

– Ciiii. Nie czas na to. Gdzie przywódca?

– Nie mam pojęcia, ten dupek...

– Cicho bądź – syknęła Kathy. – Teraz przetnę ci więzy. Nie ruszaj się, to dość ostry nóż, a jest ciemno. Zrozumiałaś?

Mary cofnęła się przed nią. Potem skinęła głową. Dobrze.

– Gdy będziesz wolna, nie biegnij. Poruszaj się powoli, pochylona. Idź za mną, dopóki nie dotrzemy do wyjścia. Tam czeka León. On zaprowadzi cię do pozostałych.

Ciemnowłosa dziewczyna patrzyła na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

– A co z tobą?

– Ach, moja słodka. Ja mam jeszcze pewne plany. Praktycznie randkę.

Mary już nic nie powiedziała. Kathy najpierw przecięła jej więzy na nogach, potem uwolniła nadgarstki. Mary ostrożnie potrząsnęła zeszywniałymi rękami i nogami. Potem obydwie powoli się wyprostowały.

Kathy chciała wyjść, ale Mary jeszcze raz się odwróciła i z pogardą splunęła na podłogę.

– Musiałaś to zrobić? – zapytała Kathy.

Mary tylko patrzyła na nią wzrokiem pełnym nienawiści. Potem wyszły bez słowa. Krok za krokiem. Droga powrotna była łatwiejsza, ponieważ Kathy teraz już trochę orientowała się w przestrzeni.

Gdy zbliżały się do wyjścia, Kathy chwyciła jedną z pochodni.

– Co chcesz z tym zrobić? – syknęła Mary.

– Zobaczysz.

Już prawie dotarły do drzwi, gdy nagle rozległo się ujadanie psa. Kathy dziko powiodła dookoła szeroko otwartymi oczami.

– Cholera!

Misza wpełzł do swojego śpiwora w solidnej odległości od Jeba i Jenny i już po chwili cicho chrapał. Na zewnątrz wiatr stracił swoją siłę, a z nieba padały już tylko pojedyncze płatki śniegu. Chmury się rozproszyły i w bladym świetle księżyca połyskiwał śnieg.

Gdyby nie byli w tak rozpaczliwej sytuacji, Jenna mogłaby rozkoszować się tą nocą i spokojem, ale teraz stała, obejmując się ramionami, i wyglądała na zamarznąty świat. Po chwili Jeb stanął za nią. Oboje milczeli. Rozkoszowała się jego bliskością, wdychała jego zapach i marzyła o tym, żeby ją objął. Ale tego nie robił. Stał tam tylko i też patrzył w noc.

– Nie możesz spać? – zapytał cicho.

– Jestem jeszcze zbyt podekscytowana. – „Obejmij mnie” – prosiła w myślach.

– Ze mną jest tak samo. Myślisz o tym, co było wcześniej?

– Tak – skłamała. „Nie, Jeb. Myślę o tobie, o nas”.

Zauważyła, że Jeb się waha.

– Czy jest ktoś, kto na ciebie czeka? – zapytał.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Co miał na myśli? Czyżby chodziło o... A może czuł coś, czego sam nie podejrzewał?

Tych kilka obrazów, które od czasu do czasu pojawiały się w jej głowie, nie dawały odpowiedzi na wszystkie pytania, które ją dręczyły. Cokolwiek to było, zdarzyło się w innym życiu. Teraz była tutaj, pośród samotnej nocy, obok chłopaka, w którym podczas tej długiej wędrówki się zakochała.

– Nie, nikt na mnie nie czeka. A na ciebie? – zapytała ostrożnie, bojąc się odpowiedzi. – Jest ktoś, kogo sobie przypominasz?

– Przypominam sobie... nic wspaniałego, rozumiesz? Po prostu sobie nie przypominam, czy kogoś miałem. – Delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

Nareszcie. Odchyliła się do tyłu na tyle, że plecami prawie dotykała jego piersi.

– Widzisz gwiazdę na niebie? – zapytał Jeb.

Chciała skinąć głową, ale potem pomyślała, że w ciemnościach mógłby tego nie zobaczyć.

– Tak, migocze tam na górze jak obietnica. Bramy powinny być już

niedaleko.

Jeb nic nie powiedział.

Jenna odwróciła się. Szukała jakiegoś znaku w jego brązowych oczach. Mała blizna w kącie jego ust coś jej przypominała, ale wciąż to umykało. Potem stanęła na palcach i przyciągnęła do siebie jego głowę. Ich wargi się spotkały i Jenna straciła poczucie czasu. To było jak powrót do domu, nieskończenie znajome, i pierwszy raz, odkąd się tu obudziła, czuła się bezpieczna i pewna.

Całą wieczność później ostrożnie się od siebie oderwali. Jeb stał spokojnie, odchylił głowę i zamknął oczy.

– O czym myślisz? – zapytała Jenna.

– O Tianie. Że leży na dnie wężozu, w takim strasznym świecie.

„Czy nie mogę rozkoszować się nawet tak krótką chwilą szczęścia, nie myśląc o śmierci?” – zasmuciła się.

– Uważasz, że zobaczymy znów Mary i Leóna? – zapytała.

– Jestem pewny, że tak. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że istnieje coś, co mogłoby go zabić. – Odgarnął jej włosy z twarzy i w tej chwili olśniła go myśl, że wciąż nie pozwala sobie dopuścić głębokich uczuć do niej.

Od czasu tego pocałunku jeszcze nie spojrzał jej w oczy.

– Tak, jeśli komuś się uda, to Leónowi. – Jenna próbowała dodać sobie otuchy. – Myślisz jeszcze o Kathy?

Czuła jego wahanie. Zastanawiał się, czy może powiedzieć jej prawdę.

– Cały czas. Nie wychodzi mi z głowy. Współczuję jej, nawet jeśli na to nie zasłużyła.

– Kathy jest zagubioną duszą.

– Owszem, jest. Coś się z nią stało. Zmieniła się. Myślę, że niebezpieczeństwo, upał i wysiłek doprowadziły ją do obłądu. Może to reakcja obronna przed tym nonsensem, który nas otacza.

Jenna wciąż czekała na jakiś znak, ale ta chwila uleciała. Wiedziała, że teraz się to nie zdarzy. Może nigdy się nie zdarzy. Z rozczarowania łzy napłynęły jej do oczu. Odsunęła się od Jeba. Mimo że było ciemno, nie chciała przy nim płakać, żeby nie musieć wyjaśniać, co się z nią dzieje.

– Co się stało? – zapytał i spojrzał na nią z boku.

– Nic – skłamała. – Jestem tylko zmęczona. Położę się.

– Dobrze – powiedział cicho. – Dobrej nocy.

Poszła na swoje miejsce i wsunęła się do śpiwora. Wyszepiała:

– Jeb, tobie też życzę dobrej nocy.

Wiedziała, że długo nie zaśnie.

Misza się obudził. Potrzebował chwili, żeby się zorientować w sytuacji, ale zaraz znów wiedział, gdzie jest. Nie ruszając się, popatrzył na pomieszczenie. Zobaczył sylwetki Jeba i Jenny, stojących przy oknie. Potem cień Jenny zniknął w ciemnościach pokoju.

Jego myśli powędrowały do Leóna.

„Gdzie jesteś? Żyjesz jeszcze? Dlaczego ryzykujesz własne życie, żeby ratować Mary?”

W jego umyśle pojawiły się obrazy. Oszołomiły go. Widział Mary i Leóna. Byli nadzy. Obejmowali się. Całowali.

Te obrazy sprawiły mu ból. Misza czuł, że łzy palą go pod powiekami. Powstrzymał je z trudem.

„Co się ze mną dzieje?”

Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć z rozpacz. Teraz łzy bez oporu płynęły mu po twarzy.

„Przez cały czas byłem dzielny, a teraz tak po prostu płaczę?

Dlaczego czuję się taki samotny i zagubiony?

Jenna i Jeb. Coś do siebie czują, nawet jeśli jeszcze nie chcą tego przyznać. A León? Ten samotny wilk ryzykuje życie, żeby ratować Mary. Czy to nie wykracza daleko poza przyjaźń?

To ja zostanę. Sam”.

W jego wyobraźni pojawił się uśmiech Leóna, który tak rzadko można było zobaczyć. I ból w piersi Miszy się nasilił.

„Może nie znajdzie Mary.

Może...

León”.

León gwałtownie otworzył drzwi. Również on usłyszał to dzikie ujadanie. Było jasne, że ich odkryli. Zabawa w ukrywanie się już nie miała sensu, teraz trzeba było działać szybko.

Ledwie otworzył drzwi, wpadła na niego Mary, za nią Kathy, która zatrasnęła drzwi i się na nich oparła. Miała szeroko otwarte oczy. Światło pochodni w jej ręku drżało nad wykrzywioną ze strachu twarzą, rzucało cienie na ściany i sprawiało, że wszystko było jeszcze bardziej niesamowite.

León chciał natychmiast uciekać, ale Kathy chwyciła go za rękaw kurtki.

– Jeśli teraz wybiegniesz z Mary, znajdą cię wcześniej czy później. Mary nie ma dość sił. Nie wytrzyma długo twojego tempa.

Wiedział, że Kathy ma rację. Patrzył na nią pytająco, ona zaś mówiła dalej:

– Wejdźcie schodami na górę, najwyżej, jak możecie, i ukryjcie się. Nikt mnie nie widział. Kiedy odkryją, że Mary zniknęła, pomyślą, że się uwolniła. Pobiegnę do wyjścia i zostawię wyraźne ślady. Pójdą za mną. A teraz idźcie! Powodzenia!

Z pomieszczenia za drzwiami dobiegały nawoływania i dziko wyrzaskiwane rozkazy. Przeklęty kundel ujadał jak wściekły. Nie było czasu na pożegnania. Mary, León i Kathy pędzili po schodach na górę w kierunku wyjścia. Kathy pognęła naprzód. Dzięki jej pochodni mogli poruszać się szybciej.

Właśnie zostawili za sobą jedno piętro, gdy León usłyszał, że na dole gwałtownie otworzyły się drzwi i uderzyły o ścianę. Stłumione krzyki dotarły na górę. Mary biegła przed nim. Słyszał jej dyszenie. Z przodu Kathy już dobiegła do wyjścia. Szarpnęła drzwi i do środka wdarł się zimny wiatr. Przestało padać i ten lodowy świat zagubionego wielkiego miasta migotał w świetle księżyca.

León zauważył, że Mary chciała coś powiedzieć, ale Kathy odwróciła się i pognęła w noc. Kątem oka widział jeszcze jej ślady na śniegu, gdy chwycił Mary za rękę i ciągnął ze sobą. Światło pochodni Kathy, które jak wędrująca gwiazda podskakiwało w górę i w dół, było kolejnym wyraźnym śladem. To mogło się udać, ale nie wolno tracić ani sekundy. Jak najciszej skradali się po metalowych schodach na górę. Bez pochodni Kathy otaczała ich całkowita ciemność. Hałasy w dole przybierały na sile. Krzyki. Wszędzie krzyki, odbite od ścian i po tysiącokroć tym wzmocnione. Brzmiało to tak, jakby deptała im

po piętach cała armia ze sforą krwiożerczych myśliwskich psów. León dał Mary znak, żeby stanęła. Mieli za sobą trzy platformy pomiędzy ciągami schodów, to musiało wystarczyć. Schody prowadziły tylko na kolejne piętra i prawdopodobnie na dach. Ślepa uliczka.

Na górę dotarło słabe światło. León słyszał skrzypienie drzwi. Tupot ciężkich butów.

Potem nagle nastąpiła cisza. Ani jednego szelestu. Nawet oddechu Mary nie było słychać.

León chwycił jej dłoń. Poczłł mięką skórę jej palców, ciepło, którym emanowała. Jeszcze nigdy nie był z innym człowiekiem tak blisko. To go speszyło.

Czekali.

W którymś momencie León powiedział cicho:

– Chodź.

I wymknęli się w noc.

Kathy biegła jak jeszcze nigdy w życiu. Śnieg skrzypiał jej pod butami, budynki przelatowały obok niej jak cienie. Najpierw biegła główną ulicą, żeby ci, którzy ją ścigali, łatwiej mogli ją znaleźć, potem skręciła w ciemną uliczkę. Tam wbiła płonąca pochodnię w śnieg; zgasła z cichym sykiem.

Kathy pędziła wąską uliczką w dół. Wystarczało jej blade światło księżycy, żeby się orientować w terenie. Na następnym rogu stanęła i spojrzała za siebie. Jej oddech wydobywał się nierówno w małych białych obłoczkach. Jeszcze nie było widać ani słychać pogoni, ale nie była pewna, że jest sama, bo ci mężczyźni mogli znać skrót, o których ona nie miała pojęcia.

Rozejrzała się. Zobaczyła kilka budynków, do których można by uciec, ale stały pojedynczo, nie były ze sobą połączone. Gdyby weszła do środka, nie miałyby drogi wyjścia. Byłaby w pułapce. Z drugiej strony nie mogła dłużej zostać na ulicy. Być może uciekłyby tym mężczyznom, ale nie psu, który zapewne już dawno podjął trop.

Kathy wsłuchiwała się w noc. Żadnego szczekania, ale to przecież nic nie znaczyło. Jeszcze raz wzięła głęboki wdech. Gryzący chłód palił ją w płuca jak ogień, ale starała się o tym nie myśleć. Biegła dalej. Wciąż miała przed oczami upadek Tiana do wąwozu. Chwilę jego śmierci. Którą sama wybrała.

„Nigdy nie zrobiłam niczego dla innych – myślała. – Zawsze byłam dla siebie najważniejsza. I dokąd mnie to zaprowadziło? Do lodowatego, obsranego świata. Ale może to jest sprawiedliwa kara? Zmarnowałam całe swoje życie. Nie tylko tu, już znacznie wcześniej. A ci, którzy mnie teraz ścigają, wszystko to pomszczą”.

Dobiegła do dużego skrzyżowania. Tu pokrywa śniegu była cieńsza, miejscami w ogóle rozniesiona przez wiatr. Ziemia pod jej stopami była bardzo śliska. Kathy już kilka razy straciła równowagę, ale za każdym razem udawało jej się znów ją odzyskać. Teraz potknęła się o zagrzebaną w ziemi metalową szynę i skręciła prawą stopę. Przez chwilę leciała w powietrzu prawie poziomo, potem z impetem upadła na twarde podłoże. To wycisnęło jej z płuc powietrze. Przed oczami tańczyły czarne plamy, które na chwilę zakryły wszystko.

Kathy na szczęście była jeszcze przytomna, ale wszystko ją bolało, zwłaszcza prawa dłoń, którą próbowała się podeprzeć. Miała uczucie, że jej plecy rozpadły się na dwie części. Ból zapierał jej dech. Gdy próbowała się wyprostować, aż zawyła.

„Musisz wstać! Stawaj na nogi! Biegnij dalej! W przeciwnym razie cię dopadną” – powtarzała sobie.

Przetoczyła się na lewy bok i znów spróbowała wstać. Ugryzła się przy tym w policzek, tak że aż krwawił. Odbiła się lewym ramieniem od ziemi, podciągnęła nogi; w końcu była na kolanach i obmacywała własne kończyny. Nic nie było złamane. Również prawa ręka była chyba tylko stłuczona. Ból pulsował w połowie jej ciała. Oparła się na lewej ręce i powoli się wyprostowała. Gdy w końcu stała tam skurczona, wstrzymywany oddech uszedł z niej ze świstem.

Kathy już nawykowo sięgnęła do noża przy pasku spodni. Nóż zniknął! Widocznie wypadł jej przy upadku.

Cholera, bez noża była bezbronna. Gorączkowo szukała na ziemi, ale w bladym świetle rozpoznawalne były tylko cienie.

„Muszę iść dalej. Nie ma czasu na szukanie noża. Ale przecież go potrzebuję, jak inaczej mam się bronić?”

Nagle ujadanie psa rozdarło przejrzyste powietrze. Słysząc je było bardzo blisko. Ta bestia w każdej chwili mogła wybiec zza rogu.

Tak, potrzebowała noża. I to natychmiast.

Jej wzrok zatrzymał się na czymś błyszczącym w śniegu.

Podeszła bliżej.

Wtedy nadbiegł cień.

León wyraźnie widział ślady Kathy na śniegu. Odcisk jej nowych butów odróżniał się od gładkich podeszew tych, którzy ją gonili. Kathy biegła prosto, wzdłuż głównej ulicy, a pogoń za nią. Na śniegu widać było też ślady łap. Kathy nie miała żadnej szansy. Tych prześladowców nie da się zmylić ani zgubić.

„Powodzenia” – pomyślał i spojrział w niebo.

Gwiazda świeciła z tego samego kierunku, w którym pobiegła Kathy, ale było zbyt niebezpiecznie podążać prosto za nią. Ci, którzy ją gonili, mogli w każdej chwili zawrócić, a wtedy oni wpadliby im prosto w łapy. Pociągnął Mary za sobą w boczną uliczkę, która po dwustu metrach wychodziła na ulicę równoległą do głównej arterii. Tam skręcił pod kątem prostym.

Obok niego niemo brnęła przez śnieg Mary. Nie powiedziała jeszcze ani słowa, jak zawsze poddawała się wszystkiemu w milczeniu. Z pewnością, podobnie jak on, myślami była przy Kathy, która biegła teraz, walcząc o życie, żeby ją ratować. León nie znosił tej rudej, ale był jej wdzięczny, nawet jeśli nie rozumiał, dlaczego to wszystko zrobiła dla Mary i dla niego.

„To bardzo dziwne. Najpierw próbuje zabić Mary, a teraz ryzykuje dla niej życie” – pomyślał.

Dla niego liczyło się jedynie to, że Mary była wolna i szła z nim w kierunku bram. Trzymał ją za rękę. To było dla niego nowe uczucie, ale zarazem miał wrażenie, że jej dłoń zawsze tam była.

León nie zastanawiał się dłużej, dlaczego dotyk Mary tak na niego działa. Miał przed oczami następny cel. Noc była jasna i śnieg skrzypiał pod ich butami, a on był nieludzko zmęczony. Jednak mógłby tak iść wiecznie. W końcu poczuł w sobie jakiś spokój. To było zupełnie nieznanne uczucie. Wiedział, że jest zwodnicze, bo obojgu wciąż groziło niebezpieczeństwo, ale ta chwila wydawała się najważniejsza. Mary nagle zabrała dłoń. Była zła.

– Dlaczego Kathy to zrobiła?

Staął, spojrział na nią, ale jej twarz pozostała w cieniu.

– Nie wiem. Czy to ważne? Po prostu to zrobiła, nie ma co o tym mówić.

– Dla mnie to ważne. Nie chcę jej być nic winna.

León w duchu zagotował się z wściekłości. Dlaczego ten jeden jedyny raz nie mogło być łatwo?

– Kathy poświęciła życie za ciebie.

– Ja jej o to nie prosiłam.

– To wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia?

Podniosła głowę, ale nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

– Nawet dwadzieścia cztery godziny nie minęły od czasu, gdy próbowała mnie zabić. Zabiła Tiana. Mam o tym wszystkim zapomnieć?

– Nie, ale uszanować to, co zrobiła.

– Przychodzi mi to z trudem. – Położyła dłoń na jego ramieniu i spojrzała mu w oczy. – Dziękuję ci za to, że przyszedłeś, by mnie ratować. Dlaczego wciąż to robisz?

León nie wiedział, co odpowiedzieć. Zakłopotany unikał jej wzroku.

„Jak mam wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiem?” – pomyślał.

– Powiedziałaś coś złego? Nie martw się, nie pocałuję cię z czystej wdzięczności. To nie pasuje do nas obojga, ale dziękuję ci. Z całego serca.

Te słowa wbiły się w jego duszę jak nóż. Nie wiedział, skąd pochodzi ból, i nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego tak rozczarowały go słowa Mary. Dlaczego ją ratował. Tak, dlaczego?

Natychmiast stało się dla niego jasne, że musiał to zrobić. Nie pytał, dlaczego. Wmówił sobie, że Mary pokłada w nim nadzieję i że on nie może tej nadziei zawieść. Ale teraz czuł, że się pomylił. Mary nigdy nie potraktuje go jak równego sobie i prawdopodobnie wciąż jeszcze czuje do niego najwyżej odrazę. Pokazała mu to na równinie wystarczająco otwarcie i dała odczuć swoją pogardę. Jak mógł być taki głupi, żeby wierzyć, że coś się może zmienić?

„Jesteś idiotą – łajał się w myśli. – Zawsze byłeś sam i tak też zostanie. Spójrz na te wszystkie tatuaże, kto mógłby się zakochać w kimś takim jak ty? Szacunek, tak, na to możesz sobie zasłużyć. Strach dostaniesz od razu za darmo, ale nie jesteś Jebem, Miszą, nawet nie Tianem. Wszyscy zawsze będą cię traktować z dystansem, bo jesteś inny. Dzikie zwierzę w ludzkiej skórze. Ktoś, kogo się potrzebuje zawsze, gdy chodzi o walkę, ale gdy chodzi o wszystko inne, to nie”.

– Co z tobą? – zapytała Mary.

León wziął się w garść. Ona nie może po nim poznać, że jest rozczarowany.

– Nic. To nic.

– Nagle wydajesz się... jakiś zagniewany.

– Nic takiego. – Machnął ręką i próbował rozluźnić napięte mięśnie zuchwy. – Chodź, powinniśmy się pospieszyć.

– Powiedziałaś coś nie tak?

„Nie, tylko prawdę. Ale teraz znów wszystko między nami jest jasne”.

W milczeniu stawiał krok za krokiem, nic więcej się nie liczyło. Śnieg pod jego butami skrzył się w świetle księżyca, ale świat wydawał mu się bardziej ponury niż przed chwilą.

Kathy rzuciła się na ziemię. Pies przeskoczył nad nią. Jego niskie warczenie rozbrzmiewało tuż przy jej uchu; piekielnie śmierdział. Dwa metry dalej wylądował na bruku, ale pośliznął się, zaskomlał, dziko zamachał łapami i znów złapał równowagę.

Potem stanął przed nią z podciągniętymi faflami, pokazując żółte, potężne kły. Lekko pochylił olbrzymi łeb, gotowy w każdej chwili się na nią rzucić. Czekał tylko, aż się poruszy, ale Kathy się nie ruszała; wpatrywała się w nóż, który błyszczał przed nią na śniegu. Powoli wysunęła dłoń. Pies natychmiast zareagował i znów wyszczerzył zęby. Pewnie zaatakuje ją przy następnym ruchu.

„Wszystko albo nic” – postanowiła.

Dała szczupaka do przodu. Pies skoczył na nią dużym susem. Chwyciła nóż. Przetoczyła się na plecy i pchnęła do góry. W następnej chwili poczuła na sobie ciężar psa.

Skamlał żałośnie, ale nie był jeszcze martwy. Jego pysk z gigantycznymi zębami otwierał się tuż przed jej twarzą, spływała na nią ślina. Kathy z obrzydzeniem odwróciła głowę na bok. Pies ziajał jak szalony, a potem, skamlać, z podkulonym ogonem poderwał się do przodu, przy czym tylko jeszcze głębiej wbił sobie nóż. Jego żółte zęby kłapnęły kilka milimetrów przed twarzą Kathy.

Obróciła nóż w ranie. Pies odrzucił głowę i zawył ostatni raz. Potem mocne szczęki zamknęły się na zawsze. Pies opadł na nią. Nie żył.

Kathy zsunęła z siebie śmierdzące cielsko i powoli wstała. Była poplamiona ciepłą krwią psa. Dysząc z przerażenia, pochyliła się i zwymiotowała w śnieg.

Wtedy zabrzmiał okrzyk triumfu. Poderwała głowę do góry. Jej spojrzenie pofrunęło przez plac ku ulicy, z której dobiegł okrzyk. Kontury pierwszej postaci wyłoniły się z cienia. Potem kolejnej. Było ich coraz więcej.

Rzuciła się do ucieczki.

To niesamowite, przepełnione bólem wycie zwierzęcia w kilka chwil zagubiło się w wąwozach ulic. Mary zatrzymała się. Zupełnie zeszywniała. Zaczęła drzeć.

– Też to słyszałeś? – zapytała Leóna.

– Tak, coś było jak dziki zwierz.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, to ten pies. Jego pies, rozumiesz? Tego mężczyzny... Myślę, że znaleźli Kathy.

– Sądząc po tym, co słyszeliśmy, to Kathy zabiła psa, a nie odwrotnie.

Skinęła głową. Myśl, że Kathy stała naprzeciw tego potwora na czterech łapach, zmroziła ją.

„Kathy na pewno jest ranna, jeśli w ogóle jeszcze żyje”.

Mary dziwiła się, jak bardzo oziębiała w tym brutalnym świecie. Nie odczuwała ani żalu, ani współczucia dla Kathy. Nie, co najwyżej jakiś niejasny żal, że życie Kathy kończy się w tak okrutny sposób. A jeśli nie umarła? Ta czarownica jest w stanie przetrwać wszystko.

– Nienawidzisz jej – spokojnie stwierdził León, stojący obok. – Nawet teraz, kiedy walczy o twoje życie, ty jej nienawidzisz.

Mary powoli pokiwała głową.

– To nienawiść, jeśli się na myśl o czyjejś śmierci nic nie czuje? Nie, chyba jej nie nienawidzę. Jest mi po prostu obojętna. Mam tylko nadzieję, że wszystko, co w niej złe, zabierze ze sobą. A co ciebie to obchodzi?

„Dlaczego jestem dla niego taka podła? – zastanawiała się. – Ryzykował życie, żeby mnie ratować”.

Coś ją w nim drażniło. Nawet tu i teraz. Chodziło o to, jak ją traktował na równinie. Jak kawałek mięsa. Jak zwierzę. Pędził ją bezlitośnie, wymyślał i obrażał.

„Bez niego nigdy nie dałabyś rady. W którymś momencie padłabyś na ziemię, porozczulałabyś się nad sobą i umarła” – pomyślała.

Mimo to León budził w niej uczucia, których nie lubiła. W pobliżu niego była ciągle wściekła. Po prostu nie umiała inaczej. Te uczucia w niej kipiały, nie była wtedy sobą. I chociaż o swoim poprzednim życiu wiedziała tyle co nic, nie mogła sobie przypomnieć, jakim była człowiekiem i jakie prowadziła życie, to nie chciała taka być. Te uczucia, które wywoływał w niej León, były tak silne, że aż nienawidziła siebie za tę słabość.

„Najchętniej dałabym mu po głębie!”.

Cicho się roześmiała. To byłoby dopiero coś, wymierzyć policzek chłopakowi, który ryzykował dla mnie życie.

„Wszystko jest lepsze, niż być przykutą tam, na dole, w jaskini do ściany i czekać na to, co ten gnój ze mną zrobi. Powinnam być trochę bardziej wdzięczna”.

Spojrzała na Leóna, który z zaciętą miną szedł w noc. Wiedziała, że właściwy moment na wdzięczność minął.

Pomijając te paskudne tatuaże, León wygląda całkiem miło. Jak niegroźny nastolatek? Można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to. Równie dobrze można by nazwać niegroźnym grzechotnika.

– Uwierz mi: Kathy nie umarła – powiedział zupełnie niespodziewanie.

Oczy mu błyszczały w świetle księżyca. Mary przemknęła myśl: co by było, gdyby Kathy dotarła do bram przed nimi? Jeb i pozostali uniemożliwiliby jej przejście przez jedną z bram, ale jeśli wyprzedziłaby grupę, Kathy mogłaby po prostu przez nią przemaszerować, a jedno z nich musiałoby zostać.

– Kathy nie umarła – powtórzył León.

Mary przyspieszyła kroku.

Kathy nie umarła. Biegła jak szalona, żeby ratować życie. Gdy pokonała duży plac, ślizgiem skręciła za róg ulicy i wbiegła w wąską uliczkę pomiędzy dwoma domami wysokimi do nieba. Udało jej się znów trochę odsadzić tych mężczyzn, ale mięśnie drżały jej z wysiłku. Dopiero teraz pojęła, jak niewiele brakowało podczas jej walki z psem. Szybko wyparła te myśli, by nie dopuścić żadnej słabości. Oddech miała świszczący. Płuca kłuły z zimna. Mimo to biegła dalej.

W uliczce było dość ciemno i kilka razy omal się nie potknęła. Za nią rozbrzmiewały ciche nawoływania. Obejrzała się przez ramię. Światło latarni przemieszczało się, drżąc w mroku, i tańczyło na śniegu. Pogoń była niedaleko. Kathy zauważyła, że z obawy przed kolejnym upadkiem straciła sporo przewagi, ale brakowało jej sił, żeby jeszcze raz przyspieszyć.

Czy to już koniec?

Uśmiechnęła się gorzko.

„Jeszcze nie. Biegnij dalej! Nie pozostaje ci nic innego, chyba że chcesz się poddać? Chyba nie”.

Nie, będzie biec, dopóki nie padnie. Przed nią było jeszcze ciemniej, a wąwóz uliczki się zwężał. Światło księżyca nie docierało do ziemi. Kathy dostrzegła, dlaczego tak jest. Ta wąska uliczka była ślepa. Na końcu wznosiła się ciemna, gładka ściana. Nie było żadnej możliwości wdrapania się na nią.

Stała przed ścianą i spojrzała w niebo. Tam, w górze, była nieskończoność...

...a tu na dole czaiła się śmierć.

Opuściła głowę na pierś. Niewiele brakowało, żeby się jej udało.

Kathy słyszała skrzypienie śniegu, widziała drżące światło pochodni i wiedziała, że będzie walczyć. Jej oczy gorączkowo obszukiwały ścianę najbliższego budynku. Zauważyła jakiś cień. Ciemną płaszczyznę w murze jednego z domów. Może to jakieś drzwi.

Podbiegła tam. Rzeczywiście.

„Błagam, niech te drzwi będą otwarte”.

Wyciągnęła rękę, chwyciła lodowatą klamkę i spróbowała ją nacisnąć.

Mężczyźni podeszli bliżej. Jeszcze jakieś trzydzieści metrów i będą przy niej. Ich pożądlive dłonie sięgną po nią, pochwycą ją i zawloką do ponurego świata.

„Nie! Nigdy!”.

Klamka trochę się poruszyła. To nie było więcej niż kiwnięcie, ale dało Kathy nadzieję, więc zdwoiła wysiłki. Metal zatrzeszczał. Ten dźwięk był jak krzyk nocą.

Głosy tych, którzy ją ścigali, teraz się ożywiły. Usłyszeli ją.

„Proszę!!!”.

Całym ciężarem rzuciła się na klamkę i jakoś zdołała przycisnąć dźwignię do dołu. Uchyliła drzwi. Wśliznęła się przez szczelinę i zamknęła drzwi za sobą. Tu w środku było tak ciemno, jakby światło nigdy nie istniało.

„Nie trać czasu!”.

Kathy gorączkowo obmacywała drzwi od wewnątrz, szukała zamka, rygła, klucza, czegokolwiek, czym można by zamknąć te przeklęte drzwi, ale niczego takiego nie było. Głęboko westchnęła. Była bliska rozpacz, ale teraz nie miała na to czasu. Musiała iść dalej. Zrobiła parę ostrożnych kroków i wpadła na kilka stopni prowadzących na górę. Gdzieś znajdzie jakieś wyjście. Może znów uda jej się zgubić pogoń. Tylko musiała biec dalej.

Z wyciągniętymi ramionami szukała poręczy przy schodach. Prawą stopą boleśnie uderzyła w pierwszy stopień i aż jęknęła.

Z zewnątrz docierały do niej nawoływania mężczyzn. Najwyraźniej jeszcze nie zauważyli drzwi. Kathy zrobiła pierwszy krok. Potem następny. I kolejny. Przebijała się na górę stopień po stopniu. To była już tylko kwestia sekund, zanim mężczyźni będą za nią.

Na pierwszej platformie zrobiła krok w pustkę, potknęła się, poleciała do przodu i uderzyła głową o zimną betonową ścianę. Krótka fala bólu przebiegła

przez jej czaszkę, ale zaraz wyparła go adrenalina. Kathy czuła, jak coś ciepłego płynie po lewej połowie jej twarzy, i podejrzewała, że to krew, ale to nie było teraz ważne.

Ważne były tylko schody. Wyjście.

Wstała i zrobiła kolejny krok w ciemność.

– Zatrzymaj się! – syknął León.

Miał jakieś niejasne uczucie, że nie są sami. Ktoś ich obserwował, ale gdy León się odwrócił, niczego nie dostrzegł. W świetle księżycy ulica za nimi wyglądała na samotną i opuszczoną. Nikogo nie było widać, a mimo to...

Obok niego Mary wstrzymała oddech, a potem z westchnieniem wypuściła powietrze.

– Co się dzieje? – zapytała ochryple.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nic – odpowiedział.

– Człowieku, na śmierć mnie przestraszyłeś.

León wciąż jeszcze patrzył na ulicę. Jego spojrzenie wwiercało się w ciemność.

Tam! Czy przy jednej ze ścian domów coś się poruszyło? Wpatrywał się z takim wysiłkiem, że oczy zaczęły mu łzawić, ale tam niczego nie było....

Czyżby się pomylił? Czy zmysły splatały mu figła? Nie, w to nie wierzył.

„Mogę polegać na swoim instynkcie. Ktoś tam na zewnątrz czai się w cieniu i nas śledzi” – pomyślał.

– Mary – powiedział cicho. – Myślę, że ktoś jest za nami.

Szeroko otworzyła oczy.

– Jesteś pewny? Widziałeś coś?

– Nie wiem, ale przeczucia rzadko mnie mylą. – Spojrzał na nią przenikliwie, próbując ocenić rezerwy jej sił.

– Musimy biec, ale po cichu. Robić zygzaki, ciągle skręcać.

– Nie możemy się ukryć?

Pokręcił głową.

– Nie, to zbyt niebezpieczne. Bez światła nie będziemy nic widzieć w budynkach. Nie mam ochoty siedzieć jak zwierzę w pułapce i czekać na koniec. Wolę spróbować szczęścia tu na zewnątrz, pod gołym niebem.

Mary skinęła głową.

– Dobra, a ślady naszych stóp? Wyraźnie widać je w śniegu.

– To nie odgrywa teraz żadnej roli. Musimy być po prostu szybsi od tych, którzy nas gonią. Jesteś gotowa?

– Tak – szepnęła ledwie słyszalnie.

Potem pobiegli.

Kathy wspięła się na trzecie piętro, gdy na dole drzwi z trzaskiem się otworzyły. Światło pochodni poruszało się w górę i trochę rozjaśniało otoczenie. Kathy rozpoznała przed sobą w ścianie drzwi, były jednak zamknięte.

Dalej, zatem. Dalej do góry.

W końcu dzięki odrobinie światła mogła poruszać się trochę szybciej, lecz mężczyźni, którzy biegli po schodach na górę w świetle pochodni, byli jeszcze szybsi. Kathy natykała się na kolejne drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Nie mogła wejść głębiej do budynku i ukryć się.

Ciężkie stąpanie butów po betonie odbijało się echem od ścian, brzmiało jak grzmot, który zapowiada burzę. Kathy ogarnął strach zimny jak lód, pełził w górę po jej karku, sprawiał, że marzła, chociaż po jej twarzy strumieniami spływał pot.

Dalej!

Dalej!

Na górę!

Próbowała przyspieszyć, ale jej drżące nogi na to nie pozwalały. Czuła, że jeszcze trochę i się załamie, ale wreszcie stanęła na górze. Na końcu schodów.

Przed nią były proste drewniane drzwi. Ostatnia możliwość ucieczki.

„Proszę, niech będą otwarte. Proszę! Proszę! Proszę!” – błagała.

Sięgnęła dłonią do klamki, nacisnęła.

Drzwi otworzyły się na zewnątrz.

Wyskoczyła przez nie, odwróciła się błyskawicznie i poszukała rygla, żeby je zamknąć. Znalazła go i odetchnęła z ulgą.

Uratowana!

Z drugiej strony ktoś ciężkim ciałem rzucał się na drzwi. Drewno za jej plecami trzeszczało.

Mary była wciąż dwa kroki za Leónem, który prawie bezszelestnie pędził przez noc. Trzymał się blisko ścian budynków i pozornie bez trudu omijał wszystkie przeszkody, a ona, w przeciwieństwie do niego, już dwa razy omal nie upadła. Za każdym razem León zatrzymywał się i wracał do niej. Pomagał bez słowa i biegli dalej.

Wciąż jeszcze nie wiedzieli, czy ktoś ich goni. Kiedy zatrzymali się na chwilę i odetchnęli, spojrzeli do tyłu, ale nikogo nie zobaczyli.

„Może tam w ogóle nikogo nie ma – pomyślała Mary. – Może León się myli. Do diabła, zupełnie brak mi tchu, ja...”

Ale on już znów biegł. Dziesięć metrów dalej musieli przebiec przez szeroką ulicę. Blade światło księżyca padało na nich z góry i Mary wiedziała,

że jeśli ktoś jest za nimi, to będzie wyraźnie ich widział. León również zawahał się chwilę, ale potem pognał przez ulicę w tempie zapierającym dech w piersi. Mary ciągle się potykała, nogi nagle się pod nią ugięły, gdy pośliznęła jej się jedna stopa. Skąd León miał taką wytrzymałość?

W uszach Mary szumiała krew, gdy w końcu, dysząc, przywarła obok Leóna do ściany pełnej starych plakatów łopoczących na wietrze. Obrazy na nich zbladły, w słabym blasku księżycy nie dało się rozróżnić kolorów. Wszystko było szarością tonącą w szarości.

León mało delikatnie chwycił ją za ramię i pociągnął jeszcze głębiej w cień. Mary chciała zaprotestować, ale poczuła palec Leóna na ustach. Drugą ręką wskazał szeroką ulicę.

Byli tam!

Z ciemności wyłoniły się jakieś postacie, oderwały się od cienia domów i stanęły na brzegu ulicy. Ci ludzie szukali ich śladów na śniegu. Jeden z nich podniósł głowę, spojrzał wprost w ich stronę. Chociaż Mary była pewna, że nie mógł ich dostrzec, serce jej się ścisnęło.

León pochylił się do niej i szepnął jej cicho do ucha:

– Mary, musisz teraz biec jak w wyścigu o życie.

Chciała krzyknąć, że przez cały czas biegnie jak w wyścigu o życie. Cały czas biegła na granicy swoich możliwości i wiedziała, że tylko niepotrzebnie go spowalnia. Zastanawiała się, czy nie powinien biec dalej bez niej. Bez niej miałby szansę. Ale strach przed tym, co ją czeka, jeśli ci mężczyźni ją schwytają i zawloką z powrotem, był zbyt silny.

„Nie, muszę biec dalej. Muszę sobie poradzić. Raczej będę biegła, aż padnę, niż dobrowolnie się poddam” – postanowiła.

Na jego komendę oboje szybko ruszyli.

Tępe dudnienie, z którym mężczyźni po drugiej stronie rzucali się na drzwi, doprowadzało Kathy niemal do obłędu. Każde uderzenie wstrząsało drzwiami i całym jej ciałem.

Znajdowała się na dachu budynku. Tu na górze wiał lodowaty wiatr, zamrażał pot na jej mokrym czole, czubka nosa w ogóle nie czuła. W mdłym świetle księżycy Kathy zobaczyła nietkniętą pokrywę śniegu i dziwnie okrągłe metalowe misy, skierowane ku niebu. Tam na górze migotała tylko jedna gwiazda. Jej gwiazda. Pierwsze szare welony mgły zdobywały firmament, ale świt jeszcze nie nadszedł.

Może zobaczę jeszcze raz nadejście nowego dnia...

Kathy wiedziała, że już nie opuści tego dachu. Nie można było stąd uciec, nie miała więc żadnego wyjścia. Nie było schodów, które prowadziłyby na

wolność, i było tylko kwestią czasu, aż mężczyźni wyłamią drzwi.

Umrze tu na górze. Walcząc. W żadnym wypadku nie chciała wpaść żywa w ręce tych ludzi. Mogła sobie dokładnie wyobrazić, czym grozili Mary.

„Nie, nikt mi tego nie zrobi” – postanowiła.

Potem nagle zrobiło się cicho.

Mijały sekundy. Zrobiła się z nich minuta.

Czyżby zrezygnowali?

Delikatny cień nadziei wkradł się do jej serca.

Może...

Nagle coś z niewiarygodnym impetem uderzyło ją w plecy, tak że Kathy potoczyła się w śnieg. Drewniane drzwi rozprysnęły się z trzaskiem.

Przez powstałą szczelinę wsunęło się owłosione łapsko i szukało rygła.

Kathy powoli wstała. Cofnęła się. Sięgnęła po nóż. Znalazła to, czego szukała.

Drzwi gwałtownie się otworzyły.

Misza wygrzebał się ze śpiwora i się przeciągnął. Jego spojrzenie padło na Jennę i Jeba, którzy spali obok, nie dotykając się. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ku jego zaskoczeniu na zewnątrz świtało, niewidoczne słońce już rozjaśniło niebo.

Jego ruch obudził Jeba, który od razu wstał.

– Na zewnątrz jest widno – powiedział Misza.

Teraz wstała też Jenna.

– Więc musimy iść dalej. Bramy są już niedaleko – stwierdził Jeb.

Misza podrapał się po głowie.

– Może Mary i León już tam są i przeszli. Ja w każdym razie bym przebiegł, żeby jak najszybciej stąd uciec.

– Być może. Jeśli Leónowi udało się znaleźć Mary, to zdąży do bram najkrótszą drogą. On nie ma zwyczaju robić długich przerw.

– Nie tak jak my! – Jenna przeciągnęła się.

– To ruszajmy – zaproponował Jeb, wpychając swoje rzeczy do plecaka.

Wyszli na zewnątrz i jeszcze raz zlustrowali otoczenie. Przed nimi, ciche i milczące, leżało martwe miasto. Śnieg u ich stóp był nienaruszony, ich ślady z poprzedniego dnia już dawno znikły.

Ranek dał im nadzieję, bo gdy Misza spojrzał w niebo, natychmiast dostrzegł gwiazdę, która migotała nad nimi na firmamencie. Ulica, którą podążali poprzedniego dnia, prowadziła wprost do niej.

Wypoczęci, z nową nadzieją, brnęli przez zmrożony nocą śnieg. Nie było tak strasznie zimno jak wczoraj.

Misza szedł przodem. Jego śladami podążali Jeb i Jenna. Gdy podchodzili coraz bliżej portali, Misza myślami był przy Leónie.

Powoli, niepewnie słońce wschodziło pomiędzy domami. Najpierw tylko blady róż stopniowo podbijał niebo, potem przez pokrywę chmur przebiły się nad domami promienie słońca i przepędziły ciemności.

León biegł pierwszy, Mary tuż za nim.

W odstępach mniej więcej dwudziestu metrów gonił ich pierwszy z mężczyzn. Rozciągniętym szeregiem podążali za nim następni. Wciąż się zbliżali. Mary i León z początku wypracowali sobie pewną przewagę, która jednak teraz wyraźnie topniała. Mary z każdym krokiem biegła coraz wolniej. Po twarzy płynął jej pot. León słyszał jej świszczący oddech. Trochę zwolnił,

biegł obok niej.

– Mary, nie poddawaj się. Może nam się udać.

Nie odpowiedziała.

Miał w głowie gonitwę myśli. Byli blisko bram. Tak blisko. Gdy podnosił wzrok, widział, że gwiazda jest teraz pionowo nad nimi. Do portali nie mogło już być daleko.

„Co mam zrobić? Jak mogę jej pomóc?” – zastanawiał się.

Mary biegła coraz wolniej. León spojrzął za siebie. Pierwszy spośród tych, którzy ich gonili, wyraźnie się zbliżył. León omal się nie potknął, ale szybko odzyskał równowagę. W każdym razie przy obecnym tempie wkrótce ich dogonią. Musi się coś wydarzyć.

León stanął.

Chwycił Mary za rękę i zmusił ją do zatrzymania się. Miała oczy szeroko otwarte, zdziwione. Bez zbędnych słów León pochylił się, objął obydwoma dłońmi twarz Mary, przyciągnął ją do siebie... i pocałował.

Mary najpierw wydawała się nie rozumieć, co się zdarzyło, ale potem wyrwała mu się z niepojętą siłą i wymierzyła siarczysty policzek.

– Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy więcej! – syknęła.

Policzek palił go jak ogień, ale gdy zobaczył wściekłość w oczach Mary, uśmiechnął się i klepnął ją niedelikatnie otwartą dłonią.

– Dalej! – rozkazał krótko, odwrócił się i pobiegł, nie czekając na nią.

W Mary szalał gniew. Gniew na lęk przed ojcem, którego nie potrafiła przestać odczuwać. Gniew na siebie, że zostawiła Davida na pastwę ojca. Gniew na Leóna. Na mężczyzn, którzy ich gonili. Gniew na ten zasrany, zimny świat.

Ciekło jej z nosa, co również tylko pogłębiało jej gniew. Najchętniej wyłaby z wściekłości, ale wzięła się w garść. Nikt nie przyjdzie, żeby wziąć ją w ramiona. Nikt jej nie pocieszy. Nikt nie zatroszczy się o to, żeby znów było wszystko dobrze.

„Nie! To zależy tylko ode mnie” – zrozumiała.

León był już dziesięć metrów przed nią. Nie odwracał się. A potem pojęła.

Ten dupek pocałował mnie tylko po to, żeby mnie rozwścieczyć. Gnojek!

Potknęła się rozżłoszczona.

Kathy cofnęła się do brzegu dachu. Mężczyźni po kolei wchodzili przez popękane drzwi. Było ich ośmiu. Osiem obdartych postaci, tworzących alejkę, przez którą teraz wszedł dziewiąty mężczyzna. Stanął przed nią w odległości dwóch metrów, nie zwracając uwagi na zakrwawiony nóż, który wyciągnęła w jego stronę.

Stał tak i wpatrywał się w nią. Twarz miał wykrzywioną gniewem, szczyrzył zęby.

– Gdzie ona jest?! – warknął.

Kathy uśmiechała się pogardliwie.

– Zniknęła. Zapomnij o niej. Nigdy jej nie zobaczysz.

Splunął w śnieg.

– No, to ty! – powiedział spokojnie i uśmiechnął się władczo.

Kathy zastygła. Chciała jeszcze dalej się cofnąć, ale dotarła właśnie do brzegu dachu. Za nią ziała bezdenna przepaść, czarna próżnia.

Kathy czuła, że nadszedł ten moment. Promienie słońca ślizgały się po dachach domów i wszystko złociście połyskiwało. Jasność zaczarowała ten mroczny i wrogi życiu świat, który nie zasługiwał na takie czary. Kathy czuła na twarzy nieśmiałe ciepło nowego dnia. Całe jej ciało wydawało się promieniować od środka. Była silna. Była gotowa. Już się nie bała.

Spokojnie spojrzała obcemu w oczy.

Upuściła nóż w śnieg. Potem rozpostarła ramiona i powoli odchyliła się.

Kiedy spadała w głębinę, jej myśli były w innym świecie. Widziała siebie, jak leży na desce surfingowej i płynie po turkusowym morzu. Naprzeciw słońcu i pierwszej fali.

León miał ochotę głośno krzyżeć. Juź widział portale, prawie czuł się bezpieczny, ale ostatnie spojrzenie do tyłu ukazało mu inną prawdę. Nie uda im się. Mary potykała się i w każdej chwili mogła upaść.

W takim razie tu się wszystko skończy. Staął i odwrócił się. Mary potknęła się i uderzyła o jego pierś. Przytrzymała się go z cichym westchnieniem. Miała urywany oddech, dyszała.

León wyciągnął zza paska nóż. Patrzył nad Mary na mężczyznę, który zbliżał się do nich jako pierwszy. Nie był wyższy od niego, a teraz mógł nawet rozpoznać rysy jego twarzy: miał dziką, nastroszoną brodę i bladą skórę. León wyłączył rozsądek. Teraz nie było czasu na strach. Ani na jakiegokolwiek plany. Tylko ta chwila, tylko walka się liczyła. Uśmiechnął się dziko. Staął przed Mary, żeby ją chronić. Przeniósł ciężar ciała na kolano, by przyjąć uderzenie przeciwnika.

Mężczyzna, o dziwo, przyspieszył, widząc, że jego zdobycz już nie ucieka, i teraz był na wyciągnięcie ręki.

„Jeśli jest sprytny, poczeka na resztę” – pomyślał León.

Teraz był już tak blisko nich, że León widział, jak jego oczy płoną. Czarne, pożądliwe oczy. Mężczyzna otworzył usta do dzikiego okrzyku.

Nagle powietrze wypełnił syk.

W ich kierunku pędziła strzała, która wbiła się głęboko w ramię napastnika. Impet był tak duży, że odrzuciło go do tyłu na śnieg. Jego krzyk przeszedł w żalony jęk.

León nie rozumiał, co się stało. Odwrócił głowę. Na końcu ulicy stała wysoka postać. Tylko jedna sylwetka na tle jaśniejącego nieba.

Jeb.

León roześmiał się. Jeb nie był sam. Obok stały dwie osoby. Misza i Jenna.

Z sykiem przemknęła druga strzała.

Tępe uderzenie, a potem krzyk.

Następny napastnik niepostrzeżenie zbliżył się do Leóna od tyłu, ale Jeb załatwił także jego.

León pochylił się do Mary. Objął ją i poprowadził w kierunku bram. Potem nagle stanął przed nim Misza. Obaj położyli sobie na barkach ramiona Mary i pospieszyli do pozostałych, podczas gdy Jeb wypuszczał nad ich głowami jedną strzałę po drugiej.

León rzucił spojrzenie do tyłu i zobaczył, że dwaj kolejni napastnicy, ranni, tarzają się w śniegu. Ich pełne bólu krzyki odbijały się echem od domów. Inni się ukryli, nie wazyli się podejść bliżej.

Gdy Misza i León, ciężko dysząc, dotarli do Jeba, pomogła im Jenna, która zastąpiła Leóna.

Jeb patrzył przez linię napiętego łuku w kierunku wrogów. Wszyscy wycofywali się ze swoich pozycji, ale Jeb wciąż nie spuszczał prześladowców z oka.

Kiedy po niekończących się trzystu metrach skręcili za róg, zobaczyli rozległy plac z potężną kamienną kolumną – na jej wierzchołku wznosiła się ku niebu złota figura. Portale znajdujące się u stóp tej kolumny pulsowały swoim nadnaturalnym światłem.

Powoli i ostrożnie podeszli do nich i stanęli tuż przed pierwszą bramą. Jeb wciąż jeszcze trzymał strzałę przy cięciwie i obserwował plac, ale nikogo nie było widać. Napastnicy najwyraźniej zrezygnowali.

Mary oddychała teraz trochę spokojniej. Popatrzyła na Jenę i uśmiechnęła się wyczerpana.

– Wygląda na to, że jednak nam się udało – powiedziała cicho.

Jenna bez słowa uścisnęła jej dłoń i uśmiechnęła się.

Nikt nie powiedział tego głośno, ale kiedy ustawili się przed bramami, wszyscy pomyśleli o Kathy. Czy jeszcze żyje? Prawdopodobnie nie. Kathy nie przyjdzie. Nie przejdzie przez jedną z bram. Zostanie tutaj.

Jeb opuścił łuk. Każde z nich stanęło przed jedną ze świecących bram. Jeszcze raz spojrzeli na siebie i z nadzieją w oczach ruszyli naprzód.

To był tylko jeden krok.

I weszli do nowego świata.

Śnieg znów zaczął padać. Ciężkie płatki spadały gęsto, tańczyły na wietrze, zacierając wszystkie ślady, jakie kiedykolwiek pozostawili ludzie.

To był świat wiecznej zimy. Życie nie było tu mile widziane, ale te pięć postaci, które podniosły się ze śniegu, miały z tym, co rozumie się pod pojęciem życia, niewiele wspólnego.

Jeden z osobników odchylił głowę o grubo ciosanych rysach i przez chwilę węszył na wietrze. Z jego bezwargich ust wydobyło się warczenie, dźwięk, który wyrażał zarówno zdenerwowanie, jak i zadowolenie. Jego czterej towarzysze dreptali w miejscu.

Nic nie mówili. Ale to nie było konieczne.

Jeden z nich zrobił pierwszy krok, a pozostali natychmiast za nim poszli.

Nie czuli chłodu.

Otaczała ich wirująca biel.

Tylko dla nich słyszalny głos wskazywał drogę, a oni za nim szli. Będą za nim iść, dopóki nie znajdą łupu.

Nie zawahają się.

Nie poddadzą się.

Są na polowaniu.

Ciąg dalszy nastąpi

Podziękowania

Jeśli podobała ci się ta książka, jest to zasługa wspaniałego wsparcia, którego doświadczyłem podczas pracy nad nią.

Przede wszystkim z całego serca dziękuję swojej redaktorce, Nikolettie Enzmann, która mnie niestrudzenie poganiała, nigdy nie była zadowolona i starała się o to, żebym ja też nie był. Stawiała mi wyzwania i pomogła jako autorowi w pokonaniu kolejnej przeszkody w moim rozwoju. Jako pisarz bez niej nie byłbym tu, gdzie jestem.

Wielkie dzięki składam Antoninie Thiel, która towarzyszyła mi w dalszych fazach pracy nad książką i również zapewniła mi wielką pomoc.

Kolejne podziękowania kieruję do mojego przyjaciela Thomasa Thiemeyera, wspaniałego człowieka i znakomitego autora. Opowiedziałem mu swoją historię bardzo wcześnie. Jego zachwyty mnie zaraził i zmotywował. Dziękuję, Thomasie.

Andreasie Eschbach, dziękuję ci za całe wsparcie, którego doświadczam od ciebie już od lat.

Dziękuję Wulfowi Dornowi, Ninie Blazon, Borisowi von Smercekowi, Patricii Mennen, Hermannowi Oppermannowi, Oliverowi Kernowi i Uwe Laubowi. Po prostu za to, że jesteście i że mogę być waszym przyjacielem.

Dziękuję Achimowi za to, że jest moim bratem. Lepszego nie mógłbym sobie życzyć.

Na koniec kieruję swoje podziękowania do żony Gabriele i córki, które z miłością zatroszczyły się o to, abym każdego dnia znajdował drogę wyjścia z mojego własnego labiryntu.

Rainer Wekwerth